

Opowiadania fantastyczne Ameryki Łacińskiej

W zaczarowanym zwierciadle

Przełożyli: Rajmund Kalicki, Janina Z. Klave, Jerzy Kuhn,
Andrzej Sobol-Jurczykowski

Opowiadania fantastyczne Ameryki Łacińskiej

W zaczarowanym zwierciadle

Przełożyli: Rajmund Kalicki, Janina Z. Klave, Jerzy Kuhn,
Andrzej Sobol-Jurczykowski

Adolfo Bioy Casares

Klucz do tajemnicy jest w niebie

Kiedy kapitan Ireneusz Morris i doktor Carlos Alberto Servian, lekarz homeopata, zniknęli 20 grudnia z Buenos Aires, gazety ledwo skomentowały to wydarzenie. Pisano, że byli to ludzie oszukani, ludzie omotani, i że specjalna komisja prowadzi dochodzenie; mówiono także, że niewielki zasięg samolotu, z którego korzystali uciekinierzy, pozwala ręczyć, że nie oddalili się zbyt daleko. W owych dniach dostałem przesyłkę; zawierała: trzy tomy *in quarto* (dzieła zebrane komunisty Louisa Augusta Blanqui), pierścionek niewielkiej wartości (akwamaryn z wizerunkiem bogini z głową konia); kilka stron maszynopisu — *Przygody kapitana Morrisa* — podpisane C.A.S. Przytoczę tutaj te strony:

PRZYGODY KAPITANA MORRISA

To opowiadanie mogłoby się zaczynać od jakiejś celtyckiej legendy, która mówiłaby nam o podróży bohatera do kraju znajdującego się po drugiej stronie pewnego źródła albo o więzieniu bez wyjścia, zbudowanym z delikatnych gałązek, albo

o pierścieniu, który czyni niewidzialnym tego, kto go nosi, albo o jakimś czarodziejskim obłoku, albo o dziewczynie płaczącej w odległej głębi zwierciadła, trzymanego przez rycerza, którego przeznaczeniem jest ją ocalić, albo o beznadziejnych i nie kończących się poszukiwaniach grobu króla Artura:

To jest mogiła Marcha, a tamto Gwythyira; ten grób jest grobem Gwgawn Gleddyffreidd, ale grób Artura pozostaje nieznanym.

Mogłoby się też zaczynać od wiadomości, jakiej wysłuchałem ze zdziwieniem i bez wzruszenia, że trybunał woj— skowy oskarża o zdradę kapitana Morrisa. Albo od zaprzeczenia prawom astronomii. Albo od teorii ruchów, zwanych passami, które się stosuje w celu wywołania duchów lub spowodowania ich zniknięcia.

Ja mimo wszystko wybiorę początek mniej ekscytujący; jeśli nie wspiera go magia, to przynajmniej zaleca metoda. Nie oznacza to odrzucenia spraw nadprzyrodzonych, a tym mniej odrzucenia aluzji, czy inwokacji początkowego ustępu. Nazywam się Carlos Alberto Servian i urodziłem się w Rauch, w Argentynie; jestem Ormianinem. Mój kraj nie istnieje od ośmiu wieków; ale wystarczy, żeby jakiś Ormianin przyczepił się swojego drzewa genealogicznego, całe jego potomstwo będzie nienawidziło Turków. „Kto urodził się Ormianinem zostanie nim na zawsze”. Jesteśmy jak jakiś tajny związek, jak jakiś klan i choć żyjemy rozproszeni po kontynentach, łączą nas nieokreślona krew, oczy i nos, które się powielają, pewien sposób rozumienia i radowania się ziemią. newne zdolności.

spewne drobne oszustwa, pewna skłonność do nieporządku, w którym się odnajdujemy, i oszłamiające piękno naszych kobiet.

Jestem ponadto mężczyzną samotnym i jak Don Quijote mieszkam (mieszkałem) z siostrzenicą: dziewczyną przyjemną, młodą i pracowitą. Dodałbym jeszcze jedno określenie — spokojną — ale muszę wyznać, że ostatnimi czasy nie zasłużyła na nie. Moja siostrzenica zabawiała się w pełnienie funkcji sekretarki i, ponieważ nie mam sekretarki, ona osobiście załatwiała telefony, odkurzała i w logiczny sposób porządkowała historie choroby i symptomatologie, jakie notowałem przypadkowo z relacji chorych (których wspólną cechą jest brak logicznego składu) i zajmowała się moim obszernym archiwum. Uprawiała też inną rozrywkę, równie niewinną: chodziła ze mną do kina w piątki po południu. Tego popołudnia był piątek.

Otworzyły się drzwi; młody wojskowy wkroczył energicznie do gabinetu.

Moja sekretarka stała po mojej prawej ręce, za stołem, i obojętna podawała mi jeden z tych wielkich arkuszy, na których zapisuję dane, jakie podają mi chorzy. Młody wojskowy przedstawił się bez wahania — był to porucznik Kramer — i obrzuciwszy ostentacyjnym spojrzeniem moją sekretarkę, spytał energicznym tonem:

— Mówić?

Powiedziałem, żeby mówił. Podjął

— Kapitan Ireneusz Morris chce się z panem widzieć. Jest

zaużymany w Szpitalu wojskowym

Być może zarażony marsowością mojego rozmówcy, odparłem:

— Rozkaz.

— Kiedy pan pójdzie? — spytał Kramer.

— Jeszcze dzisiaj. Jeśli pozwolą mi wejść o tej porze...

— Pozwolą — oświadczył Kramer i energicznym, gimnastycznym ruchem udzielił mi pozwolenia. Wyszedł natychmiast.

Spojrzałem na siostrzenicę; była oniemiała. Poczulem złość i spytałem, co jej się stało. Zwróciła się do mnie:

— Wiesz, kto jest jedyną osobą, jaka cię obchodzi? Byłem na tyle naiwny, że spojrzałem w kierunku, który

wskazywała. Ujrzałem siebie w lustrze. Moja siostrzenica wybiegła z pokoju.

Od pewnego czasu była mniej spokojna. Poza tym nabrała zwyczaju nazywania mnie egoistą. Część winy w tym wszystkim przypisuję moim ekslibrisom. Jest na nich wypisana w trzech językach — po grecku, po łacinie i po hiszpańsku — sentencja: Poznaj siebie samego (nigdy nie podejrzewałem dokąd mnie zawiedzie ta sentencja), a rysunek przedstawia mnie, jak przez lupę badam własne odbicie w lustrze. Moja siostrzenica nakleiła tysiące takich ekslibrisów na tysiącach tomów mej wciąż zmieniającej się biblioteki. Ale jest jeszcze inna przyczyna tej opinii egoisty. Jestem metodyczny, a ludzie metodyczni, którzy, zagrzebani w mrocznych zajęciach, odwołują zaspokojenie kaprysów kobiety, wydają się szaleńcami, idiotami lub egoistami.

Przyjąłem z roz targnieniem dwóch pacjentów i udałem się do Szpitala Wojskowego.

Wybiła szósta, kiedy dotarłem do starego gmachu na ulicy Pozos. Po samotnym wyozekiwaniu i po naiwnym i krótkim przesłuchaniu, zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie leżał Morris. Przed drzwiami stał wartownik z bagnetem na karabinie. Wewnątrz, bardzo blisko łóżka Morrisa, dwóch mężczyzn, którzy nie odpowiedzieli na moje pozdrowienie, grało w domino.

Z Morrisem znamy się całe życie; nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Bardzo lubiłem jego ojca. Był to wspaniały starzec z głową siwą, okrągłą, krótko ostrzyżoną, z błękitnymi oczami, o nadzwyczaj twardym i czujnym spojrzeniu; był nieuleczalnym patriotą walijskim i miał nieposkromioną manię opowiadania celtyckich legend. Przez wiele lat (najszcześniejszych w moim życiu) był moim nauczycielem. Wszystkie popołudnia uczyliśmy się trochę, on opowiadał, a ja słuchałem o przygodach z *Mabinogionu*, a zaraz potem krzepiliśmy siły, pijąc *matę* z palonym cukrem. Po podwórkach szwendał się Ireneusz; łowił ptaki i szczury i przy pomocy scyzoryka i igły z nitką zestawiał kombinowane zwłoki; stary Morris mawiał, że Ireneusz zostanie lekarzem. Ja miałem być wynalazcą, bo brzydziłem się eksperymentami Ireneusza i ponieważ pewnego razu narysowałem pocisk z resorami, który pozwoliłby na postarzające podróże międzyplanetarne i motor hydrauliczny, który, raz puszczone w ruch, miał nie zatrzymać się nigdy. Ireneusza i mnie dzieliła świadoma i wzajemna antypatia. Teraz, kiedy się spotykamy, odczuwamy niezmierne szczęście, rozkwit

nostalgii i serdeczności; odtwarzamy krótki dialog z żarliwymi aluzjami do wymaginowanej przyjaźni i wymaginowanej przeszłości i w chwilę później nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Walia, zdecydowany nurt celtycki, zakończyła się na jego ojcu. Ireneusz jest spokojnie argentyński, ignoruje i pogardza wszystkimi bez wyjątku cudzoziemcami. Nawet z wyglądu jest typowym Argentyńczykiem (niektórzy uważali go za Południowego Amerykanina): raczej niewysoki, szczupły, o drobnej kości, czarnowłosy — ubrylantynowa—ny — o bystrym spojrzeniu.

Na mój widok wydał się wzruszony (nigdy nie widziałem go wzruszonym, nawet w dzień śmierci jego ojca). Powiedział mi dobitnym głosem, jakby po to, żeby go usłyszeli grający w domino:

— Podaj mi rękę. W godzinie próby okazałeś się jedynym przyjacielem.

Wydało mi się to przesadnym podziękowaniem za moje odwiedziny. Morris ciągnął:

— Będziemy mieli wiele spraw do omówienia, ale sam rozumiesz, że wobec dwóch takich okoliczności — obrzucił surowym spojrzeniem obydwu graczy — wolę milczeć. Za kilka dni będę w domu; wówczas z przyjemnością ujrzę cię u siebie.

Doszedłem do wniosku, że było to pożegnanie. Morris dodał, żebym został jeszcze chwilę, „jeżeli się nie spieszę”.

— Ruchem zapomniał — ciągnął — Dziekuje ci za książkę

— Dytuym zapomniał — ciągnął. — Dziękuję ci za książki.

Wymamrotałem coś, zmieszany. Nie wiedziałem, za jakie książki mi dziękuje. Popelnilem wiele głupstw, ale nie to, żeby wysyłać książki Ireneuszowi. Opowiedział o wypadkach lotniczych; zaprzeczył, żeby istniały takie miejsca — Palomar w Buenos Aires, Dolina Królów w Egipcie — które emanowałyby prądy zdolne je powodować.

W jego ustach „Dolina Królów” zabrzmiało niewiarygodnie. Spytałem, gdzie o niej słyszał.

— To są teorie księdza Moreau — odparł Morris. — Inni powiadają, że brak nam dyscypliny. Nasz naród ma na nią uczulenie, jeśli mnie rozumiesz. Argentyński lotnik traktuje samoloty jak ludzi. Przypomnij sobie choćby wyczyny Miry na „jaskółce”: puszka od konserw związana drutami...

Spytałem go, jak się czuje i czym go leczą. Teraz ja mówiłem specjalnie głośno, żeby usłyszeli grający w domino.

— Nie bierz zastrzyków. Żadnych zastrzyków. Nie zatruwaj sobie krwi. Bierz depuratum 6, a następnie arnikę 10 000. Jesteś typowym przypadkiem do leczenia arniką. I pamiętaj: bezwzględnie małe dawki.

Wycofałem się z poczuciem niewielkiego triumfu. Minęły trzy tygodnie. W domu nie działo się nic nowego. Teraz, z perspektywy czasu, odkrywam, że moja siostrzenica była może bardziej uprzejma, a mniej serdeczna. Zgodnie z naszym zwyczajem w dwa następne piątki poszliśmy do kina; ale trzeciego piątku, kiedy wszedłem do jej pokoju, stwierdziłem, że był pusty. Wyszła, zapomniała, że tego dnia mieliśmy iść do kina!

Później przysłała wiadomość od Morrisa. Pisał, że jest już w domu i żebym go odwiedził któregoś dnia.

Przyjął mnie w gabinecie. Stwierdzam bez niedomówień: Morris zmienił się na korzyść. Istnieją natury, które samoistnie dążą do równowagi zdrowotnej tak, że najgor—

sze trucizny, wynalezione przez współczesną medycynę, nie dają im rady.

Kiedy wszedłem do mieszkania, miałem wrażenie, jakbym cofnął się w czasie; powiedziałbym niemal, że zdziwiłem się, nie widząc starego Morrisa (zmarłego przed dziesięciu laty), schludnego i dobrotliwego, odmierzającego ze spokojem dawki cudotwórczej *matę*. Nic się nie zmieniło. W bibliotece znalazłem te same książki; te same popiersia Lloyd George'a i Williama Morrisa, które spoglądały kiedyś na moją beztroską i próżniaczą młodość; patrzyły teraz na mnie, a na ścianie wisiał przerażający obraz, który przyprawił mnie o pierwszą w życiu bezsenność: śmierć Grif—fitha ap Rhys, znany jako „słodka chwala i potęga mężów z Południa”.

Chciałem naprowadzić go od razu na temat, który go interesował. Odparł, że ma do dodania zaledwie parę szczegółów do tego, co napisał mi już w liście. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć; nie dostałem żadnego listu od Ireneusza. W nagłym olśnieniu poprosiłem, żeby, jeśli go to nie zmęczy, powtórzył mi wszystko od początku.

Wówczas Ireneusz opowiedział mi swoją tajemniczą historię.

Do 23 czerwca ubiegłego roku był oblatywaczem wojskowych samolotów. Najpierw wykonywał tę funkcję przy

fabryce sprzętu wojskowego w Cordobie; w ostatnim czasie uzyskał przeniesienie do bazy w Palomar.

Zaręczył mi, że on, jako oblatywacz, był ważną figurą. Dokonał więcej lotów próbnych niż jakikolwiek inny pilot z Ameryki (Południowej i Środkowej). Jego odporność fizyczna była nadzwyczajna.

Tyle razy powtarzał te próby, że siłą *rzeczy*, niejako automatycznie, doszedł do wykonywania wszystkich ćwiczeń podczas jednego lotu.

Wyjął z kieszeni notes i na czystej kartce nakreślił szereg zygzakowatych linii, skrupulatnie zaznaczył dane liczbowe (odległości, wysokości, szerokość kątów); następnie wyrwał kartkę i wręczył mi ją. Podziękowałem mu skwapliwie. Oświadczył, że jestem teraz w posiadaniu „klasycznego schematu lotów próbnych”.

Około 15 czerwca oznajmiono mi, że w tych dniach wypróbuje nowego Bregueta — nr 309 — jednoosobowy my

śliwiec. Była to maszyna zbudowana na licencji francuskiej sprzed dwóch czy trzech lat i próby miały być przeprowadzone w dosyć ścisłej tajemnicy. Morris udał się do domu, wziął notes z zapiskami — „jak to zrobił dzisiaj” — narysował schemat — „ten sam, który miałem w kieszeni”. — Następnie zajął się skomplikowaniem go; następnie — „w tym samym gabinecie, w którym teraz gawędziliśmy po przyjacielsku” — wyobraził sobie te dodatkowe utrudnienia i wyrył je w pamięci.

23 czerwca brząsk nieknei i straszliwej przynodu był dniem

szarym, dżdżystym. Kiedy Morris przybył na lotnisko, samolot stał jeszcze w hangarze. Musiał zaczekać, aż go wyprowadzą. Spacerował, żeby się nie przeziębic; zyskał tylko tyle, że przemoczył nogi. Wreszcie pojawił się Breguet. Był to jednopłatowiec, o niskich skrzydłach, „nie nadzwyczajnego, zaręczam ci”. Zbadał go powierzchownie. Morris spojrzał mi w oczy i zniżając głos, oznajmił: Siedzenie było wąskie, wyraźnie niewygodne. Zapamiętał, że wskaźnik poziomu paliwa wykazywał „pełen” i że na skrzydłach Breguet nie miał żadnego znaku. Powiedział, że pokiwał ręką i że natychmiast gest ten wydał mu się fałszywy. Przejechał po ziemi z pięćset metrów i wystartował. Zaczął realizować to, co nazywał „nowym schematem próby lotu”.

Był najbardziej wytrzymałym oblatywaczem w kraju. Sama wytrzymałość fizyczna, zapewnił mnie. Był gotów powiedzieć mi prawdę. Choćbym miał nie uwierzyć, ale nagle zamglili mu się wzrok. W tym momencie Morris rozgadał się; zaczął się zapalać; ze swej strony zapomniałem o tym „krajanie”, którego miałem naprzeciwno; śledziłem opowieść; zaraz po wykonaniu nowych ćwiczeń poczuł, że wzrok zachodzi mu mgłą, usłyszał własny głos „co za wstyd, tracę przytomność”, wpadł w rozległy ciemny kłęb (może w chmurę), doznał przelotnej i szczęśliwej wizji, jak wizja promiennego raj. . . Ledwo udało mu się wyprostować samolot, kiedy dotykał już prawie płyty lotniska.

Odzyskał przytomność. Leżał obolały w białym łóżku, w wysokim pokoju, o ścianach białych i nagich. Zabrzęczał gdzieś

giez, przez kilka sekund miał wrażenie, że odsypia sjętę na wsi. Pózniej dowiedział się, że jest ranny, że jest aresztowany, że przebywa w Szpitalu Wojskowym.

Żaden z tych faktów go nie zaskoczył, ale jeszcze przez moment nie mógł sobie przypomnieć wypadku. Kiedy sobie przypomniał, ogarnęło go prawdziwe zdziwienie: nie rozumiał, w jaki sposób stracił przytomność. A jednak stracił ją niejednym raz... O tym opowiem pózniej.

Siedziała przy nim jakaś kobieta. Spojrzał na nią. Była to pielęgniarka.

W sposób apodyktyczny i pogardliwy mówił o kobietach w ogóle. Było to niesmaczne. Powiedział, że dla zwierzęcia, jakie tkwi w każdym mężczyźnie, istnieje jeden typ kobiety, a nawet jest to kobieta jedyna i ściśle określona; i dodał coś w tym sensie, że nieszczęściem jest ją spotkać, ponieważ mężczyzna zdaje sobie sprawę ze znaczenia, jaki ma ona dla jego losu i odnosi się do niej niezręcznie i z pewnym lękiem, przygotowując sobie przyszłość niespokojną i pełną monotonnej frustracji. Stwierdził, że dla mężczyzny, „który jest, jak trzeba”, pozostałe kobiety nie stanowią zagrożenia, ani nie różnią się między sobą. Spytałem, czy pielęgniarka była w jego typie. Odparł, że nie, i wyjaśnił: „To jest kobieta łagodna i macierzyńska, ale dosyć ładna”.

Ciągnął swoje opowiadanie. Wszło kilku oficerów (wymienił szarżę). Jakiś żołnierz przyniósł stolik i krzesło, wyszedł i wrócił z maszyną do pisania. Usiadł przy maszynie i pisał w milczeniu. Kiedy żołnierz przerwał, jeden z oficerów

zapytał Morrisa:

— Pańskie nazwisko?

Nie zaskoczyło go to pytanie. Pomyślał: „czysta formalność”. Powiedział swoje nazwisko i odebrał pierwszy sygnał strasznego spisku, jaki w niewytłumaczalny sposób zacieśniał się wokół niego. Wszyscy oficerowie roześmiali się. On sam nigdy nie wyobrażał sobie, żeby jego nazwisko mogło być śmieszne. Wpadł w złość. Drugi oficer powiedział:

— Mógł pan wymyślić coś bardziej wiarygodnego. —
Rozkazał żołnierzowi siedzącemu przy maszynie: — Zapiszcie, jak leci.

— Narodowość?

— Argentyńczyk — stwierdził bez wahania.

— Służy pan w wojsku? Zdobył się na kpinę:

— To ja miałem wypadek, a panowie sprawiacie wrażenie, jakbyście byli stuknięci.

Roześmiali się lekko (między sobą, jakby Morris był nieobecny).

Ciągnął:

— Służę w wojsku, w stopniu kapitana, siódmy pułk, dziewiąta eskadra.

— Z bazą w Montevideo? — spytał ironicznie jeden z oficerów.

— W Palomar — odparł Morris.

Podał swój adres, Bolíwara 971. Oficerowie wyszli. Wrócili następnego dnia, ci i jeszcze inni. Kiedy zrozumiał, że wątpią albo udaia, że watria w jego narodowość, miał ochotę wstać z

łóżka i rzucić się na nich. Powstrzymały go rana i czuła przemoc pielęgniarki. Oficerowie wrócili po południu drugiego dnia, a później rankiem następnego. Był straszny upał; bolało go całe ciało; przyznał mi się, że gotów był zeznać cokolwiek, byleby zostawili go w spokoju.

Czego chcieli? Dlaczego go nie poznawali? Dlaczego go obrażali, czemu udawali, że nie jest Argentyńczykiem. Był zbity z tropu i wściekły. Pewnego wieczoru pielęgniarka ujęła go za rękę i powiedziała, że broni się nierozsądnie. Odparł, że nie ma powodów, żeby się bronić. Spędził bezsenność noc, podczas której momenty, kiedy był zdecydowany spokojnie pogodzić się z sytuacją, przeplatały ataki wściekłości i gwałtowne reakcje, kiedy wzbraniał się „wziąć udział w tej absurdalnej zabawie”. Rano chciał przeprosić pielęgniarkę za sposób, w jaki ją potraktował; zdał sobie sprawę, że jej zamiary były życzliwe, „i nie jest brzydka, rozumiesz”; ale, że nie umiał przeproszać, spytał ją z irytacją, co mu radzi. Pielęgniarka poradziła, żeby podał na świadka kogoś na stanowisku.

Kiedy przyszli oficerowie, powiedział, że jest przyjacielem porucznika Kramera i porucznika Viery, kapitana Fa—verio, podpułkownika Margaride i Navarro.

Koło piątej zjawił się z oficerami porucznik Kramer, jego przyjaciel od dziecka, Morris wyznał ze wstydem, że „po szoku człowiek już nie jest ten sam” i że na widok Kramera miał łzy w oczach. Przypomniawszy sobie, że kiedy ujrzał go wchodzącego, usiadł na łóżku i rozłożył ramiona. Zawołał:

— Cnodz, bracie.

Kramer zatrzymał się i spojrział na niego obojętnie. Jeden z oficerów zapytał:

— Poruczniku Kramer, zna pan tego osobnika?

Głos brzmiał podstępnie. Morris powiada, że oczekiwał — oczekiwał, że porucznik Kramer nagłym okrzykiem pełnym serdeczności, zdradzi, że jego zachowanie stanowiło fragment zaplanowanego żartu — ...Kramer odparł ze zbytnią gorliwością, jakby się obawiał, że mu nie uwierzą:

— Nigdy go nie widziałem. Słowo honoru, że nigdy go nie widziałem.

Uwierzili mu natychmiast i napięcie, jakie przez kilka sekund widniało na ich twarzach, rozwiało się. Wyszli: Morris słyszał śmiechy oficerów i szczerzy śmiech Kramera i głos jednego z oficerów, który powtarzał: „Wcale mnie to nie dziwi, wierzcie mi, że mnie nie dziwi. Ma niezły tupet”.

Z Wierą i Margaride scena powtórzyła się w głównych zarysach. Była bardziej gwałtowna. Książka — jedna z książek, jakie mu rzekomo wysłałem — leżała na łóżku, w zasięgu ręki i trafiła w twarz Viery, kiedy ten udał, że się nie znają. Morris podał opis ubarwiony, w jaki w zupełności nie wierzę. Wyjaśniam: nie wątpię w jego odwagę, raczej w jego refleks. Oficerowie uznali, że nie jest konieczne wzywanie Faveria, który przebywał w Mendozie. Wyobraził sobie wówczas, że ma genialny pomysł; pomyślał, że jeśli groźby zamieniły młodych w fałszywych świadków, nie odniosą one skutku wobec generała Hueta, starego przyjaciela jego rodziny, który zawsze był dla

Morrisa niczym ojciec.

Odpowiedziano mu sucho, że nie ma i nigdy nie było w wojsku argentyńskim generała o tak śmiesznym nazwisku.

Morris nie odczuwał strachu; być może, gdyby poznał strach, broniłby się lepiej. Na nieszczęście interesowały go kobiety i „wiesz, jak one lubią wyolbrzymiać niebezpieczeństwa i stwarzać problemy”. Po raz drugi pielęgniarka wzięła go za rękę, żeby przekonać go o niebezpieczeństwie, jakie mu zagraża; tym razem Morris spojrzał jej w oczy i spytał, co znaczy ten spiszek przeciwko niemu. Pielęgniarka powtórzyła mu to, co słyszała: jego oświadczenie, że 23 próbował Bregueta w Palomar było nieprawdziwe; w Palo—mar tego dnia nikt nie oblatywał samolotów. Breguet był to typ świeżo wprowadzony do uzbrojenia armii argentyń—

skiej, ale numer, jaki podawał, nie odpowiadał żadnemu z numerów samolotów argentyńskiego lotnictwa. „Uważają mnie za szpiega?” — spytał z niedowierzaniem. Poczuł, że znowu wzbiera w nim wściekłość. Pielęgniarka odparła nieśmiało: „Sądzą, że przyleciał pan z jakiegoś sąsiedniego kraju”. Morris przysiągł jej jako Argentyńczyk, że jest Argen—tyńczykiem i nie jest szpiegiem; ona wydawała się przejęta i ciągnęła tym samym tonem: „Mundur jest taki sam, jak nasze; ale odkryto, że szwy są inne”. Dodała: „Szczegół nie do wybaczenia” i Morris zrozumiał, że ona także nie wierzy. Poczuł, że dławi się z wściekłości i żeby to ukryć, objął ją i pocałował w usta.

Po kilku dniach pielęgniarka oznajmiła mu: „Sprawdzono, że podałeś fałszywy adres”. Morris protestował na próżno; kobieta

operowała dowodami: lokatorem wskazanego mieszkania był pan Carlos Grimaldi. Morris miał uczucie, że coś sobie przypomina, jak przez sen. Wydało mu się, że to nazwisko wiąże się z jakimś przeżyciem z przeszłości; nie mógł określić go dokładnie.

Pielęgniarka powiedziała, że jego sprawa spowodowała powstanie dwóch zwalczających się stronnictw: jedno, złożone z tych, co twierdzili, że jest cudzoziemcem, i drugie, z utrzymujących, że jest Argentyńczykiem. Mówiąc po prostu: jedni chcieli skazać go na wygnanie, drudzy rozstrzelać.

— Upierając się, że jesteś Argentyńczykiem — powiedziała kobieta — pomagasz tym, którzy domagają się twojej śmierci.

Morris wyznał jej, że po raz pierwszy doznał we własnej ojczyźnie „uczucia bezradności, jakie odczuwa się w obcym kraju”. Ale nie bał się w dalszym ciągu.

Kobieta płakała tak bardzo, że obiecał jej zgodzić się na to, o co poprosi. „Choć może ci się to wydać śmieszne, ale nie chciałem jej smucić”. Kobieta poprosiła, żeby „przyznał się”, że nie jest Argentyńczykiem. „Było to okropne, jakby mi zaaplikowano zimny prysznic. Obiecałem, że spełnię jej prośbę, ale nie miałem zamiaru dotrzymać obietnicy”. Przedstawił trudności:

— Powiem, że jestem z takiego a takiego kraju. Następnego dnia odpowiedzą z tego kraju, że moje zeznanie jest fałszywe.

— Nieważne — stwierdziła pielęgniarka. — Żaden kraj nie przyzna się do wysyłania szpiegów. Ale dzięki temu zeznaniu i

pewnymi wpływami, które wykorzystasz, byc może zwyciężą zwolennicy wygnania, o ile nie jest już za późno.

Następnego dnia jeden z oficerów przyszedł go przesłuchać. Byli sami, mężczyzna rzekł:

— To sprawa postanowiona. W ciągu tygodnia zapadnie wyrok śmierci.

Morris wyjaśnił mi:

— Nie miałem już nic do stracenia...

„żeby przekonać się, co będzie!”, powiedział oficerowi:

— Przyznaję, że jestem Urugwajczykiem.

Po południu pielęgniarka przyznała mu się: powiedziała mu, że wszystko to było podstępem; bała się, że Morris nie dotrzyma obietnicy; oficer był przyjacielem i miał instrukcje skłonić go do zeznań. Morris skomentował krótko:

— Żeby to była inna kobieta, spralbym ją.

Jego zeznanie było spóźnione; sytuacja pogarszała się. Zdaniem pielęgniarki, jedyna nadzieja pozostawała w pewnym panu, którego znała, ale którego tożsamości nie mogła wyjawić. Ten człowiek chciał go zobaczyć, nim wystąpi w jego obronie.

— Powiedziała mi szczerze — zapewnił Morris — starała się uniknąć tego spotkania. Obawiała się, że wywrę złe wrażenie. Ale ten człowiek chciał mnie widzieć i była to ostatnia nadzieja, jaka nam pozostała. Zaleciła mi, żebym się nie upierał.

— Ten człowiek nie przyjdzie do szpitala — powiedziała pielęgniarka.

— W takim razie nic się nie da zrobić — rzekł Morris z ulgą.

Pielęgniarka mówiła dalej:

— Pierwszej nocy, kiedy będą na warcie zaufani ludzie, pójdziesz do niego. Jesteś już zdrow; pójdziesz sam.

Zdjęła pierścionek z serdecznego palca i wręczyła mu.

„Złożyłem go na mały palec. Jest to kamień, szkło, albo brylant, z wyciętą u spodu głową konia. Miałem go nosić kamieniem do wewnątrz, strażnicy mieli pozwolić mi wyjść i wejść, jakby mnie w ogóle nie zauważyli.”

Pielęgniarka dała mu wskazówki. Miał wyjść o dwunastej trzydzieści i powinien wrócić przed trzecią piętnaście nad ranem. Pielęgniarka zapisała mu na karteczce adres.

— Masz tę karteczkę? — spytałem.

— Tak, chyba tak — odparł. Poszukał w portfelu i wręczył mi ją posłusznie.

Był to papierek niebieskiego koloru; adres — Marquéeza 6890 — był zapisany zdecydowanym, kobiecym charakterem (z Sacre—Coeur — oznajmił Morris z nieoczekiwaną erudycją).

— Jak się nazywa pielęgniarka? — spytałem przez zwykłą ciekawość.

Morris wydawał się zakłopotany. Wreszcie rzekł:

— Nazywali ją Idibal. Nie wiem, czy to imię, czy nazwisko.

Ciągnął swoją opowieść:

Nadeszła ustalona noc. Idibal nie zjawiała się. Nie wiedział, co robić. O dwunastej trzydzieści postanowił wyjść.

Wydało mu się bezcelowe pokazywanie pierścionka wartownikowi, stojącemu u drzwi jego pokoju. Żołnierz uniósł karabin z bagnetem. Morris pokazał pierścionek; wyszedł swobodnie. Przywarł do drzwi: w dali, w głębi korytarza,

dostrzegł jakiegoś kaprała. Następnie, kierując się wskazówkami Idibal zszedł tylnymi schodami i doszedł do drzwi, prowadzących na ulicę. Pokazał pierścionek i wyszedł.

Złapał taksówkę, podał adres, zapisany na karteczce. Jechali ponad pół godziny; ulicami Juana B. Justo i Gaony okrążyli warsztaty F. C. O. i skręcili w zadrzewioną ulicę, prowadzącą na kraniec miasta; minęli pięć czy sześć przecznic i zatrzymali się przed kościołem z licznymi kopułami i kolumnami, który, biały pośrodku nocy, wyląniał się spomiędzy niskich budynków dzielnicy.

Pomyślał, że zaszła pomyłka; spojrzał na numer na karteczce; był ten sam, co kościoła.

— Miałeś czekać na zewnątrz, czy w środku? — spytałem.

O tym szczególnie nie było mowy; wszedł. Nie ujrzał nikogo. Zapytałem go, jak wyglądał kościół. Jak wszystkie, odparł. Później dowiedziałem się, że zatrzymał się chwilę przy sadzawce z rybami, do której wpadały trzy strumienie wody.

Pojawił się „ksiądz, z tych, co to się ubierają po cywil—nemu, jak członkowie Armii Zbawienia”, i spytał go, czy szuka kogoś. Odparł, że nie. Ksiądz odszedł; po chwili wrócił. Te powroty powtórzyły się trzy czy cztery razy. Morris stwierdził, że zadziwiająca była ciekawość tego osobnika i że on sam miał go już zaczepić, ale tamten zapytał, czy ma „pierścień wspólnoty”.

— Pierścień czego? — zapytał Morris. I wyjaśnił, zwracając się do mnie:

— Wyobraź sobie, skąd miało mi wpaść do głowy, że on

wyciągnął sobie, skądś miał na wpas do głowy, że on mówił o pierścionku, który mi dała Idibal?

Mężczyzna spojrział z zainteresowaniem na jego ręce i polecił:

— Proszę mi pokazać ten pierścionek.

Morris przeżył chwilę sprzeciwu; następnie pokazał pierścionek.

Mężczyzna zaprowadził go do zakrystii i poprosił, żeby wyjaśnił mu całą sprawę. Cierpliwie wysłuchał opowiadania. Morris uzupełnia: „Jako wyjaśnienia mniej lub bardziej zręcznego, ale niezgodnego z prawdą; pewien, że nie będę usiłował go oszukać, że usłyszysz w końcu ode mnie prawdziwe wyjaśnienie, moją spowiedź”.

Kiedy przekonał się, że Morris nie powie mu nic więcej, zirytował się i chciał zakończyć spotkanie. Powiedział, że postara się coś zrobić w jego sprawie.

Po wyjściu Morris poszukał ulicy Rivadavia. Natknął się na dwie wieże, które przypominały wjazd do zamku albo do średniowiecznego miasta; w rzeczywistości stanowiły wejście do jakiejś pustej i nie kończącej się w ciemnościach przestrzeni. Miał wrażenie, że znajduje się w jakimś innym Buenos Aires, zaczarowanym i złowrogim. Poszedł pieszo kilka przecznic; zmęczył się; dotarł do Rivadavia, wziął taksówkę i podał adres swojego domu: Boliwara 971.

Wysiadł na rogu Independencia i Boliwara; podszedł do drzwi domu. Nie było jeszcze drugiej. Miał czas.

Chciał włożyć klucz do zamku; nie mógł. Nacisnął dzwonek.

Nikt nie otwierał, minęło dziesięć minut. Oburzył się, że służąca wykorzystwała jego nieobecność — jego nieszczęście — żeby spać poza domem. Nacisnął dzwonek z całej siły. Usłyszał hałasy, które zdawały się dochodzić z bardzo daleka, następnie serię stuknięć — jedno mocne, zdecydowane, drugie lekkie, krótkie — rytmicznych, rosnących. Po—

jawiała się, ogromna w cieniu, postać ludzka. Morris opuścił skrzydło kapelusza i cofnął się do najmniej oświetlonej części sieni. Nagle rozpoznał tego zaspanego i rozwścieczonego mężczyznę i odniósł wrażenie, że to on sam śni. Rzekał do siebie: Tak, kulawy Grimaldi, Carlos Grimaldi. Teraz przypominał sobie to nazwisko. Teraz, rzecz nie do wiary, stał twarzą w twarz z lokatorem, który zajmował ten dom, kiedy kupił go jego ojciec, przed piętnastu laty. Grimaldi spytał opryskliwie:

— Czego pan chce?

Morris przypomniał sobie chytryść i upór tego człowieka, który nie chciał wynieść się z domu i bezowocne oburzenie ojca, który mawiał „wywiozę go stąd samochodem magistratu” i starał się skłonić go prezentami, żeby opuścił dom.

— Czy zastałem pannę Carmen Soares? — spytał Morris, żeby „zyskać na czasie”.

Grimaldi zaklął, zatrzęsnał drzwi i zgasił światło. Morris usłyszał oddalające się, nierówne kroki; później z brzękiem szkła i żelaza przejechał tramwaj; później powróciła cisza. Morris pomyślał z satysfakcją: „Nie poznał mnie”.

W chwilę potem poczuł wstyd, zdziwienie, oburzenie. Chciał rozwalić drzwi kopniakami i wywlec intruza. Jakby był pijany,

powiedział na głos: „Złożę skargę w komisariacie”. Zadał sobie pytanie, co oznacza ta wielostronna, osaczająca go ofensywa, jaką rozpętali przeciwko niemu koledzy. Postanowił zasięgnąć mojej rady.

Gdyby zastał mnie w domu, starczyłoby mu jeszcze czasu, by zrelacjonować mi zdarzenia. Wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do pasażu Owena. Kierowca nie znał takiego. Morris zapytał go niezbyt uprzejmie, po co zdawał egzaminy. Wymyślał na wszystko: na policję, która pozwala, żeby w naszych domach gnieździł się intruzi; na cudzoziemców, którzy zmieniają wygląd kraju i nigdy nie mogą się nauczyć prowadzić samochodu. Kierowca zaproponował mu, żeby przesiadł się do innej taksówki. Morris kazał mu jechać ulicą Velez Sarsfield aż do torów kolejowych.

Zatrzymali się przy szlabanach; nie kończące się szare pociągi manewrowały na torach. Morris kazał skręcić w ulicę Toll i okrążyć stację Soła. Wsiadł na rogu Australia i Luzuriaga. Kierowca powiedział, żeby mu zapłacił; że nie

może na niego czekać; że taki pasaż nie istnieje. Nie odpowiedział, ruszył z pewnością siebie ulicą Luzuriaga w kierunku południowym. Szofer jechał za nim samochodem, wymyślając mu głośno. Morris pomyślał, że gdyby pojawił się policjant, obaj z kierowcą przenocowaliby na komisariacie.

— A do tego — rzekłem — odkryliby, że uciekłeś ze szpitala. Pielęgniarka i ludzie, którzy ci pomogli, mogliby znaleźć się w kłopotcie.

— Tym się nie przeimowałem — odparł Morris i snuł dalej

swoją opowieść.

Minał jedną przecznicę i nie znalazł pasaży. Minał następną i jeszcze następną. Kierowca protestował w dalszym ciągu; jego głos brzmiał ciszej; ton był bardziej szyderczy. Morris zawrócił, przeciął ulicę Alvarado; tu zaczynał się park Pereyry, ulica Rochadala. Skręcił w Rochadala; w połowie drogi do następnej przecznicy, po prawej stronie, powinna urywać się zabudowa, ustępując miejsca pasażowi Owena. Morris doznał uczucia, jakie poprzedza zawrót głowy. Domy ciągnęły się w dalszym ciągu; znalazł się na ulicy Australia. W górze, na tle nocnych chmur, ujrzał zbiorniki Towarzystwa International w Luzuriaga; naprzeciwko powinien być pasaż Owena; nie było go.

Spojrzał na godzinę; zostało mu zaledwie dwadzieścia minut.

Przyspieszył kroku. Nagle zatrzymał się. Stał zagubiony z nogami pogrążonymi w gęstym, oślizgłym błocie, przed rzędem jednakowych, ponurych budynków. Chciał zawrócić do parku Pereyry; nie znalazł go. Obawiał się, że kierowca domyśli się, że zablądził. Dostrzegł jakiegoś mężczyznę, spytał go o pasaż Owena. Mężczyzna nie był z tej dzielnicy. Morris szedł w dalszym ciągu, wzburzony. Pokazał się inny człowiek. Morris ruszył w jego stronę; raptem kierowca wysiadł z samochodu i podbiegł również. Morris i kierowca zawołali do nieznajomego, czy nie wie, gdzie jest pasaż Owena. Człowiek sprawiał wrażenie wystraszonego, jakby przypuszczał, że zamierzają go napaść. Odparł, że nigdy nie słyszał o takim pasażu; chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Morris spojrzał na niego groźnie.

Dobry wieczór, panie! Morris spojrzał na niego groźnie.

Była trzecia piętnastce nad ranem. Morris poleciał kierowcy, żeby dowiózł go do rogu Caseros i Entre Rios.

W szpitalu był inny wartownik. Przeszedł dwa czy trzy razy przed drzwiami, nie odważając się wejść. Postanowił spróbować szczęścia; pokazał pierścionek. Wartownik nie zatrzymał go.

Pielęgniarka zjawiła się następnego dnia wieczorem. Powiedziała mu:

— Wrażenie, jakie wywarłeś na tym panu w kościele, nie jest najlepsze. Musiał się pogodzić z twoim ukrywaniem prawdy: przyzwyczaił się już do tego wśród członków wspólnoty. Mimo to poczuł się obrażony twoim brakiem zaufania. Wątpiła, czy ów człowiek zrobi coś rzeczywiście w sprawie Morrisa.

Sytuacja pogarszała się. Nadzieje na wyprawienie go za granicę zniknęły, jego życie znalazło się w nagłym niebezpieczeństwie.

Spisał dokładną relację faktów i wysłał ją do mnie. Później chciał się usprawiedliwić: powiedział, że przeszkadzała mu troska tej kobiety. Być może on sam zaczął się martwić.

Idibal znowu odwiedziła człowieka z kościoła; zdołała uzyskać, jako dowód życzliwości dla niej — „nie tylko tego odrażającego szpiega” — obietnicę, że „najbardziej wpływowe osobistości zajmą się sprawą”. Plan polegał na tym, żeby kazać Morrisowi odtworzyć wypadek; innymi słowy: dać mu samolot i pozwolić powtórzyć próbę, jakiej, zgodnie z tym, co twierdził dokonywał w dzień wypadku.

Wpływowe osobistości wygrały, ale samolot wyznaczony do

próby był dwumiejscowy. Oznaczało to komplikację drugiej części planu: ucieczki Morrisa do Urugwaju. Morris powiedział, że będzie umiał dać sobie radę z towarzyszem. Wpływowe osobistości nalegały, żeby samolot był jednopłatowcem, identycznym jak ten, z którym zdarzył się wypadek.

Idibał, po tygodniu, podczas którego gnębiła go na przemian nadzieją i lękiem, zjawiała się rozpromieniona i oznajmiła, że wszystko w porządku. Datę próby wyznaczono na następny piątek (brakowało pięciu dni). Miał polecieć sam. Kobieta spojrzała na niego z niepokojem i rzekła: — Będę czekać na ciebie w Colonii. Jak tylko wystartujesz, bierz kurs na Urugwaj. Obiecujesz?

Obiecał. Przewrócił się na łóżku i udał, że śpi. Skomen—
tował: „Miałem wrażenie, że ciągnie mnie za rękę do ołtarza i to mnie wściekało”. Nie wiedział, że żegna się z nią na zawsze.

Ponieważ przyszedł już do siebie, następnego ranka przewieziono go do koszar.

— To były wspaniałe dni — skomentował. — Spędziłem je w celi dwa na dwa metry, pijąc *matę* i rzucając *w truco* ze strażnikami.

— Przecież ty nie grasz w *truco* — powiedziałem. Było to nagle natchnienie. Rzecz jasna nie wiedziałem, czy Morris gra w *truco*, czy nie.

— No dobrze, powiedzmy, że to była jakakolwiek inna gra karciana — odparł bez zmieszania.

Byłem zdumiony. Sądziłem, że przypadek lub okoliczności zrobiły z Morrisa pewien typowy model; nigdy nie

przypuszczałem, żeby był bohaterem w kolorycie lokalnym. Ciągnął dalej:

— Weźmiesz mnie za durnia, ale spędzałem całe godziny, myśląc o tej kobiecie. Byłem szalony do tego stopnia, że zaczynałem już wierzyć, iż ją zapomniałem...

Spytałem go:

— Usiłowałaś wyobrazić sobie jej twarz i nie mogłeś?

— Jak to odgadłeś? — Nie czekał na moją odpowiedź.

Snuł dalej opowiadanie.

Pewnego dżdżystego poranka wywieźli go w staroświeckim podwójnym faetonie. W Palomar oczekiwała go uroczysta komisja, złożona z wojskowych i urzędników. „Wyglądało to na pojedynek — powiedział Morris — na pojedynek albo na egzekucję.

Kilku mechaników otworzyło hangar i wypchnęło na zewnątrz myśliwca Dewotine, „godny rywal podwójnego faetonu, wierz mi”.

Zapuścił motor; zobaczył, że benzyny ma zaledwie na dziesięć minut lotu; dotrzeć do Urugwaju było niemożliwością. Przez chwilę ogarnął go smutek; melancholijnie powiedział sobie, że może lepiej umrzeć, niż żyć jako niewolnik. Cały plan upadł: start był zbyt późny; miał ochotę zawołać tych ludzi i powiedzieć im: „Panowie, gra skończona”. Kierując się apatią, pozwolił, żeby wydarzenia potoczyły się własnym torem. Postanowił wykonać raz jeszcze swój nowy schemat prób.

Przejechał po ziemi z pięćset metrów i wystartował. Wykonał dokładnie pierwszą część ćwiczenia, ale kiedy

wykonał dokonanie pierwszej części ćwiczenia, ale kiedy zamierzał przedsięwziąć nowe akrobacje, poczuł znowu, że robi mu się niedobrze, że traci przytomność i usłyszał własną skargę, że traci przytomność. Na płycie lotniska udało mu się wyprostować samolot.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał obolały w białym łóżku, w wysokim pokoju o ścianach białych i nagich. Zrozumiał, że jest ranny, że jest aresztowany i że przebywa w Szpitalu Wojskowym. Zadał sobie pytanie, czy to wszystko nie jest przywidzeniem. Uzupełniłem jego myśl:

— Przywidzeniem, jakie miałeś w momencie przebudzenia.

Dowiedział się, że wypadek miał miejsce 31 sierpnia. Stracił poczucie czasu. Minęły trzy czy cztery dni. Ucieszył się, że Idibal powinna być już w Colonii; ten nowy wypadek nappełniał go poczuciem wstydu; prócz tego kobieta będzie mu robiła wyrzuty, że nie poleciał do Urugwaju. Zastanowił się: „Kiedy dowie się o wypadku, wróci. Trzeba zaczekać ze dwa, trzy dni.

Zajmowała się nim nowa pielęgniarka. Spędzili trzy popołudnia, trzymając się za ręce.

Idibal nie wracała. Morris zaczął się niepokoić. Pewnej nocy ogarnął go wielki lęk. „Pomyślisz, że zwariowałem — powiedział — ale chciałem się z nią zobaczyć. Myślałem, że wróciła, że zna całą historię o tej drugiej pielęgniarce i dlatego nie chce mnie widzieć”.

Poprosił jednego z praktykantów, żeby zawołał Idibal. Mężczyzna nie wracał. Dużo później (ale tej samej nocy; Morrisowi wydało się nie do wiary, że noc może trwać tak

długo) wrócił; szef powiedział mu, że w szpitalu nie pracuje nikt o takim nazwisku. Morris polecił mu sprawdzić, kiedy rzuciła pracę. Praktykant powrócił nad ranem i powiedział, że kierownik działu personalnego już wyszedł.

Śnił o Idibal. W dzień wyobrażał ją sobie. Zaczął śnić, że nie może jej znaleźć. Wreszcie nie mógł już jej sobie wyobrazić ani jej wyśnić.

Powiedziano mu, że żadna osoba o imieniu czy też nazwisku Idibal „nie pracuje, ani nie pracowała nigdy w tej instytucji”.

Nowa pielęgniarka poradziła mu, żeby zajął się czytaniem. Przyniesiono mu gazety. Ale nawet dział „Na boiskach i na torach wyścigowych” nie wzbudził jego zainteresowania. „Zdenerwowałem się i poprosiłem o książki, które mi przysłałeś.” Odpowiedziano, że nikt nie posyłał mu książek.

(Byłem o krok od popełnienia nieostrożności; przyznania, że nie wysyłałem mu niczego).

Pomyślał, że odkryto plan ucieczki i udział w nim Idi—bał; dlatego Idibal się nie zjawia. Spojrzał na swoje ręce: nie było pierścionka. Poprosił o niego. Powiedziano mu, że jest już późno, że personel depozytu wyszedł. Spędził noc potworną i nieskończeniową, myśląc, że nigdy mu go nie przyniosą...

— Myśląc — dodałem — że jeśli nie zwrócą ci pierścionka, nie zostanie ci żaden ślad po Idibal.

— Nie myślałem o tym — przyznał uczciwie. — Ale spędziłem noc jak obłąkany. Następnego dnia przynieśli mi pierścionek.

— Masz go? — spytałem z niedowierzaniem, jakie nawet

mnie samego zadziwiło.

— Tak — odparł. — W bezpiecznym miejscu.

Otworzył boczną szufladę biurka i wyjął klejnot. Kamień pierścionka był mocno przezroczysty, o niewielkim połysku. W głębi była kolorowa płaskorzeźba: popiersie ludzkie: kobiety z głową konia; pomyślałem, że musi to być podobizna jakiegoś starożytnego bóstwa. Chociaż nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ośmielę się stwierdzić, że pierścionek przedstawia dużą wartość.

Pewnego ranka weszło do jego pokoju kilku oficerów z żołnierzem, który dźwigał stolik. Żołnierz postawił stolik i wyszedł. Wrócił z maszyną do pisania; ustawił ją na stoliku, przysunął sobie krzesło i usiadł. Zaczął pisać. Jeden z oficerów dyktował: Nazwisko: Ireneusz Morris; narodowość: Argentyńczyk; pułk: trzeci; eskadra: dziewiąta; baza: Palomar.

Wydało mu się normalne, że przechodzą nad tymi formalnościami do porządku dziennego, że nie pytają go o nazwisko, było to drugie przesłuchanie; „jednak — powiedział mi — można było zaobserwować pewien postęp”; teraz zgadzali się, że jest Argentyńczykiem, że należy do trzeciego

pułku, do dziewiątej eskadry, z bazą w Palomar. Poczucie rozsądku trwało krótko. Spytał go, gdzie przebywał od 23 czerwca (data pierwsze] próby); gdzie zostawił Bregueta 304 („Numer nie był 304 — wyjaśnia Morris. — Był 309”; ta niepotrzebna pomyłka go zdziwiła); skąd wziął tę starą Dewotinę... Kiedy powiedział, że Breguet powinien być blisko, nonieważ wynadek z 23—on miał miejsce w Palomar i że

powinni wiedzieć, skąd wziął Dewotine, ponieważ sami mu ją dali do powtórzenia próby z 23-go, udawali, że mu nie wierzą.

Ale nie udawali już, że go nie znają i że jest szpiegiem. Oskarżali go o pobyt w obcym kraju, począwszy od 23 czerwca; oskarżali go — zrozumiał to wraz przyływem nowej furii — że sprzedał obcemu państwu tajną broń. Niezrozumiały spisek trwał, ale oskarżyciele zmienili plan ataku.

Gestykujący i serdeczny zjawił się porucznik Yiera. Morris obraził go. Viera udał wielkie zdziwienie; po czym oświadczył, że będą się pojedynkować.

— Pomyślałem, że sytuacja się poprawiła — rzekł. — Zdrajcy przybrali na powrót twarze przyjaciół.

Odwiedził go generał Huet. Sam Kramer złożył mu wizytę. Morris był zdezorientowany i nie miał czasu zareagować. Kramer zawołał do niego: „Bracie, nie wierzę w ani jedno słowo oskarżenia”. Uściskali się wylewnie. Któregoś dnia — pomyślał Morris — wyjaśni się wszystko. Poprosił Kramera, żeby zobaczył się ze mną.

Odważyłem się go zapytać:

— Powiedz mi jedno, Ireneuszu, pamiętasz, jakie książki ci wysłałem?

— Tytułu nie pamiętam — stwierdził z powagą. — Ale jest wymieniony w twoim liście.

Nie napisałem do niego żadnego listu.

Pomogłem mu przejść do sypialni. Z szufladki nocnego stolika wyjął kartkę papieru listowego (z listu, którego nie

rozpoznałem). Wręczył mi ją:

Charakter pisma sprawiał wrażenie kiepskiego naśladownictwa mojego; moje L i E duże przypominają drukowane; te tutaj były „angielskie”. Przeczytałem:

„Potwierdzam odbiór Pańskiego uprzejmego pisma z 16—go, które dotarło do mnie z pewnym opóźnieniem, wynikającym niewątpliwie z oczywistej omyłki w adresie. Nie

mieszkam w pasażu «Owena», ale na ulicy Mirandy, w dzielnicy Nazca. Zapewniam Pana, że przeczytałem jego sprawozdanie z wielkim zainteresowaniem. Na razie nie mogę Pana odwiedzić; jestem chory; ale pielęgnują mnie troskliwe ręce kobiece i w krótkim czasie wstanę; wówczas chętnie się z Panem zobaczę.

Posyłam Panu, jako symbol zrozumienia, te książki Augusta Blanqui i polecam mu lekturę poematu z tomu trzeciego, który zaczyna się na stronie 281”.

Pożegnałem się z Morrisem. Obiecałem odwiedzić go znowu w następnym tygodniu. Sprawa interesowała mnie i niepokoiła. Nie wątpiłem w dobrą wiarę Morrisa; ale to nie ja napisałem ten list, ja nigdy nie wysyłałem mu książek i nie znałem dzieł Augusta Blanqui.

Co do „mojego listu”, muszę tu poczynić kilka spostrzeżeń: 1) jego autor nie tyka Morrisa; na szczęście Morris nie jest zbyt bystry w kwestii listów: nie dostrzegł „zmiany” w zwracaniu się i nie obraził się na mnie, ja zawsze go tykałem. 2) Przysięgam, że nigdy nie użyłbym zwrotu: „Potwierdzam odbiór Pańskiego uprzejmego pisma”. 3) Co do napisania Owen w cudzysłowie,

dziwi mnie to i polecam ten szczegół uwadze czytelnika.

Moja nieznajomość dzieł Augusta Blanauï wynika być może z mojego planu lektury. Jeszcze w młodości rozumiałem, że aby nie dać się zalać przez nie kontrolowany potop książek i żeby osiągnąć, przynajmniej na pozór, pewną kulturę encyklopedyczną, nieodzowny jest plan lektury. Ten plan wytycza moje życie: jedną epokę zajmowała filozofia, drugą literatura francuska, inną nauki przyrodnicze, inną jeszcze stara literatura celtycka, a zwłaszcza literatura kraju Cymbrów (co zawdzięczam wpływowi ojca Morrisa). Medycyna wplatała się między ten plan, nie przerywając go nigdy.

Na kilka dni przed wizytą Kramera w moim gabinecie skończyłem z naukami tajemnymi. Zapoznałem się z dziełami Papusa, Richeta, Lhomonda, Stanisłasa de Guaita, de Labouglé'a, biskupa de la Rochelle, Lodge'a, Hogdena i Alberta Wielkiego. Interesowały mnie przede wszystkim tajne zbiory, pojawiania się i znikania; w związku z tymi ostatnimi na zawsze utkwił mi w pamięci przypadek sir Daniela Sludge Home, który na prośbę Society for Psychical Re—

search z Londynu, przed zgromadzeniem złożonym wyłącznie z baronetów, próbował wykonać kilka passów, jakie stosuje się, by spowodować zniknięcie duchów i umarł w tej samej chwili. Co zaś się tyczy tych współczesnych Eliaszków, którzy zniknęli, nie pozostawiając śladów ani zwłok, pozwalałam sobie w to wątpić.

„Tajemnica” listu skłoniła mnie do przeczytania dzieł Augusta Blanauï (autora, którego nie znałem). Znalazłem jego nazwisko w

encyklopedii i dowiedziałem się, że pisał na tematy polityczne. To mnie ucieszyło: następne po naukach tajemnych znajdowały się na mojej liście polityka i socjologia. Mój plan przestrzega takich przeskoków, żeby nie dopuścić do uspienia umysłu na skutek zbytnej jedno—stajności.

Pewnego ranka, na ulicy Corrientes, w księgarni, zaledwie obsługiwanej przez wytartego starca, znalazłem paczkę zakurzonych książek, oprawnych w brązową skórę, ze złożonymi tytułami i przerywnikami: dzieła zebrane Augusta Blanqui. Kupiłem je za piętnaście *pesos*.

Na stronie 281 mojego wydania nie ma żadnych wierszy. Choć nie przeczytałem dzieła w całości, sędzę, że wspomnianym tekstem jest *UEternite par les Astres*, poemat prozą. W moim wydaniu zaczyna się na stronie 307 drugiego tomu.

W tym poemacie, czy też eseju, znalazłem wyjaśnienie przygody Morrisa.

Udałem się do Nazca; rozmawiałem ze sklepikarzami z dzielnicy; na całej ulicy Miranda nie mieszka żadna osoba o moim nazwisku.

Pojechałem na ulicę Marañeza; nie ma numeru 6890, nie ma kościołów; było — tego popołudnia — nastrojowe światło, obok ulicy łąka z pasącymi się żrebackami, soczyście zielona i czysta, a drzewa przezrocyste i fioletowe. Prócz tego ulica ta nie leży blisko warsztatów F.C.O. Znajduje się w pobliżu mostu Noria.

Udałem się do warsztatów F.C.O. Miałem trudności z

okrążeniem ich ulicami Juana B. Justo i Gaony. Zapytałem, jak przedostać się na drugą stronę warsztatów. „Niech pan idzie ulicą Rivadavia — powiedziano mi — aż do Cuzco. Później trzeba przejść przez tory”. Jak było do przewidzenia, nie ma tam żadnej ulicy Marąeza; ulica, której Mor—

ris nadaje tę nazwę, to chyba ulica Bynnona. Oczywiście ani pod numerem 6890. ani wzdłuż reszty ulicy nie ma kościołów. Blisko ulicy Cuzco jest kościół Świętego Kajetana; fakt ten nie ma znaczenia: Świętego Kajetana nie jest kościołem z opowieści. Brak kościołów na Bynnona nie podważa mojej hipotezy, że to jest ta właśnie ulica, o której mówi Morris... Ale to okaże się później.

Znalazłem także dwie wieże, o których mój przyjaciel sądził, że stoją w miejscu pustym i nie uczęszczanym: jest to portyk Klubu Atletycznego Velez Sarsfield na rogu Fra—gueiro i Barragan.

Nie musiałem wybierać się specjalnie do pasażu Owena: mieszkam tam. Kiedy Morris zablądził, podejrzewam, że stał przed ponuro identycznymi domami dzielnicy robotniczej Monseñor Espinosa, z nogami zagrzebanymi w białym błocie ulicy Perdriei.

Odwiedziłem znowu Morrisa. Spytałem, czy nie pamięta, by podczas swojej pamiętnej nocnej wędrówki przechodził jakąś ulicą Hannibala albo Hamilkara. Stwierdził, że nie zna ulic o takich nazwach. Spytałem go, czy w kościele, który odwiedził, był jakiś inny symbol obok krzyża. Popatrzył na mnie w milczeniu. Nie przypuszczał, że mówię serio. W końcu spytał:

— Jak ty sobie wyobrażasz, żeby ktoś zwracał uwagę na takie rzeczy?

Przyznałem mu rację.

— Niemniej jednak to ważny szczegół... — nalegałem. — Staraj się wyteńczyć pamięć. Postaraj się przypomnieć, czy obok krzyża nie było jakiegoś znaku.

— Możliwe — wymamrotał — możliwe, że jakiś...

— Trapez — podsunąłem mu.

— Tak, trapez — ■ stwierdził z przekonaniem.

— Zwykły czy przecięty linią?

— Prawda! — wykrzyknął. — Skąd to wiesz? Byłeś na ulicy Marąeza? Z początku nie mogłem sobie niczego przypomnieć... Nagle ujrzałem cały zestaw: krzyż i trapez; trapez przecięty linią z zagiętymi końcami.

Mówił z ożywieniem.

— A przyjrzałeś się którejś z figur świętych?

— Stary — wykrzyknął z hamowaną niecierpliwością. — Nie prosileś mnie przedtem, żebym sporządził inwentarz.

Powiedziałem mu, żeby się nie złościł, Kiedy się uspokoił, poprosiłem, żeby mi pokazał pierścionek i powtórzył imię pielęgniarki.

Wróciłem do domu szczęśliwy. Usłyszałem jakieś hałasy w pokoju mojej siostrzenicy; pomyślałem, że porządkuje swoje rzeczy. Starłem się, żeby nie odkryła mojej obecności; nie chciałem, żeby mi przeszkadzano. Wziąłem książkę Augusta Blanqui, wsadziłem pod pachę i wyszedłem na ulicę.

Usiadłem na ławce w parku Pereyry. Jeszcze raz

przeczytałem ten ustęp:

„Istnieje nieskończona liczba światów jednakowych, nieskończona liczba światów nieznacznie się różniących, nieskończona liczba światów odmiennych. To, co piszę w tej chwili, w tym lochu twierdzy Taureau, pisałem i będę pisał przez całą wieczność przy jakimś stole, na jakimś papierze, w jakimś lochu, całkowicie do siebie podobnych. W nieskończonej ilości światów moja sytuacja będzie ta sama, ale może przyczyna mego uwięzienia stopniowo straci swoją szlachetność, aż stanie się nikczemną i może moje słowa będą miały w innych światach niezaprzeczalną wyższość szczęśliwego przymiotnika”.

23 czerwca Morris spadł na swoim Breguecie do Buenos Aires leżącego w świecie prawie identycznym z naszym. Opały, w jakich znalazł się po wypadku, nie pozwoliły mu dostrzec różnic zasadniczych; do zauważenia drugorzędnych potrzebne były przenikliwość i wykształcenie, jakich Morris nie posiadał.

Wystartował rankiem szarym i dżdżystym; spadł w dzień słoneczny. Gieź w szpitalu nasuwa myśl o lecie; „straszliwy upał”, jaki dręczył go podczas przesłuchań, potwierdza to. Morris podaje w swojej relacji pewne odmiennie cechy świata, do którego przybył. Brak tam, na przykład, Walii: ulice z walijskimi nazwiskami nie istnieją w tantym Buenos Aires: Bynnon zamienia się w Marqueza i Morris, pośród labiryntów nocy i własnego zamroczenia, szuka na próżno pasażu Owena... Ja, Viera, Kramer, Margaride i Fa—verio istniejemy tam, ponieważ nie jesteśmy pochodzenia walijskiego; generał Huet i sam Ireneusz Morris, obaj potomkowie Walijszczyków, nie istnieją (on

HELEUSZ MORRIS, ODĄJ POWOLNIKOWIE WAIJCZYKOW, NIE ISTNIEJĄ (ON sam dostał się tam przez przypadek). Carlos Alberto Servian stamtąd pisze

w swoim liście słowo „Owen” w cudzysłowie, ponieważ wydaje mu się dziwaczne; z tego samego powodu oficerowie śmiali się, kiedy Morris podał swoje nazwisko.

Ponieważ nie istnieli tam Morrisowie, na Boliwara, pod 971, mieszka w dalszym ciągu nieporuszalny Grimaldi.

Opowiadanie Morrisa ujawnia także, że w tamtym świecie Kartagina nie zniknęła. Kiedy to zrozumiałem, zadałem moje idiotyczne pytanie o ulice Hannibala i Hamilkara.

Może ktoś zapytać, jakim cudem, skoro nie zniknęła Kartagina, istnieje język hiszpański. Czy mam przypominać, że pomiędzy zwycięstwem a unicestwieniem mogą istnieć stopnie pośrednie?

Pierścionek jest podwójnym dowodem, jaki mam w posiadaniu. Jest dowodem, że Morris przebywał w innym świecie: żaden rzeczoznawca, spośród wielu, którym go pokazywałem, nie rozpoznał kamienia. Jest dowodem istnienia (w tym drugim świecie) Kartaginy: koń jest symbolem kartagińskim. Któż nie widział podobnych pierścieni w muzeum Lavigerie?

Ponadto — Idibal czy też Iddibal — imię pielęgniarki jest kartagińskie; sadzawka z rytualnymi rybami i przecięty trapez są kartagińskie; wreszcie — *horresco referens* — wspólnoty czyli *circuli* są pamięci tak kartagińskiej i tak nieszczęsnej, jak nienasycony Moloch...

Ale wróćmy do spokojnych rozważań. Pytam, czy ja kupiłem dzieła Augusta Blanqui dlatego, że są wymienione w liście, który pokazał mi Morris, czy też dlatego, że historie tych dwu światów są równoległe? Ponieważ tam Morrisowie nie istnieją, legendy celtyckie nie zajmowały miejsca w moim planie lektur; tamten Carlos Alberto Servian mógł posunąć się naprzód; mógł dotrzeć wcześniej niż ja do dzieł politycznych.

Jestem z niego dumny: dysponując tak małą ilością faktów, wyjaśnił tajemnicze pojawienie się Morrisa; żeby Morris zrozumiał je także, polecił mu *UElernite par les Astres*. Dziwi mnie jednak jego zadowolenie, że mieszka w okropnej dzielnicy Nazca i nie zna pasażu Owena.

Morris dostał się do tamtego drugiego świata i powrócił. Nie skorzystał z mojego pocisku na resorach ani z innych wehikułów, jakie wynaleziono, żeby przemierzać niewiarygodną astronomię. Jak zrealizował swoje podróże? Otwo—

rzyłem słownik Kenta; przy słowie „pass” przeczytałem: „Skomplikowana seria ruchów, wykonywanych rękami, które powodują pojawianie się i znikanie”. Pomyślałem, że być może ręce nie są tu konieczne; że ruchy można wykonywać innymi przedmiotami; samolotami na przykład.

Według mojej teorii „nowy schemat prób” zbiega się z którymś z passów. (W obydwu wypadkach, kiedy go próbuje, Morris traci przytomność i zmienia świat).

Tam przypuszczano, że jest szpiegiem, przybyłym z ościennego kraju; tu wyjaśniają sobie jego nieobecność, zarzucając mu ucieczkę za granicę w celu sprzedania tajnej

broni. On sam nie rozumie niczego i uważa się za ofiarę niezasłużonego spisku.

Po powrocie do domu znalazłem na biurku kartkę od siostrzenicy. Oznajmiała mi, że uciekła z tym skruszonym zdrajcą, porucznikiem Kramerem. Dodawała z okrucieństwem: „Pociesza mnie świadomość, że nie będziesz zbyt cierpiał, bo nigdy się mną nie interesowałeś”. Ostatnia linijka była napisana z wyraźną zjadliwością: „Kramer mnie kocha, jestem szczęśliwa”.

Ogarnęło mnie wielkie przygnębienie, nie przyjmowałem chorych i przez dwadzieścia dni nie wychodziłem na ulicę. Pomyślałem z pewną zazdrością o moim „ja” astralnym, zamkniętym, jak i ja, w domu, ale pielęgnowanym przez „troskliwe ręce kobiece”. Sądzę, że znam jego intymne przeżycia; sądzą, że znam te ręce.

Odwiedziłem Morrisa. Usiłowałem rozmawiać z nim o mojej siostrzenicy (ledwo powstrzymuję się od mówienia w kółko o mojej siostrzenicy). Spytał mnie, czy była dziewczyną o macierzyńskim charakterze. Odparłem, że nie. Zaczął mówić o pielęgniarce.

To nie możliwość spotkania z nową wersją siebie samego jest motywem, który by mnie ewentualnie skłonił do podróży do tego drugiego Buenos Aires. Idea powielania się, zgodnie z ryciną z mego ekslibrisu albo poznania siebie samego, zgodnie z jego dewizą, również mnie nie pociąga. Pociąga mnie, być może, możliwość wykorzystania pewnego doświadczenia, jakiego ten drugi Servian, na swoje szczęście, nie zdobył.

Ale to są sprawy osobiste. Nienokoi mnie natomiast

sytuacja Morrisa. Wszyscy go tutaj znają i chcieli mu pomóc,

lecz on ma prawdziwie monotony sposób przeczenia. Wszystkiemu i jego brak zaufania drażni przełożonych; degradacja, jeśli nie pluton egzekucyjny, są jego przyszłością.

Gdybym go poprosił o pierścionek, który dostał od pielęgniarki, odmówiłby mi. Oporny wobec idei ogólnych, nigdy by nie zrozumiał prawa ludzkości do tego dowodu istnienia innych światów. Muszę poza tym stwierdzić, że Morris żywił szaleńcze przywiązanie do tego pierścionka. Być może mój postępek wzbudzi odrazę w uczuciach gentlemena (*alias cambrioleur*); sumienie humanisty go pochwała. Miło mi wreszcie ujawnić nieoczekiwany skutek: od czasu utraty pierścionka, Morris gotów jest wysłuchać moich planów ucieczki.

My, Ormianie, jesteście solidarni. Wewnątrz społeczeństwa tworzymy niezniszczalne jądro. Mam dobre znajomości w wojsku. Morris będzie mógł spróbować powtórzyć swój wypadek. Odważę się mu towarzyszyć.

C.A.S

Opowiadanie Carlosa Alberta Serviana wydało mi się nieprawdopodobne. Znam starą legendę o wozie Morgana; pasażer powiada, dokąd chciałby się udać i wóz go tam wiezie, ale to jest tylko legenda. Przyjmijmy, że przez przypadek kapitan Ireneusz Morris spadł w innym świecie; żeby spadł w tym samym po raz drugi, byłoby to zbyt wielkim zbiegiem okoliczności.

Od początku żywiłem tę opinię. Fakty ją potwierdziły.

Z grupą przyjaciół planowaliśmy i odwlekaliśmy z roku na rok wyprawę nad granicę urugwajsko—brazylijską. W tym roku nie mogliśmy jej odłożyć i wyruszyliśmy.

3 kwietnia posilaliśmy się w karczmie wśród pampy: potem mieliśmy odwiedzić niezwykle interesującą „fazendę”,

Wlokąc za sobą tuman kurzu, nadjechał nieskończenie długi packard; wysiadł z niego mężczyzna przypominający dżokeja. Był to kapitan Morris.

Zapłacił za posiłek swoich rodaków i popijał z nimi. Dowiedziałem się później, że jest sekretarzem, czy też służącym pewnego przemysłowca.

Nie towarzyszyłem moim przyjaciołom do „fazendy”. Morris opowiedział mi swoje przygody: strzelaninę z policją, podstępny, mający na celu oszukiwanie sprawiedliwości

i zgubienie rywali; przekraczanie rzek, wisząc u końskiego ogona; pijatyki i kobiety... Niewątpliwie przesadził w opisie własnej przebiegłości i odwagi. Ja nie przesadzę natomiast, określając jego opowieść jako monotonną.

Nagle, jakby w olśnieniu, dostrzegłem rozwiązanie. Zacząłem wypytywać: wypytywałem Morrisa; wypytywałem innych, kiedy Morris już odjechał.

Zebrałem dowody, że Morris przybył tu w ubiegłym roku, w połowie czerwca i że był wielokrotnie widziany w tych stronach między początkiem września a końcem grudnia. 8 września brał udział w wyścigach konnych w Yaguarao; później spędził kilka dni w łóżku, na skutek upadku z konia.

Jednakże w tych dniach wrześnie kapitan Morris był internowany w szpitalu wojskowym w Buenos Aires: poświadczają to władze wojskowe, towarzysze broni, przyjaciele z dzieciństwa, doktor Servian i obecny kapitan Kra—mer, a także stary przyjaciel jego rodziny, generał Huet. Wyjaśnienie jest proste:

W różnych, prawie identycznych światach różni kapitanowie Morrisowie wylecieli pewnego dnia (tutaj 23 czerwca) oblatywać samoloty. Nasz Morris uciekł do Urugwaju albo do Brazylii. Inny, który wyleciał z innego Buenos Aires, wykonał swoim samolotem kilka passów i znalazł się w Buenos Aires z drugiego świata (gdzie nie istniała Walia, a gdzie istniała Kartagina; gdzie czeka Idibal). Ten Ireneusz Morris wzbił się później na Dewotine, powtórzył passy i spadł w naszym Buenos Aires. Ponieważ był identyczny z drugim Morrisem, nawet własni koledzy go pomylili. Ale nie był to ten sam. Nasz (ten który jest teraz w Brazylii) wyleciał 23 czerwca Breguetem 304; ten drugi wiedział dobrze, że próbował Bregueta 309. Następnie w towarzystwie doktora Serviana znowu próbuje passów i znika. Być może dotarli do innego świata; jest mniej prawdopodobne, żeby spotkali siostrzenicę Serviana i Kartaginkę.

Powoływać się na Augusta Błanui, żeby przedstawić teorię o wielości światów, było, być może, zasługą Serviana; ja bym się ograniczył do autorytetu jakiegoś klasyka; na przykład: „według Demokryta istnieje nieskończona liczba światów, przy czym niektóre z nich są nie tylko do siebie podobne, ale wręcz identyczne” (Cycero. *Akademiki Pierw—*

...sze, II, XVII); lub: „Otośmy tutaj, w Bauli, koło Pozzuoli; czy nie sądzisz, że teraz w nieskończonej ilości dokładnie identycznych miejsc mogą się odbywać spotkania osób o naszych własnych imionach, piastujących te same co i my godności, które przeżyły te same doświadczenia i które są z usposobienia, z wieku i z wyglądu identyczne z nami i które dyskutują na ten sam temat?” (id. id. II, XL).

W końcu też trzeba powiedzieć, że dla czytelników, przyzwyczajonych do dawnego pojęcia światów planetarnych i sferycznych, podróże między różnymi Buenos Aires z różnych światów mogą się wydawać nieprawdopodobne. Mogą oni zadać pytanie, dlaczego podróżnicy spadają zawsze w Buenos Aires, a nie w innych stronach, na morzu czy na pustyni. Jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić na pytanie tak obce moim kompetencjom to ta, że może te światy są niczym wiązki równoległych czasów i przestrzeni.

Przełożył Jerzy Kiihn

MURILO RUBIAO

Zaproszony

Zaproszenie, które właśnie otrzymał, nie zadowalało jego zamiłowania do szczegółów. Nie tylko nie zawierało daty ani miejsca przyjęcia, ale nie podano w nim również, kto je wydaje. Nie wspominało także, jakie mają być stroje dam, choć wymagano, aby panowie przyszli w mundurach i dwurożnych kapeluszach lub we frakach, ale bez orderów. Z braku innych danych osądził, że chodzi o jakąś ceremonię religijną czy nudną uroczystość akademicką.

uroczystosc akademicką.

Jose Alfères ponownie obejrzał kopertę, mając obawy, że zaszło nieporozumienie lub że może to być po prostu kawał próżniaków. Ale komu by się chciało zabawić kosztem nieznanego w mieście o pięciu milionach mieszkańców? Myśl była oczywiście absurdalna, gdyż krąg jego znajomych nie wykraczał poza pracowników hotelu, gdzie mieszkał od czterech miesięcy.

Początkowo chciał list wyrzucić, ale nie uczynił tego jedynie przez wzgląd na Deborę, stenografkę, która mieszkała w jednym z apartamentów na tym samym piętrze. Mógł pochodzić od niej, bez wątpienia, mógłby. Kobięcy charakter pisma pozwalał na takie przypuszczenie. Przestał myśleć o braku danych w zaproszeniu — bardzo kobiece — aby się skoncentrować na zmysłowych kształtach sąsiadki: krzepkie biodra, twarde piersi, nogi bez zarzutu.

Próbował już różnych sposobów, aby zaczepić dziewczynę, ale go odtrąciła. Z półśmiechem, odpowiadając krótko i powściągliwie, ledwie na niego patrzyła i nie oglądając się wiedziała, że Alfères ze wzburzoną krwią śledził jej kroki przez całą długość korytarza.

Okno jego pokoju wychodziło na sklep, gdzie wynajmowano stroje na wszelkiego rodzaju uroczystości, bale czy przyjęcia. Mimo wielkiego wyboru, klientów było niewiele.

Tego ranka jednakże widać było spoio osób wchodzących i wychodzących, najczęściej z pakunkami. Przez pewien czas Jose Alfères obserwował bez większego zainteresowania

sytuację po drugiej stronie ulicy. Nagle uderzył się ręką w czoło i pośpiesznie zmienił piżamę na pierwsze z brzegu ubranie. W chwili nagłej euforii popróbowował tanecznego kroku, obejmując niewidzialną damę, która nieco później mogła nabrać jędrności ciała Debory, gdyż był już teraz pewien: przyjęcie się zbliżało. Jakże inaczej wytłumaczyć zachowanie się ludzi, wypożyczających specjalne stroje w porze roku, kiedy kalendarz nie wskazywał żadnego tradycyjnego święta?

Kiedy wszedł do sklepu było w nim pusto. Jedyne pracownik firmy, starszy pan, podszedł do niego. Wzburzenie Alferesa nie pozwoliło mu przejść prosto do rzeczy. Zapytał starego, czy nie wiedział o jakimś przyjęciu albo o czymś podobnym dzisiejszego wieczoru.

Odpowiedź niewiele go oświeciła: stary sądził, że tak, choć od klientów załatwianych z rana niczego się nie dowiedział. Poradził mu, żeby zwrócił się do Faetona, szofera taksówki z postojem na rogu. Był on w sektorze hotelowym stałym przewodnikiem dla poszukujących rozrywki.

Jose Alferes spostrzegł, że jego rozmówca coś ukrywa, wołał jednak nie nalegać. Wyciągnął z kieszeni zaproszenie i zapytał, czy mógłby dostać jeden z ubiorów w nim sugerowanych.

Człowiek potoczył wzrokiem po szafach, spojrzał raz jeszcze na papier, zwinął go między palcami, przetaił okulary i bez pośpiechu skierował się w głąb sklepu, aby ukazać się ponownie z jakimś czarnym strojem pod pachą i z kapeluszem z piórami w rękę:

— Nie jest to dokładnie taki ubiór, jakiego wymagają, ale ujdzie.

Było tyle pewności w głosie i sposobie bycia subiekta, że Alferes, chociaż widział, że kapelusz nie jest dwurożny, powstrzymał się od zaprzeczenia. Na dany znak poszedł z nim do małego pomieszczenia obwieszonego lustrami. Nieco zażenowany, wkładał niezręcznie części ubioru, prawie wszystkie z czarnego jedwabiu: kaffan, spodnie, długie pończochy, pantofle i dla ozdoby szyi białą krezę. W końcu przypiął szpadę.

Z otwartym portfelem stał przez chwilę licząc banknoty, żeby zapłacić za wypożyczenie i starał się przywołać coś zagubionego w pamięci.

— Nie jest pan zadowolony? — spytał stary, zakłopotany milczeniem klienta.

— Jestem. Próbowałem jedynie odtworzyć obraz pewnego króla tak samo ubranego na jakimś starym sztychu. Może to był król hiszpański, a może portret przedstawiał kogoś nieznanego.

Powróciwszy do hotelu włożył znowu piżamę. Poprosił o obiad do pokoju i wbrew zwyczajowi zamówił zagraniczne wino — przedsmak wieczornego spotkania. Z trudem powstrzymał się od zatelefonowania do Debory. Jeśli list nie był podpisany — rozumował — to znaczy pragnie pozostać incognito. Należy wziąć pod uwagę chwiejne usposobienie dziewczyny; jego pośpieszny gest mógłby ją skłonić do zaprzeczenia, że miała jakikolwiek udział w wysłaniu zaproszenia.

Opanował niecierpliwość, choć czas płynął powolnie. Wykorzystał go potem aby przygotować się z troskliwą

wykolizował go pościel, aby przygotować się z uoskniwą starannością, począwszy od kąpieli w ciepłej wodzie z pachnącymi esencjami, aż do ułożenia krezy i naciągnięcia pończoch eliminując wszelkie zmarszczki. Opięte spodnie wywoływały pewne uczucie skrępowania, a postać odbita w lustrze martwiła go swym ponurym kolorytem. Uśmiechnął się wkładając kapelusz: pióra łagodziły nieco surowość stroju. Między jedną i drugą myślą starał się przypomnieć sobie, gdzie widział kogoś ubranego identycznie. Jakiś hiszpański król czy może ktoś nieznanany?

W windzie unosił się zapach perfum niesprecyzowanie znajomy. Chciałby, aby należał do stenografki, i zapytał windziarza, czy zjechała na dół.

— Panna Debora wyjechała na urlop wczoraj po południu.

— Wyjechała? — zdumienie nieomal pozbawiło go naturalności, z jaką zadał pytanie. Poczuł, że runęły całodzienne plany, układane wyłącznie w nadziei na niezwykle wieczór. Pierwszy impuls kazał mu wrócić do apartamentu i uwolnić się od niewygodnego stroju. Poniesione wydatki, trudność w zastąpieniu ustalonego programu innym, a głównie strach przed ośmieszeniem, gdyby ktoś odkrył, że za—

prosiła go do wzięcia udziału w przyjęciu kobieta, która poprzedniego dnia wyjechała — spowodowały, że odpowiedział:

— Ach, wiedziałem o tym, ale zapomniałem.

Dał większy niż zazwyczaj napiwek, jakby to miało powetować doznane rozczarowanie.

Nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego spośród wielu taksówek na postoju wybrał właśnie taksówkę Faetona. Czyżby z powodu niezwyklego uniformu, który ten nosił — niebieska tunika ze złotym szamerowaniem i czerwone spodnie? Teraz już i to było nieważne, bo ulokował się na tylnym siedzeniu samochodu.

— Rozumiem, że naszym miejscem przeznaczenia jest dzielnica Stericon w reprezentacyjnej części miasta.

— Nie wiem dobrze — odpowiedział Alferes. — Wiem tylko, że mam się udać na przyjęcie, na którym wymagany jest strój, jaki noszę.

— Wobec tego to tam — odparł szofer uruchamiając wehikuł.

Jechali pół godziny mijając bogate rezydencje o architekturze wykwintnej lub w złym guście. Zatrzymali się przy słabo oświetlonym i ukrytym za wysokim murem pałacyku.

— Jesteś pewny, że to tutaj, Faetonie? — Brak innych samochodów przed domem i słabe oświetlenie usprawiedliwiały ten sceptycyzm.

— Absolutnie pewny. Proszę spojrzeć, portier idzie nam na spotkanie.

Rzeczywiście, w ich kierunku zmierzał jakiś człowiek w niebieskim garniturze i zielonym berecie. Skłonił się nisko, następnie poruszył klamką samochodu:

— Pan będzie łaskaw wysiąść. Alferes docenił uprzejmość:

— Czy ten strój odpowiada wymaganiom protokołu?

— Proszę mi wybaczyć, ale moje kompetencje nie idą tak daleko. Powierzono mi jedynie funkcję przyjęcia zaproszonego

gościa.

— Doskonale, w ten sposób sprawy się upraszczają. Jestem osobą, na którą pan czeka — i pokazał mu zaproszenie.

Portier poprosił, aby zaczekał, bo musi zakomunikować o jego przybyciu Komitetowi przyjęcia. Po kilku minutach powrócił w towarzystwie trzech dyskretnie ubranych panów. Lekko skinęli głowami w obojętnym powitaniu. Przyjrzeni się twarzy i strojowi Alfëresa, przy czym wyraźnie widać było ich niepewność czy właściwie rozpoznali w nim oczekiwaną osobę. W milczeniu cofnęli się o kilka kroków, utworzyli koło obejmując się ramionami. Rozmawiali.

Powrócili spokojniejsi i najstarszemu przypadła funkcja rzecznika całej trojki:

— Zgadzaemy się, że strój pana zgodny jest z ustalonymi normami, a autentyczność zaproszenia jest niepodważalna. Zresztą było jedynym wysłanym pocztą. Inni zaproszeni zostali zawiadomieni telefonicznie. Pomimo oczywistości sprawy instynkt mówi nam, że nasz honorowy gość jeszcze nie nadszedł. Nie możemy wszelako przeszkodzić pana wejściu, choć wiemy z góry, jakie kłopoty pociągnie za sobą pana obecność, bowiem wielu pomyli pana z prawdziwym zaproszonym. W miarę jak się to będzie działo, śpieszyć będziemy z wyjaśnianiem nieporozumienia.

Weszli razem wąskim i ciemnym korytarzem. Nagle, wraz z otwarciem się szerokich drzwi, stanęli przed jaskrawo iluminowanym salonem, pełnym rozmawiających i śmiejących się osób. Odw. tymczasem kelnerzy podawali napoje. Alfëresa

odpychano z boku na bok. Za każdym razem, gdy ktoś znalazł się przed nim, przeproszał go i witał z wylewnością. Członkowie Komisji interweniowali, prostując omyłkę. Szli tak przez inne salony, również pełne ludzi, i nieporozumienie powtarzało się, a także zaprzeczenia.

Wiadomość o obecności na przyjęciu fałszywego zaproszonego rozeszła się szybko, co pozwoliło Alfèresowi przejść przez ostatnie salony i wejść w głąb domu. Lekka bryza odświeżyła jego twarz zlaną potem. Pochodziła z parku, gdzie liczne osoby w spacerowych strojach zbierały się w rozrzuconych grupach między drzewami i ławkami ogrodów, które ciągnęły się przez całą posiadłość, oddzielone od siebie w regularnych odstępach szpalerami fikusów, przyciętych w wąskie przejścia.

Chociaż wiedzieli o nieprzyjemnej sytuacji Alfèresa, nikt nie traktował go z dystansem czy wrogo. Przeciwnie, starali się otoczyć go uprzejmością, nalegając, aby *przyłączył* się do którejsz z wesołych grup, złożonych z uprzedzająco

grzecznych pań i panów. Ale on zaraz wycofywał się i oddalał, gdyż nie mógł wziąć udziału w dialogach, kręcących się wokół jedyne go i męczącego tematu: hodowli i wyścigów konnych.

Nie pozostawał długo sam. Zbliżali się do niego inni współuczestnicy zebrania, gotowi uczynić wszystko, aby zainteresować go żrebackami, kasztankami, siodłami, folblu—tami. Słuchał ich znudzony, jako że nigdy nie był w hipodromie

czy na łazience i nigdy nie dostał nawet ośła. Próbował zmienić temat mówiąc o oczekiwanym człowieku, który miał nadać sens przyjęciu. Odpowiadali wymijająco: nie znali go, nie wiedzieli, jak wygląda, ani dlaczego ma być uczczony. Wiedzieli jednak, że bez niego uroczystość się nie zacznie.

Siedzący na kamiennej ławce Alferes czuł, jak wzrastała w nim irytacja z powodu pochlebstw, ceremonialnych prezentacji, uprzejmych gestów. Odrzucał stanowczo, czasem ostro, nowe próby włączenia go do jakiejś grupy.

Właśnie odepchnął atak kilku osób nie pogodzonych z jego odosobnieniem, kiedy ujrzał kierującą się ku niemu piękną kobietę. Wysoka, w sukni z ciemnego weluru, z bardzo jasną twarzą, z ciemnokasztanowatymi włosami, wydawała się zrodzona z nocy.

Nadchodziła z uśmiechem, trzymając w ręku szklanekę whisky. Jej oczy lśniły jakby zwilżone mgłą, która zaczynała opadać.

— Proszę, niech się pan napije. Nie wszystko jest złe na tym przyjęciu.

Przyjemny głos i olśniewające zęby podkreślały urodę, która wzmagala się w miarę zbliżania się kobiety.

— Imię pana wszyscy znają, ja nazywam się Asterope. Poddał się jej spontaniczności, obawiając się tylko jednego pytania, które właśnie padło:

— Pan chodzi do hipodromu?

Żałował, iż sprawia mu trudność kłamanie czy wykręcanie się z kłopotliwych sytuacji:

— Szczerze mówiąc, temat ten napawa mnie największym znużeniem.

Speszona, próbowała ukryć swoje rozczarowanie wypytyjąc, czy chciałby zwiedzić inne ogrody posiadłości. Nie czekając na odpowiedź, podała mu ramię:

— Są piękne.

Alferesowi brak było wykwintnych manier, więc musiał stale przeproszać za ostre słowa, wypowiedane bez intencji sprawiania przykrości.

— Przepraszam panią, nie chciałem jej urazić. Czy tutaj zbierają się wyłącznie wielbiciele koni?

— Zwyczajny zbieg okoliczności, nic nie zostało ustalone z góry.

Grunt był niebezpieczny. Zmienił szybko temat:

— Zna pani honorowego gościa?

— Słabo, tylko z opowiadania. Poznam go dzisiaj lepiej, gdyż będę z nim spać.

— Jak to? Nie wie pani nawet, kim jest!

— Wyznaczyła mnie Komisja.

— Uważam, że to idiotyzm. A jeśli się okaże, że jest chory, brzydki lub będzie kaleką?

— Warto ponieść ryzyko.

Poza nieprzyjemną wiadomością, że później ona będzie spać z innym, coś niepokojącego emanowało z Asterope. Z powodu niezwyklej urody czy blasku oczu?

Wędrowali przez ogrody. Niespokojny, pogrążony w watliwościach Alferes słuchał nieuważnie słów towarzyski.

Czasami patrząc wokoło stwierdzał, że park jest zbyt rozległy. Tumił podejrzliwość zastanawianiem się, czy kiedykolwiek w życiu widział młodą kobietę podobną do niej — na obrazie, w czasopiśmie czy w książce.

Nagle przystanął: nie kończące się ogrody, niemożność znalezienia wspólnego języka z innymi gośćmi, jakiś honorowy gość, którego nieobecność opóźniała odbycie się uroczystości. Piękność Asterope. Chwycił ją za ramiona zmuszając do spojrzenia mu w twarz.

Czyżby to blask jej oczu?

Strach go ogarnął.

Wycofał się w pośpiechu, przebywając tę samą trasę co godzinę przedtem, wpadając na ludzi, popychając ich. Wszyscy chcieli go zatrzymać, ale on unikał uprzejmym panom i miłym damom.

W końcu korytarza portier chciał go zatrzymać, więc odepchnął go uderzeniem łokcia.

Poczuł ulgę, gdy zostawił za sobą przytłaczającą atmosferę przyjęcia. Za pół godziny będzie w swoim aparta—

42

mencie, licząc dni do powrotu z urlopu Debory, kobiety zdrowej, o obfitych kształtach.

Nic prawie nie widział, bo była gęsta mgła. Stąpając ostrożnie skierował się do stojącego w pobliżu samochodu, na szczęście należącego do Faetona. Wsiadł pośpiesznie.

— Szybko do hotelu.

— PTZYKRO III, ale proszono mnie, abym oczekiwał honorowego gościa. Po nim zabiorę panów z Komisji, a panu przypadnie ostatni kurs, czy to rozumiałe?

— Hipokryto! Ty i ta banda symulantów wiecie, że zaproszony nie przyjdzie nigdy!

Szofer zignorował wybuch pasażera, odpowiadając uprzejmie:

— Proszę mieć cierpliwość, jesteśmy bliscy wydarzenia.

Alfères wysiadł z samochodu burcząc, gotów stawić czoło mgłę. Według jego obliczeń wystarczyłoby przejść kilometr, aby dotrzeć do dzielnicy bardziej zamieszkaanej, gdzie mógłby znaleźć jakiś środek lokomocji. Ledwo przeszedł sto metrów, zaczęły się trudności. Potknął się w koleinie i wpadł na mur. Szedł wzdłuż niego przez krótki czas i zaraz skaleczył ręce o ogrodzenie z drutu kolczastego. Oddalając się od niego doznał wrażenia, że zapuścił się w chaszczę. Odtąd zaczął błądzić. Szedł z prawa na lewo, potem prosto i cofał się, kalecząc ciało o zarośla.

Zgubił kapelusz z piór, strój podarł się w wielu miejscach, pantofle zdarły się od wędrówki po różnych wertepach.

Nogi krwawiły. Zmartwiony, poszukujący w ciemności światła domu lub ulicy, mogącego stać się jakimś punktem orientacyjnym, stracił równowagę i stoczył się ze wzniesienia. Wstając zobaczył w pobliżu słabo oświetlony budynek, który niedawno opuścił.

Portier powitał go z męczącą serdecznością tych, którzy tego wieczoru uczynili wszystko, aby go wciągnąć do świata

pozbawionego sensu. Nie zwracając uwagi na powitania i ukłony poszedł prosto do Faetona, którego starał się wzruszyć, pokazując mu stan swojego ubioru i krew zaschlą na skaleczeniach. Płaczliwy i służalczy, schlebiał szoferowi, podnosząc jego nie istniejące zalety i cechy: wiem, że jesteś dobry, to, o co cię proszę, jest drobiazgiem, wy—

43

starczy podwieźć mnie do przystanku autobusowego. Wrócisz szybko i na czas, aby dopełnić swoich zobowiązań.

Widząc, że jego słowa nie dawały rezultatu, przeszedł na przekupstwo. Ofiarował mu wysoką sumę pieniędzy. Faeton odmówił: zostanie na miejscu, oczekując wytycznych Komisji.

Godziny biegnęły, mgła opadała, Alfères ponawiał z przerwami zapewnienia, że wynagrodzi szofera hojnie za kurs. Za każdą odmową szedł ku drzwiom wejściowym i zaglądał do środka korytarza w złudnej nadziei, że pojawią się inni, również zmęczeni oczekiwaniem na początek uroczystości, i zawiozą go do centrum miasta.

Zgarbiony, znękany, gotów był już powrócić do parku, kiedy ktoś dotknął jego ramienia. Przestraszył się: była to Asterope. Udawała, że nie widzi lęku malującego się na jego twarzy, i pociągnęła go za sobą.

— Znam drogę.

Czyżby znała? W oczach Alfèresa pojawiła się obezwładniająca, wszechogarniająca wątpliwość, ale dał się prowadzić.

Przełożyła Janina Z. Klave

FELISBERTO HERNANDEZ

Balkon

Istnieje pewne miasto, które lubiłem kiedyś odwiedzać latem. W owym czasie prawie cała dzielnica wyjeżdżała do pobliskiego uzdrowiska. W jednym z opuszczonych domów, bardzo starym, urządzono hotel i ledwo zaczynało się lato, dom smutniał, tracąc swoich najlepszych lokatorów, zamieszkiwała w nim jedynie służba. Był tak milczący, że gdybym schował się za nim i wydał okrzyk, ten natychmiast zatonąłby w mchu.

W teatrze, gdzie dawałem koncerty, również bywało niewiele osób i wdzierala się doń cisza: oglądałem jej rosnące odbicie w wielkim, czarnym wieku fortepianu. Cisza lubiła słuchać muzyki; wysłuchiwała jej aż do ostatniego pogłosu, potem zaś rozmyślała o tym, co usłyszała. Jej opinie bywały spóźnione. Ale kiedy cisza nabrała już zaufania, wchłaniała muzykę: przechadzała się między dźwiękami, niczym kot z długim, czarnym ogonem, nadając im mnóstwo ukrytych znaczeń.

Po zakończeniu jednego z takich koncertów, podszedł przedstawić mi się jakiś nieśmiały staruszek. Pod błękitnymi jego oczami widać było otwartą i zaczerwienioną powierzchnię opadających powiek; dolna warga, wielka, podobna do poręczy łoża teatralnej, zakręcała wokół półotwartych ust. Stamtąd wydobywał się przygaszony głos i powolne słowa, które na dodatek oddzielała jedno od drugiego jękliva melodia oddechu.

Po jednej z dłuższych przerw staruszek powiedział —

10 jednej z młodszych dziewcząt powieciał. —
Szkoda, że moja córka nie może posłuchać pańskiej
muzyki.

Nie wiem czemu, wydało mi się, że córka musiała oślepnąć,
ale natychmiast uświadomiłem sobie, że niewidoma nie może
słyszeć, że raczej mogła ogłuchnąć albo wyjechać

45

z miasta; i nagle zatrzymałem się nad myślą, że może umarła.
Jednakże tego wieczoru byłem szczęśliwy; w owym mieście
wszystko było powolne i bezdźwięczne, szedłem ulicą w
towarzystwie staruszka, zanurzając się co chwila w półmrok
drzew o zielonkawym Gdcieniu.

Nagle nachyliłem się nad nim — jak nad czymś kruchym i
delikatnym — bo przyszło mi do głowy zapytać:

— Pańska córka nie może przyjść?

Powiedział „ach” tonem krótkim i pełnym zaskoczenia,
zatrzymał się, spojrzął mi w twarz i w końcu odezwał się w te
słowa:

— Otóż to, ona nie może wyjść. Zgadł pan. Bywa, że
nocami nie śpi, myśląc o tym, że musi wyjść następnego dnia.
Nazajutrz wstaje wcześnie, przygotowuje się do wyjścia i
ogarnia ją wielkie ożywienie. Potem jej przechodzi. W końcu
zasiada w fotelu i już nie może wyjść.

Publiczność z koncertu zniknęła na u. .ach otaczających
teatr, a my weszliśmy do kawiarni. Staruszek dał znak kelnerowi
i przyniesiono mu ciemny płyn w szklaneczce. Miałem mu
towarzyszyć nie więcej niż kilka minut; byłem zaproszony na

kolację gdzie indziej. Powiedziałem mu wówczas:

— Wielka szkoda, że ona nie może wyjść. Wszyscy potrzebujemy spacerów i rozrywek.

On, po przystawieniu szklaneczki do tej wielkiej wargi, która nawet się nie zamoczyła, wyjaśnił:

— Ona ma swoje rozrywki. Kupiłem stary dom, trochę za wielki jak na nas dwoje, ale w dobrym stanie. Przy domu jest ogród z fontanną. W jej pokoju, w rogu, znajdują się drzwi prowadzące na zimowy balkon; ten balkon wychodzi na ulicę; można nieomal powiedzieć, że ona żyje na balkonie. Czasem też spaceruje po ogrodzie, a niekiedy, wieczorami grywa na pianinie. Niech pan przyjdzie do nas któregoś dnia na kolację. Będę panu bardzo wdzięczny.

Zrozumiałem natychmiast i zaraz też ustaliliśmy dzień, w którym przyjdę do nich zjeść kolację i pograć na pianinie.

Zaszedł po mnie do hotelu pewnego popołudnia, kiedy słońce stało jeszcze wysoko. Z daleka pokazał mi narożnik, gdzie znajdował się zimowy balkon. Było to na pierwszym

46

piętrze. Wchodziło się przez wielką furtę z boku domu, przechodząc przedtem przez ogród z fontanną i rzeźbami, kryjącymi się wśród zieleni. Ogród był otoczony wysokim murem; na jego szczycie umieszczono kawałki szkła przyklejone zaprawą murarską. Wchodząc do domu trzeba było wspiąć się po stopniach wiodących do oszklonej galerii, z której widać było ogród. Zdziwił mnie widok wielkiej ilości otwartych parasolek, ustawionych przez całą długość korytarza; były różnych kolorów

i przypominały wielkie rośliny w oranżerii. Staruszek natychmiast wyjaśnił:

— Większość tych parasolek ja jej podarowałem. Ona lubi trzymać je otwarte, żeby oglądać ich barwy. Kiedy pogoda jest ładna, wybiera jedną z nich i przechadza się z nią po ogrodzie. W wietrzne dni nie można otwierać tych drzwi, żeby parasolki nie pofrunęły. Musimy wychodzić z drugiej strony.

Szliśmy aż do końca korytarza, przesmykiem między ścianą i parasolkami. Doszliśmy do jakichś drzwi, staruszek zabębnił palcami w szybę i ze środka odpowiedział przytłumiony głos. Staruszek wpuścił mnie przed sobą i zaraz też ujrzałem jego córkę, stojącą pośrodku zimowego balkonu, twarzą zwróconą w naszą stronę, plecami do kolorowych szybek. Dopiero kiedy doszliśmy do połowy salonu, wyszła ze swojej werandy i podeszła do nas. Już z daleka unosiła rękę i dziękowała mi za przybycie. Przy ścianie, na którą padało mniej światła, stało otwarte pianino, jego wielki żółtawy uśmiech wydawał się naiwny.

Dziewczyna przeprosiła, że nie wychodzi z domu, i wskazując pusty balkon rzekła:

— To jest mój jedyny przyjaciel.

W odpowiedzi wskazałem pianino i spytałem:

— A ten pocziwiec nie jest też pani przyjacielem?
Siedzieliśmy na krzesłach, ustawionych w nogach jej

łóżka. Zdążyłem zauważyć wiele obrazków przedstawiających kwiaty, umieszczonych na tej samej wysokości wokół czterech ścian pokoju, przez co tworzyły jak

wysokości wokół czterech ścian pokoju, przez co tworzyły jak gdyby fryz. Ona pozostawiła pośrodku twarzy opuszczony uśmiech, tak niewinny, jak uśmiech pianina; ale jej włosy, jasne i jakby spłowiałe i jej szczupła postać wydawały się również opuszczone od dłuższego czasu. Już zaczęła wyjaśniać, dlaczego pianino nie jest aż takim jej przyjacielem jak balkon, kie—

47

dy staruszek wyszedł na palcach. Ona mówiła w dalszym ciągu:

— Pianino było wielkim przyjacielem mojej matki. Zrobiłem ruch, żeby wstać i je obejrzeć, ale zatrzymała mnie, otwierając oczy i podnosząc rękę:

— Pan wybaczy, ale wołałabym, żeby wypróbował part pianino po kolacji, kiedy będą zapalone światła. Przyzwyczaiałam się od dziecka słuchać pianina tylko wieczorem. O tej porze grywała moja matka. Zapalała wszystkie cztery świece w lichtarzach i wygrywała tony tak powolne i tak oddzielone wśród ciszy, jakby zapalała również, jeden po drugim, dźwięki.

Wstała, przeprosiła mnie i wyszła na balkon; wszedłszy nań, oparła nagie ramiona o jego szyby, jakby je kładła na piersi drugiej osoby. Ale zaraz wróciła i rzekła:

— Kiedy widuję często jakiegoś przechodnia w czerwonej szybie, prawie zawsze okazuje się, że jest on gwałtownego usposobienia albo ma zły charakter.

Nie mogłem powstrzymać się od pytania:

— A ja, na jaką szybę trafiłem?

— Na zieloną. Prawie zawsze dotyczy to osób, które same

mieszkają na wsi.

— Tak się właśnie składa, że lubię samotność wśród zieleni — odparłem.

Otworzyły się drzwi prowadzące na galerię i pokazał się w nich staruszek, a w ślad za nim służąca tak niska, że nie wiedziałem, czy jest dzieckiem, czy też karlicą. Jej czerwona twarz wyłaniała się znad stolika, który niosła w drobnych ramionach. Staruszek zapytał:

— Czego się pan napije?

Chciałem powiedzieć „niczego”, ale pomyślałem, że mógłbym go urazić i poprosiłem o cokolwiek. Jemu przyniesiono szklaneczkę z ciemnym płynem, jaki pił po wyjściu z koncertu. Kiedy nastał na dobre wieczór, udaliśmy się do jadalni, przechodząc przez galerię z parasolkami; dziewczyna przestawiła kilka z nich i podczas gdy je wychwalałem, jej twarz wypełniała się szczęściem.

Jadalnia znajdowała się poniżej poziomu ulicy i przez okratowane okienko widać było stopy i nogi przechodzących chodnikiem. Światło z zielonego abażuru padało prosto na biały obrus; zebrały się tu, niczym na festyn wspomnień,

stare przedmioty rodzinne. Usiedliśmy i wszyscy troje milczeliśmy przez chwilę; wówczas wszystkie przedmioty na stole wydawały się drogocennymi formami, ulepionymi z ciszy. Zaczęły wkraczać na obrus nasze ręce; wydawały się naturalnymi mieszkańcami stołu. Pomyślałem o życiu rąk. Wiele lat temu jakieś ręce zmusiły te przedmioty ze stołu do przybrania formy. Po długich wędrówkach przedmioty te odnalazły swoje

miejsce w jakimś kredensie. Owe istoty z zastawy musiały służyć wielu rodzajom rąk. Któraś z nich nakładała jedzenie na gładkie i lśniące oblicza talerzy, inne zmuszały dzbanki do napełniania i opróżniania swojego łona, sztucce do zanurzania się w mięsie, do rozdzierania go i niesienia kawałków do ust. W końcu też były te istoty myte, wycierane i odprowadzane do swoich małych mieszkańek. Niektóre z nich mogły przeżyć wiele par rąk; jedne z tych rąk mogły być dla nich dobre, kochać je i napełniać wspomnieniami, ale one musiały przez cały czas służyć w milczeniu.

Chwilę przedtem, kiedy znajdowaliśmy się w pokoju córki gospodarza, która nie zapalała światła — chciała wykorzystać do ostatniego momentu odbłask idący z jej balkonu — rozmawialiśmy o przedmiotach. W miarę jak znikало światło, kuliły się one w cieniu, jak gdyby były upie—rzone i przygotowywały się do snu. Wówczas dziewczyna powiedziała, że przedmioty zyskują duszę, w miarę jak wchodzi w kontakt z ludźmi. Niektóre z nich były przedtem czym innym i miały inną duszę (te, co teraz mają nogi, miały przedtem gałęzie, klawisze były kłami), ale jej balkon nabrał duszy po raz pierwszy, odkąd ona na nim zamieszkała.

Nagle na brzegu obrusa pojawiła się czerwona twarz karlicy. Chociaż zdecydowanie wsuwała ramiona na stół, żeby jej drobne ręce mogły zebrać naczynia, staruszek i jego córka przesuwali jej talerze na brzeg obrusa. W rękach karlicy przedmioty ze stołu traciły swoje dostojęństwo. Przy tym staruszek miał nienrziemny zwyczaj szybkiego chwytania

butelki za szyjkę i przechylania jej, aż poleje się wino.

Z początku rozmowa szła ciężko. Później objawił biciem swoją obecność wielki, stojący zegar. Tykał przedtem przy ścianie, za plecami staruszka, ale nie wiedziałem dotąd o je—

go istnieniu. Wówczas zaczęliśmy rozmawiać. Dziewczyna zwróciła się do mnie:

— Nie odczuwa pan sympatii do starych ubrań?

— Jakżeby nie! I nawiązując do tego, co pani mówiła o przedmiotach, ubrania należą do tej grupy, która jest w najściślejszym związku z nami — tu ja się zaśmiałem, ona pozostała poważna — i nie uważałbym za niemożliwe, żeby zachowały z nas coś więcej niż wymuszoną formę ciała i pewną emanację naszej skóry.

Ale ona nie słuchała i już z góry zamierzała mi przerwać, jak ktoś, kto przygotowuje się do skoku, kręcąc ska—kanką. Niewątpliwie zadała mi pytanie, myśląc o tym, co odpowiedziałaby sama. I w końcu też rzekła:

— Układam wiersze, kiedy się już położę — jeszcze wcześniej wspominała o tych wierszach. — Mam białą koszulę, która towarzyszy mi od pierwszych wierszy. Czasami, w letnie wieczory, wychodzę w niej na balkon. W zeszłym roku poświęciłam jej wiersz.

Przestała jeść i nie zwracała uwagi na karlicę, która wsuwała ręce na stół. Otworzyła szeroko oczy, jak w objawieniu, i zaczęła recytować:

„Do mojej białej koszuli”.

Naprawdę się cęły, przyglądając się jednocześnie balkon

naprężyłem się cały, przyglądając się jednocześnie rękom karlicy. Jej drobne, silne palce posuwały się ku przedmiotom podkurczone i dopiero w ostatniej chwili rozwierały się, żeby je pochwycić.

Z początku starałem się na różne sposoby okazać zainteresowanie, ale później ograniczyłem się do potwierdzającego kiwania głową, które zbiegało się z dotarciem wahadła do jednej ze ścian szafki zegara. Ogarniało mnie znudzenie, ale także przerażała mnie myśl, że ona wkrótce skończy, a ja nie przygotowałem sobie niczego, co mógłbym jej powiedzieć; do tego wszystkiego staruszkowi zostało trochę szpinaku na brzegu dolnej wargi, obok kącika ust.

Poezja była pretensjonalna, ale wydawała się dobrze zrytmizowana; ze słowem koszula nie rymowało się żadne ze słów, jakich oczekiwałem; mógłbym jej powiedzieć, że wiersz ma sporo świeżości. Patrzyłem na staruszka i przesunąłem językiem po dolnej wardze, ale on słuchał córki. Teraz już zaczynałem cierpieć, ponieważ poemat zdawał się nie mieć końca. Nagle ona powiedziała „Balkon mnie tuli”,

żeby zrymować to ze słowami „w koszuli” i w tym miejscu skończył się poemat.

Po pierwszych słowach zrobiłem wymowną pauzę, starając się sprawić wrażenie, że szukam jakiegoś słowa, które mam już na końcu języka.

— Zwrócił moją uwagę — zacząłem — pewien młodzieńczy klimat, jaki istnieje w pani wierszu. Jest on pełen świeżości i...

Kiedy ja zacząłem mówić „jest pełen świeżości”, ona także

zaczęła mówić:

— Napisałam inny...

Poczułem się nieszczęśliwy; myślałem o sobie ze zdradzieckim egoizmem. Zjawiała się karlica z nowym półmiskiem i bez skrzępowania nałożyłem sobie niezłą porcję. Nie pozostał już żaden czar: ani przedmiotów na stole, ani poezji, ani domu, w którym przebywałem, z korytarzem, z parasolkami i bluszczem obrastającym całą zewnętrzną ścianę. Co gorsza czułem się odseparowany od nich i jadłem jak gbur; za każdym razem, kiedy starszek manewrował szyjką butelki, mój kieliszek był pusty.

Kiedy ona skończyła drugi poemat, powiedziałem:

— Żeby to nie było tak wyśmienite — wskazałem talerz — poprosiłbym panią o zadeklamowanie czegoś jeszcze.

W tym momencie wtrącił się starszek.

— Najpierw ona musi zjeść. Potem będzie czas. Zacząłem się stawać cyniczny i nie przeszkadzało mi

w owej chwili, że może mi wyrosnąć ogromny brzuch. Ale nagle poczułem pewien przymus, żeby przycisnąć do siebie biednego starszka i zdobyć się wobec niego na chwilę szlachetności. Wówczas, wskazując wino, powiedziałem mu, że niedawno słyszałem kawał o pijaku. Powtórzyłem mu go, a kiedy skończyłem, obydwaj zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu; potem opowiadałem dalsze dowcipy. Jej śmiech był smutny; ale prosiła mnie, żebym opowiadał dalej. Usta rozciągnęły się jej na boki, jakby rozcięte, „kurze łapki” przyłgnęły jej do oczu, pełnych łez, podczas gdy zaciskała między kolanami złączone

dłonie. Staruszek kaszłał i musiał odstawić butelkę, zanim jeszcze napełnił kieliszek. Karlica śmiała się całym ciałem, jakby była pokłony.

W cudowny sposób wszyscy zostaliśmy zjednoczeni i nie odczuwałem już najmniejszych wyrzutów sumienia.

Tego wieczoru nie grałem na pianinie. Oni prosili, żebym został i zaprowadzili mnie do sypialni, która znajdowała się po stronie obrośniętej bluszczem. Kiedy wchodziliśmy na górę zauważyłem, że ze stojącego zegara wybiega sznurek, który ciągnie się wzdłuż schodów, nie omijając żadnego ich zakrętu. Dochodząc do sypialni, sznurek wnikał do środka i tam się kończył, przywiązany do jednej z kolumniek baldachimu u mojego łóżka. Meble były żółte, stare, w świetle lampy lśniły ich wybrzuszenia. Położyłem ręce na brzuchu i spojrzałem na brzuch staruszka. Ostatnie słowa, jakie skierował do mnie tego wieczoru, były

zaleceniem:

— Jeśli się pan obudzi i będzie się chciał dowiedzieć, która godzina, proszę pociągnąć za ten sznurek. Tutaj usłyszysz pan zegar z jadalni; najpierw odmierzy godziny, a po—lem. po przerwie, minuty.

Nagle wybuchnął śmiechem i oddalił się, życząc mi dobrej nocy. Na pewno przypomniał sobie dowcip o pijaku, który rozmawiał z zegarem.

Jeszcze ciężkie kroki staruszka skrzypiały na drewnianych schodach, kiedy ja już poczułem się sam z własnym ciałem. Ono — moje ciało — wchłonęło w siebie całe to mństwo jedzenia i

— moje ciało — wzmógł się w siebie całe to miłostwo jedzenia i alkoholu niczym zwierzę, które polyka inne, i musiało teraz walczyć z nimi przez całą noc. Obnażyłem je całkiem i zacząłem się przechadzać, spacerując nago po pokoju. Zaraz po położeniu się usiłowałem sobie przypomnieć, co robiłem z moim życiem w tych dniach; pamięć dostarczyła mi kilka wydarzeń z ostatnich dni i pomyślałem wówczas o pewnych osobach, które były daleko stąd. Później zacząłem się ślizgać, ze smutkiem i z pewnym bezwstydem, po czymś, co było jakby wnętrznościami ciszy.

Następnego ranka, uśmiechnięty i prawie szczęśliwy, dokonałem przeglądu spraw mojego życia. Było bardzo wcześnie, ubrałem się powoli i wyszedłem na galerię, wznoszącą się kilka metrów nad ogrodem. Z tej strony były również wysokie zarośla i gęste drzewa. Usłyszałem rozmawiających starszka i jego córkę i odkryłem, że siedzą na ławce, znajdującej się pod moimi stopami. Usłyszałem najpierw to, co mówiła ona:

— Teraz Urszula cierpi bardziej; nie tylko dlatego, że już mniej kocha męża, ale że bardziej kocha drugiego.

Starszerek zapytał:

— A nie może się rozwieść?

— Nie, bo ona kocha dzieci, a dzieci kochają ojca i nie chcą tego drugiego.

Wówczas starszerek powiedział bardzo nieśmiało:

— Ona mogłaby powiedzieć dzieciom, że mąż ma kochanki.

Córka wstała rozgniewana:

— Ty zawsze swoje! Kiedy wreszcie zrozumiesz Urszulę? Ona nie jest zdolna do takich rzeczy!

Byłem bardzo zaintrygowany. Nie mogła to być karlica. — Ta nazywała się Tamarynda. — Staruszek i córka — jak on sam był mi to powiedział — mieszkali samotnie. A te wiadomości? Otrzymali je w nocy? Kiedy minęło jej rozdrażnienie, udała się do jadalni i po chwili wyszła do ogrodu z parasolką łososiowego koloru, z falbankami z białego szyfonu. W południe nie zjawiała się przy stole. Staruszek i ja jedliśmy mało i wypiliśmy niewiele wina. Później wyszedłem, żeby kupić książkę odpowiednią do czytania w opuszczonym domu, wśród zieleni, w milczącą noc, po obfitym jedzeniu i piciu.

Kiedy wracałem, na krótko przede mną minął balkon jakiś biedny Murzyn, stary i utykający, w zielonym kapeluszu z rondem tak szerokim, jak te, które noszą Meksykanie.

Widać było białą plamę ciała, zarysowującą się poprzez zielone szkło balkonu.

Tego wieczoru, za ledwie usiedliśmy do stołu, zacząłem opowiadać anegdoty, a ona nie recytowała swoich wierszy. Wybuchom śmiechu towarzyszyło pochłanianie ogromnych ilości jedzenia i picia.

W pewnej chwili zamilkliśmy. Potem córka powiedziała:

— Dziś wieczorem chcę słuchać muzyki. Pójdę przedtem do siebie i zapalę świece przy pianinie. Już dawno nie były zapalane. Poczciwy instrument, biedny przyjaciel mojej matki, pomyśli, że to ona będzie na nim grała.

Ani staruszek, ani ja nie wypowiedzieliśmy już słowa. Po

chwili przyszła Tamarynda oznajmić, że panienka nas oczekuje.

Kiedy wzięłem pierwszy akord, cisza wydawała się ociążałym zwierzęciem, które podniosło łapę. Po pierwszym

54

akordzie wydobyły się dźwięki, które zaczęły migotać tak samo, jak światło świec. Wzięłem drugi akord, jakbym robił następny krok. A po kilku sekundach, zanim jeszcze dobyteł akord następny, pękła struna. Ona krzyknęła. Staruszek i ja zerwaliśmy się; on podbiegł do córki, która zakrywała sobie oczy i zaczął ją uspokajać, mówiąc, że struny były stare i przeżarte rdzą. Ale ona nie odejmowała rąk od twarzy i przecząco kręciła głową. Nie wiedziałem, co robić; nigdy jeszcze nie pękła mi struna. Przeprosiłem i poszedłem do swojego pokoju; przechodząc korytarzem bałem się, że rozdepczę jakąś parasolkę.

Następnego ranka przyszedłem późno na spotkanie staruszka i córki na ławce w ogrodzie; ale zdołałem usłyszeć, że córka mówiła:

— Kochanek Urszuli miał wielki, zielony kapelusz z szerokim rondem...

Nie wyobrażałem sobie, żeby to mógł być ten stary i kulawy Murzyn, którego widziałem, jak przechodził poprzedniego popołudnia; ale nie wyobrażałem też sobie, żeby ktoś mógł im przynieść w nocy tę wiadomość.

W południe usiedliśmy do obiadu we dwójkę. Korzystając z okazji, że jesteśmy sami, zwróciłem się do staruszka:

— Bardzo ładny jest widok z galerii. Dzisiaj nie

zatrzymywałem się tam dłużej, bo państwo rozmawialiście o jakiejś Urszuli, a nie chciałem być niedyskretny.

Staruszek przerwał jedzenie i spytał cicho:

— Słyszał pan?

Dojrzałem sposobność sprowokowania go do zwierzeń i odparłem:

— Tak, słyszałem wszystko. Ale nie mogę sobie wyjaśnić, jak Urszuli może się podobać ten stary i kulawy Murzyn, który wczoraj nosił zielony kapelusz z szerokim rondem.

— Ach! — rzekł staruszek — nic pan nie rozumie. Kiedy moja córka była jeszcze dzieckiem, zmuszała mnie do wysłuchiwania opowieści i do wtrącania się w życie postaci, które sama wymyślała. Zawsze śledziłyśmy ich losy, jak sdyby istnieli naprawdę i dostawaliśmy wiadomości o ich —'—yciu. Ona przypisuje im zdarzenia i stroje, jakie ogląda z balkonu. Jeśli wczoraj widziała przechodzącego mężczyznę

55

w zielonym kapeluszu, nie należy się dziwić, że dziś włożyła taki kapelusz na głowę jednej ze swoich postaci. Ja mam za mało fantazji, żeby śledzić te wymysły i ona złości się na mnie. Dlaczego pan nie miałby jej pomóc? Jeśli pan chce, to ja...

Nie pozwoliłem mu skończyć.

— Absolutnie wykluczone, proszę pana. Ja wymyślałbym rzeczy, które sprawiałyby jej wiele bólu.

Tego wieczoru córka nie zjawiała się także i przy kolacji. Staruszek i ja jedliśmy, piliśmy i rozmawialiśmy do późna w

nocy.

Kiedy położyłem się do łóżka, usłyszałem skrzypienie drewna, które nie przypominało jednak trzasku rozsycających się mebli. Zdałem sobie sprawę, że ktoś wchodzi po schodach. I po krótkiej chwili zapukano delikatnie do moich drzwi. Zapytałem, kto tam, i odpowiedział mi głos córki gospodarza:

— To ja. Chciałam z panem porozmawiać.

Zapaliłem lampę, uchyliłem lekko drzwi, a ona rzekła:

— To zbyteczne, żeby pan trzymał drzwi półprzymknięte; przez szparę widzę lustro, a lustro odbija pana nagusieńkiego za tymi drzwiami.

Zamknąłem natychmiast i powiedziałem, żeby zaczekała. Kiedy poprosiłem ją, by weszła, otworzyła drzwi prowadzące na schody i skierowała się do innych, które również znajdowały się w moim pokoju, a których nigdy nie mogłem otworzyć. Ona otworzyła je bez najmniejszego trudu i weszła po omacku w mrok drugiego nie znanego mi pomieszczenia. Po chwili wysła stamtąd z krzesłem i ustawiła je przy moim łóżku. Rozchyliła niebieski szlafrok, jaki miała na sobie i wyciągnęła zeszyt z wierszami. Podczas gdy czytała, dokonywałem nadludzkich wysiłków, żeby nie zasnąć; chciałem podnieść powieki i nie mogłem; zamiast tego wywracałem oczami i musiałem wyglądać jak konający. Nagle ona krzyknęła, jak wówczas, kiedy pękła struna w pianinie, a ja podskoczyłem na łóżku. Na środku podłogi znajdował się olbrzymi pająk. W chwili, w której go ujrzałem, stał w miejscu: podkurczył trzy z sześciu włochatych

łap, jak gdyby gotował się do skoku. Rzuciłem w niego butami, ale nie trafiłem. Podniosłem się, ale ona powiedziała, żebym się nie zbliżał, bo ten pajak skacze. Wziąłem

lampę, okrążyłem pokój przy samej ścianie, aż dotarłem do umywalki i stamtąd cisnąłem w niego mycjem, mydelniczką—szczoteczką; trafiłem tylko za drugim razem, kiedy rzuciłem mydelniczką. Pajak skulił nogi i zamienił się w małą kłębek ciemnej wełny. Córka staruszka poprosiła, żebym nie opowiadał o tym ojcu, bo ten nie pozwalał jej pracować ani czytać do tak późna. Potem, kiedy już poszła, rozgniotłem pajaka obcasem i położyłem się, nie gasząc światła. Kiedy już zasypiałem, podkuiliem niechcący palce u stóp, przez co doznałem złudzenia, że to znowu pajak i znów podskoczyłem.

Następnego ranka przyszedł staruszek przeprosić mnie za pajaka. Córka opowiedziała mu wszystko. Odparłem staruszkowi, że to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia, i żeby zmienić temat opowiedziałem mu i) koncercie, jaki zamierzałem dać w tych dniach w sąsiedniej miejscowości. Ponieważ on sądził, że to pretekst do opuszczenia jego domu, musiałem mu obiecać, że wrócę po koncercie.

Kiedy wyjeżdżałem, nie udało mi się przeszkodzić, żeby córka nie pocałowała mnie w rękę: nie wiedziałem, jak się zachować. Staruszek i ja uścisnęliśmy się i nagle poczułem, że z kolei on całuje mnie za uchem.

Nie zdołałem dać koncertu. Po kilku dniach dostałem telefon od staruszka. Po pierwszych słowach rzekł mi:

— Konieczna jest nańska obecność tutaj.

— Stało się coś poważnego?

— Można powiedzieć, że prawdziwe nieszczęście.

— Pańskiej córce?

— Nie.

— Tamaryndzie?

— Też nie. Nie mogę teraz panu powiedzieć. Jeśli pan może odłożyć koncert, proszę przyjechać pociągiem o czwartej i spotkamy się w kawiarni Teatralnej.

— Ale pańska córka ma się dobrze?

Leży w łóżku. Nic jej nie jest, ale liie chce wstawać ani oglądać światła dziennego; żyje tylko przy sztucznym; i kazała też zamknąć wszystkie parasolki.

— W porządku. Do zobaczenia.

W kawiarni Teatralnej panował niesamowity zgiełk i poszliśmy gdzie indziej. Staruszek był przygnębiony, ale szyb—0 nabrał nadziei, którą w nim ożywiała moja obecność.

Kiedy przyniesiono mu ciemny napój w szklaneczce, powiedział :

— Przedwczoraj była burza i wieczorkiem siedzieliśmy w jadalni. Usłyszeliśmy wielki rumor i zaraz też zdaliśmy sobie sprawę, że to nie odgłosy burzy. Córka pobiegła do swojego pokoju, a ja w ślad za nią. Kiedy dobiegłem, ona już zdążyła otworzyć drzwi wychodzące na balkon i natknęła się tylko na niebo i światło błyskawic. Zakryła oczy i zemdlła.

— Tak jej zaszkodziło to światło?

— Ależ, przyjacielu! Pan nie zrozumiał?

Czemu?

— Czego?

— Straciliśmy balkon! Balkon się oberwał! To światło nie było światłem z balkonu!

— Ale przecież balkon...

Słuszniej było zamilknąć. Staruszek polecił mi, żebym nie mówił córce ani słowa o balkonie. A ja, cóż miałem robić? Biedaczyna pokładał we mnie nadzieję. Pomyślałem o ucztach, do jakich zasiadaliśmy razem. Wówczas postanowiłem czekać cierpliwie, aż mi coś wpadnie do głowy, kiedy znajdę się w jej obecności.

Korytarz bez parasolek sprawiał przygnębiające wrażenie.

Tego wieczora jedliśmy i piliśmy niewiele. Potem poszedł— ;
łem ze staruszką do pokoju jego córki i on zaraz wyszedł. Ona nie odzywała się dotąd ani słowem, ale zaledwie wyszedł ojciec, spojrzała na drzwi, prowadzące w próżnię i rzekła:

— Widzi pan... odszedł sobie.

— Ależ proszę pani! Balkon, który się obrywa...

— On się nie oberwał. On się rzucił. ■— Dobrze, ale...

— Nie tylko ja jego kochałam, jestem przekonana, że także on mnie kochał: udowodnił mi to.

Opuściłem głowę. Czulem się obarczony odpowiedzialnością, na jaką nie byłem przygotowany. Ona zaczynała odsłaniać mi swoją duszę, a ja nie wiedziałem, jak ją przyjąć ani co z nią zrobić.

Teraz biedna dziewczyna mówiła:

— To ja jestem wszystkiemu winna. On się poczuł zazdrosny tej nocy, kiedy przyszedł do pana do pokoju.

— Kto taki?

— A któż by?! Balkon, mój balkon.

— Ale, proszę pani, za dużo pani o tym myśli. On był już stary. Niektóre rzeczy obrywają się pod własnym ciężarem.

Nie słuchała mnie, mówiła dalej:

— Tej samej nocy zrozumiałam: ostrzeżenie i groźbę.

— Ale, proszę posłuchać, jak to możliwe, żeby...

— Nie pamięta pan, kto mnie ostrzegł?... Kto tak długo wpatrywał się we mnie, podnosząc te trzy włochate łapy?

— Ach, racja. Pająk!

— No właśnie.

Podniosła powieki. Następnie odrzuciła na bok kołdrę i wstała z łóżka w koszuli. Szła w kierunku drzwi wychodzących na balkon i pomyślałem, że zechce wyskoczyć. Zrobiłem ruch, żeby ją chwycić, ale ona była tylko w koszuli. Podczas gdy trwałem w niezdecydowaniu, ona skierowała się do stolika, stojącego przy drzwiach, wychodzących w próżnię. Zanim dotarła do stolika, dostrzegłem na nim czarną, ceratową oprawę zeszytu z wierszami.

A ona usiadła na krześle, otworzyła zeszyt i zaczęła recytować:

„Wdowa po balkonie...5’:

1945

MARIO BENEDETTI

Miss Amnezja

Dziewczyna otworzyła oczy i poczuła się przytłoczona

własnym niepokojem. Nie pamiętała niczego. Ani swego imienia, ani wieku, ani adresu. Zobaczyła, że ma na sobie kasztanową spódnicę i kremową bluzkę. Nie miała torebki. Jej zegarek wskazywał kwadrans po czwartej. Poczula, że język ma jak z ciasta i że pulsują jej skronie. Spojrzała na ręce i ujrzała pokryte przezroczystym lakierem paznokcie. Siedziała na ławce na zadrzewionym placu, pośrodku którego stała stara fontanna z aniołkami i z czymś w rodzaju trzech jednakowych talerzy. Wydała jej się okropna. Ze swej ławki widziała domy towarowe, wielkie napisy. Przeczytała: *Nogaró, Cine Club, Porley Muebles, Marcha, Parti—do Nacional*. Obok lewej stopy spostrzegła kawałek lusterka, w kształcie trójkąta. Podniosła je. Była świadoma swej chorobliwej ciekawości, kiedy zetknęła się z twarzą, która była jej własną; tak, jakby ją widziała po raz pierwszy. Nie nasuwała jej żadnych wspomnień. Spróbowała określić, swój wiek. „Powinam mieć jakieś szesnaście, siedemnaście! lat”, pomyślała. Dziwnym trafem pamiętała nazwy rzeczy; (wiedziała, że to jest ławka, tamto kolumna, to znów fon—i tanna, a tamto zaś napis), ale nie potrafiła umiejscowić się w czasie i w przestrzeni. Znów zaczęła myśleć, tym razem na głos: „Tak, powinienam mieć szesnaście albo siedemnaście”, po to tylko, by utwierdzić się, że jest to zdanie poi hiszpańsku. ;

Zastanowiła się, czy nie włada jakimś innym językiem. Nic. Nie pamiętała niczego. Niemniej jednak doznawała uczucia ulgi, spokoju, prawie że niewinności. Była niewąt—i pliwie przestraszona, ale ten lek nie sprawiał jej przykrości. Miała

przesuaszoła, ale ten ręk nie sprawiał jej przykrości. Miała niejasne wrażenie, że właśnie to jest czymś lepszym, niż cokolwiek innego, jak gdyby poza nią pozostało coś

obrzydliwego, coś straszliwego. Nad jej głową zieleń drzew miała dwa odcienie, niebo było prawie niewidoczne. Gołębie zbliżyły się do niej, ale natychmiast wycofały się zawiedzione. Bo też i nie miała im nic do zaoferowania. Tłum ludzi przechodził obok ławki, nie zwracając na nią uwagi. Tylko jakiś chłopak przyglądał się jej. Była gotowa do nawiązania dialogu, nawet pragnęła tego, ale ci ruchliwi ad—miratorzy przewyciężali w końcu wahanie i ruszali dalej swoją drogą. Nagle ktoś odłączył się od głównego nurtu. Był to mężczyzna koło pięćdziesiątki, dobrze ubrany, uczesany nienagannie, ze szpilką w krawacie i z czarną teczką. Przeczuliła, że ma zamiar zwrócić się do niej. „Czyżby mnie rozpoznał?” — pomyślała. I przeraziła się, że ten osobnik wprowadzi ją znowu w jej przeszłość. Czuliła się tak bardzo szczęśliwa w swym wygodnym zapomnieniu. Lecz człowiek ów podszedł po prostu i zapytał: „Czy coś się pani stało?” Przyjrzała mu się dokładnie. Twarz mężczyzny budziła zaufanie. Prawdę mówiąc wszystko budziło jej zaufanie. „Przed chwilą otworzyłam oczy na tym placu i nie pamiętam niczego, niczego, co było przedtem.” Miała wrażenie, że więcej słów byłoby zbyteczne. Zdała sobie sprawę z własnego uśmiechu, kiedy spostrzegła, że mężczyzna uśmiecha się także. Wyciągnął do niej rękę. Powiedział: „Nazywam się Roldan, Felix Roldan”. „Nie wiem, jak się nazywam” — odparła, ale uściśniła rękę. „Nieważne. Nie może pani tu zostać. Chodźmy razem. Chce

pani?” Jasne, że chciała. Kiedy się podniosła, spojrzała na gołębie, które znów ją otoczyły, i pomyślała: „Co za szczęście, jestem wysoka”. Mężczyzna nazwiskiem Roldan ujął ją delikatnie pod łokieć i poprowadził. „To blisko” — rzekł. Co miało być blisko? Nieważne. Dziewczyna czuła się jak turystka. Nic jej nie dziwiło, aczkolwiek nie rozpoznawała żadnego szczegółu. Samorzutnie splótła swe słabe ramię z jego silnym ramieniem. Garnitur był przyjemny w dotyku, z chesankowej, zapewne drogiej, wełny. Spojrzała w górę (mężczyzna był wysoki) i uśmiechnęła się. On uśmiechnął się również, choć tym razem rozchylił nieco wargi. Dziewczyna dostrzegła złoty z[^]b. Nie pytała o nazwę miasta. On sam ją pouczył: „Montevideo”. Słowo spadło w głęboką próżnię. Nic. Zupełnie nic. Szli teraz wąską ulicą, chodnikiem z zerwanymi na skutek Prac budowlanych płytami. Autobusy przejeżdżały przy sa—

T

mym krawężniku, wzbijając od czasu do czasu bryzgi błotnistej wody. Przesunęła ręką po nogach, by zetrzeć kilka ciemnych kropeł. Spozrzegła wówczas, że jest bez pończoch. Przypomniała sobie słowo „pończochy”. Spojrzała w górę i napotkała kilka starych balkonów z suszącą się bielizną i mężczyzną w piżamie. Zdecydowała, że miasto się jej podoba.

„Jesteśmy na miejscu” — powiedział mężczyzna nazwiskiem Roldan, zatrzymując się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Weszła pierwsza. W windzie mężczyzna nacisnął piątkę. Nie powiedział ani słowa, ale spojrzał na nią niespokojnie. Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym zaufania. Kiedy

wyciągnął klucz, żeby otworzyć drzwi mieszkania, dziewczyna zauważyła, że na prawej ręce nosi obrączkę i jeszcze inny pierścień z czerwonym kamieniem. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywają czerwone kamienie. W mieszkaniu nie było nikogo. Po otwarciu drzwi doleciał ze środka zaduch zamkniętej celi. Mężczyzna nazwiskiem Roldan otworzył okno i zaprosił ją, by usiadła na fotelu. Następnie przyniósł szklanki, lód i whisky. Pamiętała słowa „szklanka” i „lód”. Nie pamiętała słowa „whisky”. Pierwszy łyk alkoholu wywołał kaszel, ale poszło dobrze. Wzrok dziewczyny przebiegał po meblach, ścianach i obrazach. Stwierdziła, że umeblowanie nie jest gustownie dobrane, ale była w jak najlepszym stanie ducha i nie odczuła niesmaku. Spojrzała raz jeszcze na mężczyznę i poczuła się pewnie i wygodnie. „Obym nigdy nie pamiętała niczego, z tego co było przedtem” — pomyślała. W tym momencie mężczyzna wybuchnął śmiechem, który nią wzdrygnął. „A teraz powiedz mi, skromnisiu. Teraz, kiedy siedzimy tu sobie spokojnie i sami, powiedz mi, kim jesteś.” Znowu zakaszłała i rozwarła szeroko oczy. „Powiedziałam panu — nie pamiętam”. Wydało jej się, że mężczyzna zmienia się raptownie stając się coraz mniej elegancki i coraz bardziej grubiański, jakby spod krawatu ze szpilką i spod garnituru z chesankowej wełny zaczynała wydobywać się zgęszczona wulgarność, niespodziewana obmierzłość. „Miss Am—nezja, co?” Co to miało znaczyć? Nic nie rozumiała, ale czuła, że znowu zaczyna się bać, że boi się tej przepaścistej teraźniejszości tak samo jak hermetycznej przeszłości. He

Miss Amnezja” — mężczyzna znowu wybuchnął śmiechem —

chem. — „Wiesz, że jesteś nawet dosyć oryginalna. Przysięgam ci, że po raz pierwszy spotyka mnie coś podobnego. To jakaś nowa fala, czy co?” Dłoń mężczyzny nazwiskiem Roldan zbliżyła się. Dłoń ta należała do tego samego silnego ramienia, które ona ujęła tak spontanicznie, tam, na placu. Ale w rzeczywistości była to inna ręka. Owłosiona, pożądliva, prawie kwadratowa. Unieruchomiona łękiem spostrzegła, że nie może nic uczynić. Ręka dotarła do dekoltu, usiłując przedostać się do wewnątrz. Były tam jednak cztery guziki, które utrudniały działanie. Wówczas ręka szarpnęła w dół i trzy z czterech guzików odskoczyły. Jeden potoczył się daleko i roztrzaskał się o ścianę. Póki trwał niewielki hałas, oboje znieruchomieli. Dziewczyna wykorzystała tę krótką nieprzewidzianą przerwę, by zerwać się jednym susem, wciąż ze szklanką w ręce. Mężczyzna nazwiskiem Roldan rzucił się za nią. Czując, że popycha ją w kierunku szerokiej, obitej na zielono kanapy. Powtarzał w kółko: „Skromnisia, niewiniątko, skromnisia”. Zdała sobie sprawę, że okropny oddech mężczyzny zatrzymuje się najpierw na jej karku, później na uchu, na ustach. Zdała sobie sprawę, że te potężne, odrażające dłonie usiłują rozpiąć jej ubranie. Czując, że się dusi i że nie wytrzyma dłużej. Spostrzegła wówczas, że zaciska w rękę szklankę, z której piła whisky. Zdobyła się na drugi, nadludzki wysiłek, uniosła się do połowy i walnęła szklanką, nie wypuszczając jej z ręki, w twarz Roldana. Ten poleciał do tyłu, zatoczył się trochę i w końcu pośliznął się,

padając obok zielonej kanapy. Dziewczyna bez reszty poddała się panice. Zeskoczyła z ciała mężczyzny, wypuściła wreszcie szklankę (która upadła na dywanik, nie rozbijając się), podbiegła do drzwi, otworzyła je, wypadła na korytarz i zbiegła w popłochu pięć pięter w dół. Rzuciła się do drzwi. Na ulicy udało jej się poprawić zapięcie bluzki, dzięki jednemu guzikowi, jaki pozostał. Zaczęła iść lekko, prawie biegnąc. Z lękiem, z trwogą, a także ze smutkiem, powtarzając w myśli przez cały czas: „Muszę o tym zapomnieć, muszę o tym zapomnieć”. Rozpoznała plac i rozpoznała ławkę, na której przedtem siedziała. Była wolna. Usiadła zatem. Jeden z gołębi zdawał się ją obserwować, ale ona nie czuła się zdolna do uczynienia żadnego gestu. Była pochłonięta jedną tylko, obsesyjną myślą: „Muszę zapomnieć. Boże spraw, żebym zapomniała o tej hańbie”.

62

63

Odrzuciła głowę do tyłu i odniosła wrażenie, że traci przytomność.

Kiedy dziewczyna otworzyła oczy, poczuła się przytłoczona własnym niepokojem. Nie pamiętała niczego. Ani swego imienia, ani wieku, ani adresu. Zobaczyła, że ma na sobie kasztanową spódnicę i kremową bluzkę, przy której brakuje trzech guzików. Nie miała torebki. Jej zegarek wskazywał dwadzieścia pięć po siódmej. Siedziała na ławce, na zadrzewionym placu, pośrodku którego stała stara fontanna z aniołkami i z czymś w rodzaju trzech jednakowych talerzy. Wydała się jej okropna. Ze swej ławki widziała domy towarowe, wielkie napisy. Przeczytała:

Nógaro, Cine Club, Porley Muebles, Marcha, Partido Nacional. Nic. Nie pamiętała niczego. Niemniej jednak doznawała uczucia ulgi, spokoju, prawie że niewinności. Miała niejasne wrażenie, że właśnie to jest czymś lepszym, niż cokolwiek innego, jakby poza nią pozostało coś obrzydliwego, coś strasznego. Ludzie przechodzili obok ławki. Z dziećmi, z teczkami, z parasolkami. Nagle ktoś odłączył się od tej nie kończącej się defilady. Był to mężczyzna koło pięćdziesiątki, dobrze ubrany, uczesany nienagannie, ze szpilką w krawacie, i z czarną teczką. „Czyżby to był ktoś, kto mnie zna?” — pomyślała i przeraziła się, że ten osobnik wprowadzi ją znowu w jej przeszłość. Czuła się szczęśliwa w swym wygodnym zapomnieniu. Ale mężczyzna zbliżył się i zapytał po prostu: „Czy coś się pani stało?” Przyjrzała mu się dokładnie. Twarz mężczyzny budziła zaufanie. Prawdę mówiąc wszystko budziło jej zaufanie. Ujrzała, że mężczyzna wyciąga do niej rękę i usłyszała, jak mówi: „Nazywam się Roldan. Felix Roldan”. Ostatecznie nazwisko było najmniej ważne. Tak więc wstała i automatycznie splotła swe słabe ramię z jego silnym ramieniem.

Przełożył Jerzy Kilhn I

DAMASO MURIJA

Morgan

Obskubany i wynędzniały, sprzedany niechlubnie na stołecznym bazarze zjawił się na zamku, gdzie mieszka trzech gagatków.

Na powitanie nadali mu imię. Powiedzieli, że Morgan, na namiatke karaibskiego nirata. będzie mu nasowało.

Z początku, rzecz oczywista, przewisko było mu trochę na wyrost. Bo jego oczka, nieśmiałe i okrągłe niczym żywe cekiny, zdradzały go aż do głębi słabiutkich skrzydełek. Niewiele też nosił piórek pod pachami.

Nieśmiałość nie przeszkodziła, by pierwszej nocy w nowej zielonej klatce miał domagać się światła do spania, żeby bez valium czy relanium uspokoić nerwy. Pogodzić się musiał z blaskiem lampy najmłodszy z trzech gagatków i pstryk elektrycznego wyłącznika uciszył przeraźliwe wrzaski ptaka, którego kupili jako namiastkę pieśczoły sennej, ulotnego kontaktu z przyrodą, zwierciadło do przegładania się w twarzy tej małej tropikalnej papużki, łotrzyka, gaduły — co miał zademonstrować później, burząc ich życie — i rozbójnika. Omalże adwokat bez studiów uniwersyteckich.

Średni chłopiec zabrał go ze sobą na ulicę, nosząc go na prawym ramieniu, budząc zazdrość rówieśników i nienawiść młodszego brata, któremu również marzyło się triumfalne wyjście, jako afirmacja własnego ja, własnej, kształtującej się osobowości.

We trzech grywali w kulki z papużką w roli widza. W tym czasie ptak rozumiał już wiele i kręcił jajowatą, uzbrojoną w ostry dziób głową, na dźwięk swego imienia. Jego spojrzenie, dzięki nabytemu zaufaniu, było żywe, wesole, bohater z *Dekameronu*, ni mniej, ni więcej.

Z czasem rozmiłował się w bananach, dowodząc w ten sposób swego pochodzenia i rodowodu. Ale jestem przeko—

nany, że miał wujków z Guamachil z nad oceanu, egzaltowanych pyskaczy. Sądzę po tym, co zdarzyło się później. Inteligentne spojrzenie utrwaliło się u Morgana wraz z rosnącą ilością pokruszonych herbatników, którymi jako królika doświadczalnego częstowali go jego właściciele. Byli nimi wszyscy trzej, każdy z jedną trzecią własności. Żaden z małych gagatków nie chciał dać się prześcignąć w okazywaniu uczuć przyszłemu mówcy. Trzeba było bić się o Morgana. Liczyć mu dokładnie każdego ranka nowe piórka, które zaczynały już pokrywać czerwone nóżki, prawie nagie jeszcze w chwili, kiedy zjawił się na zamku.

Zaspokajając zachcianki Morgana, wszyscy trzej zostali jego lokajami. A po tygodniu już nie prosił, tylko rozkazywał nie odwracając głowy. Nie gaszono także już nigdy światła, nim nie usnął ten mały szaleniec.

ICiedy poszli do szkoły obaj starsi bracia, zbuntowany najmłodszy triumfalnie wyszedł z domu, w zielonej koszuli z podobizną pirata Sama i poszedł do dzieci z sąsiedztwa z Morganem, pełnym pychy ministrem królewskiego dworu, na ramieniu.

Po powrocie bracia zarzucili mu nieuczciwość, oszustwo, zarozumiałstwo i wykorzystanie ich nieobecności. Ale najmłodszy tylko się roześmiał. Bo to w alei Alameda zrobił mu zdjęcie z Morganem na ramieniu fotograf z drewnianą skrzynką i czarnym rękawem. Ataku serca omal nie dostały dwa starsze

gagatki.

Wszystko, co tu opowiadam, utwierdziło wpływy Morgana. Był stałym tematem rozmów owej epoki, filozofią wszystkich trzech, postacią wymagowaną, bohaterem bojów, w których ptak, pewien, że jest godnym kronikarzem tysięcy wydarzeń, akceptował teorię o reinkarnacji.

Morgan, ze swym własnym portretem, pomniejszonym i egzaltowanym, usunął w cień na terenie zamku spacer trzech Amerykanów po księżycu. Do tego, zaprawdę, doszła jego potęga,

Doktoryzował się, wrywając, bardziej bitny niż Joe Frazier w spotkaniu z Cassiusem Clayem, wąsy tłustemu kotu, którego rodzina na zamku psuje i rozpieszcza. Zwierzę musiało zwrócić się do Gagarina, który głaskał je po długiej i pięknej sierści, nie ze współczucia, ale z uznania dla zuchwalstwa, postawy, złej krwi i pychy piraciska Morgana,

bezczelnego ptaka, co gwałcił wszelkie zasady i reguły dobrego wychowania, w miarę jak dawały się poznać jego postęпки. Wyzywając do walki Monisa, przypasał sobie nazwisko niczym pas rycerski, by na nie ostatecznie zasłużyć i dodać mu późniejszej chwały, większej niż sława tego fli—bustiera, który nie zdołał zburzyć Campeche, jak twierdzą campechanie.

Jednakże we wszystkich sprawach ludzkich — a ptak jest istotą ludzką — przemijające prawo ustaliło swoje surowe i sżywne zasady.

Morgan postanowił posunąć się dalej.

Słuchał rozmawiającej służby i młodych gagatków z patologicznym wręcz zainteresowaniem. Był już, na swoje nieszczęście, opętany magią słów i, jak gdyby jakaś reinkaj—nująca się komórka ożyła w jego organizmie, karmił się rozmowami trzech chłopców.

I niezadługo, pewnego poniedziałku obudził się z pierwszym własnym słowem ze swego dzieciennego słownika. Wielki bohater legendy powiedział Morrrgan — Morrrgan — Morrrgan, z „er” jeszcze słabym, ze śliną w gardle od obfitości zjedzonych poprzednio bananów; „er”, jak wymawiane przez Francuzkę, starą pannę i w dodatku dziewicę. W swojej opiece racz zachować nas Panie.

Bo było to tak, jakby pirackie ptaszysko zapisało tym słowem własne wygnanie i swój czarny los. Ludzi gubią usta — powiada stare rybackie przysłowie.

Używanie słów umożliwiło Morganowi wejście do tego starego, nie kończącego się labiryntu, jakim jest metamorfoza, gdzie my, ludzie, albo spadamy w przepaść, albo udaje nam się osiągnąć jakiś los, który nas uwiecznia w postaci modnego posągu czy też ulicy noszącej nasze imię. Taki przynajmniej los ludzi sławnych obowiązuje w naszym świecie, pustynnym i tropikalnym.

Morgan, który miał już niewątpliwie za sobą pierwszy krok na drodze ku nieśmiertelności, musiał zaakceptować reguły gry, wraz z ich zgubnymi konsekwencjami.

Zdołał utrzymać pozycję *showmana* przez krótką chwilę. Krótka, ponieważ wir nie czeka, nie pozwala odetchnąć w

niepoką, ponieważ wii nie czeka, nie pozwala odczekać w momencie wyczerpania i zmęczenia. Także i Morgan nie miał żadnego prawa do wytchnienia, podobnie jak i człowiek w tych samych okolicznościach, w trakcie oczekiwania

66

67

na nieśmiertelność. Pośród wielu wysiłków powiedział inne słowa i inne, i jeszcze inne.

— Pewnego wieczoru, słyszałem to sam, słyszałem, Yuri uczył go brzydkiego słowa na cztery litery.

Tragicznym w skutkach był fakt, że je wypowiedział, kiedy gościł na zamku pewien krytyk sztuki, surowy, apodyktyczny pan licencjat, nieomylna matka prawdy, i że — prawdziwa katastrofa — wziął to słowo do siebie, bo w danym momencie pił filiżankę verakruzańskiej kawy, trzymając ją w ręku, z odchylonym małym palcem.

Cofnął go wszakże natychmiast, kiedy szaleniec Morgan powtórzył słowo, składające się z czterech liter.

Przeszywające spojrzenie Gagatka Ojca zapisało na wodzie słowa wygnania, nie bacząc na rozpacz trzech małych gagatków, miłośników języka hiszpańskiego przez ciekawość i w celach taktycznych, aby zdobyć przewagę nad rówieśni—kami,»którzy później nauczą się go także.

Następnego poniedziałku Morgan obudził załogę zamku słowem na „k” we wszystkich odmianach gramatycznych. Teraz już jego rodowód z wybrzeża potwierdził się całko—* wicie.

— Uczą go w dalszym ciągu. Uczy go Yuri. To on jest

winiem. — Tak syciła się zemsta dwóch starszych gagatków na najmłodszym. Zdjęcia u fotografa z drewnianą skrzynką i czarnym rękawem nie wybaczyli mu nigdy. Przenigdy. (Neofitów odsyłam do *Na wschód od Edenu*).

Pewnego ranka udali się do Chapultepec, obejrzyć tygrysy, szympanse — był tam jeden, co przypominał policjanta z pałką, kiedy usiłował wyłamać pręty własnej klatki —■ i sępy.

Przeszli następnie do nowego parku miejskiego, gdzie dzieci bawią się z lwiątkami i słoniami i jeżdżą na trzykołowych, mechanicznie poruszanych rowerkach, takie są teraz te nowoczesne parki publiczne. Kiedy weszli do ptasiego budynku, gdzie ptaki fruwały sobie swobodnie, Gagatek Ojciec znalazł rozwiązanie losu Morgana.

Pośród łez, szlochów i rozpaczy urządzono kolację pożegnalną z dojrzałutkim bananem. Morgan wypowiedział wszystkie górnolotne słowa, jakie był w stanie wyrzec lub złorzeczyć, jakby to określiły opinia publiczna i cenzura.

A Gagatek Ojciec odkrył z rumieńcem na twarzy, że wśród słów, które Morgan tego wieczoru wymówił na pożegnanie, było jedno nowe, przeznaczone dla niego, dla niego ponad wszelką wątpliwość. Bo trzech mali przyjaciele, cokolwiek by się nie rzekło, byli prawdziwymi przyjaciółmi, a nie zdrajcami.

„I wszystko — myślał Morgan — przez tego zasranego krytyka, który przyszedł z wizytą i który nie miał krzty samokrytycyzmu...”

Niewątpliwie brakowało Morganowi znajomości historii,

ponieważ każde praktykowanie władzy pociąga za sobą błądy.

Każdej bez wyjątku niedzieli rodzina jeździła odwiedzić Morgana w Chapultepec. Chłopcy poświęcali czas na gawędy z obskubaną papuzką o obliczu hippisa w haremie, której małe oczka nabrały teraz ogromnego dostojeństwa, jako że miała możliwość wysłuchiwania rozmów rozmaitych gości, odwiedzających jej olbrzymią, kolektywną klatkę. Morgan ujrzał świat innymi oczami i z innej perspektywy.

Od innych ptaków nauczył się sekretów, jakie przedtem stanowiły dlań tabu. Na temat gołębi mówiono nawet, że miał z niektórymi z nich romans, był bowiem p*apugą z nazwiskiem i rodowodem, czyż nie zaznaczyłem tego na początku? Ale o wiele więcej nauczył się w sprawach polityki, bo prawo Herolesa * święciło swój triumf. Powtarzam, to wszystko działo się w Meksyku. Morgan nie zagrzeał długo miejsca w swoim nowym feudum. Powiedziałem wam przedtem, że sprawy czysto realistyczne nigdzie nie są do przyjęcia, a tym mniej w tym narcystycznym kraju, pozbawionym zdolności do samokrytyki. Dojrzałość jest cechą, jakiej nam wszystkim brakuje, bo talentu, mądrości, patriotyzmu i odwagi miał aż nadto Morgan z tej opowiadki, aż do swej nieznannej śmierci.

— Śmierć PRI! ** — zagrzniał pewnego ponurego zmierzchu.

W neurotyczny wieczór, kiedy słuchały go tysiące zwiedzających, ubranych w spodnie Topeka, wypowiedział te

* Jesus Reyes Heróles — polityk meksykański działacz

PRI, kandydat na prezydenta w wyborach w 1970 r. (przyp. tłum.).

** PRI (Partido Revolucionario Institucional) — partia polityczna rządząca w Meksyku (przyp. tłum.).

68

69

właśnie prawdziwie meksykańskie słowa. Epitafium męż—i czyn, a tym bardziej piratów. ;

Kilka dni później, w pełni upadku moralnego, miał, jak; powiadają, przygodę miłosną z pewną samicą z rodziny gru—boskórych. „Beznadziejny przypadek” — stwierdził doktor! z ogrodu zoologicznego i oddalił się pospiesznie.

Dlatego nie zdziwiło to chłopców kiedy pewnego dżdżystego sobotniego poranka nie znaleźli go w Chapultepec.

Yuri, najmłodszy, podarł nad źródłem, z którego piły wodę czerwone ptaki, przeklętą fotografię, co zapoczątkowała gramatyczne nieszczęścia Morgana, antycarreñisty *, z urodzenia bojownika przeciwko kamiennej moralności, jaką ludzie, którzy pewnego dnia przybiorą kamienną postać, użyją jako oprawę dziennika podróży.

Tytuły barwnych tygodników nie zwróciły uwagi trzech gagatków, kiedy doniosły, że w Chapultepec urodził się słoń z zielonymi skrzydłami.

A wszystkim trzem pozostał tik nerwowy na widok fotografa z drewnianą skrzynką i czarnym rękawem, kiedy go tylko zobaczą na Alameda Central w Tenochtitlan ** City.

· Alberto María Carreño (1875—1962) — historyk i ekonomista meksykański (przyp. tłum.).

◆ Tenochtitlan — dawna, aztecka, nazwa miasta Meksyku (przyp. tłum.).

HECTOR A. MURKINA (właśc. Hector Alberto Alvarez)

Pułkownik kawalerii

Od najmłodszych lat skłonny do powściągliwości, z wiekiem coraz bardziej zamykałem się w sobie, w miarę jak zwykle koleje losu pchały mnie ku samotności, której zresztą zawsze pragnąłem. Myślę, że każdy powinien zachować dla siebie swoje radości i smutki, jeśli chce, ‘by »ie przekształciły się one w maskaradę i nie przemieniły go we własną karykaturę, choć zapewne niejednen woli raczej być karykaturą, niż stawić czoło ‘przeczwnościom.

Jeśli o mnie chodzi, wiem teraz, że nawet wówczas, kiedy w krótkich spodenkach wybierałem karierę wojskową, kierowałem się przecuciem, że nigdzie człowiek nie jest równie samotny jak w koszarach: jesteśmy mnichami oderwanymi od świata, z konieczności pozbawionymi Boga, któremu moglibyśmy się całkowicie poświęcić i chociaż wiele przebywamy razem, dyscyplina skuteczniej chyba niż mnisza cela utrzymuje między nami dystans.

Chcę przez to powiedzieć, że nie jestem zwolennikiem towarzyskich ‘Spotkań, kończących się nieuchronnie «*· nawet jeśli zaczęły się inaczej — podejrzaną wytewnością* która wszystko wypacza; chcę podkreślić, że jako świadek

opowiedzianych tutaj wydarzeń (które poczucie obowiązku nakazuje mi opisać z całkowitą szczerością) nie należę do ludzi ulegających łatwo nastrojom lub też podporządkowujących się towarzystwu.

Aby zachować porządek, dodam, że na spotkanie to nie mogłem nie pójść, gdyż chodziło o rodzinę starego towarzysza broni, emerytowanego — podobnie jak ja —* blisko przed ćwierć wiekiem w stopniu majora artylerii, któremu zawdzięczałem jedyne chwile prawdziwej, braterskiej przyjaźni w ostatnich latach. Tak więc tego wieczoru przerwa—

71

łem moją codzienną lekturę Clausewitza *, a po kolacji przebrałem się i ruszyłem do domu położonego w sporej odległości od mego miejsca zamieszkania.

Pogoda była wspaniała, jeden z tych prawdziwie wiosennych dni, które w Buenos Aires tak bardzo zaskakują mieszkańca prowincji; więc szedłem zadrzewionymi uliczkami dzielnicy północnej, a w powietrzu unosiła się woń perfum. Jak się można było spodziewać, w spokojnej willowej dzielnicy dom ten wyróżniał się oświetleniem i liczbą przybywających tu ludzi.

Wszedłem z pewną niechęcią, jako że była to pora, którą większość uważa za najodpowiedniejszą do składania wizyt, więc przedpokój był prawie pełen. Spełniłem swój obowiązek, złożyłem zwyczajowe wyrazy uszanowania rodzinie i kiedy odwróciłem się, aby przyrzeć się obecnym, spostrzegłem, że jestem wśród kolegów. Gdy tylko kończyłem roz—mowę^z jednym snotykałem innego i tak przesuwaiać się drobnym

krokiem, jak to zwykle bywa w czasie rozmowy, i ustępując raz po raz miejsca przechodzącym, znalazłem się po chwili na drugim patio tego starego i sympatycznego domu.

Było tam wielu artylerzystów i przedstawicieli innych broni, wśród nich pewien generał piechoty, którego nazwiska wolę nie wymieniać, gdyż zdobycie przez niego generalskich szlifów publicznie łączy się z niejasnymi rozgrywkami politycznymi. Podano napoje, ale ja, ponieważ od lat nie biorę alkoholu do ust, poprosiłem o kawę. Prawie wszyscy skłaniali się ku trunkom, nie wyznaczając swym skłonnościami granic zbyt surowych: zmuszony znosić wraz z nimi wygnanie w prowincjonalnych garnizonach, na całkowitym odludziu, gdzie po zmierzchu pozostaje tylko pijaństwo, gry lub małżeństwo jako jedyne formy ucieczki przed śmiertelną nudą i zniechęceniem, miałem to za coś równie naturalnego, jak i fakt, że towarzyszą im kobiety niepozorne i pospolite.

Z tymi, których dawno nie widziałem, rozmawialiśmy o wydarzeniach od czasu naszego ostatniego spotkania, z innymi przypominaliśmy koszarowe anegdoty, zapewne gru—

* Carl von Clausewitz (1780—1831), pruski generał i teoretyk wojskowy.

biańskie lub niemądre dla cywilów, niezdolnych zrozumieć ileż niewinności i serca, z braku lepszego obiektu, wkładają w nie wojskowi. Po pewnym czasie potężne uczucie smutku — tak oczywiste, jak owa mgiełka świadcząca o wilgotności powietrza

— zawiadnęto obecnymi. Cnoc niewiele było w mundurach, po zamienieniu paru słów wszyscy znali swe stopnie i stanowiska, więc każdy ze szklanką w dłoni i wzrokiem wbitym w przestrzeń zastanawiał się teraz — jakby wszyscy urodzili się w tym samym dniu z jednakowymi zdolnościami — w jakim stopniu los zakpił z niego pamiętając o innych, którym się lepiej powiodło. Wydawało się to takie oczywiste, jak gdyby wszyscy mówili na głos; zresztą, czy ja sam nie myślałem z żalem, do czego bym doszedł, gdyby wydarzenia lat trzydziestych* nie zmusiły mnie do przejścia w stan spoczynku.

I w tej właśnie chwili zauważyłem jego obecność. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, ale szczupły niczym młodzieniec, miał bujne, siwe włosy, ręce i szyję trochę przy—krótkie, ruchy swobodne; doskonały wygląd, który był niewątpliwie źródłem jego jowialnego usposobienia, kusił, by zaliczyć go do tej kategorii oficerów, co opanowawszy sztukę szermierki, nawet przez jeden dzień nie zaniedbują ćwiczeń, aby zachować zręczność, którą popisują się zwykle przed płcią piękną, a która nadaje im zarazem trochę kobiecego wyglądu. Coś nieuchwytnego w tej postaci kazało mi jednak powstrzymać się przed podzieleniem się moimi spostrzeżeniami.

Zauważyłem go ja, a także inni, bo oto nagle, przerywając delikatną warstewkę szeptów, którą stanowiły nasze smętne rozmowy, w jakimś rogu rozległ się donośny śmiech. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy grupę mężczyzn i kobiet — starających się pohamować swą radość — w środku której z rozpromienioną twarzą stał on. Niektórzy chcieli poznać powód

owej wesołości, a ci, co właśnie jej doświadczyli, nie omieszkali tego wyjawić, i tak oto śmiech, choć słaby promieniał z owego środka na dowód, że trunki i zniechęcenie Potrafiły rozerwać część towarzystwa

W 1930 roku w wyniku przewrotu wojskowego obalono w Argen—ie legalny rząd prezydenta H. Irigoyena.

73

Fala ta nie doszła do nas, ale zaczęliśmy rozpytywać, kto to. Ja ze swej strony przypomniałem sobie, że zetknąłem się z nim na początku spotkania, że pytał, co u mnie słychać, „tykając” mnie, a kiedy odpowiedziałem uśmiechem i wzruszeniem ramion, poklepał mnie poufale po plecach. Inni także wysilili swą pamięć, lecz nie potrafili go w niej umiejscowić, aż pewien pułkownik z naszego roku — który „praktykował dyscyplinę” do tego stopnia, że po latach był równie mało rozgarnięty, jak niegdyś w szkole wojskowej — oświadczył z przekonaniem, że właśnie w tej chwili przypomina sobie: poznał go był w pułku saperów w Zarate. Oświadczenie to sprawiło, iż ktoś inny stwierdził, że w tym samym czasie widział go w Esquel. Oczywiście było jasne, że nic o nim nie wiemy.

Tymczasem krąg słuchaczy wokół naszego bohatera powiększał się; ja również podszedłem, żeby widzieć go lepiej. Wymyślił teraz zabawę lub ćwiczenie — które sam wykonywał w sposób doskonały, inni zaś próbowali bez większego powodzenia — polegające na wymawianiu słów z zamkniętymi ustami tak, aby dźwięk nosowy był zrozumiały. Zapomniawszy o ponurym nastroju sprzed paru chwil, wszyscy stopniowo ulegali

pokusie poddania się próbie i wkrótce patio wypełniło się głosami dziwnymi, śmiesznymi, a nawet odrażającymi. Generał był jednym z pozyskanych dla tej zabawy, być może dlatego, że jego pohuki—, wania wydawały mu się dobrym sposobem na zdobycie zaufania młodej żony jakiegoś podpułkownika, która wpadła mu w oko. Od czasu do czasu mistrz z niewzruszoną miną: powtarzał lekcję, a chichot stojących koło mnie, był nieomal potwierdzeniem mych podejrzeń, że zdania, których sens niej w pełni zdołałem uchwycić, miały charakter oblesny.

Parę osób, zde gustowanych tym, co się działo, zaczęło się wycofywać. Ja również chciałem odłączyć się od grupy, kiedy mężczyzna ów natknął się na mnie i rzekł:

— Pana to nie bawi, prawda?

W tonie jego głosu, w kpiącym grymasie ust, w oczach szarych, dużych, nieruchomych, o niepokojącej sile — czule] wymówkę, być może lekką pogroźkę. Wytrzymałem przez chwilę to spojrzenie, a następnie, nic nie odpowiedziawszy,] odwróciłem się i ruszyłem w przeciwną stronę patia.

Jeszcze nie zakończyła się tamta zabawa, a już wymyślił inną. Godne uwagi było to, że choć oddaliłem się, o wszystkim informował mnie jego metaliczny, przenikliwy głos (słyszę go jeszcze dzisiaj), który, mimo że nie brzmiał zbyt głośno, docierał do każdego kąta podwórka. Nowy popis zręczności polegał na poruszaniu uszami, czego — jak wyjaśnił — nauczył się w szkole wojskowej, w czasie długich godzin spędzonych w uczniowskim przesze, gdzie kara było siedzenie

spęzonych w uczniowski areszt, gdzie całą było siedzenie pod strażą z całkowitym zakazem zajmowania się czymkolwiek, nawet lekturą. Otoczony wyczekującą publicznością poruszył najpierw dwoma uszami, później lewym, wreszcie prawym i powtórzył wszystko ulegając zapewne prośbom, jakimi go zasypano. Potem kpiąco przyglądał się swym uczniom.

Pamiętam, że już na samym początku zmierzył karcącym spojrzeniem generała, który mimo usilnych starań i wielu grymasów osiągnął tyle tylko, że zakończył próbę wyraźnie poirytowany śmiechem, jaki jego niemoc wzbudziła w żonie podpułkownika. Przede wszystkim zadziwiła mnie (choć wpływ alkoholu pomagał wyjaśnić to po części) fascynacja, jaką człowiek ten wywoływał nie tylko w kobietach, lecz również w ich mężach, którzy z uśmiechem na swych głupawych twarzach — nieomal z zadowoleniem znosili każdą niegrzeczność, na jaką sobie pozwalał.

Widok ten był mi tak niemiły, że postanowiłem wyłączyć się, uciec w świat myśli, zamknąć się w sobie. Z tej przyczyny o późniejszych wydarzeniach dowiedziałem się, gdy już były w pełnym toku.

Jak się wydaje, w sposób uprzejmy choć z lekka wyzywający rozpoczął rozmowę o jeździe konnej z jednym z dowódców kawalerii. Powiedział mu chyba, że aczkolwiek kawalerzyści w czasie defilad paradują konno, nie mają o jeździe najmniejszego pojęcia, jako że w szkole uczą się tylko, jak spadać z wierzchowca, czym odstrasza się ich od jazdy na zawsze. Następnie sprowadził rozmowę na temat pomocy, jakiej

jeździec winien udzielać zwierzęciu, aby ruszyło z kopyta, i faktem jest że w ferworze dyskusji sprawił — nie wiem, w jaki sposób — że jego rozmówca stanął na czworakach.

Trwał jeszcze chwilę w tej pozycji, kiedy spojrzałem, ale już dosiadał go jakiś inny oficer, pełniący rolę jeźdźca. Dodający im animuszu mężczyzna, o którym mówiono teraz,

74

75

że jest pułkownikiem kawalerii, sprawił, że jeździec wychylił się w prawo i palcami stopy uciskał pod pachą człowieka na czworakach, ażeby w ten sposób pokazać praktycznie, jak koń, czując szpic buta pod łopatką, zmuszony jest wysunąć do przodu nogę odbierającą ów bodziec. Na koniec ponaglił go do biegu, z jeźdźcem na grzbiecie. Przyznam się, że i ja wtedy musiałem się zaśmiać.

W tej właśnie chwili, w korytarzu, przy wejściu na patio pojawiła się córka właściciela domu, dziewczyna przeszło dwudziestoletnia, wysoka i szczupła. Ujrzawszy ją wszyscy znieruchomieli, a uśmiechy na twarzach poczęły zanikać. Ale oficer udający wierzchowca, ze względu na swą pozycję nie wiedział o obecności dziewczyny i dalej z wysiłkiem, ociężałe włókł jeźdźca na swym grzbiecie. Ona, blada, ze spuchniętymi, zaczerwienionymi oczyma od płaczu przyglądała się tej scenie z udręczonym osłupieniem. Było to zrozumiałe: w pokoju od ulicy czuwano przy zwłokach jej ojca, zmarłego dziś rano na embolię.

Rzekomy pułkownik kawalerii pokazał jednak, że ma nerwy ze stali; nie speszył się, a wprost przeciwnie, postąpił ku niej i

przemówił, najpierw głośno, kwieciste wyrażając swe ubolewanie, a potem tak cicho, że nie można było niczego usłyszeć. Podobnie jak wszyscy byłem ciekaw, co mówi, bo zobaczyłem, że wyraz twarzy dziewczyny uległ zmianie; rozpoznałem ją i jej twarz nie wyrażała takiego cierpienia jak poprzednio. Zdumienie wszystkich wzrosło, kiedy spojrzała swemu rozmówcy w oczy i uśmiechnęła się. Nie wiem, czy uwierzycie mi, gdy powiem, że wkrótce osiągnął to, że podeszła do gości na patio i spędziła z nimi resztę nocy gawędząc swobodnie, jak gdyby od tej chwili ze zmarłym nie wiązały jej, podobnie jak mnie, żadne więzy pokrewieństwa.

Nie miałoby sensu opowiadać o wszystkim, czego człowiek ten nie wymyślał, aby skupić na sobie uwagę zebranych. Faktem jest, że się mu to udawało. Jedni odchodzili, lecz zastępowali ich goście przychodzący z pię*wszego patia; a choć początkowo reagowali niezadowolaniem, natychmiast ulegali jego urokowi i ogólnej atmosferze.

Dlaczego zostałem? Nie potrafiłbym tego wyjaśnić. Wszystko to budziło we mnie odrazę, a przecież czułem silną potrzebę przyglądania się sztuczkom owej postaci; pociąga—

ła mnie tak, jak większość ludzi pociągają — sędzę — przyjemności zakazane. Tak mijały godziny.

Kiedy spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że jest już trzecia nad ranem, postanowiłem odejść. Pożegnałem się i szedłem korytarzem do wyjścia, gdy spostrzegłem, że ktoś cicho podąża za mną; to był o n.

W północy zauważyłem, że jego skóra nabrała ciemnej

W pomroku zauważyłem, że jego skóra miała cienie
ziarnistej karnacji, jak gdyby był przemęczony, oczy mu lśniły.
Nie odpowiadało mi jego towarzystwo, ale nie było na to rady.
Mimo to powiedział, że jest mu gorąco i zdjął marynarkę. Kiedy
to robił, dotarła do mnie mocna i ostra woń — być może wynik
przepocenia się, co wiązałem z jego dzisiejszymi popisami —
która przezornie nakazała mi odsunąć się na bok.

Choć zdjął marynarkę, wciąż coś go drażniło, bo
wykonywał głową i szyją ruchy charakterystyczne dla ludzi
bardzo neswowych. Prawie natychmiast zdjął krawat i rozpiął
koszulę. Nie przyglądałem mu się przez grzeczność, gdyż nie
sądziłem, aby wypadło tak iść.

Gdy tylko wyszliśmy na ulicę, głosem skrzeczącym,
złośliwym i urywanym *zaczął* mówić coś, czego dokładnie nie
pamiętam, a co było niemal jawną drwiną z głupoty ludzi,
zwłaszcza obecnych na spotkaniu, czym chciał sprowokować
mnie, dotknąć do żywego, ale ja raz tylko odezwałem się.
Spojrzałem na niego, żeby odpowiedzieć. Czy dobrze się mu
przyjrzałem? Czy rzeczywiście zobaczyłem, że jego twarz
pociemniała, pociemniała za bardzo, że okrywał ją duży zarost,
że coś nazbyt jaskrawego lśniło w miejscu, gdzie pojawił się
uśmiech? Faktem jest, że nie mogłem na niego patrzeć. A on
dalej prawil impertynencje.

Zdołał już wyprowadzić mnie z równowagi, chociaż tego nie
okazywałem, i wtedy nieoczekiwanie zapytał mnie, dokąd idę.
Zwlekałem przez parę chwil, aby przemyśleć, jaki kierunek daje
mi największą szansę pozbycia się jego towarzystwa, a kiedy

odwróciłem się, żeby mu o tym oznajmić, ze zdziwieniem odkryłem, że jestem sam.

Zatrzymałem się. W odległości około pięćdziesięciu metrów ode mnie oddalał się rozkołysany, rozświetlony tramwaj. Było możliwe, chociaż trudne do wytłumaczenia, że zdołał wskoczyć do tramwaju, ale mój wzrok nie ma już teraz tej. siły, abym z takiej odległości mógł rozpoznać, czy

78

jest wewnątrz. Poza tym tramwaj musiał w pewnej chwili przejeżdżać koło nas. Jak to się stało, że go nie zauważyłem? Nie znajdowałem jednak żadnego wyjaśnienia, a takie pozorne cuda — za sprawą naszej nieuwagi — dzieją się codziennie. W końcu ruszyłem do domu. Nie mogę jednak powiedzieć, że spałem spokojnie.

Następnego ranka poszedłem na cmentarz, na pogrzeb, chociaż — nad czym sam ubolewałem — uczucie żalu za zmarłym ustąpiło miejsca ciekawości, z jaką oczekiwałem nowego spotkania z wczorajszym bohaterem.

Wypatrywałem go wśród ludzi oczekujących przy cmentarnej bramie na pogrzebowy kondukt, wśród tych, co wyszli z samochodów podążających za karawanem, wśród spóźnionych, którzy przyszli tylko do kaplicy na nabożeństwo, a także wśród osób zebranych wokół rodzinnego grobowca. Nie było go i właściwie nie dziwiło mnie to.

Zwrócił natomiast moją uwagę sposób, w jaki reagowali na pytanie o nim wszyscy, którzy widzieli go tamtego wieczoru równie dokładnie jak ja. Przyglądali mi się niechętni lub jeszcze

zaspani, jak gdyby nie wiedzieli, o kim mówię. Niektórzy bąkali coś, czego nie byłem w stanie „zrozumieć; wyglądało na to, że zawstydzeni wydarzeniami związanymi z tą postacią, postanowili wyrzucić ją z pamięci, zignorować to, że przecież istniała. A ja więcej nie nalegałem.

Dwa dni potem musiałem pójść do domu zmarłego w sprawach, których prowadzenie był mi za życia powierzył. Po wejściu poczułem gryzącą woń, która wydała mi się znajoma. Przywitała mnie córka, wprowadziła do jednego z pokoi i rozmawialiśmy, kiedy nagle gestem zniecierpliwienia potarła dłonią czoło, wstała i otworzyła okno. Zapytała mnie jednocześnie, czy nie czuję dziwnego, nieprzyjemnego zapachu. Przyznałem, że istotnie, a ona wyjaśniła, że to z powodu nadmiaru kwiatów zebranych w domu, że woń ta przyprawia wszystkich o ból głowy i że nie mogą się jej pozbyć. W tym momencie zidentyfikowałem ów zapach; nie miał nic wspólnego z kwiatami, była to ta sama kwaśna, lekko cuchnąca woń, jaką czułem owej nocy, gdy towarzyszący mi Mężczyzna zdjął marynarkę. Skinieniem głowy potwierdziłem słowa dziewczyny; wołałem milczeć.

Przełożył Rajmund Kalicki

MIGUEL ANGEL DE LA TORRE

Poprzednik

Jest on dla mnie postacią niemal fantastyczną. Nigdy go nie widziałem i jedynie z tego, co słyszałem, wiem o jego istnieniu: najpierw jego imię, rzadko wymawiane w rozmowach moich rodziców. Gdy ze względu na mój wiek nie wiele mogło mnie

interesować z rzeczy nie związanych z teraźniejszością lub bezpośrednią przyszłością; później w znacznych odstępach czasu, kilka przelotnych aluzji temat jego osobliwego życia, uczynionych przez tych, którzy go znali, zawsze z dwuznacznym uśmiechem na ustach. Później, przy okazji mojego wyjazdu za granicę, ojciec opowiedział mi bardziej szczegółowo o nieobecnych. Poleciał odszukać ślady jego pobytu w miejscowościach, do których miałem się udać, i gdzie, jak zapewniano, mój wuj mnie szukał przed laty; od tego czasu nie otrzymano już o żadnej wiadomości. Nie zdołałem jednak wywiązać się do brzo z zadania, mając podążać śladami pozostawionymi przez stopy człowieka na szlakach tak uczęszczanych jak tamtej. Pewnego dnia dowiedziałem się wreszcie, kim był mój wuj i zgłębiłem cokolwiek tajemnicę jego życia. Było to w dniu, kiedy popełniłem jakiś grzech młodości i ojciec przemawiał do mnie z surową twarzą, gniewnym głosem. Matka, chcąc złagodzić surowość ojca, nie szczędziła mi swych pocieszeń i rad. I wówczas wyrwał jej się mimo woli ten okrzyk: „Oby nie przytrafiło ci się, mój synu, to, co wujowi Ryszardowi!” Przypomniałem sobie wtedy wszystkie rozrzucenie i odległe wiadomości o tym moim poprzedniku, do którego mnie porównywano. Mówiono, że zewnętrznie byłem do niego podobny. Gdy zaczął mi się pojawiać zarost na wardze, pewien krewny przypomniał sobie wąsy wuja Ryszarda. Pewnego razu, gdy mówiono o mojej dziewczynie, ktoś pochwalił powodzenie, jakie miał on u kobiet. Innymi razem usłyszałem, jak matka

uśmiech przypomina jej uśmiech brata... A teraz widziałem, że naśladuję go również w jego przywarach.

Od tej pory pamięć wuja Ryszarda zaczęła mnie z uporem prześladować. Czasami budzę się późną nocą w samotności sypialni, myślę o tym i czuję, jak ogarnia mnie przerażenie i jakiś nieokreślony lęk. Wydaje mi się, że otacza mnie pustka i że wszelki wysiłek byłby próżny, jak ■ wysiłek ptaka bijącego skrzydłami o ściany hermetycznego pomieszczenia. Nie czuję się panem swych mięśni, swej woli, wydaje mi się, że ich sprężyny są we władaniu innego człowieka. Czuję w gorączce, że moje ja uciekło z wnętrza mego ciała i miejsce to zajął jakiś intruz, despotyczny i nieczuły, który będzie władał moją osobą jak mulnik swymi zwierzętami. Tą drugą istotą ludzką, której jestem tylko cieniem, jest mój wuj. Dawniej sądziłem, że jestem autorem mych czynów i że jestem za nie odpowiedzialny. Sądziłem, że nie istnieją one do czasu, gdy na skutek impulsu mojej woli lub pod dyktando mojej myśli nie zrealizuję ich; i tak miałem zamiar nie czynić niczego podczas mej drogi ziemskiej, co nie byłoby dla mnie właściwe i słuszne. Teraz wiem, że wydarzenia i wszelkie epizody mojego życia są już dokonane; jedynie, co mi zostaje, to poznanie ich, gdy nieszczęsny będę myślał, że wykonuję je rzeczywiście. Nie będę robił tego, co chcę, będę robił to, co muszę. To, co zrobił lub co by zrobił w każdym przypadku wuj Ryszard.

Jeśli on zabił, ja również zabiję. Na próżno będę się starał

posiąść serce mojej żony, jeśli jego żona go zdradziła. Nie powinienem pragnąć uznania bliźnich, jeżeli wuj Ryszard nie zznał szczęścia posiadania przyjaciół — rodzaju rodziny dla tych, którzy jej nie posiadają. Czyż nie jestem drugim nim? Czy moje wąsy i uśmiech, identyczne jak jego, nie zdobędą tych samych miłości i nie wzbudzą tych samych nienawiści, co jego wąsy i uśmiech? Czy nie poniosą mnie tymi samymi zatłoczonymi drogami, co jego niosły, zgubne namiętności, które po nim odziedziczyłem? Jeśli zawsze te same przyczyny muszą powodować identyczne skutki, czy moja osobowość, bliźniacza jego osobowości, nie musi wytworzyć w gwałtownym spotkaniu z otaczającą ją rzeczywistością tych samych zjawisk, jakie wytworzyła jego osobowość? Tak! Jestem pasażerem pociągu bez maszynisty.

6 — W zaklętym zwierciadle

Ten pociąg to moje życie; biegnie on po tym samym torze, po którym pędził przed nim pociąg wuja Ryszarda. Nie wiem, jak nie wiedział on, aż do dnia, kiedy stanął jego pociąg, na jakiej stacji się zatrzyma. W tej sytuacji, Boże mój, w myśl jakiej sprawiedliwości skazaliby mnie sędziowie, jeśli bym pewnego dnia rozdarł jakieś dziecko lub wyklęliby mnie ludzie, jeśli bym nikczemnie sprzedał ojczyznę? Czyż miałbym prawo żądać dla mego nazwiska chwały, na jaką dzieło mego mózgu lub serca zasłużyłoby wśród ludzi? Mój poprzednik, którego jestem kopią i echem! Jakimi wydarzeniami będzie się przedło jego istnienie poza zasięgiem moich oczu? Czy zmieszczą się w nim plany na i przyszłość, jakie czyniłem, gdy sądziłem jeszcze, że kieruję swym życiem? Czy ujrzał on, jak konają czy też triumfują” moje nadzieje, złudzenia, marzenia, które pewnego dnia by—’ ty również jego złudzeniami, marzeniami, nadziejami? I Gdzież może być on w tej chwili? Czyżby już umarł? Jakie okoliczności, może potworne, towarzyszyły jego ostatniej i godzinie? Na jakim odległym łóżu to się stało? Jaką ostateczną wizję świata zabrał w nieskończoność? Gdybym przynajmniej to wiedział, byłbym spokojniejszy! Nie opusz—’ czałbym co rano łóżka, zastanawiając się wśród nerwowych skurczów, czy spocznę w nim wieczorem, czy też na pryczy jakiegoś więzienia. Nie przerażałaby mnie bliskość mych; dzieci, od których czasami

mam zamiar uciec, aby oddalić: możliwość, że pewnego dnia ja sam stanę się ich fatalnym[^] i nieubłagalnym ofiarnikiem. Nie gonilibym może tych chi—: mer, które dziś Kocham i dla których żyję, ufny, że mogą j być urzeczywistnione jutro.

Tak brzmi zakończenie pamiętnika, znalezionej wśród papierów pewnego wariata, kiedy lekarze postanowili je zba— dać w poszukiwaniu danych do diagnozy na temat jego cho—; roby. Nie wiemy, jakim naukowym słowem została wyrażona[^] ta opinia. Ów nieszczęśliwy zajmuje obecnie cełę w domu[^] obłąkanych i cieszy się wśród pielęgniarzy opinią łagodnego i spokojnego do tego stopnia, że uciążliwe staje się jego pie—| lęgowanie, gdyż wymaga on starań jak człowiek pozbawio—| ny nerwów lub taki, którego na zawsze opuścił instynkt sa—| \ mozachowawczy, pozostawiając go nieczułym jak drewno.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykowski i

82

ALFREDO CARDONA FENA

Pierścień z orykalkiem*

— Tak mi pilno poznać wyniki analizy, że kiedy tylko dostałem od pana wiadomość, rzuciłem zaraz zajęcia w instytucie, żeby się z panem zobaczyć — mówił znany archeolog, pan Cornelio Dedalus, rozmawiając z doktorem Emilio Jaspe z Wydziału Chemii.

— Niech pan siada. Przypadek jest bardzo ciekawy i nawet ... powiedziałbym nieprawdopodobny.

— A nie mówiłem? — wtrącił z błyszczącymi oczyma. Przeczynałem to z góry. Ale niech pan mówi, niech pan

mówi...

Chemik otworzył szufladę biurka i wyjął z niej masywny pierścień, który kilka dni wcześniej wręczył mu archeolog, Dedalus pochylił się nad nim.

· Użyłem po raz pierwszy słowa „orykalk” w artykule pt. *Przejażdżka po Atlantydzie*, opublikowanym w 1947 r. w Meksyku, w stołecznym dzienniku „El Nacional”, po przeczytaniu Mereżkowskiego, który wspomina o tym metalu. Pomyślałem wówczas o napisaniu opowiadania na ten temat, ale zrealizowałem mój zamiar dopiero w 1960 r. Opowiadanie pod tytułem *Pierścień z orykalkiem* zostało skończone i przepisane na maszynie w grudniu tegoż roku. W lutym 1961 otrzymałem przesyłkę zawierającą książkę mojego przyjaciela, pisarza salwadorskiego, Salarrue: *Im Espada y otras narraciones* (Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury Republiki Salwadoru, 1960) i na stronie 187 odnalazłem ze zdziwieniem opowiadanie pod identycznym, co moje, tytułem. Treść, intryga i Jej rozwiązanie są w nim całkowicie odmienne, ale tytuł i motyw metalu z Atlantydą identyczne jak w moim. Wysłałem kopię mojego opowiadania do Salarrue, który w liście z 20 ‘utego 1961 odpisał mi następująco:

Drogi Cardona Pena,
dostałem Pański przemiły list i za—

‘ączone doń opowiadanie. Istotnie zbieżność motywów Jest ogromna.

anskie opowiadanie Jest dobrze napisane, a sposób potraktowania

Inetalu taki sam, Jak mój, bo też musi być coś z prawdy w twierdze—

83

— Niech pan spojrzy, doktorze. Wygląda na nic niej znaczącą błyskotkę, a jednak...

— To nie do wiary! Jak pan zapewne zauważył, część środkowa, o którą nam tu chodzi, otwiera się, jak we włoskich pierścieniach renesansowych, odsłaniając kilkucentymetrowe wydrążenie... Otóż, wymontowałem kamień, poddałem go wszystkim możliwym analizom, a każda z nich przyniosła inne wyniki. Zacząłem od prawa stosunków wielokrotnych Daltona, następnie zastosowałem analizę Caniz—zara na badanie liczby Avogadra, próbę elektroniczną, formułę Balmera, a nawet usiłowałem określić jego ciężar; atomowy za pomocą badania elektroskopowego promienia—] mi Roentgena, zgodnie z zasadą Moseleya... I za każdy razem— można oszaleć — otrzymywałem inne wyniki!

Zapadła krótka cisza. Słysząc było tykanie ręcznych zegarków. Dedalus podparł lewą ręką brodę i z uśmiechem wpatrywał się w chemika pytającym wzrokiem.

— Pozostaje więc jedyna alternatywa: albo tablica Mea—i delejewa, a z nią cała nasza wiedza z dziedziny chemii i zyki są błędne, albo ten pierwiastek nie istnieje. Wcale nie żartuję: jego istnienie jest niemożliwe...

— Zwycięstwo! — wykrzyknął Dedalus.

— Ja bym nie używał tego słowa — skorygował che mik.

— Kiedy wiedza nie może czegoś rozstrzygnąć, mo żerny mówić jedynie o porażce.

Dedalus podniósł się, oparł dłonie na stole i pochylają się w kierunku swego rozmówcy, rzekł z emfazą:

— Powoli, przyjacielu. Jeżeli badania, jakim poddał pan niaeh o jego istnieniu. Nie, nie czytałem Mereżkowskiego. Moje info macje, o ile dobrze pamiętam, pochodzą z książki (o charakterze ez terycznym) Maria Bosa de Luny: *Od Sewilli do Jukatenu*. Autor wspomina o dwóch medalach (czy też monetach) z orykalku, któf jak przypuszcza, znajdują się w British Museum. Na monetach tyci jest wyryty, jak to podaje w moim opowiadaniu, napis: „Kronos, Atlantydy”.

Ściskam Pana serdecznie i czekam na Pańskie nowe książki.
Salarru|

Oto autentyczna nistona, Którą można by zatytułować: „Tajemn dwóch opowiadań o tajemnicy”. Warto przypomnieć sobie tutaj, powiada Poe o tego rodzaju zbieżnościach.

[przyp. au

84

pierścień, nie wykryły natury metalu umieszczonego w oprawie, świadczy to, że ów przedmiot ma nieocenioną wartość, zarówno ze względu na swój wiek, jak i dlatego, że wskazuje własne pochodzenie.

— A jakie jest jego pochodzenie, jeśli można wiedzieć?

— Z Atlantydy!

— Z Atlantydy? Ejże, drogi Dedalusie — rzekł Jaspe, ciskając z irytacją okulary. — Nie powie mi pan chyba, że

uwierzył pan w opowieść Indianina!

— A czemu nie? W jakim celu miałby kłamać?

— Bądźmy rozsądni. Ten człowiek... Jakże on się nazywa?

— Juan Cituk, stary kacyk Tixcacalów z Quintana Roo.

— No dobrze, więc ten Juan Cituk może, jak każdy krajowiec, ulegać przesądom swojej rasy i dlatego...

— Chwileczkę! — przerwał Dedalus. — Kacyk nie wspominał nic o Atlantydzie. To są moje domysły.

— Pańskie?

— Tak moje, moje...

Niecierpliwiał się. Chciał uczynić tę chaotyczną rozmowę bardziej sensowną. Usiadł z powrotem, zapalił papierosa i zaczął mówić z pewnością siebie. W głębi duszy czuł się urażony niedowierzaniem, którego archeolodzy nie zwykli tolerować.

— Kiedy w zeszłym roku — powiedział — uniwersytet zorganizował wyprawę do Campeche i Quintana Roo, przyłączyłem się do niej, ponieważ chciałem sprawdzić na miejscu kilka etnologicznych hipotez dotyczących Majów. Po przebyciu łańcucha wzgórz w zachodniej części Jukatana przenocowaliśmy w wiosce Maxcanu i następnego dnia wyruszyliśmy na południe. Okrążyliśmy jezioro Bacalar, minęliśmy zatokę morską i dotarliśmy do bagien i studni Quintana Roo, niezwykle ważnych, jak pan wie, ze względu na zaopatrzenie w wodę tych okolic. Kiedy przybyliśmy do Majów z Tixcacal, wyszedł nam na spotkanie kacyk Juan Cituk, serdeczny i uśmiechnięty, pomimo trapiącego go nieszczęścia o

czym zaraz panu opowiem. Juan Cituk, ze swoim wskaźnikiem cefalicznym i ze swym profilem nie do pomylenia, mógłby figurować na którejś z kosmogonicz—nych steli. Wyglądał na jakieś osiemdziesiąt lat. Miedziany kolor skóry, sprytne, żywe oczy jak ślepia myszy (z fałdą

85

epikantyczną, o jakiej wspomina Morley) i inne rzucając się w oczy cechy antropologiczne czyniły zeń klasycznego. Maję. Dobry charakter tego człowieka, jego usposobienie, nawet w okolicznościach nie sprzyjających, wesołe i towarzyskie, dawały poznać się od razu. Cituk przedstawił nam swojego siostrzeńca, młodego człowieka niewielkiego wzrostu, a ten zwierzył mi się, że jego najmłodszy syn stoi u progu śmierci. Cituk zaprowadził nas do wsi i podczas gdy towarzysze wyprawy oporządzali się, poszedłem zobaczyć chorego.

Było to dziecko zaledwie sześciomiesięczne, ale tak wycieńczone, że aż żal było patrzeć. Zdałem sobie sprawę, że stan dziecka jest bardzo ciężki i wezwałem towarzyszącego wyprawie lekarza. Po zbadaniu chłopca okazało się, że cier—j pi na straszliwe odwodnienie. Zastrzyki z soli fizjologicznej, inne lekarstwa, a nawet łyżki wody wlewanej dziecku siłą, w ci^gu dwudziestu czterech godzin przywróciły mu życie.] Spędziliśmy w wiosce trzy dni, w trakcie których zrobiłem] wiele notatek i poczyniłem liczne obserwacje z dziedziny^ filologii. Zaprzyjaźniłem się z Citukiem i z jego rodziną, i Czuli się oni szczęśliwi w naszym towarzystwie, lubili! zwłaszcza, kiedy ich

totogratowaliśmy. Ale w końcu nade—: szła chwila pożegnania i odjazdu. Pewnej niedzieli, ran—: kiem, po śniadaniu złożonym z *atole* *, mięsa jeleniego i placków kukurydzianych, Juan Cituk odwołał mnie na \ stronę i powiedział: „Wiesz, chciałbym ci podziękować zaJ to, co dla nas zrobiłeś. Gdybyś nie zawołał tego pana, co ■ potrafi leczyć, dziecko by umarło. Nie mam czym ci zapłacić, ale dam ci ten pierścień, który należał do mojego dziadka”. Zdjął pierścień z palca i wręczył mi go. Zdawałem sobie sprawę, że obraziłbym go nie przyjmując podarunku. Gdyby wszystko skończyło się na tym, nie mielibyśmy dzisiaj problemu. Ale Cituk mówił dalej. „Wiesz — powiedział zniżając głos — to jest stary pierścień, bardzo stary, jeszcze z czasów przed nami. Mój dziadek mówił, że kiedy ten, kto go posiada, ma umrzeć, pierścień rozżarza się czerwonym blaskiem. Wiesz, ja widziałem to światło na palcu dziadka, tuż przed jego śmiercią. Wiesz?” Roześmiałem się. — „W porządku — odparłem — Jest jak jest,

* *Atole* — napój z gotowanej kukurydzy (przyp. tłum.).
przyjmuję podarunek.” Podałem mu rękę i rozstaliśmy się.

To wszystko. „~

— To wszystko? — spytał doktor Jaspe z niedowierzaniem

— No więc... przyznam się panu, że słowa Cituka o starożytności pierścienia, tak samo jak wyznanie o czerwonym świetle zapowiadającym śmierć właściciela wywarły na mnie wrażenie. Nie wierzę w to ostatnie, ale mimo wszystko...

Dedalus urwał na chwilę. W milczeniu bębnił palcami po biurku. Nagle wykrzyknął:

— Czytał pan Mereżkowskiego?

— Nie. Dlaczego pan pyta?

— Ponieważ Mereżkowski w swojej książce o Atlantydzie mówi o tajemniczym metalu zwanym orykalkiem (*marmayas pyroides*), którym były oblicowane mury zaginionego miasta. Przed zbliżającym się trzęsieniem ziemi wydzielaly smugi ognia, a w sytuacji normalnej miały... taki sam niebieskawy kolor, jaki może pan zaobserwować w pierścieniu.

— No cóż, Dedalusie, lepiej będzie, jeśli pan o tym zapomni. Ja nie mogę uznać istnienia takich rzeczy. Mój świat jest światem ścisłych badań i szczerze mówiąc...

— Zapomina pan, że ja niczego nie twierdzę. Z drugiej strony nie mogę odrzucić takiej możliwości. Liczba rzeczy „możliwych” jest prawie nieograniczona, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Toteż sceptycyzm jest w tym wypadku rzeczą słuszną, a nawet godną polecenia. Ja...

— Ale po co łączyć pierścień dawnych Majów z Atlantyda? Co pan zamierza?

— ■ Nic, chcę tylko przypomnieć stare teorie i przestudiować raz jeszcze hieroglify, w których ten naród, tak zamierzchły, jak i mądry, przekazał informację o wielkim kataklizmie.

Archeolog zdobywał grunt pod nogami. Jaspe był głęboko zainteresowany, ale starał się tego nie okazywać.

— Może mi pan wymienić jakieś dokumenty, mówiące o domniemanej katastrofie?

— Och, jest ich wiele! Wystarczy, że zacytuje tylko dwa:

Kodeks z Chimalpopoca, w którym czytamy, że „niebo opuściło się do lustra wód i w ciągu jednego dnia wszystko

87

zniknęło”, oraz *Popul Vuh*: „Dostojne wody — powiada księga — podniosły się w sercu nieba i zawrzały, i potężna ulewa spadła na wszelkie żywe stworzenie... Ogień i woda wytraciły wszystko”.

— Cytaty z pamięci nie są ściśle. Trzeba dotrzeć do samego jądra świadectw.

— Wiem, ale nie zaprzeczy pan, że to pasjonująca sprawa.

— Muszę przyznać, że tak...

Dedalus wziął pierścień do ręki. Podrzucił go kilka razy w powietrzu, jakby się bawiąc, i w końcu poturlał go po biurku. Nagle spojrzał na zegarek.

— Trzecia. Muszę już iść — powiedział zaniepokojony. — Zostawię go panu jeszcze na parę dni. Niech pan nie przerywa badań, bo być może ten przedmiot zdradzi nam tajemnicę mitu.

— Zapomniałem panu powiedzieć — dodał w tym momencie Jaspe — że jedynym, co dało się ustalić to to, że pierścień reaguje w próżni jak wolfram... przy działaniu prądem zmiennym rozpala się do czerwoności, ale poza tym nie ma żadnej z właściwości tego metalu.

— No proszę, widzi pan — niezły początek. Dobrze, ale na mnie już czas.

Kiedy Cornelio Dedalus otwierał drzwi, chemik odezwał się na pozór posępnym tonem:

A jeśli przerywać nie będzie, czy może się dowiedzieć?

— A jeśli rzeczywiście pierścien przepowiada śmierć? Archeolog błyskawicznie odwrócił twarz w jego stronę i przez chwilę, nie dłużej niż przez chwilę, wydało się, że się wzdrygnął. Ale zaraz wrócił do siebie i wysuwając ręce do przodu, jak ludzie, którzy chcą się pochwalić złotymi spinkami u mankietów, odparł ze śmiechem:

— Już pana tym zaraziłem, doktorze. Do zobaczenia, wróć za parę dni, chyba... żeby pan odkrył coś wcześniej, to proszę mnie zawiadomić. Ha... ha... ha! Niezły dowcip!

I zniknął, zamykając za sobą drzwi.

„Nie ulega wątpliwości — rozmyślał Jaspe w swoim gabinecie, że Dedalus przejął się głęboko tym, co powiedział Indianin. Więcej nawet: sędzę, że w głębi duszy jest przekonany o fatalnej władzy pierścienia. W każd3'm razie...

Wziął przedmiot do ręki i obejrzał go ponownie. Po czym zabrał się z powrotem do sprawdzania wyników laboratoryjnych, robiąc notatki na marginesie listy, którą mu przysłano. Ale nie mógł skupić się nad pracą, gdyż umysł, podrażniony wrażeniami, zwracał myśli ku problemowi pierścienia.

„To dziwne, całkiem dziwne... a może z upływem czasu zmienił się układ cząsteczkowy? Nie wierzę domysłom. Dla mnie fantazja jest siłą odwodzącą od prawdy, zwłaszcza jeśli wywiera wpływ na badania naukowe. Ach, ci idealisci! Dedalus omal nie połknął haczyka. Wierzy w mity... nie mogę na to pozwolić. Nie, w żadnym wypadku! Muszę... trzeba znów poddać pierścień próbie z wolframem. Prądy zmienne rozżarzające go

do czerwoności. A jeśli by nadać mu sztucznie kolor czerwony? Co by było, gdyby Dedalus zobaczył, że pierścień wydziela to światło na jego ręce? Żyłby dalej, rzecz jasna, a żyjąc przekonałby się, że Indianin fantazjował i że wszystko, wszystko co tylko jest materialne, poddaje się wyjaśnieniom. Tak, tak, zrobię to! Niezależnie od wszystkiego będzie to zabawne...”

Zawołał sekretarkę.

— Proszę przejrzeć — powiedział — te wyniki. Niech pani nie zapomni porównać listy, którą nam przysłano, z poprzednią.

— Naturalnie, panie doktorze. Pan wychodzi?

— Tak. Idę do domu i dziś już nie wracam.

— A jeśli będą dzwonić z uniwersytetu?

— Powie pani, że jutro dostarczymy im listę ostateczną.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

„Dalejże — powiedział sobie — zapalmy światło pośród mroków przesądu. Dedalus będzie mi za to wdzięczny”.

Zanim wszedł na górę do niewielkiego domowego laboratorium, chemik polecił żonie, żeby mu nikt nie przeszkadzał.

— Mam pilną pracę — wyjaśnił — i nie ma mnie w do—
Wu dla nikogo.

W swoim gabinecie, wyposażonym we wszelką możliwą

88

89

aparaturę, od retort do precyzyjnych przyrządów elektrochemicznych, przystąpił od razu do realizacji swego

zamysłu: należało umieścić w małej wnęce pod okiem pierścienia kilka ogniw, zdolnych do emisji czerwonego światła i w określonym czasie. Zajęcie zapowiadało się jako długo—] trwałe i precyzyjne. Miało to być dzieło wymagające cierp—] liwości, matematycznej dokładności, doskonałego dopasowa—] nia ogniw do małej wnęki w klejnocie, by po zamknię—] ciu nie można było zauważyć zwiększenia wagi ani cichut—] kiego tykania zegarowego mechanizmu, w jaki należało] zaopatrzyć aparat emisyjny.

Jaspe, w samej koszuli, uzbrojony w precyzyjną lupę zegarmistrzowską, oglądał pierścień, robił pomiary i obli—] czenia.

„Wszystko musi funkcjonować z dokładnością co do mi—] nuty — rozmyślał. — Ogniw musi być z najcieńszego! aluminium, a mechanizm zegarowy powinien mierzyć zaledwie kilka centymetrów. Kiedy będę miał naładowane baterie, połączę je z zegarem. Konstrukcję zegara trzeci będzie powierzyć uniwersyteckiemu zegarmistrzowi. Decyduję się założyć pierścień wieczorem. Jak mówił, kładzie się spać o jedenastej. Punktualnie o dwunastej powinny zacząć działać ogniw, tak żeby on albo jego żona, zdążyli jeszcze przed zaśnięciem zaobserwować zjawisko.

Była dziewiąta, kiedy promieniejący zadowolenie zszedł na dół na kolację.

Mały mechanizm był gotów w ciągu tygodnia. Doirowi Jaspe udało się skonstruować znakomity mechanizm elektroniczny, w którego wykonaniu skromny zegarmistrz miał nie

ciekomy, w którego wykonaniu skromny zegarek miał nie najmniejszy udział. Przed przystąpieniem do realizacji planu sprawdził kilkakrotnie skuteczność aparatu i nie dostrzegł większych zakłóceń w jego działaniu. Trze próba przyniosła różnicę trzech minut i dwóch sekund w stosunku do pierwszej, ale chemik doszedł do wniosku że to niewielkie opóźnienie nie przeszkodzi w realizacji myśli. Czerwone światło, po połączeniu baterii z me nizmem zegarowym o szóstej po południu, zaczęło się poka—j zywać o godzinie 12.03'.02". To niewielkie opóźnienie był najmniej ważne. Najważniejsze, że nie dawało się zauwai

żyć zwiększenia wagi ani nie było słycać leciutkiego tykania mechanizmu.

„Doskonale — stwierdził. — Jutro mu go wręcę i powiem, że nie wykryłem niczego, poza lekkim podniesieniem temperatury wywołanym prądami zmiennymi. Powiem mu, żeby go nie zdejmował przez dwa dni, obserwował ewentualne reakcje metalu. . . i nic poza tym. Eksperyment będzie sukcesem. Dedalus przestanie wierzyć w mit.”

Następnego dnia rano archeolog odebrał swój pierścień, założył go i obiecał nie zdejmować. Wręczając klejnot Jaspe nie mógł opanować pewnej dozy emocji i o mało go nie upuścił, co zaprzepaściłoby całą sprawę.

— Są metale tak wrażliwe — wyjaśnił koledze, by odwrócić jego uwagę — że zmieniają temperaturę, a nawet barwę, w zależności od rytmu tętna tego, kto je nosi. Być może pański pierścień należy do tej kategorii. No cóż, niech go pan

obserwuje i nie omieszka mnie zawiadomić o czymś nowym. Nadal jestem sceptykiem i mogę pana zapewnić, że gdyby nawet pierścień emitował światło, co wydaje mi się nieprawdopodobne, nie będzie to jeszcze znaczyło, że ten straszliwy przedmiot przepowiada czyjeś nieszczęście.

— Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam — odparł spokojnie Dedalus. — Wiem tylko, że właściwości tego metalu są nieznane i że Indianie, kiedy coś ofiarowują, nie zwykli kłamać. Tak więc...

— Nic, nic, zobaczy pan, jak się rozwieją pańskie wątpliwości. Niech mi pan wierzy.

Pożegnali się. Podając rękę archeologowi, Jaspe wyczuł lekkie drżenie dłoni przyjaciela, ale nie dodał ani słowa i nieco zaintrygowany opuścił gabinet.

O 12.30 w nocy dzwonek telefonu wstrząsnął pokojem °d podłogi aż* po sufit. Jaspe wyskoczył z łóżka.

— Tak, tak, słucham... Kto? Była to żona archeologa.

■— Niech pan przyjeżdża natychmiast! Stało się coś strasznego!

Pojechał. Kiedy wszedł do mieszkania, żona Cornelio ■^edalusa, w ubraniu w nieładzie i rozhisteryzowana, wskazała mu sypialnię:

90

91

— Niech pan wejdzie, niech pan tam idzie! Niech panj coś zrobi!

— Ale co, u licha, co się stało?

Jaspe wszedł i zobaczył na łóżku swego przyjaciela. Smutny uśmiech błąkał mu się po zimnych już wargach, a ze wskazującego palca lewej ręki, na którym nosił pierścień, dziwna fosforoscencja pomarańczowej barwy rzuciła światło na ciało. Przypominał widmo palące papierosa, pośród krzyków oszalałej kobiety.

Jaspe rzucił się do trupa i usiłował ściągnąć mu pierścień, ale natychmiast musiał cofnąć rękę, poczuł bowiem, że metal rozgrzany jest do czerwoności. ;;

— Szybko! — zawołał. — Dzwonić na policję! — Iz je*
kiem dodał: — To ja jestem sprawcą tego nieszczęścia!

Resztę podała prasa, ale po skandalu odbyła się rehabi—l
litacja i chemik Emilio Jaspe, wybitny uczony i pracownik
uniwersytetu, odzyskał swoje stanowisko, zdobywając we tum
zaufania. i

Zdarzyło się bowiem, że w godzinę po przybyciu policji i
lekarza sądowego pierścień ostygł i dziwne światło jakU
emanował, zgasło. Wówczas Jaspe otworzył małą ko morę
klejnotu i przekonał się, zdziwiony i osłupiały, że jes całkiem
pusta. Mechanizm z ogniwoami i mikroskopijny: zegarem, zniknął.
Doszedłszy do siebie, Jaspe opowiedzu szczegółowo swój udział
w wydarzeniu, ale kiedy był jul o krok do formalnego uwięzienia
(„trzydzieści lat, co naj—j mniej” — pisali sprawozdawcy
kroniki policyjnej), znale) ziono następujący list, adresowany do
niego i opatrzonij wiarygodnym podpisem:

Przyjacielu Jaspe,
chciał mi nan snł

tać figła, a ja ze swej strony rewanżuję się innym. Odkryłem na czas pański trick z pierścionkiem, wyjąłem zegar i aparat emisyjny, który pan tak zręcznie skonstruował. Tak więc pierścień nie będzie mógł zapowiadać mojej śmierci—* ci (a może ją zapowie?), ale ja ją sfinguję, żeby dać pańską naukę. Gdybym przypadkiem nie mógł symulować dłużej i umarł naprawdę, proszę, żeby pan zwrócił corpus delicti jego dawnemu i prawowitemu właścicielowi, który posiadać

92

rzecz jasna, klucz do tej tak bajecznej i tak intrygującej tajemnicy. Przepraszam z góry za ten kłopot, ostatni, jaki panu sprawiam. Pozostaję z wyrazami szacunku. Pański kolega
Cornelio Dedalius.

Upłynęło dziesięć lat i nikt nie dowiedział się o miejscu pobytu doktora Emilia Jaspe. Wiadomo tylko, że porzucił pracę na uniwersytecie i zaszył się w stanie Jukatan i sąsiadujących z nim okolicach. Widziano go po raz ostatni, jak zaspokajał pragnienie na niebezpiecznych mokradłach Quintana Roo i wypytywał tubylców o niejakiego Juana Cituka. Na sznurze zawieszonym na szyi nosi żelazną szkatułkę wielkości gołębiego jaja, której nigdy nie otwiera i z którą nigdy się nie rozstaje, nawet kiedy zmorzony zmęczeniem kładzie się spać w cieniu kolczastych zarośli.

Przełożył Jerzy Kuhn

Ł

RAUL CARRILLO MEZA

Jestem swym własnym ojcem

Bywałem wszędzie i lubiłem gawędzić z ludźmi. Ze wszystkimi ludźmi i o wszystkich sprawach, jakie się wydarzyły i jakie miały się zdarzyć. Kiedy nie było o czym mówić, ja sam wynajdywałem zdarzenia, a kiedy nie była co robić, również ja wynajdywałem zajęcia i nie szło mi to źle; sądzę raczej, że robiłem to bardzo dobrze. Było to zresztą dosyć łatwe w owych czasach, kiedy nic nie istniało, stwarzać z niczego i wydobywać z nicności ogół rzeczy i ogół słów, jakich mógłby ktoś potrzebować. Doszedłem do tego, że czułem się zdolny stworzyć nawet nieskończoność jedynie siłą myśli. I czułem się także zdolnym do wymierzania i kar, do unicestwiania przy pomocy tej samej siły wszyst—J kich ludzi i wszystkich rzeczy, jakie istniały i jakie miały zaistnieć.

Teraz jestem tutaj, znów sam i opuszczony, ponieważ] tak rozkazał mój ojciec.

On wciąż jeszcze ma ten swój stary zwyczaj wysyłania mnie daleko, aby potem porzucić na pastwę losu. Nie: ska—: żując na męczeństwo syna człowieczego nie osiągnie się ni—5 czego w sprawie wiecznego zbawienia dusz ani odpuszczę—; nia grzechów. Wiem o tym, odkąd posłał mnie w swoim imieniu po raz pierwszy. Teraz jestem spokojny i sam. Wyciągnięty na łóżku pośrodku pokoju, tak jakbym był przy—; bity do krzyża.

To już tradycja, że muszę umrzeć.

Leżę naprzeciw cienia i światła z okna, zamykam oczy i tworzę własną ciemność i własną ciszę. Dzięki temu za—* biegowi mogę ratować się ucieczką od ludzi... lub odnaleźć j

brzuchy wszystkich kobiet i zapłodnić je na mój obraz” i podobieństwo...

O nich, o moich rodzicach, zachowałem zaledwie nie— jasne wspomnienie. Prawie ich zagubiłem w pamięci pośród

94

tyłu twarzy należących do tylu osób, jakie zdarzyło mi się poznać. Ona miała imponującą postawę, żelazny i władczy charakter. Lubiała jasne poranki, pełne ptaków i czystego, ostrego powietrza.

„W zdrowym ciele zdrowy duch” — powtarzała wciąż moja matka. I wychodziliśmy o wczesnej porze na spacer po brukowanych i cichych ulicach miasteczka, szukając miejsc udoju, żeby napić się mleka prosto od krowy, pieniącego się i ciepłego, o leśnym posmaku. Zabawiałem się, słuchając i obserwując dojarzy i teraz jeszcze pamiętam, że spluwali na dłonie, żeby wymię ślizgało się lepiej między palcami.

— Takie mleko jest dobre dla dzieci, żeby rosły zdrowe i silne na ciele i duszy — mawiała moja matka.

Wyrosłem silny na tyle, że zawsze znosiłem wszystkie krzyże, jakie mi nakładano. I ruszałem w drogę. W moich wędrówkach nauczyłem się kroczyć szlakiem radości; traktowałem ją jako sposób na to, by rozerwać się trochę; trochę w pobliżu śmierci.

Bardzo lubiłem weselić się, ale ojciec wpadał w gniew, ilekroć mnie widział radosnym.

— Kiiem... kiiem no grzbiecie! — krzyczał. chwytając mnie

jedną ręką za włosy, podczas gdy drugą okładał mnie niezmordowanie batem po plecach. — Tylko głupcy i grzesznicy spędzają czas przy piwie i wódce.

Ale ja bawię się dobrze wszędzie. Jestem gorliwym i skrupulatnym obserwatorem. Mam zwyczaj przemyśliwać wielokrotnie wszystkie sprawy, jakie mi się zdarzyły i jakie mogą mi się zdarzyć. Zaprawdę, zamieniłbym chętnie własną krew w wino, by zalać nim ziemię i nasycić wszystkie stworzenia. Myślę, że lepiej nauczyć je nurzania się w winie, żeby zapomniały o nałogu nurzania się we krwi. Dlatego też zaczęły mnie śmieszyć pomysły mojego ojca. Wybucham wściekłym śmiechem, kiedy słyszę jego pogróżki, obietnice kary. I przyzwyczałem się też do jego obyczaju wysyłania mnie daleko w swoim imieniu, bym nauczył się cierpliwości wobec możnych, wobec niesprawiedliwych, wobec okrutników i wobec niegodziwców.

Dobrze robią ci, którzy odrzucają kaznodziejów pokory i strachu. Najgorsze, że on wysłał mnie w swoim imieniu, a następnie rzuca na pastwę losu.

95

Mój ojciec był kiedyś bardzo energiczny i porywczy. Te—i raz jest stary i zna się na wszystkim. Mógłby być jakimś dobrym specjalistą, kapłanem, wojskowym albo cieślą, ale tyle go już włóczono w tę i we w tę, że dzisiaj prawie niktł się go nie boi, a wielu, bardzo wielu, straciło wiarę i mi—| łość do niego.

On wiedział, co robi. Wiedział to zawsze i znając kładnie wagę i cenę wypoczynku, tak się urządził od; chwili rozpoczęcia

swojej pierwszej pracy, żeby mieć wolną sobotę; wówczas wychodził z przyjaciółmi. Ledwie: to sobie przypominam, za to jedno pamiętam jak dziś, że—powtarzali co chwila, jak to wspaniale się bawią, pijąc cu—H downy nektar bogów.

Uciekłem z domu po raz pierwszy, kiedy miałem jakieś dwanaście lat. Udałem się na zwiedzanie świata, sam! i z własnej woli. Coś powiadomiło mnie niedwuznacznie^ jakaś „błyskawica, jakaś oślepiająca iskra, która oświecił mnie od wewnątrz, czy też anioł— ponieważ istnieją lu—» dzie, którzy mają anioła — że muszę odejść.

Oni, moi rodzice, byli dokładnie tym, co się zwykło nazywać głową myszy, w przysłowiu, które powiada, że „lepiej być głową myszy niż ogonem lwa”. Ale naród topi takie głowy, a później naród gryzie własny ogon jak pie który zaczyna gonić muchę, a kończy, kręcąc się w kółh w pogoni za własnym chwostem. Takie jest to miastecz i taka jest cała prowincja, toteż lepsze są drogi. Odszedłemj ponieważ nie chciałem być niczym ogonem ani głową, be imienia i bez przyszłości w tym mieście. Odszedłem z dzieją znalezienia mistrzów pośród ludzi.

Nigdy nie zatrzymywałem się, by policzyć czas czy jęcia, chleby, czy też razy. Nie zależało mi na nauczaniu się nazw miast ani na utrwaleniu w pamięci poznanych osób, a najmniej już na zagrzaniu gdzieś miejsca. Chciałem tylko wędrować i rozmawiać, i być wszędzie, i słuc wszystkich głosów wypowiadających jedyny sens wszystkie sensów. I nagle zacząłem dostrzegać i organizować w naj* głębszej istocie moich komórek siłę leczniczą, jaką posiadają gest i słowo, i zapragnąłem leczyć, a

oni także chcieli, by mógł uzdrawiać chorych; ale zdałem sobie sprawę, że cała świat toczy się źle, że nie kończący się rejestr negocjacji skaził dusze. Poświęciłem się wówczas ponownemu odczytaniu *ży4*

cia świata, ponownemu przejrzeniu anegdot o ludziach, jakimi zabawia nas historia i zacząłem na każdym kroku stykać się z tymi samymi odwiecznymi bolączkami sprzed dwóch tysięcy lat, uwiecznionymi w treści jednego tylko słowa:

— Głód... głód wszelkiej sprawiedliwości. Głód wszelkiej miłości!...

Istnieje także tortura, choć nieco innego rodzaju, zawarta w słowie: pragnienie. Nienasycone pragnienie napojów i nektarów. Pragnienie świeżej wody i szczerego, świeżego pocałunku. Kryształiczne pragnienie owoców i soków na pustyni.

Ale między tymi dwoma rodzajami cierpienia jest pewna różnica: głód można oszukiwać albo można go znosić. Cokolwiek można obiecać głodującym, wszystko można uzyskać w imieniu głodujących. Z pragnieniem nie należy żartować.

Tutaj pracuje się i wywiera się presję prawem głodu. Głód sam okazuje się nieraz czymś takim jak dobra praca, która daje pożywienie. To tak, jak ktoś kiedyś powiedział:

— Będziesz zdobywał swój chleb w pocie i głodzie innych. Nie. Mój ojciec nie jest taki głupi. Nigdy nie pomyślał, nie powiedział ani też nie wierzył w podobne barbarzyństwo, choć tak by go chcieli przedstawić zainteresowani; przykładów jest aż nadto. To sprawa wiecznie tych samych głodzących,

reprezentujących wszystkie zajęcia i zawody. Można ich łatwo rozpoznać po oczkach żywych i twardych jak u raka, po lśniącej skórze i zaspokojonym brzuchu. Ale istnieją też fakirzy, zawodowi pościciele, wojownicy konieczności: są to ci, którzy nie jedzą, żeby zarobić pieniądze na jedzenie, a nawet na podróże, a podróżować, no cóż... no to podróżować. Ci także są łatwi do rozpoznania po wychudzonych ciałach, twardych kościach i błyszczących oczach. Ale potrzeba sama w sobie nie zmieniła się, Wciąż brak tego samego. Wiem czego: bata i ognia. Chleba i ryb.

Są głodzący i głodujący wszystkich czasów, amatorzy i zawodowcy; ale nigdy nie istnieli pozbawiający napojów ani w czynie, ani w słowie. Nie istnieją i teraz, ponieważ Picie jest całkiem inną sprawą. W ostateczności ktoś może

96

7 _

W zaczarowanym zwierciadle

97

wypić swoje własne łzy, gorzkie niczym żółć, albo własną j krew, octowatą i skwaszoną przez długie pragnienie.

Grzmi za to, nieubłagalny od wieków, strofujący głos] tych, co się mieniają ojcami:

Ojcowie Kościoła.

Ojcowie Ojczyzny.

Ojcowie rodziny i wszystkich rzeczy, jakie się zdarzyły i jakie się mają zdarzyć. Każdy z kamieniem w zaciśniętej dłoni, z belką w oku, zmieniająca mu wzrok z gęstymi odrazami

ucisk w oku, zachmiewając mi wzrok, z gestem otaczy i słowami potępienia na końcu języka:

— Nie upijajcie się!

— Nie cudzołóźcie!

— Nie zabijajcie!

— Nie kradnijcie! Nie wzbogacajcie się...! Grzesznicy!

Bezbożnicy!

Tak mówią ojcowie mentorzy, posiadacze wszystkie kłamstw, a im więcej mówią, tym bliżej im do zostan prezydenckimi, ministerialnymi lub biskupimi.

Ach, monstra większe od wielbłąda! Falszywi prorocy[^] obcy królestwu niebios, gdzie nie wejdą nigdy, nawę i przez lufcik! Bata na nich, chorych wszystkich czasów| Ognia na nich, chorych na ambicję i seks! Niech trze w płomieniach chorobliwa duma bez podstaw i bez pokory|

To śmieszne oglądać siebie samego, wyciągniętego łożu, cichego i spokojnego pośród samotności, czując, ciało drży od wewnątrz, gdyż właśnie ma się olbrzymia trąba ognista, która wzrośnie ze świecącego ołtarzy i oczyści nawet serce salamandry. Wiem to na p no. I dlatego drży ogarnięta lękiem skóra, wstrząsa ciało i wibruje we mnie niedostrzegalne i niepohamowa pulsowanie śmiechu, kiedy patrzę na siebie, jak leżę tutaj| cichy i spokojny.

— Ojczy, dlaczegoś mnie opuścił? — pytam.

I nie obchodzi mnie los tego przegniętego domostwa, nego sal i korytarzy, i gnijących ludzi.

Oni są wciąż ci sami, w nieprzeliczonych mias i wsiach, w

historyjkach i w anegdotach, jakie się wiada w historii. Nikt, ani nic ich nie zmieniło. Wi^ę o tym, bo mam za sobą dwa tysiące lat powrotów. Kc stają ze wszystkich wybiegów i ze wszystkich słów usprawiedliwienia swoich czynów. Wynaleźli na przykl sprawę jatóek, żeby nadać inną barwę oraz inny smak właściwej sprawie. To jest problem zasadniczy, który porusza ich najmocniej i który nimi powoduje, ale istnieje też trochę innych nonsensów, które nie pozwalają im wypocząć ani odetchnąć. Ja, prawdę mówiąc, nie potrzebuję nikogo. Nawet po to, by umrzeć. Jestem, jak to się zwykło określać, prawdziwym samotnikiem.

Kiedyś, gdy dochodziłem do tego punktu w moich rozważaniach i sporach z sobą, krew robiła mi się coraz bardziej czerwona i gorąca i zamykałem się wówczas w mieszkaniu, nie śpiąc i nie jedząc, a tylko pijąc odrobinę. Zatopiony we własnym gniewie, zbuntowany przeciwko ojcu, który upiera się, bym wciąż tu powracał. W takich chwilach rozum i uczucia wymykają mi się spod kontroli, gubią mi się i rozpraszają po świecie... obieżyświaty... obieżyplącze... obieżyszlochy...

Śmieszyl mnie zawsze mój ojciec. Wściekle się śmiałem, niczym furiat, kiedy go sobie wyobrażałem, jak w otoczeniu dziewic, czterdziestoletnich wizjonerek i przyjaciół impotentów, zabawia się spożywając cudowny nektar bogów i słuchając modnej muzyki z szafy grającej.

W tych rozważaniach znajdowałem potrzebną mi siłę do wytrwania w bezsenności i poście.

Poczerwieniałe słońce znaczy wydłużone cienie. Słońce od

—wydłużonych—okien—na—wietrze. Słońce od—
rozciągniętych—prętów klatki—na—podłodze. Ale nieważna
jest noc ani światło dnia, ponieważ można sobie stworzyć własną
ciemność, uciskając pięściami zamknięte powieki, a pojawiają
się iskry i gwiazdy, i kolorowe wieńce, wirujące wewnątrz
własnej nocy.

Nie ruszę się stąd, kiedy zacznie się oczyszczenie.
Uzbrojony w haczyk i wędkę, będę łowił ryby ognia,
oświetlające ołtarz. I ryby zamienią się w rzeki, a rzeki we
wzburzone morze iskiei i płomieni. Ja będę sam i spokojny.
Wyciąg—nięty na łóżku, niczym ktoś przybity do krzyża. Nie
będę S1ę ruszał, ani krzyczał, choćby mnie otoczyły wszystkie
zgiełki trwogi; niech krzyczą oni. Niech wpadają na siebie /
zderzają się, oszaleli ze strachu, wzdłuż sal i korytarzy tego
przeгниłego domostwa i niech się wypełni ich przeznaczenie. Taki
był zawsze rezultat pomysłów mojego ojca. Ale dzisiaj nastąpi
finał, ponieważ teraz, w mojej samotno—

99

ści, jestem swym własnym wszechmogącym w mym włas
nym królestwie.

Śmiać mi się chce, staje się wściekły, niczym furiat, śmiechu,
kiedy sobie przypomnę, co myśleli i co mówi kiedy moja matka
wyzionęła ducha... i zagineła na wiek wieków...

Byłem z nią razem, czekając aż ujrzę jej powrót z zier
pozbawionej wiatru i lata, czekając na zmartwychwstanie
komórek, na błogosławieństwo biednych i na ukarani[^]
orzeshników Teraz już nie chce być wszędzie Nie chc

grzeszników. Teraz już nie chcę być wspaniałym... I nie chcę wynajdywać zajęć ani słów odnoszących się do nicości. I nie chcę oglądać więcej krzyżowania odkupicieli...

I podczas gdy rośnie i ogromnieje rozszalały ocean pł mieni i krzyków, trwam nieruchomo, czekając na przerwę mojego ciała w ciało salamandry, w ciało anioła, zrealizować wreszcie podbój tamtego królestwa...

O

Przełożył Jerzy Kuh

JOSE EMILIO PACHECO

Ogród zoologiczny

ii

Do krańca parku przylega ogród botaniczny. Ten sztucznie zasadzony gąszcz wznosi się tuż za zakrętem, poza oranżerią, po drugiej stronie pustyni z kaktusami, za dziewiątym jeziorem. Miejsce jest niebezpieczne i dyrekcja parku przydzieliła kilku policjantów do pilnowania go. Wybija godzina dziesiąta rano i na skraj fikcyjnej puszczy przybywa nauczycielka szkoły podstawowej z dziećmi. Kobieta pozdrawia po imieniu policjantów, a następnie głosem, któremu pragnie nadać marsowe brzmienie, nakazuje dzieciom równać w prawo. Każe wystąpić uczniom: Zamorze i Lai—nezowi. Nauczycielka mówi o ich złym zachowaniu, o braku zainteresowania nauką, o skórcie pomarańczy, którą Zamora wystrzelił do niej z procy, o nieprzyzwoitych gestach, jakie robił Lainez, gdy odwróciła się plecami, aby pokazać błędy w dodawaniu, którego on nie potrafił wykonać na tablicy. Następnie nauczycielka chwytą

dzieci za uszy i nie bacząc na ich wrzaski, podniecona aplauzem i aprobatą pozostałych i obojętnym zachowaniem dozorców, ciągnie Laineza i Zamorę w stronę macek mięsożernej rośliny. Roślina chwytą ich i zaczyna zachłannie wsysać. Widać już tylko wybrzuszenie na jej pniu i żarłoczne ruchy robaczkowe: można domyślić się duszenia, działania kwasów trawien—nych, miążdżenia kości. Nauczycielka — z rezygnacją, ze znużeniem — rozpoczyna przewidzianą na dziś lekcję botaniki *in vivo* i wyjaśnia swoim uczniom podobieństwo w trawieniu roślin mięsożernych i w procesie trawiennym u boa dusiciela. Jedno z dzieci podnosi rękę i patrząc z roztargnieniem na roślinę, u której nie widać już najmniejszego ruchu, pyta nauczycielkę, co to jest boa dusiciel.

101

III

Uwielbiam niedziele w ogrodzie zoologicznym gdzie jest tyle zwierzątek, że wydaje mi się że śnię albo oszalałem z radości i że mogę ciągle oglądać tak wiele różnych rze i drapieżników, które się bawią, kochają i mają za\ ochęć zabijać się wzajemnie, i przyglądam się z ^

jemnością jak jedzą szkoda że wszystkie tak nieprzyjem—nie pachną a raczej śmierdzą bo choćby nie wiem jak stać rano się utrzymać ogród w czystości zwłaszcza w niedzielę wszystkie zwierzęta cuchną jak diabli jednak myślę że or patrząc na nas bawią się tak samo jak my dlatego tak przykro że ciągle tu są muszą mieć bardzo ciężkie życie robiąc zawsze to samo aby ci drudzy się śmiali czy prób wali im zrobić krzywdę i nie mogą

zrozumieć że niektór podchodzą do mojej klatki i mówią patrz jaki tygrys boisz się bo gdyby nawet nie było krat nie ruszyłbym stąd żeby ich zaatakować gdyż wszyscy wiedzą że zaws mi było ich bardzo żal

żają się w tyranów. Zręczne w swej grze, choć z natury tchórzliwe, szympansy grają jedynie rolę błaznów, dla rozrywki tych z wyspy i tych z zewnątrz. Mniejszości etniczne, jak saraguaty, małpy titi i małpy pająki, żyją w potwornym stanie niewolnictwa. Mandryle oddają się składaniu hołdów goryłom, młodzieżą nikt się nie zajmuje; prostytutcja i perwersja demoralizują wszystkich od dziecka i codziennie zwiększa się przestępczość. Niezdolne do buntu przeciwko człowiekowi, który chwytając je zniszczył ich prymitywny raj i przywiózł je obolałe i na pół uduszone w żelaznych trumnach do ogrodu, małpy unicestwiają się wzajemnie i wiele z nich pozwoliło się omamić, tak że potworności wyspy są naturalnym porządkiem tego świata, że sprawy zawsze tak wyglądały, tak trwać będą zawsze i że kamienny mur i ogrodzenie są nie do przebycia. Ale być może wystarczyłby jeden tylko zarodek buntu, aby wszystko potoczyło się inaczej.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykowski

VII

W cieniu lunaparku wznosi się wyspa małp. Fosa i ogrodzenie oddzielają ją od tych, którzy z ironią czy litością przyglądają się ich życiu. W otwartej puszczy, jaką pozna tylko pierwsze pokolenie więźniów ogrodu zoologicznego (dziś już wymarłe). małpy żyły w niewielkiej ilości i w koiu. nie gwałcać

praw warstw niższych swojego gatunku W przeludnionej niewoli mogą pozwolić sobie na wszystko Napięcie, agresywne współzycie, śmiertelny hałas, brak świeżego powietrza i przestrzeni zmuszają je do spożywania całych ton bananów i orzeszków ziemnych. Wielokrotnie w ciągu dnia wystraszeni i uzbrojeni, ludzie muszą całkowicie uprzątnąć wyspę, aby odchody i śmiecie nie zadziwiły mieszkańców. Tak więc zasadniczo małpy mają zagwarantowaną egzystencję: nie muszą troszczyć się o zdobywanie pokarmu i weterynarze (gdy to możliwe) leczą ich rany i choroby. Niemniej jednak życie na wyspie jest krótkie i kosztowne. Więzienny system oparty jest na bezkarności hierarchii, która sprawia, że szefowie wspólnoty przeobra*

102

MANUEL DEL CABRAL

Gal

Gal podniósł się z pościeli wyraźnie zdziwiony, bo jakkolwiek nie był z natury egzaltowany ani trwożliwy, nie mógł powstrzymać nagłego odruchu zdumienia, jakie przebiegło mu tętnem od oczu w dół, po całym ciele; i drżąc rozpoczął mówić do siebie zadając sobie pytanie: Dlaczego obudziłem się z zakrwawionymi rękami? Kiedy i w jaki sposób zbroczyły się krewią moje dłonie, skoro nie są skażone ani mnie nawet nie boją? A poza tym, skoro spałem przez całą noc, skoro nikt nie zakłócił mi głębokiego snu, —] korzenie jakiego cienia skrywają tajemnicę tego zadziwiającego zjawiska?

Takie pytania zadawał sobie Gal owego ranka, kiedy to —

obudził się z rękami naznaczonymi piętnem tragedii. Jed—
nakże ponieważ duma męska nieustannie łechce człowieka ! czy
to w pięty, czy to w słowa, a ponadto, aby nikt niej wątpił w
jego dobrą wiarę, Gal podejmuje bohaterską de—, cyżę i
postanawia pochować ten fakt w grobie milczenia, |
wykrzykując: „Ostatecznie da się to zmyć wodą”. W chwilę i
potem jego ręce nabrały doskonałej czystości.

Ale... A instykt Gala? Jego węch czuł się po domu, jak
węch psa w poszukiwaniu zdobyczy... Mimo to pędził swoje
życie fizyczne jak zawsze normalnie i nawet najzwyczajniejszy z jego
czynów nie uzewnętrzniał ukrytego hu—; raganu ani nawet
najbardziej przenikliwy z jego przyjaciół; nie dostrzegał w nim
gwałtownej przemiany wewnętrznej. Był wciąż ten sam dla
wszystkich, ponieważ jego duma i siła moralna opierały się na
solidnej podstawie: na jego charakterze.

Ale innego ranka Gal budzi się uperfumowanymi rękami, w
których woni zawiera się niezatarte wspomnienie szyi gwałconej
kobiety. Ten drugi fakt zadziwił go jeszcze bar—

dziej, ponieważ obudził w nim uporczywe i drażące podej
żnienie, które co chwila pożerało mu to wszystko, co należy do
dziedziny wrażliwości i myśli. I ponury wrócił do swoich
poprzednich monologów. Ale i tym razem w czystej glebi
milczenia pogrzebał swoją bolesną tajemnicę.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy znowu pewnego ranŁ ręce
Gala obudziły się obarczone ciężarem dziwnych klu czy... Oczy
Gala rozwarły się szeroko, niczym dwa okrzyk bez granic.
Zdziwienie spływało mu po całym ciele, podob ne rzece igieł.

Skoro mieszkał i sypiał całkiem sam, jak mógł sobie to wszystko wytłumaczyć? Jak mógł powstrzymać swój lęk? Straszliwe podejrzenie drażyło mu wolę z leńczym uporem. Bawił się ze swym cieniem. Ale zdobył się na wysiłek, zebrał klucze, które w jego palcach zadzwoniły melodią przestępstwa, owinął je w ciemną szmat i w głębokiej dziurze na podwórku zakopał je ostro. Jednak to go nie uspokoiło.

Jakie kroki powinien teraz poczynić? W którą stronę zwrócić się w poszukiwaniu światła? Jaka droga go oca? Gal był całkowicie pewien swojej niewinności, ale jakże udowodnić, skoro ma ciało przestępcy? A nadto nie źródła, nie znał siły, która kryła się za tym wszystkim.

Milczenie było jego tragedią.

Niemniej jednak Gal postanawia pisać swoje wspomnienia. I nie waha się w nich wyrazić swoich najgłębszych słabości; i mówi o tajemniczym fluidzie, który owiewa ciało i rządzi pewnymi sprawami jego życia, wywołują w jego mocnym charakterze niepoprawną nieśmiałość i stłumiony, przesądny lęk. Nie może zrozumieć, jak to się stało, zaczął lękać się samego siebie i że pomysłem najbardziej dla niego kojącym jest móc uciec od własnego ja; pragnie się rozdzielić, nie słyszeć własnego głosu, uciec od własnych źródeł.

Ale czas i duma zderzają Gala, a ten nie może pojąć, jego tajemnicza dolegliwość polega na tym, iż ktoś posługuje się jego rękami podczas jego snu. To Hindus Szymo oczekuje tej właśnie godziny, w której Gal zasypia, w danym momencie zawładnąć jego dłońmi. Od dłuższego czasu Szymon wykorzystuje ręce Gala;

i od dłuższego su ludzie nie mogą wykryć sprawcy pewnych rabunkóij gwałtów i zbrodni doskonałych. A Szymon wciąż się wzt

gacą gigantycznymi dokonaniem i tylko on wie, że jego własne dłonie są skrwawione, krwią tak bardzo niewidoczną dla obcych, że tylko sprawczynie tych faktów... — niewinne ręce Gala — znają tę krew.

Jednakże biegną dni i pewnej nocy mag zostaje owładnięty ciężką chorobą i w malignie wywołuje potok węży z kapeluszy lekarzy; i nagle, ze wszystkich kątów domu Szymona zaczynają wypełzać żmije, coraz więcej i więcej, aż nadchodzi chwila, w której, z powodu rosnącej gorączki, jego magiczne palce nie mogą już powstrzymać własnej nikczemnej i diabolicznej kreacji i tajemnicza rzeka gadów, wiedzionych nieomylnym impulsem, pożera wszystko, co napotyka po drodze w domu Hindusa.

Ale wybija północ, ta właśnie pora, kiedy Szymon rządzi palcami pewnego śpiącego człowieka; i w tym momencie, jakby posłuszne wezwaniu, przybywają ręce Gala, a jest to chwila, w której węże, klębiące się i oszalałe, zaczynają pożerać swojego pana; palce Gala odrywają żmije od gardła Szymona; ale jest już za późno.

Tego ranka Gal obudził się bez rąk... Odnaleziono je na trupie Szymona.

Przełożył Jerzy Kiihn

106

LISANDRO CHAYEZ ALFARO

Szkie o palcum sie Hieronimia

jakby miał za chwilę poklepać go po ramieniu i wygłosić wyrazy współczucia. Hieronim podjął bieg do środka piekła. Torował sobie drogę między ławicami ludzi, nurkując w masie rozbłysków i cieni, aż osiągnął jako nagrodę pierwszy rząd widzów, wystawionych otwarcie na zawieruchę iluminacji.

Na trzy dni przedtem nim przekroczył czterdziestkę, pa—j nował ciężki upał, który Hieronim przypisał pienieniu się własnego tłuszczu. Nagi, przy otwartych drzwiach pokój i by dać ujście powiewom własnej temperatury, zakrył lustra ręcznikiem i przymusił się do snu, chcąc oddalić sprzed ^ myślonych oczu tę granicę, która bezwstydnie i bezlitośnie doń się przybliżała. Obliczając po ciemku własne straty^ polechtał się pocieszeniem, że nagromadzone lata równe ważą dwa pakiety wierszy, przechowywane z pełną ć pieczołowitością w ostatniej szufladzie jego adwokackiego biurka. Była to całkiem miłutka zamiana, kiedy on, spoć ny, wślizgiwał się do tejże szuflady, a dwa pakiety skJ dały swój ciężar na jego łóżku samotnego człowieka.

Obudziła go wrzawa — tupot nóg i okrzyki, krzyżując się ponad jezdnią, oscylujące między wesołością i przestra| chem. Podniósł własną opasłość z szybkością skurczu serc i przetransportował ją do zewnętrznych drzwi. Mężczyźr w rozpiętych koszulach biegli w jednym kierunku, obwiesz czając pożar. Hieronim źle trafił w ubranie, ale zdobył jeszcze na powtórzenie codziennego gestu: ściągnął z gwoź dzia swój znakomity krawat młodszego adwokata i, podda jąc się tłumowi,

podążył w kierunku blasku i rozlewający się woni tego, co płonęło.

Doszedłszy do czterech czy pięciu przecznic przed miejscem pożaru, upewnił się ostatecznie, że kogucie grzebieni! ognia wystrzelają z nad Teatru Gonzaleza. Chciał zostać tułaj, oparty o słup, nie posuwając się dalej w kierunku materializacji swego unicestwienia. Jakiś człowiek, czerwonej na twarzy, zatrzymał się przed nim, sprawiając wrażenie

Budynek Teatru Gonzaleza ział ogniem ze wszystkich swoich czworokątnych kraterów. Pośród wibrujących płatów, które tysiącami wzbijały się w powietrze, unosiło się pięćset trzydzieści nie opublikowanych poematów, dwa pakiety ukryte w ostatniej szufladzie biurka adwokata, który miał ocaleć jedynie jako poeta. Hieronim ujrzał biura na górnych piętrach, huśtające się wesoło pod kopułą rażących eksplozjami żółtych płuc. Opierając się o falowanie i nacisk tłumu, utrzymał się na swoim uprzywilejowanym miejscu, nie tracąc z oczu całości pożaru, dezintegracji postępującej przy akompaniamencie trzasku żywicy, silnych podmuchów bijących od fundamentów i powolnego załamywania się kondygnacji. Widział swoje słowa, leciały w jego stronę, prosząc go o schronienie w pamięci, która wszakże zwracała je również szybko, tak że Hieronim mógł jeszcze tylko usłyszeć, jak umierają wśród anemicznych eksplozji, w takt pulsowania pozostałych części budynku.

Piwnica teatru, gdzie upał złożył był zapładniającą iskrę pośród celuloidowych zwojów, zasilana pożar fajerkami rakiet, które z przeciągłym gwizdem rozdzierały dym, blask,

niebo. Łoże, schody, urządzenia sekretnego użytku, podłogi i kolumny tryskały wysokim płomieniem, wsparte o noc i dokarmiane leniwie wierszami, zwracanymi ponownie w nie ustającej cyrkulacji, wierszami, które wystrzeliwała w górę moc zaprzeczenia tego, co wypowiedziane. Ich nikły zapach ginął wśród woni substancji kłasnanych do głębi duszy i zapachu czegoś tam jeszcze, w czym mógł ostatecznie rozpoznać spopielął woń czystego potępienia.

108

109

O dzień bliżej do czterdziestki Hieronim ujrzał, jaki spłonęło wszystko, aż do ostatniej resztki czarnych belek,| do spopielonych kikutów i sterczącej ze zgliszczy pseudopa—lisady: wszystko, oprócz odwagi przyjrzenia się sobie, j płonie tej nocy.

Meksyk 1972

Przełożył Jerzy KuhnA

HONORIO BUSTOS DOMECCQ

Popołudnie z Ramonem Bonaveną

Każda statystyka, każde dzieło czysto opisowe czy informacyjne zakłada wspaniałą i być może nierozsądną nadzieję, że w rozległej przyszłości tacy jak my ludzie wyciągną z danych, jakie im pozostawiamy, jakiś korzystny wniosek czy godne podziwu uogólnienie. Ci, którzy przeczytali sześć tomów książki *Północno—północny zachód* Ramona Bona—veny nieraz przeculi możliwość, więcej nawet, konieczność przyszłej współpracy, która ukoronuje i uzupełni dzieło dokonane przez

współpracy, która ukoronuje i uzupełni dzieło dokonane przez tego mistrza. Dodajmy szybko, że refleksje te wypływają z mojej osobistej reakcji, na pewno nie upoważnionej przez Bonavenę. Ten, ostatnim razem, gdy z nim rozmawiałem, odrzucił wszelką ideę estetycznej czy naukowej transcendencji dzieła, któremu poświęcił swe życie. Przypomnijmy, po upływie lat, to popołudnie.

Około 1936 roku pracowałem w dodatku literackim „Ostatnie Godziny”. Naczelnny redaktor, człowiek, którego rozbudzonym zainteresowaniom nie były obce zjawiska literackie, polecił mi pewnej typowej zimowej niedzieli przeprowadzić wywiad ze znanym już, choć jeszcze nie sławnym powieściopisarzem, w jego odosobnieniu w Ezpeleta.

Dom, który zachował się do dziś, był parterowy, choć na płaskim dachu widoczne były dwa balkoniki z balustrady, patetycznie zapowiadające pierwsze piętro. Drzwi otworzył sam Bonavena. Ciemne okulary, widoczne na najbar—dziej rozpowszechnionej spośród jego fotografii, których, jak się wydaje, używał jedynie podczas przelotnej niedys—Pozycji, nie zdobyły wówczas tej twarzy o wydatnych policzkach, w których gubiły się rysy. Po tylu latach wydaje się, że pamiętam kosmatą bonżurkę i tureckie bambosze.

Jego naturalna uprzejmość źle maskowała pewną powściągliwość; początkowo mogłem przypisywać ją sEromno

bardzo pewnie i bez niepokoju oczekuje godziny jednogłosnego uznania go za geniusza. Pochłonięty swym absorbującym i niemal nie skończonym dziełem skąpo udzielał swe go czasu i niewiele czy nawet wcale nie obchodził go roślność, jakiego mogłem mu przysporzyć. ,

W jego gabinecie — który miał coś z poczekalni wiejskiego dentysty, ze swymi pastelowymi obrazkami marynistycznymi, z porcelanowymi pasterkami i piaskami — było niewiele książek i większość z nich stanowiły słowniki różnych dyscyplin i specjalności. Nie zdziwiła mnie, natura, nie, potężna lupa i stolarski metr, które ujrzałem na zilonym suknie biurka. Kawa i papierosy ożywiły dialog.

— Oczywiście czytałem wielokrotnie pana dzieło. W5 daje mi się jednak, że aby umieścić przeciętnego, masowego czytelnika w płaszczyźnie względnego zrozumienia, byłoby dobrze, gdyby pan naszkicował, w ogólnych zarysach i w sposób syntetyczny, okres poprzedzający wydanie świat książki *Północno—północny zachód*, od pierwotnego zamysłu do chwili, gdy zaczął pan ją lawinowo tworzyć. Bardzo proszę: *ab ovo, ab ovo!*

Jego twarz, dotychczas prawie bez wyrazu i popielat rozjaśniła się. Za chwilę popłynęły strumieniem konkret słowa.

— Moje plany, początkowo, nie wychodziły poza pole literatury, powiem więcej, realizmu. Moim pragnieniem, które z pewnością nie miało w sobie nic nadzwyczajnego było napisanie powieści o wsi, z ludzkimi bohaterami i z wierzącą oczywiście protest przeciw lityfundiom. Pomyślałem o Ezepelecie, mojej miejscowości. Nie obchodził mnie estetyzm. Chciałem dać

uczciwe świadectwo o ograniczonym sektorze miejscowej ludności. Pierwsze kłopoty, z jakimi się zetknęłam, były moje niewielkie. Na przykład imiona postaci. Nazwałam je tak, jak nazywały się w rzeczywistości, wistotici, oznaczało narażenie się na proces o zniesławienie Mecenas Garmendia, który ma swoją kancelarię za rogiem, zapewnił mi, że mieszkańcy Ezepelety są ludźmi kłótniwiymi. Pozostawało wymyślić imiona, ale to oznaczałoby puścić wodze fantazji. Wybrałam duże litery z wielokropkami, ale to wyjście nie zadowoliło mnie. W miarę, jak wchodziłam w temat, zrozumiałam, że największa trudność

112

nie polega na imionach postaci, ale dotyczy dziedziny psychiki. Jak wczuć się w umysłowość mojego sąsiada? Jak zgadywać, co myślą inni, nie rezygnując z realizmu? Odpowiedź jest prosta, ale początkowo nie chciałem jej dostrzec. Zastanowiłem się wówczas nad możliwością powieści o zwierzętach domowych. Ale jak przeczuć procesy mózgowe psa, jak wejść w świat wrażeń w mniejszym być może stopniu wzrokowych, co zapachowych? Zdezorientowany zwróciłem się ku sobie i pomyślałem, że nie pozostaje już nic innego niż autobiografia. Ale tu również był labirynt. Kim ja jestem? Tym dzisiejszym, zawrotnym, tym wczorajszym, zapomnianym, tym jutrzejszym, nie dającym się przewidzieć? Cóż jest bardziej nienamagalnego niż dusza? Jeśli będę się obserwował, aby pisać, obserwacja będzie mnie modyfikować; jeśli oddam się automatycznemu pisaniu, oddam się w ręce przypadku. Nie wiem, czy namieta nam ten przynadek. nodawany chwba przez

Cyceron: mianowicie kobieta idzie do świątyni po przepowiednię i nie zdając sobie z tego sprawy wypowiada słowa, które zawierają oczekiwaną odpowiedź. Mnie, tu, w Ezpeleta, przytrafiło się coś podobnego. Przejrzałem moje notatki, nie tyle, aby szukać rozwiązania, ile aby coś robić. Tu znajdował się klucz, którego poszukiwałem. Był w słowach ograniczony sektor. Kiedy zapisałem je, powtórzyłem jedynie zwykłą i powszechną metaforę; kiedy je odczytałem, olśniło mnie coś w rodzaju objawienia. Ograniczony sektor... Jaki sektor jest bardziej ograniczony niż narożnik stołu, przy którym pracowałem? Postanowiłem poświęcić swą uwagę narożnikowi, temu, co narożnik może zaoferować obserwacji. Zmierzyłem przy pomocy tego stolarskiego metra — który może pan oglądać *a piacere* — nogę omawianego stołu i stwierdziłem, że znajduje się on na wysokości jednego metra i piętnastu centymetrów nad poziomem podłogi, na wysokości, którą uznałem za właściwą. Nieskończone posuwanie się w górę oznaczałoby wdarcie się w sufit, w dach i bardzo szybko w astronomię; posuwanie się w dół zagrzebałoby mnie w piwnicy, w podzwrotnikowej równinie, jeśli już nie we wnętrzu kuli ziemskiej. Poza tym wybrany punkt obserwacji ukazywał interesujące zjawiska. Miedzianą popielniczkę, ołówek o dwóch końcach, jednym niebieskim i drugim czerwonym, itd.

8 — W zaczarowanym zwierciadle

113

Tu nie mogłem się powstrzymać i przerwałem:

Wiem, wiem. Mówi pan o szerokości drugiego i trzeciego i o

— wiem, wiem. Mowi pan o rozdziale drugim i rzecim, J U
popielniczce wiemy wszystko: znamy odcienie miedzi, J ciężar
właściwy, średnicę, różne proporcje między średnicą, A
ołówkiem i stołem, sylwetkę psa, cenę fabryczną, cenę de
taliczną i wiele innych danych niemniej ścisłych, jak i cennych.
Co się tyczy ołówek — prawdziwy Goldfaber 873

no cóż? Zawarł go pan, dzięki darowi syntezy, na dwudzie
—^ stu dziewięciu stronicach in octavo, które nie pozostawiają
nic do życzenia nawet najbardziej pożądlivej ciekawe ci.

Bonavena nie zarumienił się. Bez pośpiechu i bez pav podjął
kierownictwo w dialogu.

— Widzę, że ziarno nie padło na opokę. Jest pan dóbr
zaznajomiony z moim dziełem. Jako nagrodę ofiaruję par ustne
uzupełnienie. Odnosi się ono nie do samego dzieła lecz do
skrupułów twórcy. Po ukończeniu herkulesowe pracy
odnotowania przedmiotów, jakie zazwyczaj zajmo wały
północno—północno—zachodni narożnik biurka, któr
dokonałem na dwustu jedenastu stronicach, zadałem sobi<
pytanie, czy mam prawo odnowić *stock*, *id est* wprowadzi[^]
samowolnie inne przedmioty, umieścić je w tym magni tycznym
polu i przystąpić bezpośrednio do ich opisanie Takie przedmioty,
w nieunikniony sposób wybrane dla mc jego opisowego dzieła i
sprowadzone z innych miejsc koju, a nawet domu, nie
posiadałyby naturalności, samo| rzutności, serii pierwszej.
Jednakże, po umieszczeniu w na rożniku, stanowiłyby część
rzeczywistości i domagałyby analogicznego potraktowania. Była
to straszliwa wali wręcz etyki i estetyki! Ten węzeł gordyjski

przecięło pojłj wienie się chłopca z piekarni, młodzieńca zasługującego pełne zaufanie, choć niedorozwiniętego. Zanichelli, kret

o którym mowa, stał się, jak to się zwykle mówi, *deus machina*. Już sam jego niedorozwój czynił z niego odf Wiednie narzędzie dla moich celów. Z drżącą ciekawość jak ktoś, kto popełnia profanację, kazałem mu położyć cokolwiek, na narożniku, obecnie pustym. Położył gumlJ) piórnik i znowu popielniczkę.

— Słynna seria beta! — wykrzyknąłem. — Teraz roz miem tajemniczy powrót popielniczki, która opisana je niemal w identycznych słowach, nie licząc pewnych wz

nek o piórniku i gumce. Niejeden powierzchowny krytyk sądził, że dostrzega zamęt...

Bonavena wstał.

— W moim dziele nie ma zamętu — oświadczył z uzasadnioną powagą. — Wzmianki o piórniku i gumce są tego bardziej niż wystarczającym dowodem. Wobec takiego, jak pan, czytelnika byłoby zbędne wyszczególnianie rozmieszczeń, jakie miały miejsce później. Niech wystarczy, że powiem, iż ja zamykałem oczy, kretyn kładł jakąś rzecz czy rzeczy, i potem do dzieła! Teoretycznie moja książka jest nie skończona, w praktyce bronię mojego prawa do wypoczynku — może je pan nazwać postojem w drodze — po wydaniu na świat strony 94! piątego tomu*. Poza tym de—skrypcjonizm już się szerzy. W Belgii uroczyście obchodzą ukazanie się pierwszej porcji *Akwarium*, pracy, w której wydaje mi się, iż dostrzegam

niejedną heterodoksję. W Bir—manii, w Brazylii, w Burzaco pojawiają się nowe aktywne grupy.

Poczułem w jakiś sposób, że spotkanie zbliża się do końca. Aby przygotować pożegnanie, powiedziałem:

— Mistrzu, zanim odejdę, chciałbym prosić pana jeszcze o jedno. Czy mógłbym zobaczyć jeden z przedmiotów, które opiewa pana dzieło?

— Nie — powiedział Bonavena. — Nie zobaczy ich pan. Każde rozmieszczenie, zanim zostało zastąpione przez następne, zostało dokładnie sfotografowane. W ten sposób otrzymałem wspaniałą serię negatywów. Zniszczenie ich, dnia 26 października 1934 roku, przepełniło mnie prawdziwym bólem. Jeszcze bardziej zaboląło mnie zniszczenie oryginałów.

Ogarnęło mnie zakłopotanie.

— Jak to? — zdołałem wykrztusić. — Czyżby zniszczył Pan czarną szpilkę z serii ipsylon i rączkę od młotka z serii gamma?

Bonavena spojrzał na mnie ze smutkiem.

— Ofiara ta była konieczna — wyjaśnił. — Dzieło, jak Pełnoletni syn, musi żyć samodzielnie. Zachowanie oryginałów naraziłoby je na zuchwałą konfrontację. Krytyka

* Jak powszechnie wiadomo, tom szósty ukazał się pośmiertnie w W39 roku.

114

115

ulegałaby pokusie sądzenia go według większej czy szerszej wierności. W ten sposób popadlibyśmy w zwykły scie tyzm. Wiadomo nam, że odmawiam mojemu dziełu wszelkiej wartości

wiadomo panu, że odmawiam mojemu dziełu wszakiej wartości naukowej.

Pospieszyłem z zapewnieniem:

— Oczywiście, oczywiście. *Pólnocno—pólnocny zachód* je kreacją estetyczną...

— Znowu błąd — odrzekł Bonavena. — Odmawiam jemu dziełu wszelkiej wartości estetycznej. Zajmuje oia żeby tak się wyrazić, własną płaszczyznę. Wzruszenia, jall ono budzi, łzy, oklaski, grymasy, nie mają dla mnie czenia. Nie postawiłem sobie za cel nauczać, wzruszać bawić. Dzieło jest ponad tym. Dąży do czegoś pokorne i najbardziej wzniosłego: do zajęcia miejsca we wszechście.

Wmurowana w ramiona jego potężna głowa nie szyla” się. Jego oczy już mnie nie widziały. Zrozumiało że wizyta dobiega końca. Wyszedłem. *The rest is sile*

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykows

HONORIO BUSTOS DOMECQ

To, czego nie ma, nie przynosi szkody

Można powiedzieć, że każde stulecie wynosi swojego pisarza, swój najwyższy organ, swojego autentycznego rzecznika; wiek pospiesznych lat, jaki obecnie biegnie, wybrał na jego siedzibę Buenos Aires, gdzie urodził się pewnego dnia, 24 sierpnia 1942 roku. Jego imię: Tulio Herrera; dzieła: *Apologia* (1959), zbiór poezji *Wstawać wcześniej* (1961), który zdobył nagrodę miejską i w 1956 roku dokończona powieść *Niech stanie się stało*.

Apologia wynosi swój rodowód z pewnego ciekawego

epizodu związanego z afērą, jaką zazdrość uknuła wokół nieskazitelności jego krewnego, sześciokrotnie oskarżonego o plagiat. Swoi i obcy musieli uznać w głębi ducha sympatyczne poparcie rozwinięte przez to młode pióro na rzecz wuja. Wystarczyły dwa lata, aby krytyka wykryła bardzo szczególną cechę: pominięcie w całej tej obronie imienia bronionego, jak również jakiegokolwiek wzmianki o atakowanych tytułach i o chronologii dzieł, jakie posłużyły im za model. Niejeden literacki tropiciel doszedł do wniosku, że pominięcia te posłuszne są wzniosłej delikatności; ze względu na zacofanie epoki nawet najsprytniejszy nie wpadł na to, że chodziło tu o pierwsze machnięcie ogonem nowej estetyki. Pozwoliła się ona zastosować *in extenso* w wierszach tomu *Wstawać wcześniej*.

średni czytelnik, który skuszony pozorną prostotą tytułu zdobył się na zakup egzemplarza, w najmniejszym nawet stopniu nie rozumiał intencji treści. Przeczytał wiersz

Początkowy:

Potwór mieszka folklorystyczny pozbawiony nie podejrzewając, że nasz Tulio spalił, jak Ferdynand Cortes, etapy pośrednie. Był to złoty łańcuch; jedynie należało odtworzyć kilka ogniw.

117

W pewnych kręgach... koncentrycznych wiersz zost określony jako niejasny. Aby go wyjaśnić, nie ma nic ba dziej zwodnego niż anegdota, od początku do końca zmyśl na, która ukazuje nam poetę na Avenida Alvear, w obc słym beżowym ubraniu, z jasnymi wąsami i w getrac pozdrawiającego

baronową de Servus. Jak głosi fama, wiedział: ■.

— Droga pani, od tak dawna nie słyszę, jak paj szczeka!

Intencja była oczywista. Poeta miał na myśli pekiń^{ca}, który zdobił damę. Zdanie to, oczywiście uprzejme, o|jawia nam natychmiast doktrynę Herrery; niczego nie i wi się tu o drodze pośredniej; przechodziliśmy, o cudov zwięzłości!, od baronowej do szczekania.

Ta sama metodologia zastosowana jest w wyżej cytowanym wierszu. Blok z notatkami, który znajduje się w szym posiadaniu i który oddamy do druku, jak tylko len wigoru poeta zamknie oczy, porażony w kwiecie t*«ku i zdrowia, informuje nas, że wiersz potwór mięs; ka folklorystyczny pozbawiony był początko jeszcze dłuższy. Odpowiednie amputacje i cięcia byj konieczne, aby doprowadzić do syntezy, jaka dziś nas za dziwią. Pierwszy brulion był sonetem i brzmiał jak nast puje:

Potwór kreteński, minotaur mieszka we własnym domu, w labiryncie; natomiast ja, folklorystyczny i gniady pozbawiony jestem dachu o każdej godzinie.

Co się tyczy tytułu, *Wstawać wcześniej*, wnosi nowoc«a sną elipsę do wiekowego i odmłodzonego przysłowia: „Nil wystarczy rano wstawać, by zaczęło wcześniej świtać”, od notowanego już przez Correasa w swej larwalnej formie

A teraz przejdźmy do powieści. Herrera, który spr nam jej brulion, składający się z czterech rękopiśmienn, tomów, zabronił nam chwilowo jego publikacji, dlatego wm oczekujemy godziny jego śmierci, aby oddać je staremu drukarzowi Rańó. Sprawa zanowada się na dłużej, ponieważ atletyczna budowa autora

zapomina się na niego, ponieważ autorytet okłama autora, który jest jednym z tych, co gda[^]j robią głęboki wdech pozostawiają nas bez tlenu, nie sprzyj

118

ja nadziei na szybki koniec, jaki zadowoliliby zdrową ciekawość rynku. Po skonsultowaniu się z naszym radcą prawnym spieszymy chwilowo z podaniem streszczenia powieści *Niech stanie się stało* i jej morfologicznej ewolucji.

Tytuł *Niech stanie się stało* zaczerpnął oczywiście z Biblii, z wersetu: „Niech się stanie światło i światło się stało”, usuwając, jak to było nieuniknione, środkowe wyrazy. Treścią jest rywalizacja dwóch kobiet, które nazywają się jednakowo i obie zakochane są w pewnym osobniku, o którym mówi się tylko raz w książce, i to nazywając go błędnym imieniem, ponieważ, jak autor powiedział nam w pewnym bardzo mu właściwym porywie, który przynosi zaszczyt jemu i nam, bohater nazywa się Ruperto, a on napisał Alberto. To prawda, że w rozdziale dziewiątym mówi się o Rupercie, ale to kto inny; oto wzniosły przykład ho—monimii. Kobiety wikłają się w poważną rywalizację, która zostaje rozwiązana przez podanie masowej dawki cyjanku w mrożącej krew scenie, nad którą Herrera pracował z mrówczą cierpliwością i którą oczywiście pominął. Inne niezapomniane pociągnięcie pędzlem przynosi nam moment, w którym trucicielka odkrywa, poniewczasie!, że na próżno zgładziła tę drugą, ponieważ Ruperto nie był zakochany w ofierze, lecz w tej, która pozostała przy życiu. Scenę tę, która koronuje dzieło, Herrera zaplanował z obfitym luksusem

szczegółów, ale nie napisał jej, aby nie musieć jej skreślać. Natomiast nie ulega dyskusji, że to nieprzewidziane rozwiązanie, które naszkicowaliśmy bardzo schematycznie, gdyż kontrakt dosłownie nas knebluje, jest być może najbardziej udanym osiągnięciem powieściopisarstwa obecnej doby. Bohaterowie, do których czytelnik ma dostęp, są zwykłymi statystami, wziętymi być może z innych książek, i nie mają większego znaczenia dla wątku. Tracą czas na rozmowy bez znaczenia i nie orientują się, co się dzieje. Nikt niczego nie podejrzewa, a najmniej czytelnicy, mimo iż dzieło zostało przełożone na więcej niż jeden język obcy i otrzymało honorową obwolutę.

Na zakończenie obiecujemy, w charakterze wykonawców testamentu, publikację rękopisu *in toto*, ze wszystkimi jego brakami i skreśleniami. Praca została zrealizowana na zasadach subskrypcji i przedpłat, które zaczną biec od momentu, kiedy autor skona.

119

Pozostaje również otwarta subskrypcja na popiersie grobie zbiorowym w Chacarita *, dłuta rzeźbiarza Zanoniego, które będzie się składało, stosując do rzeźby moduł nieodżałowanego pisarza, z ucha, podbródka i pary W

GABRIEL GARCIA MARQUEZ

*Andrzej soboi—jurczykows*MBardzo stary pan z ogromnymi skrzydłami

Chacarita — jeden z cmentarzy Buenos Aires (przyp. «„»»».

W trzecim dniu ulewy zabili w domu tyle krabów, że Pelayo

musiał przejść zalane patio i wyrzucić je wszystkie do morza, bo nowo narodzone dziecko miało w nocy gorączkę, więc myśleli, że to z powodu zarazy. Od wtorku świat był smutny. Niebo i morze zlały się w jednolitą, popielatą masę, a piach na plaży, który w marcu iskrzył się niczym żar ogniska, teraz zamienił się w maź z błota i gnijących skorupiaków. Południowe słońce było takie wątłe, że kiedy Pelayo, wyrzuciwszy kraby, wracał do domu, z trudem mógł dostrzec, co się rusza i uskarża w głębi podwórza. Musiał podejść bardzo blisko, aby odkryć, że 'jakiś stary człowiek leży twarzą w błotnistej brei i mimo usilnych starań nie może się podnieść, gdyż przeszkadzają mu ogromne skrzydła.

Pelayo, wystraszony tą koszmarną sceną, pobiegł odnaleźć Elisendę, swoją żonę, która właśnie przykładała okłady choremu dziecku, i zaprowadził ją w głąb podwórza. Razem w milczącym osłupieniu przyglądali się zwałonemu ciału. Ubrane było w łachmany. Na łysej czaszce sterczało kilka bezbarwnych kosmyków, w ustach parę zębów, a żaloszny wygląd umorusanego pradziadka pozbawił go jakiegokolwiek godności. Skrzydła jak u wielkiego sępa, brudne i na wpół oskubane, na trwałe ugrzęzły w błocie. Tak się mu przyglądali i z taką uwagą, że wkrótce ochłonęli ze zdumienia i w końcu wydał się im bliski. Wtedy ośmielili się przemówić, a on odpowiedział w dialekcie niezrozumiałym i głosem starego żeglarza. Pominęli więc niestosowność istnieją skrzydeł i doszli do słusznego wniosku, że jest to samotny rozbitek z jakiegoś cudzoziemskiego statku, którego zmoęłv sztormv. Niemniei przvwołali. żebv go

zobaczyła, sąsiadkę biegnącą we wszystkich sprawach życia i śmierci,

121

a tej wystarczyło jedno spojrzenie, by wyprowadzić ic z błędu.

— To anioł — powiedziała. — Na pewno przyszedł dziecko, ale jest biedactwo taki stary, że zwały go desze

Następnego dnia wszyscy wiedzieli, że u Pelaya schv tano anioła z krwi i kości. Wbrew radom mądrej sąsiadki dla której współcześni aniołowie byli ocalałymi uciekinierami wplątanymi w jakiś niebiański spisek, nie mieli se ca zabić go kijami. Pelayo pilnował go z kuchni całe południe, uzbrojony w stróżowską łęgę, a przed snem ciągnął siłą z błota i zamknął z kurami. O północy de ustał, a Pelayo i Elisenda wciąż zabijali kraby. Wkrótce tem dziecko zbudziło się bez gorączki i chciało jeść. Wte w przypływie wielkoduszności postanowili umieścić anio na tratwie ze słodką wodą i prowiantem na trzy dni i ścić na los szczęścia na pełne morze. Ale gdy z pierwsz brzaskiem wyszli na podwórko, natknęli się przed kur kiem na tłum sąsiadów, którzy zabawiali się aniołem najmniejszej nabożności i rzucali mu jedzenie przez dziu w ogrodzeniu, jak gdyby nie była to istota nadprzyrodzona, ale jakieś zwierzę cyrkowe.

Przed siódmą przybył ojciec Gonzaga, poruszony nieŁ wala wieścią. O tej godzinie przyszli również gapie mnił swawolnie snując różnorakie przypuszczenia co do przyszłego losów pojmanego. Prostaczkowie myśleli, że zostanie nowany wójtem

świata. Inni, o ducnu barziej surov ze będzie wyniesiony do stopnia generała z pięcion gwiazdkami, aby mógł zwyciężać w każdej wojnie. Niekt rzy wizjonerzy oczekiwali, iż zatrzyma się go na nasier żeby wywieść na ziemi ród ludzi skrzydlatych i mądryc którzy zawładną wszechświatem. A ojciec Gonzaga, nim z*ci* stał księdzem, był krzepkim drwalem. Wychyliwszy przez ogrodzenie w jednej chwili przebiegł myślą katechi2 i już prosił, by otworzyć mu furtkę, gdyż z bliska cli wybadać owego, pozał się Boże, człowieka, co przypon nał raczej ogromną, zgrzybiałą kurę między zadumany kwokami. Leżał w kącie, wśród skórek owoców i resztę śniadań, jakie ludzie rzucali mu od samego świtu, i susz w słońcu rozpięte skrzydła. Nieczuły na zniewagi tego świa ta, ledwo podniósł swe oczy antykwariusza i wymruczał co w swoim dialekcie, gdy ojciec Gonzaga wszedł i pozdrow^{^j}

122

go po łacinie. W proboszczu zrodziło się podejrzenie o oszustwo, kiedy tylko przekonał się, że pojmany nie zrozumiał słów Pana i nie umiał powitać Jego sługi. Później zauważył, że z bliska wygląda zbyt ludzko: nieznośnie trącił stę'—chlizną, pasożytnicze glony obrosły mu skrzydła, ziemskie wiatry poturbowały co większe pióra i nic w jego nędznej naturze nie zgadzało się z wyniosłym dostojeństwem aniołów. Wówczas opuścił kurnik i w krótkim kazaniu przestrzegł gawieź przed skutkami naiwności. Przypomniał, że diabeł ma paskudny zwyczaj uciekania się do karnawałowych sztuczek, aby nimi omamić nierozważnych. Dowodził, że skoro skrzydła nie są

elementem istotnym dla wykazania różnicy między krogulcem a samolotem, tym bar—< dziej na nic się nie zdadzą przy rozpoznaniu anioła. Jednakże obiecał napisać list do biskupa, aby ten napisał list do prymasa, i aby ten napisał Ust do Ojca Świętego, tak żeby werdykt ostateczny nadszedł z trybunału najwyższego.

Jego roztropność padła na serca jałowe. Wieść o poj—manym aniele rozeszła się lotem błyskawicy i już po kilku godzinach zapanował na podwórku odpustowy zgielk, aż musiano wezwać żołnierzy z bagnietami, żeby * odstraszyli tłum, który niewiele, a powaliliby dom. Elisenda z plecami zgarbionymi od ciągłego uprzątania jarmarcznych śmieci wpadła na szczęśliwy pomysł, aby zamknąć podwórko i pobierać po pięć centawów za wstęp i zobaczenie anioła.

Przyjechali ciekawscy aż z Martyniki. Przyjechały wędrownie budy z latającym akrobatą, który parę razy przeleciał nad tłumem, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, jako że ten nie miał skrzydeł anielskich, lecz tylko ze zwykłego gwiazdnego nietoperza. W poszukiwaniu zdrowia przyjechali najnieszczęśliwsi chorzy z całych Karaibów: jakaś biedna kobiecina, która od dziecka liczyła uderzenia serca i zabrakło jej liczb; chory z Jamajki, co nie mógł spać, P^o dręczył go hałas gwiazdny, lunatyk, który wstawał nocą i niszczył rzeczy, jakie zrobił na jawie, i wielu mniej cier—P[^]cych. A w środku owego rozgardiaszu niczym na tonącym statku, zamętu, który wstrząsał ziemią, Pelayo i Elisen—^ ślaniali się szczęśliwi ze zmęczenia, bo w niecały tydzień Spełnili pieniędzmi sypialnie, a ogonek

patników, oczekujących przed, wejściem sięgał wciąż drugiej strony widnokregu.

123

Tylko anioł nie uczestniczył w wydarzeniach dziejących się wokół niego. Spędzał czas starając się ułożyć jak naj wygodniej w użyczonym mu gnieździe; był oszołomiony pie kielnym ciepłem oliwnych lampek i świec ofiarnych, któf podsuwano pod ogrodzenie. Początkowo chcieli, by jad kryształki kamfory, co zgodnie z wiedzą mądrej sąsiad! było głównym pożywieniem aniołów, lecz odwrócił się nich ze wzgardą, podobnie jak za nic miał, nie kosztuj[^]) nawet, papieskie śniadania, jakie przynosili mu pokutnic Nigdy nie dowiedzieli się, czy to dlatego, że był stare czy też aniołem, ostatecznie zajał bakłażanową papŁ. Jedyną jego cechą nadprzyrodzoną była cierpliwość. Zwł cza w początkowym okresie, kiedy dziobały go kury kające robaczków gwiazdnych, które rozpleniły się w je skrzydłach, i kiedy kalecy wyrywali mu pióra, aby pr kładać je do własnych ułomności, a nawet najpobożniej rzucaii kamieniami, żeby podniósł się, bo chcieli przyjrz się całej jego postaci. Raz tylko udało się go poruszyć; pr piekli mu wtedy bok żelazem do znakowania ciał, bo le już tyle godzin bez ruchu, więc myśleli, że umarł. Przeh dził się wystraszony, z oczyma pełnymi łez i belkocząc w swoim hermetycznym języku, zatrzepotał skrzydła wzbijając tumany kurzego nawozu i pyłu księżycowego or wywołując panikę obcą temu światu. Choć wielu sądził iż jego reakcję spowodował ból, nie zaś wybuch gniewu, tamtej chwili starali się mu nie dobrać, gdyż większej zrozumiał, że jego

stali się mu nie dokorczac, gdyż większej złościła, że jego bierność bliższa jest bezwładowi szczęścia niż obojętności przyczajonego kataklizmu.

Ojciec Gonzaga stawiał czoło swawolnościom tłumu < morosłymi sposobami, oczekując Tradejścia rozstrzygają go wyroku o naturze jeńca. Lecz poczta rzymska strać poczucie pośpiechu. Czas mijał, a oni dopytywali się, podsądny ma pępek, czy język, którego używa, ma wspólnego z aramejskim, ile razy mieści się na końcu ki i czy po prostu nie jest zwykłym Norwegiem * ze ski dłami. Owe listy krążyłyby tam i z powrotem do końca ków, gdyby nie pewne opatrnościowe wydarzenie, kt położyło kres zmartwieniom klechy.

* W barokowej hiszpańszczyźnie Norwegia była synonimem kra świata; por. wyrażenie: *de la mas oscura Noruega* (uwaga tłuma

Oto zdarzyło się w tamtych dniach, że wśród wielu jarmarcznych atrakcji obwożonych po całych Karaibach zjechało do miasteczka smutne widowisko z kobietą przemienioną w pająka za to, że nie słuchała rodziców. Wstęp, by ją ujrzeć, nie tylko kosztował mniej niż za wejście i zobaczenie anioła, ale nawet pozwalano zadawać przeróżne pytania w związku z jej absurdalnym stanem i wybadać ją na wszystkie strony tak, żeby nikt nie zwątpił w prawdziwość tego okropnego wydarzenia. Była to tarantula wielkości barana z głową smutnej panienki. Najbardziej jednak rozdzierała serce nie tyle jej niedorzeczna postać, co szczerzy smutek, z jakim opowiadała o szczegółach własnego nieszczęścia; będąc jeszcze

dzieckiem uciekła z domu rodzicielskiego na zabawę, a kiedy wracała przez las, wytańczywszy się bez pozwolenia noc całą, przeraźliwy grzmot rozłupał niebo na dwie połowy i z owej szczeliny wypadł siarczysty piorun, który przemienił ją w pająka. Odżywiała się jedynie kulkami mielonego mięsa, jakie litościwie dusze łaskawie wrzucały jej do ust. Widowisko o podobnie straszliwej pokucie, przepojone taką prawdą o człowieku, mimowolnie musiało pobić na głowę spektakl z pyszałkowatym aniołem, co ledwie raczył spojrzeć na śmiertelników. Poza tym nieliczne cuda, jakie przypisywano aniołowi, ujawniły dziwny nieporządek w jego umyśle, na przykład cud ze ślepcem, któremu wyrosły trzy nowe zęby, choć wzroku nie odzyskał, z paralitykiem, który nie mógł chodzić, ale małuczko, a wygrałby na loterii, i z trędowatym, któremu z ran wyrosły słoneczniki. Owe cuda, mające dodawać otuchy, wyglądały raczej na żartobliwe naigrawanie się i podkopywały sławę anioła, a kobieta przemieniona w pająka unicestwiła ją ostatecznie. Tak oto ojciec Gonzaga na zawsze wyleczył się z bezsenności, a patio Pelaya znowu opustoszało, jak wówczas, gdy lało przez trzy dni i kraby łążyły po sypialni.

Właściciele domu nie mieli powodów do narzekań. Za zebrane pieniądze wzniesli dwupiętrową willę z balkonami oraz progami tak wysokimi, aby zimą nie dostawały się kra—”y> i żelaznymi kratami w oknach, by nie dostawali się aniołowie. Pelayo założył pod miasteczkiem hodowlę króli—Kow i zrzekł się na zawsze marnej posady stróża, Elisenda ^uPila sobie satynowe pantofelki na wysokim obcasie Mnóstwo strojów z

mieniaącego się jedwabiu, które co po—

124

125

nętniejsze panie nosiły w owych czasach w niedzielę. Tyli kurnikowi nie poświęcali uwagi. Jeśli nawet niekiedy młody kreoliną i palili w jego wnętrzu żywicze łyzy mirry, nili tak nie z szacunku dla anioła, lecz aby zażegnać bezpieczeństwo zarazy ze śmietniska, co niczym zjawą; ła się po wszystkich kątach i rujnowała nowy (Początkowo, gdy dziecko nauczyło się chodzić, pi wali, by nie zbliżało się do kurnika. Później zapor o obawach i z wolna przyzwyczaili się do zarazy; małemu wyrosły nowe zęby, bawił się we wnętrzu kurni którego przegniłe ogrodzenie rozpadało się na części. Ar traktował dziecko równie obojętnie jak resztę śmiercie ków, a najwymyślniejsze zniewagi malca znosił z łagc ścią psa pozbawionego złudzeń. Jednocześnie nabawiło wietrznej ospy. Lekarz, który przyszedł do dziecka, nie op się pokusie zbadania anioła i wyłowił w jego sercu szmerów i tyle dziwnych odgłosów w jego nerkach, iż dało się mu niemożliwe, by anioł żył jeszcze. Najbar zdziwiła go jednak logika skrzydeł. Były takie natura w owym organizmie całkowicie ludzkim, że nie mógł zró rozumieć, dlaczego nie mają ich inni ludzie.

Słońce i deszcze dawno już zniszczyły kurnik, gdy dzifl cko poszło do szkoły. Anioł błakał się to tu, to tam, dusza potępieńca. Przepędzano go miotłą z sypialni i tychmiast był w kuchni. Wydawało się, iż jest naraz w miejscach, więc myśleli, że się przenoślawia. dzielił wst. powstać po całym domu, aż

się przypomniała, która wle posłać po całym domu, że wyprowadzona z równowagi senda gniewnie krzyczała, że co to za nieszczęście żyć w i piekle pełnym aniołów. A on ledwie co jadł, wyblakłe antykwariusza zmętniały mu tak bardzo, iż potykał wciąż o grabie, i zostały na nim tylko oskubane sto: ostatnich piór. Pelayo przykrył go jakąś derką i łaskaw pozwolił spać w szopie, i wtedy dopiero zauważyli, że no gorączkuje i majaczy w belkotliwym języku starego wega. Była to jedna z niewielu chwil, kiedy zaniepokoi się, myśleli, że umrze, a nawet mądra sąsiadka nie powiedzieć, co się robi z umarłymi aniołami. Jednak tylko przeżył tę najcięższą dla siebie zimę, ale z pierws słońcem jak gdyby poczuł się lepiej.

Wiele dni tkwił nieruchomo w najodleglejszym kącie podwórza, gdzie nikt go nie widział, a w początkach grudnia zaczęły mu rosnąć na skrzydłach pióra duże i twarde, „jóra wiekowego ptaszyska, co wyglądało na nową udrekę starości. Lecz on musiał znać przyczynę tych zmian, ponieważ bardzo uważał, by nikt ich nie dostrzegł i nie usłyszał żeglarskich pieśni, jakie czasami nucił pod gwiazdami. Pewnego poranka, gdy Elisenda kroїła w plastry cebulę na obiad, wdarł się do kuchni wiatr, jakby od pełnego morza. Wychyliła się przez okno i zaskoczyła anioła na pierwszych próbach lotu. Były takie nieudolne, że wrył bruzdę między grzędami warzyw i niewiele, a rozwaliliby szopę nieporadnym łopotem skrzydeł, które migotały w słońcu, nie mogąc znaleźć w powietrzu oparcia. Lecz wzbił się. Elisenda odetchnęła z ulgą, za siebie i za niego, gdy zobaczyła jak przelatuje nad ostatnimi domami bijąc skrzydłami

niedołężnie niby stary sęp. Widziała go, aż skończyła kroić cebulę, widziała aż do chwili, gdy już nie można go było widzieć, bo wtedy nie był już zakałą w ich życiu, a tylko punktem urojonym na horyzoncie morza.

Przełożył Rajmund Kalicki

126

JORGE LUIS BORGES

Koliste ruiny

„And if he left off dreaming about you... *Through the Looking—Glass,*

Nikt nie widział, jak przybijał do brzegu podczas jędr myślniej nocy, nikt nie widział, jak bambusowe czołno głębiało się w święty muł, ale po kilku dniach wszysztls było wiadomo, że milczący człowiek przybywał z Połud i że jego ojczyzną była jedna z nieskończonych wiosok, kie znajdując się w górze rzeki, na gwałtownym zboczuy ry, gdzie język zend nie jest skażony greką i gdzie trąd je rzadko spotykany. Szary człowiek ucałował muł, wszedł brzeg nie odsuwając (prawdopodobnie nie czując) ostr trzciny, które kaleczyły mu ciało, i powłókł się półprzytor i zakrwawiony do kolistego ogrodzenia, nad którym wznosi się kamienny tygrys czy koń, niegdyś koloru ognia, a raz — popiołu. Ta rotunda jest świątynią, którą pochłonęły dawne pożary, którą sprofanowała puszcza mokraty i której bóg nie odbiera już hołdów ludzi. Przybysz poło się pod posągiem. Zbudziło go wysokie słońce. Stwier bez zdziwienia, że rany się zablizniły; zamknął blade i zasnął, nie z powodu osłabienia ciała, lecz pod wpływ wysiłku woli. Wiedział, że ta świątynia jest miejscem, kiego

wymaga jego niezłomny zamiar; wiedział, że ustanne drzewa nie zdołały zdusić, w dole rzeki, ruin : nej sprzyjającej mu świątyni, również należącej do sp nych i martwych bogów; wiedział, że jego natychmia wym obowiązkiem jest sen. Około północy obudził go pocieszony krzyk jakiegoś ptaka. Siady bosych stóp, fig i dzban poinformowały go, że miejscowi ludzie śl z szacunkiem jego sen i starali się o pozyskanie sobie opieki lub obawiali się jego magii. Poczul chłód straf znalazł w rozpadającym się murze grobową niszę, oŁ nieznanymi liściami.

· „A gdyby przestaj śnić o tobie...”, Lewis Caroll, *O tym co odkryła po drugiej stronie lustra*, tłum. M. Słomczyński (przyp.

128

Zamiar, który nim powodował, nie był niemożliwy, chociaż nadprzyrodzony. Chciał wyśnić człowieka: chciał wyśnić go w drobiazgowej pełni i narzucić rzeczywistości. Ten magiczny projekt wyczerpał całą zawartość jego duszy; jeśliby ktoś zapytał go o imię czy jakikolwiek szczegół minionego życia, nie umiałby odpowiedzieć. Zadowolony był z nie zamieszkannej i zburzonej świątyni, gdyż było to minimum widzialnego świata; również z bliskości rolników, gdyż ci wzięli na siebie zaspokajanie jego skromnych potrzeb. Ryż i owoce pochodzące z ich daniny były wystarczającym pożywieniem dla jego ciała, oddającego się wyłącznie czynności spania i śnienia.

Na początku sny były chaotyczne; wkrótce potem przybrały charakter dialektyczny. Przybysz śnił, że znajduje się w centrum jakiegoś kolistego amfiteatru. który w iakiś sposób był snalona

świętynią: cienie milczących uczniów nużyły stopnie; twarze ostatnich zawieszono były w odległości kilku wieków na gwiazdnej wysokości, ale były zupełnie wyraźne. Człowiek dyktował im lekcje anatomii, kosmografii, magii: twarze słuchały z niepokojem i usiłowały rozumnie odpowiadać, jakby zgadywały znaczenie, tego egzaminu, który miał odkupić jedną z nich ze stanu próżnej mazy i umieścić w świecie rzeczywistym. Człowiek, we śnie i na jawie, rozważał odpowiedzi tych widm, nie pozwalał się zwodzić impostorom, zgadywał z ich wątpliwości rosnącą inteligencję. Poszukiwał duszy, jaka zasługiwałaby na uczestniczenie we wszechświecie.

Po dziewięciu czy dziesięciu nocach zrozumiał z pewną goryczą, że niczego nie mógł oczekiwać po tych uczniach, którzy przyjmowali biernie jego naukę, lecz jedynie po tych, którzy ryzykowali czasami rozsądny sprzeciw. Ci pierwsi, chociaż godni miłości i przywiązania, nie mogli aspirować do stanu indywidualnych osobników, preegzy—stencja tych drugich trwała nieco dłużej. Pewnego popołudnia (teraz również popołudnia płaciły daninę snom, teraz 8Pędzał na jawie jedynie parę godzin o świecie) pożegnał na zaw rozległe iluzoryczne kolegium i pozostał z jednym uczniem. Był to milczący bładny chłopiec, czasami y, o ostrych rysach powtarzających rysy tego, któ—™ go wyśnił. Nagłe usunięcie współuczniów nie speszyło na długo; jego postępy po kilku indywidualnych lekcjach

zachęcały już nauczyciela. Ale wydarzyła się katastrofj
 Człowiek pewnego dnia wynurzył się ze snu jak z lekki! pustyni,
 spojrział na daremne światło wieczoru, które por lił ze świtem, i
 rozumiał, że nie śnił. Przez całą noc i pr cały dzień przytłaczała go
 trzeźwość bezsenności. Zapr. nął przejść się po puszczy,
 zmęczyć się, ale zdołał zaledv uzyskać wśród cykuty kilka chwil
 słabego snu, przepiec nych przelotnie szczątkowymi wizjami, nie
 nadającymi do wykorzystania. Zaprağnął zwołać swych
 uczniów, ale . ledwie wymówił kilka krótkich słów zaklęcia,
 zniekształć się ono i zatarło. Na niemal nieustannej jawie lzy
 gnie% paliły mu stare oczy.

Zrozumiał, że zamiar ukształtowania niespójnej i zav.. nej
 materii, z jakiej składają się sny, jest najtrudniejs2 zamiarem, jaki
 może powziąć człowiek, choćby przeni wszystkie sekrety
 porządku wyższego i niższego; znać— trudniejszym niż
 ukręcenie bicia z piasku czy bicie mor ty z wiatru bez twarzy.
 Zrozumiał, że to początkowe i powodzenie było nieuniknione.
 Poprzysiągł zapomnieć o tężnej halucynacji, która na początku
 zepchnęła go z wł wej drogi, i poszukał innej metody pracy.
 Przed zast waniem jej poświęcił miesiąc na odzyskanie sił, jakie
 żyło tanto delirium. Porzucił wszelki zamiar śnienia i wie
 natychmiast udało mu się przespać znaczną część W nielicznych
 wypadkach, kiedy śnił podczas tego oŁ nie przywiązywał wagi
 do swych snów. Aby podjąć dzieło, poczekał, aż dysk księżyca
 stanie się doskc Wówczas, wieczorem, oczyścił się w wodach
 rzeki, : hołd planetarnym bóstwom, wypowiedział dozwolone by

pewnego potężnego imienia i zasnął. Prawie natych przyśniło mu się bijące serce.

Śniło mu się ono żywe, gorące, wielkości zacji. pięści, o kolorze granatu w półmroku ludzkiego ciała, je, bez twarzy ani płci; śnił o nim z drobiazgową miłością czas czternastu przytomnych nocy. Każdej nocy dostł je wyraźniej. Nie dotykał go: ograniczał się do stwit—, nia jego obecności, obserwowania go, być może poprą? nia go swym wzrokiem. Dostrzegał je, przeżywał, z * odległości i pod wieloma kątami. Czternastej nocy mi wskazującym palcem arterię płucną, a następnie całe z zewnątrz i od wewnątrz. Badanie to zadowoliło go.

130

wo nie śnił podczas jednej nocy; potem wziął znów serce, wezwał imienia pewnej planety i przeszedł do wizji innego spośród głównych narządów. Przed upływem roku doszedł do szkieletu, do powiek. Niezliczone włosy były chyba najtrudniejszym zadaniem. Wyśnił całego człowieka, młodzieńca, ale ten nie wstawał ani nie mówił, ani nie mógł otworzyć oczu. Noc po nocy człowiek śnił go śpiącego.

W kosmogoniach gnostycznych demiurgowie lepią czerwonego Adama, któremu nie udaje się stanąć na nogach; równie niezręczny i toporny, i prymitywny jak ten Adam uczyniony z prochu był Adam ze snu, którego stworzyły noce maga. Pewnego wieczoru człowiek zamierzał niemal zniszczyć całe swe dzieło, ale zrobiło mu się go żal. (Lepiej byłoby dla niego, gdyby je zniszczył.) Po wyczerpaniu zaklęć skierowanych do bóstw ziemi i rzeki, rzucił się do stóp posągu, który może był

tygrysem, a może koniem, i wezwał jego nieznaną pomocy. Owego wieczoru przyśnił mu się posąg. Przyśnił mu się żywy, drżący; nie był to straszliwy bękart konia i tygrysa, ale jednocześnie te dwa porywcze stworzenia i również byk, róża, wicher. Ten mnogi bóg wyjawiał mu, że jego ziemskim imieniem jest Ogień, że w tej świątyni (i w innych podobnych) składano mu niegdyś ofiary i oddawano kult, i że w magiczny sposób ożywi wysnzione widmo, tak że wszystkie stworzenia prócz samego Ognia i śniącego będą go uważały za człowieka z krwi i kości. Rozkazał, żeby po nauczaniu go rytuałów wysłał go do innej zburzonej świątyni, której piramidy przetrwały w dole rzeki, aby jakiś głos uczcił go w tym opuszczonym budynku. W śnie człowieka śniącego wysniony obudził się.

Mag wykonał te polecenia. Poświęcił pewien czas, (który w końcu wypełnił dwa lata) na wyjawienie mu arkanów wszechświata i kultu ognia. Bolało go w głębi, że musiał S1 § z nim rozstać. Pod pretekstem pedagogicznej konieczności przedłużał co dnia godziny poświęcone na sen. Wyko—Qał również powtórnie prawe ramię, być może nieudane. Czasami niepokoilo go wrażenie, że wszystko to już się po—Przednio wydarzyło... W sumie jego dni były szczęśliwe; zamykając oczy myślał: „Teraz będę z moim synem”. Albo, rzadziej: „Syn, którego powołałam do życia, czeka na mnie i będzie istniał, jeżeli do niego nie pójde”.

Stopniowo przyzwyczajał go do rzeczywistości. Pewne—

go ona rozkazała mu unieść chorągiew na obojętym szczy-
cie. Następnego dnia na szczycie powiewała chorągiew\

Spróbował innego rodzaju eksperymentów tego rodzaju,
każdym razem zuchwalszych. Zrozumiał z pewną goryczą że jego
syn był gotów, aby się narodzić — i być może nie cierpliw! się.
Tej nocy pocałował go po raz pierwszy i wj słał go do drugiej
świątyni, której resztki bieleły w do| rzeki, o wiele mil
nierozwikłanej puszczy i mokradeł. Prze tem (aby nigdy nie
dowiedział się, że jest widmem, at uważał się za takiego
człowieka jak inni) natchnął go kowitym zapomnieniem lat jego
nauki.

Jego zwycięstwo i jego spokój zostały przyćmione zn* j
żeniem. Podczas zmierzchów wieczoru i świtu padał twarz przed
kamienną figurą, wyobrażając sobie może, , jego syn dokonuje
identycznych rytuałów w innych kojf stych ruinach, w dole rzeki;
nocą nie śnił lub śnił jak ludzie. Odbierał nieco wyblakłe dźwięki
i kształty wszć

świata: nieobecny syn żywił się tym zanikaniem jego __

Cel jego życia został osiągnięty; człowiek trwał w jak
rodzaju ekstazy. Po upływie pewnego czasu, jaki niel rzy
opowiadający jego historię liczą na lata, a inni na] ciolecia,
zbudzili go o północy dwaj wiosłarze: nie mógł strzec ich twarzy,
ale opowiedzieli mu o magicznym c; wieku z pewnej świątyni
Północy, który potrafił choć po ogniu i nie parzył się. Mag
przypomnił sobie nagle wa boga. Przypomnił sobie, że ze
wszystkich istot, j tworzą glob, ogień jest jedyną, która wie, że
jego syn widmem. Przypomnienie to, początkowo uśmierające,

—częło go dręczyć. Przestraszył się, że jego syn zacznie 2 stanawiać się nad tym niezwykłym przywilejem i w jai sposób odkryje, iż jest tylko widmem. Nie być człowiekifi być projekcją snu innego człowieka: Cóż za niezró\,^ upokorzenie, cóż za zawrót głowy! Każdego ojca obchc losy dzieci, które powołał do życia (które dopuścił) w . kłym zamęcie czy szczęściu; jest rzeczą naturalną, że —. obawiał się o przyszłość tego syna, pomyślanego częścj części i rys po rysie podczas tysiąca i jednej tajemnic nocy.

Zakończenie jego rozmyślań było nagłe, ale poprzec je kilka znaków. Najpierw (po długiej suszy) odległa ch. ra nad pewnym szczytem, lekka jak ptak; potem, od str

południa niebo, które miało kolor różowy jak dziaśło lamparta; później dymy, które pokryły rdzą metal nocy; później paniczna ucieczka zwierząt. Bowiem powtórzyło się to, co wydarzyło się przed wieloma wiekami. Ruiny sanktuarium boga ognia zostały zniszczone przez ogień. O świcie bez ptaków mag zobaczył, jak zbliża się do murów kolisty pożar. Przez chwilę pomyślał o schronieniu się w wodzie, ale potem zrozumiał, że nadchodzi śmierć, aby ukoronować jego starość i rozgrzeszyć go z jego trudów. Poszedł ku płomieniom. Te nie kąsały jego ciała, pieściły go i otaczały nie parząc i nie paląc. Z ulgą, z upokorzeniem, z przerażeniem zrozumiał, że on również jest widmem, które śni ktoś inny.

1939

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykowski

132

RENE MARQUES

Ten świeży fresk na tamtym starym fresl

Motto: Jest się, ponieważ się myśli, ponieważ się czuje?

Europa, dziś zorganizowana, wciąż jeszcze wraz z' teżuszem
wpierw myśli, a potem czujj Ameryka, dotychczas chaotyczna w
sw rozpaczliwych poszukiwaniach ładu, je, a potem myśli. W
niedalekiej szłości chaos Ameryki będzie porządS Europy.
Racja poetycka? Tak, w odczuwać nam, Latynoamerykanom
ropie zajmie dużo czasu, nim pomj o tym, ale w końcu będzie
tak, będzie J również czuła.

Mówią, że widziano, jak wysiadała z powozu. Nie z
mochodu — z Npowozu, ciągnięego przez dwa konie, kiego
jak te, które w innej epoce krążyły jeszcze, jak zapewniają,
mniej lub bardziej leniwie po ulicach. Cho niewielki hałas tych
niewielu pojazdów bez koni już wó czas zaczynał szarpać nerwy
i zagrażał nie tyle życiu,; zdrowiu i spokojowi, i tym wszystkim
sprawom, o któr dzisiaj tyle się mówi. Jasne, że to niemożliwe!
W tej nicy, o wczesnej porze, przy dzikim zakorkowaniu ruc
trudno sobie wyobrazić, żeby mógł poruszać się powóz, tak
właśnie twierdzą. W tym wypadku przynajmniej, cięż źródła
informacji nie są godne zaufania. W każdym; zie nie całkiem. Na
przykład ten młody robotnik. Ws wiedzą, że pije i chociaż jest
dokładny w pracy, któż czy, że był trzeźwy tego ranka. Alkohol
może wywoł; reakcje spóźnione lub uboczne. Tak przynajmniej
są choć mnie się to nigdy nie zdarzyło. Ale zapewnia, że dział,
jak wysiadała z powozu, a on o mało nie stracił nowagi i nie
zleciał ze szczytu dźwionu na marmurowe przed fasada. Tak czy

zrobiła ze szczytu dźwigu na kamiennym przęciu kabłąk. Tak czy inaczej, jego zeznania są niejs (pomijając nawet to o powozie, ciągniętym przez dwa nie, w co nikt nie wierzy lub w co wszystkim wydaje

134

że nie wierzą). I cóż mogę zrobić ja, dziennikarz, wyznaczony do tego absurdalnego zadania?

Miałem właśnie uruchomić maszynę, kiedy to się stało. Było to niemożliwe, wiem o tym. Najpierw okropnie się przestraszyłem, a potem zacząłem się śmiać. Zawsze śmieję się, kiedy czegoś nie rozumiem. Bo to w końcu nie czas karnawału i chyba za wcześnie, do diabła, na film w telewizji. Ale tak było. Wysiadła z powozu i ja wciąż jeszcze olśniony tymi końmi, no bo zawsze podobały mi się te wspaniałe zwierzęta, choć nigdy, prawdę mówiąc, nie opłaciłem zakładu na wyścigach. I już nieważne były konie, bo ona wysiadła i zamknęła parasolkę, i podniosła wzrok, i zobaczyłem te oczy, Boże Świąty!, które patrzyły na mnie, wyłącznie na mnie. Pan rozumie, co to znaczy? W ogromnym kapeluszu z czegoś, co z góry wyglądało jak koronka. I suknia aż do kostek, a może jeszcze dłuższa, koloru kawy z mlekiem, z różami czy innymi kwiatami koloru czerwonego wina. I nosiła rękawiczki. Uwierzy pan? Nosiła rękawiczki! I ruszyła w stronę fasady i kiedy jej kapelusz w przejściu potrącił stalową linę dźwigu, poczułem, że wszystko dygoce, nawet sama ziemia, i że zaraz zleceni chwyciłem się rozpaczliwie, i zamknąłem oczy, i nie widziałem nic więcej.

Zamknęłam parasolkę, stanęłam oślepią, wpatrując się w

ten portyk z barwnymi katelkami, ale nie chciałam okazywać zachwytu. Służący w błękitnej liberii wprowadził mnie do hallu.

— Oczekują pani w salonie.

I rzeczywiście byli tam wszyscy czterej. Trzej z nich podeszli pospiesznie i wyciągnęłam do nich rękę, już bez rękawiczki. Gospodarz, z wytworną elegancją, zamarkował Pocałunek. Drugi, o oczach skośnych, prawie że zezowatych, z pewną dozą ociężałości prowincjusza, nie odważył się domknąć jej węsami. Ten był politykiem. Najmłodszy, o oczach lak gorejące węgle i twarzy bladej jak świeca, ucałował ją. Poczulałam, jak jego gorące wargi przekazują mi coś, co nie było ziemskim pożądaniami. Był to patriota. Był już znaczone piętnem śmierci. I nie mogłam się powstrzymać, by nie pomyśleć w tej chwili o zamierzchłej legendzie o zbuntowanym Uroyoanie. Ale moje oczy nie ustawały Poszukiwaniach. Bo ten czwarty nie podszedł, by wziąć

135

udział w ceremonii całowania ręki. Stał z dala nieruchomy pod martwą polichromią cudownej lampy od Tiffany'ego oparty o ścianę z freskiem, przedstawiającym liście i owe kawy. Spoglądał na mnie. I odrywając się od fresku — n_ tologiczny bóg, który przeżył zagładę innych bogów — zbl] żał się powoli. Nie uśmiechał się. Tylko na mnie patr2 Zawahałam się. Znów podniosłam rękę i sędzę, sędzę, ., starałam się uśmiechnąć. Nie wiem. On się pochylił, ujiL moją dłoń i zamiast zamarkować dworny pocałunek ria jią grzbiecie, odwrócił ją i pocałował jej wnętrze. Tak dlujd była ta chwila, że zdawało mi się, iż czuję

pieszczotę jeg, języka na skórze dłoni. Później jego oczy, jego śródziemni morskie oczy, na moich.

— Stworzyłem ją dla ciebie. I powinna być twoja, ją stracisz. W końcu, jestem tylko architektem.

Tylko tym. Był nim także patriota o rozgorączkowany^ oczachs I męczyzna skośnooki. I gospodarz. Wszyscy cz rej w końcu — architekci labiryntu. Ale ja nie jestem '_. zeuszem ani nie trzymam w dłoni bez rękawiczki kłębi nici, który ocaliłby nas przed drogą ku zagładzie.

Człowieku, nie bierz mnie za durnia. Ja nie jestem z tyc. co to wierzą w bajki. Nie słyszałem ani nie widziałem żadnego powozu, ani żadnych koni. To wszystko bujda. Ja tam byłem na miejscu. To chyba wiem dobrze, nie? Tylko ten chłopak na maszynie, jak się miał zabrać za robotę, myśl że był pijany, zawsze wiedziałem, że pije, ale się sprawi z robotą, więc co mnie to obchodziło, to jego sprawa, ja tam nie wtrącam w prywatne sprawy moich ludzi, każ niech robi, co chce, byle się wywiązywał. Taki już jeste nie? Robotą i potem fajerant, jak się zrobi, co się należ* jak się odwali swoje. No więc powiadam, że nie było źć. nej kobiety, wierz pan. Znaczą się były różne. Odkąd żeśr zaczęli, widziałem ich tu masę. Młode i stare, gapily jak mi się zdaje. Tak, i ubrane najróżniej. Nie. w kapę szu, nie. Nie przypominam sobie, że bym widział jakąś w ^ peluszu, a tym bardziej w rękawiczkach. A, no tak, w ka nawale to i owszem, ale to całkiem inna sprawa. Ma rozumieć, widziałem też w telewizji te konkursy wymj nych kiecek, co je tam urządzają różne damulki. ale tan. to jest zabawa. no nie? I tamten chłopak

na górze, jakt nagle dostał morskiej choroby i drze się: „Ta kobieta!

136

zlecę! Ta kobieta! Bo zlecę!” No i weź pan, bądź pan tu mądry. I o mało co, a nie zleciał naprawdę. Ale gdzie tam kobieta. Wypił sobie za dużo poprzedniego wieczoru. No i dobrze, jak się uspokoił, to mu mówię: „Puszczaj maszynę, bo tracimy czas”. No i on zapuścił motor i ten wielki meteor zaczął dygotać, żeby nabrać rozpędu. Ale maszyna stanęła i chłopak, cały w hysterii, woła: „Nie mogę! Nie mogę! Ona jest tam w środku!” No to wtedy, proszę pana, straciłem cierpliwość i pojechałem mu po mąci i po Przenajświętszej Paniencie, chociaż jestem dobry katolik i powiadam mu, że albo on to robi, albo ja tam wejdę i zrobię to za niego. Bo traciliśmy przez to czas, rozumiesz pan?

Traciliśmy czas.

W oczach starca Agieybany, jeśli mamy wierzyć źródłom, spadł z nieba kamień na świętą górę Yuąuiyu. I wstrząsnęła się wyspa z bólu, nie wiadomo — w porodzie, czy w agonii. Choć wielu mówiło, że w agonii. Nigdy nie dowiemy się tego z całą pewnością, gdyż księga młodego Uroyoana zaginęła w czasie i w przestrzeni. I tylko ze słyszenia wiemy o niej. Ale góra została zniekształcona. Na zawsze. „Co jest w tobie, bandero smutnych, wisząca nad przepaścią jak skrzydło?” Jakkolwiek w czasach Uroyoana nie istniały bandery, jak mogłem tego dociec w trakcie moich badań, co cofa nas znowu do punktu wyjścia.

Albo wiadomo, że meteor przyszedł z góry młodego

Ale wiadomo, że meteor zniszczył szafas młodego, zbuntowanego kacyka, aczkolwiek nie jego samego. Myślano, że pochodzi z nieba, jak aerolit, który zdeformował górę, ale okazało się, że to był kamień z katapulty. Albo pocisk z działa, z innych, następnych stuleci. Wszystko jedno. Już mnie, szczerze mówiąc, męczy to zlecenie naczelnego. Nie ma w tym logiki. Ani rozwiązania. I wszystko przez ten uroczysty idiotyzm z powozem, z końmi i z kobietą W koronkowym kapeluszu i w rękawiczkach. Być zmuszonym do badania zamierzchłych źródeł tylko przez to! Ale czy istniały kiedykolwiek jakieś źródła? Do diabła z zawodem! Do diabła z zadaniem! Do cholery ze wszystkim! Ale muszę ciągnąć to dalej. Nie ma rady! Nadal będę to Clągnął, robił wywiady bez zainteresowania i bez wzruszenia. Obiektywnie. Unikając pułapek, jakie oni zastawiają dla mnie swoimi wspomnieniami albo tym, co uważają za swoje wspomnienia.

137

Obiektywnie.

Naturalnie, że pamiętam. Byłam wtedy bardzo młoda dziewczynką. Dom mojego ojca przylegał do tej ściany wówczas wybudowanej rezydencji. To wszystko tutaj, było w tamtych latach prawie szczere pole, wie pan? Ro tu nawet krzaki kawy, niech pan sobie wyobrazi. I młody architekt, jak twierdził mój ojciec, postarał się w miarę możliwości zachować roślinność w stanie nie naruszonej. Były tu ogromne drzewa z pnączami lian, które wspina* się, a potem, uschnięte, opadały niczym koronka. I słówko o świecie, ach, żeby pan wiedział, jakie to było cudowne

Słyszał pan kiedy, jak słowik ojciec uczy śpiewać *sj* Zawsze o świecie. Jeszcze nim zabrzmiał śpiew wojenny hm tego *pitirre* *. Jaka piękność stracona bezpowrotnie! Bo j< szcze w tamtych czasach słowik (ten nasz oczywiście) przel chował, dzięki swojemu wspaniałemu słuchowi i przekol nemu darowi naśladownictwa, śpiew wielu ptaków, kt<5 już wyginęły, ptaków, których śpiewu słuchali jeszcze tył stary Agiieybana i buntowniczy Uroyoan. Tak twie: mój ojciec. Jakże niezwykle mądra jest przyroda! Te w gasle głosy^ przekazywane sobie nawzajem przez pokoler słowików. To piękne, prawda? Ale teraz już słowiki tu *iq* śpiewają. I pytam, proszę pana, dokąd wyniosły się te sftj wiki? Może w jakieś dalekie góry, jeśli takie jeszcze istni ją, jak pan uważa? Przepraszam, pan coś mówił. . . ? Och ta widziałam ich, jak spacerowali, rozmawiając, pod wielkii drzewami. Właściciel, którego znał mój ojciec, polit z wielkimi wąsiskami, o skośnych oczach i drugi, młoda, i szczuplejszy, z bledością. . . jak to określić? . . . z bledośe poety. Później dowiedziałam się, że był również patrioi Albo jednym i drugim, nie wiem. Może patrioci muszą b| również poetami. Jak pan myśli? Albo odwrotnie. Och, pr szę mi wybaczyć, rozpraszam się przy wspomnieniach. Ta na początku także ten młody architekt. Był może nie tj piękny, co interesujący. Moja siostra, jak sądzę, zakocha* się w nim w końcu. Była dziewczynką, tak jak ja, jasn| I gdzieżby on miał zwracać na nas uwagę! A potem znikn

Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Tw»| oczy przypominały mi Morze Śródziemne. Ale reszta był

♦ *Pitirre* — mały ptak antylski.

138

twoja, tak bardzo twoja, tak jedyna. I zostałem olśniony. Nigdy nie poznałem takiej istoty, jak ty. I chciałem ci ofiarować to, co przywoziłem w sobie z innych krajów. Całego siebie, ostatecznie. I teraz widzę cię tutaj, na progu mojego dzieła, podczas gdy twoi całują lub udają, że całują, grzbiet twojej dłoni. I coś mnie ściska za serce. Zazdrość? Nie, nie sędzę, raczej robaczek żalu. Tyle było miłości i zdrady w Grecji mojego dzieciństwa. Czy tutaj będzie tak samo? Kochana, chcę, żebyś była tylko moja. Nie obchodzi mnie twoja przeszłość. Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Owszem, obchodzi mnie bardzo. Bo z twojej przeszłości i z mojej zbudujemy szczęśliwe teraz. Patrzysz na mnie, ja na ciebie patrzę. I wiemy. Zbliżam się do ciebie. Jeszcze raz grzbiet twojej dłoni obcałowywany przez twoich ziomków. Biorę ją. Odwracam. I całuję jej czyste wnętrze. Przez długą chwilę. Mój język pieści twoją rękę. Zrozumiałaś. Nieważne, co mówię, ani co powiedziałem. Zrozumiałaś.

No więc, jak pan się domyśla, jestem na emeryturze. Oczywiście, że to z tym powozem i z końmi, i z kobietą w kawowej sukni... Zresztą nie wiem. Chociaż ja, szczerze mówiąc, zawsze zostawiam jakiś margines dla tajemnicy. Dzisiaj nie wierz się w tajemnicę. A jednak, radziłabym panu, młody człowieku, niech się pan strzeże tajemnicy. W końcu... No tak, do rzeczy. Wszystko zaczęło się, kiedy zaczęłam pracować jako nauczycielka historii w Szkole Głównej. Naszej historii, chciałam

nauczyciela historii w szkole Główniej. Naszej historii, chciałam powiedzieć. Ta rezydencja była od nas na rzut kamieniem. Było już mało wolnych gruntów. Wieżowce posuwały się, pożerając wszystko, ale zostało jeszcze troszkę wolnego miejsca, na tyle przynajmniej, żeby rezydencja mogła chociaż oddychać. Widać ją było już z alei Ponce de Leon, bez dawnej okazałości, jak sądzę, bo wycięto drzewa. Ale stała tu, jak te babcie, co to nie umierają, i które kochamy, wiedząc, że są bezużyteczne, ale sprawia nam ulgę sam fakt, że są razem z nami. Pan rozumie? Nie, nie, ja wtedy nie miałam z nią nic Wspólnego, prócz tego, co już mówiłam. Ale zaczynałam razem z moimi uczniami realizację pewnego pomysłu: mie—uśmy zbierać stare rzeczy do takiego małego muzeum, starocie bez wartości, niepotrzebne nikomu, odpadki, które tylko zawadzają, które zajmują cenne miejsce, oszczędzając ^ końcu pracy przedsiębiorstwu oczyszczania miasta. Pan

139

się uśmiecha? Ależ to prawda! Kobieta w koronkowym << peluszu? Nie, nigdy jej nie widziałam. Skłamałabym, *m*Ą więc, że tak. Ale jeśli ten młody robotnik tak twierd Dlaczego on przywiązuje taką wagę do kapelusza i *r*q wiczek? No tak, to oczywiste, że w swoim wieku ni& nie mógł oglądać kobiety w kapeluszu. . . chyba że w ki»—albo może w telewizji. Mnie w każdym razie zainteresował by styl, bo to dałoby nam klucz do epoki. Nie, historii nie jest śmiertelnym całunem, jeśli się tylko poznało— te nikę tkania. Choć może się na pierwszy rzut oka wyda\ tajemniczo zawikłana. Ale zawsze istnieje ta druga tajem*

ca. Niech się pan strzeże tajemnicy, młody człowieku. Ta mówiłam to już przedtem? I... na czym to ja skończyła

Przepraszam. Jasne, że zbiór powiększał się z upływem. To właśnie mówiłam. Koronkowe kapelusze, rękawic*., *peau de soie*, wachlarze z satyny, poplamione lub pogryzite przez mole przy prętach, posążki indiańskie, wytarzone złacane medale, porzucone szable, przetarte sztandarowe obrazy olejne tak zniszczone, że nie można już było określić, co przedstawiają, pojedyncze sztuki z niemodnej stawy, meble tak stare, że nie miały już zastosowania, i czynią z obrabionego kamienia i okrągłe półmiski z wypalanej gliny, dzbanki z Wysp Kanaryjskich, szaroniebieskie kafle z kamienia z Alp, piękne kawałki belek z żółtego i twardego drewna austryjskiego, majoliki z Talavery, marmurowe statuetki, siekierki z krzemienia, stare szkatułki z miedzi, pretensjonalnie piękne, lampy z alabastru, czarne szlifowane tace, figurki świętych z drewna, brudne i poszczerzone, zakurzone bibeloty z Saksonii, prymitywne moździerze do kawy, groteskowe maski z Loiza Aldea, rzeczy zbędne, śmiecie, przedmioty kłopotliwe i nikomu niepotrzebne, które mogły zaświadczyć o czymś, co nikomu nie obchodziło? I już nie było miejsca na to wszystko. Ludzie byli niezwykle hojni albo po prostu nie byli sentymentalni lub nie byli przywiązani do przeszłości. Albo może po prostu uważali, że są bardzo szczerzy wobec mnie, zaspokajają to, co uważali za moje niewinne szaleństwo, czy przez wczesne dzieciństwo. I mijają lata. I nie wiedziałam, jak to zrobić z tą cudownie chaotyczną kolekcją, która rosła i rosła. Niedaleko była rezydencja, już nie

zamieszкана ale jeszcze żywa, oddychająca z trudem w skąpej przesta

140

ni. I moi nowi uczniowie, i ci dawni, zrozumieli. I poszliśmy wszyscy do Ministerstwa Szkolnictwa i do Ministerstwa Kultury, nie do Sztuk Pięknych, bo takie nie istniało ani nie będzie istnieć. I śmiali się z nas, wie pan, śmiali się. I później do pałacu gubernatora, który był synem, czy też wnukiem skośnookiego polityka, o ile dobrze pamiętam. Tak, też miał na imię Luis. Historia jest bezlitosna, młody człowieku. Ktoś rozpoczyna drogę zniszczenia i nikt nie jest już w stanie temu zaszkodzić albo powstrzymać destrukcji. Nie wiem, czy ten gubernator, o którym mówiłam, śmiałyby się także, ponieważ nie przyjął nas nigdy.

Żegnaj, kochana, żegnaj. Statek oddala się od mola zbyt prędko, przecina już zatokę, ociera się prawie o mury przy Puerta de San Juan, która podtrzymuje w świetle zmierzchu pałac Świętej Katarzyny wraz z jego stuleciami historii i z jego irytującymi gubernatorami i kołysząc się wypływa nagle z zatoki na Atlantyk, by zbliżyć się do zamku San Felipe del Moro, a następnie oddalić się w morze, już spokojnie, oddalić się, oddalić... ze spokojem, jakiego brak dziś mojemu sercu. A ty zostałeś tam, jeszcze na molo, z oczami czystymi pomimo łez i z koronkową chusteczką, w błahym geście pożegnania, a może wiecznym w swojej błahości. Za kim płaczesz, kochana? Za mną? Za ulotnym teraz, które przeżyliśmy szczęśliwie i które należy już do przeszłości? Czy za jutrem, którego nie dane jest

nam odgadnąć... ani ujarzmić? Tak bardzo cię kochałem. Tyle rzeczy chciałem ci ofiarować. A dałem ci tak mało. Ale ziarno, które posiałem, zostało tutaj. Chcę w t o wierzyć, że wykiełkuje i zaowocuje, kochana. Z Morza Śródziemnego przybyłem i na Morze Śródziemne wracam. A twoje oczy będą dla mnie zawsze Morzem Śródziemnym bez powrotu. Żegnaj, kochana. Żegnaj...

Kiedy on mi to powiedział, postanowiłem złazić i niech on sam robi tę robotę. Ja nie mogłem! Pozostały we mnie te oczy. I trząsałem się cały. Tak, wiedziałem, że będzie mnie to kosztować stratę pracy, ale nie mogłem! Pan mnie rozumie? Nie! Przysięgam na moją świętą matkę i na mojego synka... Jak mówię, że widziałem, to widziałem. Nie jestem wariat. No dobra i co mnie to obchodzi, że się śmieją. Pan też mi chyba nie wierzy. Nieważne. Mówię prawdę. A te—raz, bez pracy... Wie pan? Bez pracy. Ale kiedy go zoba—

141

czyłem, tam na górze, jak siada na moim miejscu, zachc ło mi się śmiać. Zawsze mam to samo. Śmiech mnie chodzi, jak czegoś nie rozumiem. A on zaczął kierować szyną ręką fachowca. I ten wielki meteor zaczął dygot dygotać... Och, kupę lat już w tym robię. Zaczynałem szczeniaka. Teraz już mnie mają za fachowca. I jestem Rzuciłem uniwersytet, żeby zabrać się za to, bo przy t j płacą więcej niż w jakimś zawodzie z dyplomem. Ożenił się i przyszedł dzieciak, no wie pan. A poza tym je matka. Znam ten zawód. Dlatego wiedziałem, że dok

zabrał się za robotę. Ale wtedy już się nie śmiałem. Sr umarł tam we mnie, w środku. Może dlatego, że jakoś już zaczynałem rozumieć. I jakiś strach, który wyłonił z ziemi wspinał mi się po nogach, aż się skurczyły, j| z zimna...

Zacząłem już serię artykułów. Czyta się to dobrze. I czelny jest zadowolony. Zacząłem trochę nieśmiało, niej ny siebie, macając, potykając się, ale powolutku zaczą się orientować, prawie rozentuzjasmowany, a nawet olśniony. I teraz... co?, któredy? Jak dotrzeć do końca, w sp logiczny, obiektywny, racjonalny? Bo w tym przeklęty zawodzie nie można popuścić cugli wyobraźni. A oni, ją wykorzystują! To było bolesne doświadczenie. Ja czystych faktów, a oni aplikują mi gmatwaninę ze swe snów. I to niebezpieczeństwo, żeby nie dać się w to wcej|nąć, straszliwe niebezpieczeństwo dania im wiary. Pot żelaznej woli, żeby uniknąć zarażenia. Groza obrazu, rego się nie oglądało, lęk przed snem, którego nie się wyśnić. Tajemnica. „Radziłabym panu, młody człowiek* niech się pan strzeże tajemnicy”. Potworna hydra. Ucii jedną głowę, żeby zaraz wyrosły ci trzy. Przerażliwy silek, żeby być obiektywem, żeby zachować roz a przynajmniej myśleć racjonalnie. Odrzucając całą snu, która może doprowadzić do szaleństwa. Wyjście. Wyjście. Co robić. Za dwa dni muszę oddać ostatni ar Naczelny czeka. I rozsądek także.

Miły, piszę do ciebie zbyt późno. Wybacz. Późno dostałam wiadomość. I to jest właśnie powodem. Dost ją poprzez naszego poetę, naszego wiernego przyjaciela, «j go o cerze tak bladej jak marmur, który sprowad z Carrary, bo nigdy ci nie

powiedzieli, że w łonie

142

kordyliery można także znaleźć marmury, tego, który tak kochał twoje Morze Śródziemne i którego ty porównywałeś do Byrona, szlachetnego lorda, który pojechał zginąć za wolność twojej ojczyzny. Nasz nie. Chory, blebszy niż zwykle, został tutaj, walcząc rozpaczliwie o wolność mojej ziemi. Płakaliśmy razem. Po tobie. Po tej wyspie, którą tak kochałeś. I nad nami samymi również troszkę, jak mi się zdaje. Jest tyle rzeczy, które trzeba oplakiwać. Mam nadzieję, że słońce egejskie musi osuszać mniej łez niż nasze. Na której z wysp twojej Grecji przyszła na ciebie ostatnia chwila, Kochany? Wyobrażam sobie twój stos pogrzebowy, jakby narysowany przez ciebie, jak wznosi się ku odwiecznemu niebu w helleńskim połączeniu majestatu i wdzięku. Który z twoich bogów uczestniczył w obrządku? Zapewne Neptun, bo zawsze kochałeś morze, żyjąc w otoczeniu czystej tajemnicy wód. Nie urodziłeś się dla stałego lądu. Zawsze byłeś wyspą. Wyspą, jak ja. Kto podpalił stos twego ostatniego oczyszczenia? Chciałabym wierzyć, że to był ów tragiczny buntownik, jako że twój własny ogień nie mógł już tego uczynić. Ponieważ byłeś synem Zeusa, jak i on. I powiedz mi, miły, powiedz mi cichym szeptem, powiedz mi, błagam, ile kobiet w tunikach z najbielszego i najcieńszego lnu, z rozpuszczonymi włosami i z oszalałym wzrokiem, rzuciło się na twój stos? Nie, myśląc o tym nie czuję zazdrości, może trochę żalu. Żalu za tobą, że nie będziesz miał już łez do płakania. I niewniei. nieznacznei zazdrości wobec nich. wobec każdej z nich.

że czuły ostateczny ogień obok ciebie. Ale przed urną z twoimi prochami złożę któregoś dnia koszyk moich owoców i kwitnącą gałązkę kawy. Wiesz dobrze, że nigdy nie zapomnę o twojej miłości. Ty wiałeś to szczęście, że w cudowny sposób odnalazłeś nic, która doprowadziła cię do końca labiryntu i osiągnąłeś wyzwolenie. Ja, twoja wyspa, przebywam jeszcze zagubiona wśród korytarzy labiryntu. Niech twój Zeus i mój Yukiyu Pozwolą nam połączyć się w przyszłości bez czasu, gdzie „idziemy mogli przeżyć raz jeszcze swobodnie, niczym wody wiecznej rzeki, tamto nasze teraz, które już stało się dla ^nie wczoraj.

} °d jąder, skurczonych, jakbym się kąpał nago w zim—
rzece Cubuy, strach wspinał mi się po brzuchu, po żo—ku, po
piersi i docierał już prawie do serca. Widziałem

143

z drugiej strony brązowej kraty grupę rozradowanych *maq*
ców, którzy krzyczeli: „Dawaj go! Dawaj, mocniej! przywalili!”
Podczas gdy meteor drżał coraz szerzej, wspinałym impetem. I
plączące staruszki. I młodzi, śmił jacy się, jak ja przedtem się
śmiałem, dlatego może, teraz oni byli tymi, co nie rozumieją, i inni
młodzi, ważni, patrzący uważnie, uważnie, czy też może
zahipnot; zowani straszliwym dygotem olbrzymiej kuli. Kiedy
działem już, że to zaraz się zdarzy i że nie mogę ten
przeszkodzić, wspinający się strach gwałtownie doskoc do
serca. Zamknąłem oczy i krzyknąłem. Nie powiedział nic, wie
pan. Tylko krzyk. Słyszał pan, jak ryczy być kiedy mu wypalają
malk wieszpan w ślabron? Cdyk wieszpan w dżiońketyja

znak rozszarpanym żelazem? Gdyby mieszkał w dzieciństwie obok pastwisk Hatillo, nigdy „Jp pan tego nie zapomniał. Ale nikt tego nie usłyszał, bo w samej chwili huk, jak z wulkanu albo z piekła... Ja jeste przyzwyczajony do huku. Ale tamto, to było co innego Inny dźwięk. Bo ona była tam w środku. I mój krzyk czył się z jej krzykiem. Przysięgam panu, że ona tam był I wszystko latało, tańczyło w powietrzu. I ona tam, jii w potrzasku. Nie mogła uciec. I kula maszyny waliła w szym ciągu. Straszne ciosy, znam je dobrze. Kierowała ty fachowa ręka. I wszystko latało, tańczyło w powietrzu Musiałem przykucnąć i osłonić głowę rękami, bo syf się gruzy i raniące odłamki. Ile czasu minęło? Nie wie Godziny, a może dni albo lata, albo wieki, czy ja wie Ale trwałem skurczony w sobie, aż usłyszałem ciszę, malutku otworzyłem oczy, odjąłem ręce od czaszki, pod słem głowę, wstałem. Która godzina? Myślę, że musiało pod wieczór, bo światło nie było jasne, a może to pył ws stko zaciemniał. Nie wiem. W każdym razie nie był to }| chaos, bo wszystko stało się ruinami. I jej tam nie by To znaczy ja jej już nie widziałem. Ale widziałem malcój| wznoszących okrzyki radości wśród gruzów i męzczy chciwie wrywających kable elektryczne, jakby wypruw| sobie ostatnie żyły i drzące, nieśmiałe staruszki, które zbij rały jakieś odłamki, nie wiem, co to było, marmur, kaf fragmenty mozaiki czy klepki parkietu, w każdym raa zbierały to z takim nabożeństwem, jakby to były świę relikwie, i kilku starców, niewielu, rzecz jasna, bo „scho? był już skończony, patrzących z przeciwległego chodnik

patrzących może bez zrozumienia albo z nadmiernym

zrozumieniem, chociaż oni nie śmiali się tak, jak tamci młodzi, bo w ich wieku, jak myślę, człowiek nie potrafi się już śmiać. I wtedy zbliżyłem się do ruin, pomału, pomaleńku. Nie było się co spieszyć, rozumie pan, nie było się co spieszyć. Co czułem? No, nic, wydaje mi się, że nic. Zbliżałem się, po prostu. Po co szedłem? Nie wiem. Potykałem się o gruzy, padałem. I wstawałem i potykałem się, i padałem i wstawałem. . . Aż zobaczyłem ścianę. To znaczy to, co zostało ze ściany, jedyne, co zostało ze ściany, albo resztki ściany. Widziałem ją przedtem, kiedy jeszcze była ścianą. Z ciekawości obejrzelismy wszystko, zanim zaplanowaliśmy całą rozbiórkę tak, żeby były najmniejsze koszty. Były na tej ścianie jakieś rysunki, no, nie rysunki, a malowidła: gałęzie, liście i owoce dojrzałej kawy. I teraz na tym starym fresku inny, świeży fresk. Plama krwi i ciała, i zmiżdżonych kości, a na ziemi zakrwawiony kapelusz z koronki i kawałki jedwabiu, koloru kawy, które mogły być suknią kobiety, nie wiem. I nie chcę tego wiedzieć. I tak, w końcu, nigdy się tego nie dowiem. Nigdy się nie dowiem, dlaczego ktoś postanowił, że ostatecznie ma powstać świeży fresk na tamtym zniszczonym fresku. Zwłaszcza, skoro jutro znikną obydwa, bo trzeba będzie w szybkim tempie zacząć oczyszczanie terenu pod budowę drapacza chmur. To ładne, nie? To z drapaniem nieba po chmurze. Nie wiem, czy ten tutaj będzie drapał niebo, czy też zada mu straszliwe pchnięcie, może nawet śmiertelne. Mnie zwolnili. Nic nie mogę zrobić. A tam, niebo z chmurami, niech się do nich przyzwyczai, jeśli naprawdę można się do nich przyzwyczaić. A pan niech mnie już zostawi w spokoju, niech mi

pan nie zawraca głowy. Ja już nic nie mogę zrobić. Chyba że tylko szukać innej pracy i starać się przynajmniej znaleźć spokój.

Znajdzie obydwie rzeczy? Nie wiem. Skąd to można wiedzieć? Burzenie, zagłada i spokój? Zacierą się granica między moją rzeczywistością i rzeczywistością innych. Miesza się wszystko. I już niemożliwa jest wiedza, co jest fantazją, a co istnieje obiektywnie. A może jest możliwa? ·Milcz serce, niech mówi rozsądek. Tylko trzy godziny do *te* Naczelnicy czeka. Drukarnie nie mogą stanąć.

* *Deadline* (ang.) — nieprzekraczalny termin; dosłownie: linia śmierci <Przyp. tłum.).

144

10 _

W zaczarowanym zwierciadle

145

Deadline, linia śmierci. Artykuł nie napisany, końcowy tytuł. Wywiążę się wobec gazety. Wywiążę się. Czysty pier, wkręcony w maszynę, czeka. Wykonam zadanie. Cz sty papier czeka. Zrobię to. Przeważy rozsądek. Jeszcze trafię być obiektywny. Jeszcze...

Kiedy przeczytałam tytuł w gazecie, poczułam głęb żal, ale nie mogę powiedzieć, że bym była zbytnio zaskoczona, niech mi pan wierzy. W pewnym stopniu można to być przewidzieć. Podczas tego wywiadu, który przeprowadził pan ze mną w domu, mogłam dostrzec jego sceptycyzm, by nie powiedzieć niedowierzanie, a nawet, chwilami, le szyderczy uśmiech. Robił, co można było być wobec urzędnika. Nie tyle, sadze, z racji

co nadzieją, żeby być wobec uprzejmym. Nie tyle, sądzę, z uwagi
mojej płci, co, nadzieję, z uwagi na moją pozycję emerytowanej
nauczycielki. Ledwie udawało mu się powstrzymać niecierpliwego
młodego dziennikarza wobec spraw, które mu opowiadać. Zupełnie
tak, jak pan. Ale, powtarzam, był wobec uprzejmy, tak jak i
pan. Nie wierzył albo nie chciał rzyć. I w tym właśnie
przymuszaniu się do tego, by wierzyć, w tym zapamiętaniu, żeby
być tak chłodno obiektywnym, wyczułam coś, co mną
wstrząsnęło. Jego za ten sam co i pański, nakazy jego zawodu
zmuszały go zaplątania się w to wszystko. Widziałam to w jego
oczu. Był skazany na zagładę, jak dom przeznaczony do rozbicia.
Inny może by dał sobie radę, chociaż nie jestem. Ale on nie.
Wiele osób uważa, że nie zaczął pisać ostatni artykuł. Ależ
nie, on go napisał. Na swój sposób, zumiałam to dobrze z
notatki, którą, jak podaje, go pozostawił. Jedynym sposobem,
żeby wy, z labiryntu, jest nigdy do niego nie wchodzić. Właśnie
chciałam go wtedy ostrzec: „Radziłabym panu, młody człowieku,
niech się pan strzeże tajemnic. Tak mu powiedziałam. Niestety, nie
ustrzegłam się. Ale młody człowieku... pan jest jeszcze prawie dzie-
ciakiem i przynajmniej ma pan oczy dziecka... czy pan się ustr-

Przełożył Jerzy .

ADOLFO BIOY CASARES

Pasażerka pierwszej klasy

W owym tropikalnym mieście, skromnym ośrodku
handlowym, w którym od przypadku do przypadku pojawiali się
agenci towarzystw tytoniowych, życie wlokło się monotonnie.
Kiedy jakiś statek zarzucał kotwicę w porcie, nasz konsul, dla

uczczenia wydarzenia, wydawał bankiet w mauretańskim salonie hotelu „Palmas”. Honorowym gościem był zawsze kapitan, któremu czarny boy z konsulatu niósł na pokład zaproszenie z prośbą, aby objął nim przez siebie wybraną grupę oficerów i pasażerów. Choć stół odznaczał się wspaniałością, wilgotny upał czynił pozbawionymi smaku, a nawet podejrzanymi, najbardziej skomplikowane produkty sztuki kulinarnej tak, że zachowywały swą atrakcyjność jedynie owoce; a raczej owoce i alkohol, jak dowodzą świadectwa podróżnych, którzy nie zapomnieli znakomitego białego wina ani wynurzeń, rzekomo zabawnych, jakie ono wywoływało. Podczas jednego z tych obiadów nasz konsul usłyszał z ust pewnej turystki — zamożnej starszej damy o silnym charakterze, swobodnych manierach, luźnym angielskim kostiumie — następujące wyjaśnienie czy opowiadanie:

— Ja podróżuję pierwszą klasą, ale uznaję bez dyskusji, że dzisiaj wszystko sprzyja pasażerom drugiej. Przede wszystkim cena rejsu, która jest ważną sprawą. Posiłki, jak wszystkim wiadomo, pochodzą z tej samej kuchni, przygotowywane są przez tych samych kucharzy dla pierwszej i drugiej klasy, ale bez wątpienia przez sympatię załogi dla klas niższych najwyborniejsze i najświeższe dania wędrują niezmiennie do jadalni drugiej klasy. Co do wspomnianej sympatii dla klas niższych, niech się pan nie da zwieść, nie ma w tym nic naturalnego; wpoili ją pisarze i dziennikarze, osobnicy, których wszyscy słuchają z niedowierzaniem

potrafią przekonać. Ponieważ druga klasa wypełniona je w komplecie, a pierwsza jest praktycznie rzecz biorąc pust prawie nie spotyka się kelnerów w pierwszej i tym samym obsługa jest o tyle lepsza w drugiej.

Niech mi pan wierzy, że niczego już nie oczekuję życia; jednakże lubię ożywienie, ludzi przystojnych i młodość. I teraz zdradzę panu mój pogląd: choćbyśmy się wiem jak upierali, piękno i młodość są tym samym; bez powodu stare kobiety jak ja tracimy głowę, jeśli wchodzi młody chłopak. Młodzi ludzie — aby powrócić sprawy klas — podróżują wszyscy w drugiej. W pierwszych balach, jeśli się już odbywają, wydają się balami wskrzeszonych trupów, które założyły na siebie najlepsze stroje i biżuterię, aby uczcić wieczór, jak należy. Najlogiczniej byłoby, gdyby punktualnie o dwunastej każdy powrócił swojego grobu i rozpadł się w proch. Jasne, że można uczestniczyć w festynach drugiej klasy, chociaż wówczas należy być pozbawionym wszelkiej wrażliwości, gdyż którzy przebywają tam na dole patrzą na nas, jakbyś się uważali za koronowane głowy przybywające z wizji do ubogiej dzielnicy. Ci z drugiej pojawiają się, kiedy ją ochotę, w pierwszej i nikt, żadna władza, nie przeciwnie? stawia im nienawistnej bariery, którą społeczeństwo jednogłośnie odrzuciło jakiś czas temu. Te odwiedziny ludzi z (drugiej klasy są dobrze przyjmowane przez nas, tych z pierwszej, którzy powściągamy nasze względy i wylewność, goście nie odkryli, że ich rozpoznajemy, natychmiast ja tych z innej klasy — klasy, która, póki trwa podróż, nowi dla nich najautentyczniejszy przedmiot dumy — i obrazili się. Mniejsza przyjemność sprawia nam swi

szły — i okazał się tymczasem przyjemność sprawując nam swój wizytami, kiedy chodzi o wycieczki, czy najścia, które ogół zdarzają się przed świtem; są to prawdziwe nap indiańskie, podczas których agresorzy zapamiętali odć się poszukiwaniom pasażera — któregośkolwiek z nas! > co nie zamknął dobrze drzwi swojej kajuty, czy też zabal dłużej na zewnątrz, w barze, bibliotece czy w salonie zycznym. Przysięgam panu, że ci chłopcy chwytają go większych względów, włoką na pokład spacerowy i rzucają za burtę w czarne niezmierzone odmęty mors oświetlone przez nieczuły księżyc, jak powiada poeta, i

ludnione straszliwymi potworami naszej wyobraźni. Co ra—
n0 my — pasażerowie pierwszej klasy — patrzymy na siebie wzrokiem, który jasno wyraża: „Więc na pana nie przyszła jeszcze kolej”. Z przyzwoitości nikt nie wspomina o zaginionych; również z ostrożności, jako że według pewnych wersji, być może nie uzasadnionych (istnieje jakaś okrutna przyjemność w straszaniu samego siebie, w przypuszczaniu, że organizacja przeciwnika jest doskonała) pasażerowie drugiej klasy utrzymują wśród nas sieć szpiegów. Jak powiedziałam panu przed chwilą, nasza klasa straciła wszelkie korzyści, nawet snobizm (który na podobieństwo złota zachowuje swoją wartość), ale ja, z powodu jakiejś ułomności, być może nieuleczalnej u ludzi w moim wieku, nie mogłabym pogodzić się z przeistoczeniem w pasażerkę drugiej klasy.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykowski

148

GABRIEL CASACCIA

Dziwny niepokój

Rafael Sequeiros obudził się wytrzeszczając oczy w cęfj szy i ciemności swojej sypialni. Usłyszał wyraźnie głos żącej, Brygidy, wołający go po imieniu i wzywający mocy. Doszły wyraźnie do jego uszu te słowa: „Na pomoc panie Rafaelu. . . *opdmocol*” — na tym okrzyk się urwą

Sequeiros trwał wzburzony długą chwilę siedząc na łóżku, nasłuchując, pragnąc przebić wzrokiem gęstą, otaczającą go ciemność. Słyszał obok siebie równomierny i spc kojny oddech żony i ten spokojny oddech, w ciszy pokoji miał jakiś dziwny dźwięk, który przepelniał go niepokój er i irytacją. Miał wielką ochotę obudzić ją i pomówić z nią o tym okrzyku, który przed chwilą usłyszał.

„Co mogło się stać Brygidzie?” — zapytał z niepokojer i zapartym tchem. „Czyżby umierała?” — powtarzał w duchu; i myśl ta, która kogokolwiek innego zmartwiłaby i za—1 trwożyła, nie mąciła jego spokoju. Bardziej niż śmierć Brygidy przestraszył go jej krzyk pośród nocy. Może wydal go w spazmach agonii? Sequeiros usprawiedliwiał podświa domie swoją obojętność i brak żalu na myśl o śmierci Brygidy tym, że śmierć jest nieunikniona; że wszyscy, jeć prędzej, drudzy później, ale bez wyjątku, musimy jej st wić czoło; że teraz przyszła kolej na Brygidę i że jutro jemu samemu może być to sądzone; że ostatecznie Brygid ma swoje sześćdziesiąt lat i że w tym wieku śmierć je mniej bolesna.

Brygida służyła ponad dwadzieścia lat w jego domu; al znał ją znacznie dłużej, gdyż poprzednio pracowała u jeg ciotki,

popędliwej i złośliwej staruchy. To właśnie ta ciotka wychowała i wykształciła Sequeirosa, który w dzieciństwie został sierotą. Traktowała go z nieubłaganą surowością. NtTJ szczydziła mu żadnej kary ani upokorzenia. Po śmierci ciotki Sequeiros zatrzymał Brygidę.

150

Sequeiros spostrzegł, że Brygida z biegiem lat coraz bardziej upodabnia się z rysów i chodu do jego zmarłej ciotki. Ale dziwiło go i niepokoiło, że nikt oprócz niego nie dostrzega tego podobieństwa. Przyjaciele, którzy znali jego ciotkę, roześmiali się i uznali ten pomysł za dziwaczny, gdy zwrócił na to ich uwagę. Jego żona okazała się bardziej bezpośrednio i powiedziała, że chyba stracił rozum, żeby doszukiwać się jakiegokolwiek podobieństwa między swoją ciotką a biedną Brygidą. Ale Sequeiros nie zmieniał zdania i powtarzał sobie, patrząc na starą służącą: „ten sam grymas ust, to samo spojrzenie, te same ruchy przy chodzeniu. Oni tego nie dostrzegają, bo nie znali dobrze ciotki Carmen”. Sequeiros, mający, podobnie jak jego ciotka, pobudliwy i okrutny charakter, nie szczędził Brygidzie krzyków, obelg i nieprzyzwoitych wyrazów, jakie niegdyś sam musiał znosić, czyniąc z niej ofiarę najprzeróżniejszych upokorzeń i rygorów. A jego szorstkość i brutalność rosły w miarę, jak dostrzegał coraz większe podobieństwo między Brygidą i ciotką, która wypełniła smutkiem i goryczą jego melancholijne dzieciństwo, jak gdyby pragnął zemścić się na biednej służącej za bicie i moralne tortury, które „wcierniał jako dziecko. Nie było prawie niedzieli, żeby

nie odwoływał jej wychodnego za wymaginowane czy błahe przewiny, pozbawiając ją popołudniowego spaceru (tak samo postępowała ciotka Carmen wobec niego) wiedząc, że w ten sposób odbiera Brygidzie jej największą przyjemność, że przez cały tydzień czekała z niepokojem na to, żeby pójść na Plaža de la Constitución czy popatrzeć na statki w porcie.

Brygida znosiła codzienne złe humory, dokuczanie i obelgi swojego pana bez skargi, bez najmniejszego gestu buntu; przeciwnie, stawała się coraz wierniej sza i coraz bardziej uczynna. Sequeiros wiele razy, w przyływie swoich częstych ataków furii, wyrzucał ją; ale potem szukał sposobu żeby skłonić ją do pozostania, nie dlatego, żeby była niezastąpiona, lecz kierując się instynktem własnej urazy, jakby obawiał się stracić ofiarę, nad którą mógł się pastwić. A ponieważ Brygida była do niego bardzo przywiązana i nie opuściłaby go za nic w świecie, wystarczała lekka sugestia, żeby pozostawała. Łagodność i pokora Brygidy Powiększały awersję, jaką napawała ona Sequeirosa. „Nie m jej ścierpieć” — powtarzał często. — „Któregoś dnia

151

rozwałę jej łeb” — mówił sobie wielokrotnie w przyływy irytacji. Jego żona uważała tę nienawiść za absurda i bezsensowną, zwłaszcza w stosunku do starej i wier służącej jak Brygida i Sequeiros przyznawał jej rację, cując w przyszłości panować nad sobą; ale przy najbliż okazji jego gniew wybuchał z całą siłą, nieposkror

ny.

„Musiało mi się zdawać” — wymruczał Sequeiros dzy zębami siedząc jeszcze na łóżku i starając się uspo I po chwili znów się położył.

Zaledwie zaczął zapadać w sen, obudził go powtór brutalnie, nowy, rozdzierający i rozpaczliwy krzyk. Słysz go bardzo wyraźnie. Owładnęło nim dziwne uczucie cii wości zmieszanej ze strachem i nie panując nad sobą skoczył z łóżka, zapalił lampę i popatrzywszy przez chv na żonę z zamiarem obudzenia jej, wyszedł z pokoju.

Gdy znalazł się na zewnątrz, ruszył bez wahania strych, gdzie znajdowała się kłitka Brygidy. Stare spir schody z zardzewiałego żelaza drżały pod jego stopami, intensywne drżenie w nogach i chwilami wszystko mu się przed oczami, jakby miał za chwilę stracić pr tomność. Zatrzymał się na kilka sekund przed uchylonni drzwiami pokoiku i potem chciał podnieść rękę, żel otworzyć, ale ramię odmówiło mu posłuszeństwa i pozost nieruchome. Od chwili kiedy wyszedł ze swojego pokd nie przestawało chodzić mu po głowie pytanie: „Czy umarła?” W końcu udało mu się podnieść rękę, która dała mu się ciężka i niezdarna, jakby na wpół sparaliżował na. Popchnął lekko drzwi. W pokoju panowała głęboka! sza, jak gdyby wewnątrz nie było nikogo. Zajrzał do śro Dostrzegł w półmroku pryczę Brygidy, a na niej, w8 skłębionej pościeli, jakąś bryłę, która musiała być jej łem. „Po co te wszystkie ostrożności, jeżeli już nie żyje?” powiedział do siebie półgłosem.

Bryła ta była zupełnie nieruchoma. Musiała wołać o: moc

przed śmiercią, podczas agonii. Biedaczka! I Seque rozczulił się na myśl o biednej Brygidzie, która samotnie, nic nie pozostawiając ani nic nie zabierając z życia ogołoczonego ze wszystkiego. Było to pierwszy raz/ tylu lat, kiedy się roztkliwił nad swoją służącą. Stała i przed oczami z całą intensywnością pustka tego życia.

152

czyłem ją moją brutalnością, ciągłym prześladowaniem a nawet przyspieszyłem jej śmierć”. I pomyślał przez cł łę, że spoczywa na nim część winy za jej śmierć. Ale tychmiast powiedział sobie, że teraz Brygida odpoc i że śmierć jest dla niej wyzwoleniem. I myśląc o odetchnął głęboko, jakby on również od czegoś się „zwał”. Ale czy na pewno umarła, czy może tylko ś| Najlepiej się przekonać. Zrobił dwa kroki w ciemności i \ ciągnął rękę, żeby dotknąć jej czoła; ale powstrzyma! nagle, ogarnięty przerażeniem. Przyszło mu na myśl, Brygida może się poruszyć czy otworzyć oczy i spojrzeć na niego, z głębi swojego śmiertelnego snu, oczami cici Carmen. Tak! To ciotka Carmen powstałaby z tego cuchnącego siennika. Strach jawił mu przed oczami dziwaczne \ zje. Przeważony miał ochotę uklęknąć i prosić Brygidę, at przebaczyła mu, że ją zabił, ale zamiast tego wyszedł townie^z pokoju i zbiegł po dwa stopnie po starych dach. Miał wrażenie, że ktoś go ściga. Przeważony od\Ł. głowę. Nikogo! Serce podskoczyło mu z ulgą. Oddyc zachłannie, łykając rozpaczliwie powietrze, jakby pr chwilą się topił.

Skierował się do sypialni, ale przed drzwiami zatrza[^] się na długą chwilę. Opuścił go całkowicie strach, kć czuł przed

kilkoma jeszcze sekundami, i wszystkie te Ł mieszane uczucia, którymi napełniał go widok ciała Br gidy, wydały mu się bezsensowne. Musiała być chora. Po niósł rękę do czoła i stwierdził ze zdziwieniem, że jest zła zimnym potem. „co się ze mną dzieje?” Przeraziła go myśl, że moje ogarnia go szaleństwo lub że zwariował już przedtem, nie zdając sobie z tego sprawy. «

Po wejściu do sypialni długo chodził z kąta w kąt, opjany silnym podnieceniem. Robił możliwie najwięcej łasu, żeby obudziła się żona, choć okłamywał się, że stępił się słuch i że czyni wszystko, żeby jej — obudzić. Chciał, żeby obudziła się sama, jakby nie on, spowodował. Wielokrotnie przeglądał się w lustrze szat w rozproszonym świetle lampki. Ale nie dostrzegł na swojej twarzy niczego nienormalnego. Za każdym razem przeglądał się z potwornym lękiem, że szaleństwo nie pozwoli mu rozpoznać własnej twarzy. Po pewnym czasie zaczął się uspokajać, aż w końcu położył się na łóżku obok

154

w tym momencie podniosła ona rękę, zamruczała coś i odwróciła się w jego stronę. Przyglądał się jej w nadziei, że się obudzi. Widząc, że znów pogrążyła się w spokojnym i głębokim rytmie snu, usiłował ją obudzić, poruszając się na łóżku. Zostawił lampkę zapaloną, gdyż obawiał się bezsenności po ciemku. Przez długi czas leżał na plecach, z otwartymi oczami, nie myśląc o niczym, spokojny, ale spokój ten nie rodził się w jego umyśle, lecz był wynikiem zmęczenia i odrętwienia. Opanowywał go z wolna sen, tak jakby woda powoli podnosiła mu się w piersiach

wolna się, tak jakby woda powoli podniosła mu się w plecach. Ale nagle, nie wiedząc jak, poczuł się zupełnie rozbudzony. Przed oczami miał obraz ciotki Carmen bijącej go po głowie. Powracało zapomniane wspomnienie z dzieciństwa, ciotka Carmen goniąca go z kijem w ręku, podczas gdy on uciekał po dziedzińcu, śmiertelnie przerażony, aby nie dosięgły go razy, jakie wymierzała starucha. Sequeiros przeraził się, że znów powraca to samo uczucie rozpacz i przerażenia, jakie nękało go wówczas. Zaczął poruszać się niespokojnie na łóżku. Materac zdawał się parzyć mu plecy. Zgasił światło sądząc, że to ono go rozbudza. Ale po ciemku było jeszcze gorzej. Poczuł, że robi mu się jeszcze bardziej gorąco. „Dusił się. Znów zaczął go dręczyć obraz ciała Brygidy, zwiniętego wśród brudnych łachmanów, i wspomnienie to przyniosło ze sobą ciepły zaduch, jaki panował w służbówce. Poczuł go tak intensywnie, iż wydawało mu się, że znów jest tam albo że Brygida przyszła do niego.

W końcu wstał, nie wiedząc sam czy dlatego, że jest mu gorąco, czy z powodu niepokoju. Tym razem nie zapalił światła. Skronie pulsowały mu. Drżał od stóp do głów, jakby miał gorączkę. Był nawet pewien, że ją ma. Wyszedł na palcach z sypialni. Poruszał się jak automat, nie zdając sobie wyraźnie sprawy z tego, co robi, ani dlaczego tak postępuje. Ruszył w stronę schodów, ale podczas tej krótkiej drogi zatrzymywał się przynajmniej trzy razy z zamiarem powrotu. Chciał iść do pokoju Brygidy, upewnić się co do 3ej śmierci. Czy rzeczywiście to popychało go naprzód? Wo—ła i umysł zdawały się zaledwie uczestniczyć w jego czynach, do tego stopnia, że następnego

dnia bardzo niejasno Pamiętał, co robił w nocy, i przypominał sobie niektóre szczegóły jakby z jakiegoś snu.

Kładąc rękę na poręczy schodów dotknął kawałka drewna—
155

na, który on sam położył tam po południu, aby następnego dnia zrobić z niego żerdź w kurniku. Wziął machinalnie śląc, że przyda mu się do obrony, choć nie wiedział przy czym j

Wszedł chwiejnie na schody, jakby czuł zawrót głowy. Za każdym razem, gdy stawiał nogę na stopniu, ogarn go przemożna chęć, aby zawrócić. Po co wszedł do pokoju Brygidy? Gdy dotarł do ostatniego stopnia, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i usiadł, żeby odpocząć. Przycisnął mocno serce, które biło mu gwałtownie, jak po długim biegu. Ciężki był słuch. Z pokoju Brygidy nie dochodził najmniejszego szmeru. Nagle przypomniał sobie, że już kiedyś widział figurę martwą, leżącą na tym samym łóżku. Starał się ją zobaczyć, gdzie i kiedy widział ten obraz, ale na próżno. Jego myśli były bardzo niejasne i splątane. Nie był na pewno, czy nie mylił mu się niedawna wizyta z jakąś kobietą, która nigdy nie miała miejsca.

Wstał i nie wypuszczając z ręki kija zbliżył się do drzwi służbowki. Do obawy przyłączyło się nie dające się ośmielić uczucie ciekawości. Chciał zobaczyć martwą Brygidę i przemianę, jaka nastąpiła w jej twarzy. Jak wyglądała nowa, nieznana mu twarz? Miał niejasne przeczucie, że stąpi w nim wielka zmiana, gdy znajdzie się przy drzwiach Brygidy.

Ale Sequeiros nie odważył się przestąpić drzwi. W zamyśleniu przemknęła mu myśl, że są one innej zamknięte niż poprzednim razem, tak jakby pod jego

nieobecności ktoś je dotykał. Nieoczekiwanie, jali wyszło spośród cieni, pojawiło mu się wspomnienie cię Carmen, tak jakby ją, a nie Brygidę, miał znaleźć w s bówce. Podskoczył i zadrzał ze strachu na dźwięk cię; oddechu. Więc Brygida nie umarła, jak przypuszczał? I przywidzenie lub rzeczywiście były to objawy szaleńst W przypiływie rozdrażnienia, dając upust swojej iryt otworzył kopniakiem drzwi na oścież, krzycząc jednoc nie: „Brygida!” I zaczął patrzeć rozszerzonymi oczs w głąb pokoju. Musiał zawołać dwa razy, zanim ujrzał, ciało Brygidy podnosi się i usłyszał, jak jej zaspány i pyta: *Mbaeco reipotd?* Dźwięk tego głosu wstrząsnął ąueirosem. Wydało mu się, że słyszy głos ciotki Carr to samo brzmienie i intonację, gdy mówiła ona w ję.2

156

auarani. Chciał coś odpowiedzieć, ale miał tak sucho w ustach, że nie mógł wykrztusić słowa. Jego ręka nieświadomie zacisnęła się na kiju. Przypomnił sobie własne słowa: „Któregoś dnia r—ozwałę jej łeb” — poczuł jakby kij i jego ręka zespoliły się tworząc jedną całość, sztywną, twardą, przepelnioną nieokiełznaną gwałtownością. W końcu zdołał zapytać:

— Czy to ty krzyczałaś?

— Ja nie krzyczałam — odpowiedziała sennie Brygida.

Sequeiros nie wiedział, co powiedzieć, zastanawiał się,

czy śni. Kij drży w jego zaciśniętej pięści. Stał tak przez kilka sekund, które wydały mu się godzinami, w napięciu, nachmurzony, z zaciśniętymi zębami, opanowany szaleńczym nraonieniem uderzenia *Brygidy* kiiem w ołowe. I naole iakhy

pragnieniem uderzenia Brygidy kijem w głowę. I tak, jakby coś w nim pękło — dłoń rozluźniła się na kiju i wyszedł z pokoju nie mówiąc słowa. Zszedł powoli po schodach, zamyślony, wątpiąc, czy w rzeczywistości słyszał wołanie Brygidy o pomoc. Gdy był już na dole, położył machinalnie kij w tym iamyym miejscu.

Następnego ranka Sequeiros wstał z niejasnym i bolesnym wspomnieniem tego, co zdarzyło się w nocy. — Nie ubierając się, w piżamie, wyszedł pospiesznie z pokoju. Zatrzymał się przy schodach. Stał tak przez dłuższą chwilę zamyślony i nieruchomy, patrząc ze zdziwieniem na kij, jakby był to jakiś dziwny, po raz pierwszy oglądany przedmiot. W tym momencie pamiętał tylko, że w nocy wstał, poszedł do pokoju Brygidy i, ślepy ze wściekłości, uderzył ją w głowę tym kawałkiem drewna, które tu leży. „Dlaczego to zrobiłem?” — pytał się ze ściśniętym ze strachu sercem. „Pobiłem ją nieświadomie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię. Dlaczego wziąłem ten kij? Moja ręka znalazła go natychmiast w ciemności, jakby to sam diabeł go tam postawił” — zastanawiał się, nie spuszczać kija z oczu. Chociaż jego wspomnienia były pogmatwane i niespoiste, pamiętał mglście, że wziął kij, aby bronić się przed zjawą Brygidy czy ciotki Carmen, nie był pewien której z nich, ale bez najmniejszego morderczego zamiaru. Sequeiros żałował bardzo swojego czynu, a zwłaszcza obawiał się konsekwencji i przykrości, jakich mógł mu on przysporzyć. Nie miał odwagi wejść na górę. „Może umarła” — pomyślał z Przerażeniem. Pamiętał, jakby to znów widział, wściekły

cios, jaki zadał w głowę starej, która natychmiast ze się krwią.

„Gdybym nie miał niczego w ręku, zostawiłbym, w spokoju” — myślał z goryczą.

Mijał czas, a Brygida nie pokazywała się. Może ur”_ z upływu krwi? Sequeiros nie pamiętał, co zrobił po tj jak upadła. Dlaczego nie został, żeby ją ratować? Poć nogę, jakby miał zamiar wejść, ale zatrzymał się na —. o tym, co zobaczy. Wyobrażał sobie Brygidę, leżącą na, dłodze, w kałuży krwi. „Co mi kazalo ją uderzyć?” szeptał przerażony. Nie znajdował żadnej odpowiedzi, \, starczającej aby go uspokoić, ale był pewien, że to nie j« ręka podniosła kij, lecz kij podniósł rękę. Jego wola miała żadnego udziału w tym nie zamierzonym czynie, ry jego samego zaskoczył.

W tym momencie na schodach ukazała się Brygida. . ąueirgs podniósł oczy i osłupiał nie widząc na jej gło\ bandaża ani żadnego innego śladu po strasliwym cia Schodziła bardzo wolno, patrząc gdzie stawia nogi. W skoczeniu i radości Sequeiros zadawał sobie pytanie, wszystko to, co sądził, że wydarzyło mu się w nocy, było tylko złym snem. I nie czekając, aż Brygida zejce na dół, zapytał ją z niepokojem:

— Czy nie rozmawiałaś ze mną w nocy?

— *Na che manduai, che patron* (nie pamiętam, pr pana)

— odpowiedziała Brygida.

— I... nic ci nie zrobiłem?... — spytał. — Nic ci zrobiłem?

— powtórzył.

— Nic. — odpowiedziała służąca.

— Nic... nic — wybełkotał po cichu Sequeiros, z ____
wbitymi w kawałek drewna, podczas gdy Brygida szła
kuchni, nie mając pojęcia, co dzieje się w duszy jej
i jak ogromną wartość stanowi dla niego jej życie.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykot

ROGELIO SINAN

Konflikt krwi

Cały ten incydent wydawał się niezrozumiały, tym bardziej że
chodziło o wdowę Rosenberg, tak przecież wielce surową,
godną i pewną siebie matronę. No bo któż by uwierzył, że owa
dama, ze swoją tuszą i przy swoich latach, może spowodować
tak groteskowe zamieszanie... Chociaż... te konflikty
psychiczne?... Bo biedaczka stała się taka dziwna od czasu
swoich dolegliwości... Ale z drugiej strony wszystko
wskazywało, że chodzi o nadmiar wypitych koktajli. Czyste
szaleństwo! I to na domiar złego urządzić taki skandal, kiedy
Klub był pełen ludzi i zabawa zapowiadała się na całą noc...
Alkohol czy zaburzenia psychiczne, w końcu diabli wiedzą, co
się za tym kryło. W każdym razie zamieszanie było ogromne.

Taras wrzał, pełen ludzi, którzy kręcili się tam i sam,
zbierając wiadomości. Prawie nikt nie tańczył, tak wielkie było
wzburzenie spowodowane tym niesłychanym wypadkiem i
orkiestra wysilała się na próżno, żeby rozerwać publiczność.

Każdy nowy szczegół obiegał stoliki mocno przesadzony,
jak to zwykle bywa, kiedy w grę wchodzi godność jakiejś
osobistości.

Chińskie lampiony, kołysząc się w powietrzu, rzucały wielobarwne światło na przedmioty, akcentując wyraz zdziwienia malujący się na twarzach.

Każda próba obrony lub ataku na wdowę Rosenberg wywoływała zacietrzewione spory. Bronili jej mężczyźni, Przystaczając tysiąc ważkich argumentów, kiedy tymczasem Panie atakowały ją z prawdziwą zajadłością. Niemniej jednak trudno było ustalić fakty, ponieważ incydent miał miejsce w klubowym barze, w czasie kiedy wszyscy tańczyli,

159

tak że orkiestra zagłuszyła wrzaski, jakie podobno wyc wała pani Rosenberg.

Nawet ci, co podawali się za świadków zajścia, relacji nowali je, każdy na swój sposób, wyznając w końcu, w tumultie, jaki powstał w barze, zdołali jedynie dostn ogromną damę, która protestowała gwałtownie i wznos okrzyki, kiedy prowadzono ją do wyjścia.

I tak to do reputacji pani Rosenberg przyłgnęły om złośliwe uśmiezki i dwuznaczne komentarze, jakie się, ' powiada z przesadnym gestem oburzenia.

Największy pozór prawdopodobieństwa miały dysku toczące się przy jednym z najbardziej oddalonych stolikó wokół którego tłoczyło się mnóstwo osób, usiłując zbliż, się do jedyne wiarygodne źródła informacji. Zdawi sobie sprawę, że osobą najbardziej powołaną do koment wania wydarzeń powinien być lekarz pani Rosenberg, nieważ był z nią razem w

klucie i ponieważ wiele c~ twierdziło, że chodzi tu o przypadek obsesji neurotycznej. Jednakże, ponieważ znali już przysłowiowy charakter* doktora Serge, nie odważali się zapytać go wprost. Wole wysnuwać, jakby od niechcenia, takie czy inne złośliwe myśli, w próżnej nadziei sprowokowania doktora do 'jaśnień. Ale zacny psychoanalityk zdawał się albo nie *. strzegąc tego obłączenia, albo też był większym spryciarze niż przypuszczali, bo siedział sobie spokojnie, spoglądaj, na morze, jakby ta cała historia nie obchodziła go zupełnie. Zawiedzeni postanowili w końcu zostawić go samego, z je nieodłączną fajką w zębach. Bierz go lichy razem z je pacjentką! Szkoda balu! Przyjemnie byłoby bawić się a noc, ale skandal z panią Rosenberg pozostawił niesma a poza tym robiło się późno. Zaczynał też wiać dosyć chłc ny wiatr i łatwo było złapać grypę. Toteż nawet najbj—dziej zasiedzieli zaczęli się żegnać: panowie, rozmawiają o wojnie, wzroście cen i o tym, jak dobrze idą interes| panie, będące jeszcze pod wrażeniem skandalu, obiecuj^ sobie nawzajem zadzwonić następnego dnia i sprawdź wiadomości, by potem, już w hallu, zatrzymać się znont na chwilę i raz jeszcze zatopić zęby w nieszczęsnej sprawczej ni zamieszania.

— Co za okropność!

— Któż by przypuszczał!

— Iz takim czcigodnym wyglądem!

— Ja tam się cieszę! Już mnie zmęczyły te historyjki o czystej rasie aryjskiej!

— Do diabła z taką czystością!

— Wyobraź sobie!... Zdaje się, że sprawa była z

Murzynem.

— To na tym polegał ten wstręt, jaki do nich czuła?

— Obrzydliwość! W końcu poszli.

Na ulicy została, niczym podsumowanie, ostra i cierpka chmura dymu, jaką pozostawiały samochody.

Taras opustoszał. Służba pospiesznie zabrała się za sprzątanie. I podczas gdy jedni zbierali naczynia, inni przesuwali stoliki i zbierali resztki. Nareszcie mogli iść do domu. Długi sen bardzo by im się przydał. Koniec końców na rękę im była ta cała heca z panią Rosenberg, bo inne zabawy trwały aż do świtu. Jeszcze tylko kilku panów w barze uparło się pozostać, ale i ci po krótkim czasie zaprotestowali, Bóg wie przeciwko czemu, i wynieśli się wściekli. Został już tylko samotny, z fajką w zębach, ten stary doktor. O czym myślał? Jak długo zamierzał przesiadywać na tarasie? Służba była już przyzwyczajona do takich czy innych manii. Tutaj samotnie powita jutrzeńkę. Oni zaś muszą się spieszyć. Co ich może obchodzić, że poczciwy starsuszek spędza noc pod gołym niebem?

Rzeczywiście doktor nie sprawiał wrażenia, żeby się spieszył gdziekolwiek. Kiedy skończyła się wrzawa i niezdrowa ciekawość ludzka, wołał porozmyślać o tym, co się zdarzyło pani Rosenberg.

Niewiele lat mieszkał na Przesmyku. Barbarzyństwo europejskie wyгнаło go do Ameryki, z wielką literą J w paszporcie: JUDE. Musiał porzucić klinikę, którą kierował w Wiedniu, oskarżony o wrogą działalność wobec rządu, ponieważ udzielał pomocy różnym uciekinierom. Przecierpiał tysiące

przykrości i uciekł szczęśliwie z tamtego piekła. Z Przesmyku, po odbyciu stażu w prowincjach centralnych, Przeniósł się do stolicy i zaczął pracować jako internista. Dał się poznać jako dobry specjalista i w końcu uzyskał pozwolenie na otwarcie prywatnej kliniki. W krótkim czasie—S1 e zdobył sobie klientelę. Liczba jego pacjentek, w większości wypadków pań znerwicowanych i bogatych, wzrasta—

160

ii _

W zaczarowanym zwierciadle

161

ła błyskawicznie. Dzięki temu to kontaktowi z wie światem zdobył szerokie uznanie i pozycję finansową.

Zanim jeszcze zaczął leczyć panią Rosenberg, znał z opowiadań. Ona, pomimo że w żyłach jej płynęła krew żydowska, nie cierpiała swojej rasy. Występowała jako stej krwi Niemka i unikała wszelkich kontaktów z sernic mi uchodźcami.

Wiedziano, że jest zwolenniczką n o go porządku i rasistką i że tylko dzięki wypadkom jakiemu uległa, nie zabrano jej do obozu koncentracyjnego z chwilą wypowiedzenia wojny. Adwokat krętacz i odp wędnie stosunki pomogły jej uratować interes. Pomimo kiedy tylko poczuła się wolna od zagrożenia, zaczęła znowu zadzierać nosa i naśmiewać się z uchodźców żydowski. Toteż doktor Serge nie żywił do aroganckiej wdowy zt niej sympatii.

Wielkie było jego zdziwienie, kiedy mu oznajmiono,; pani Rosenberg chce się z nim widzieć. Jego pierwsza reakcja była tak

określona że odmówił przyjęcia jej. Jedyną przyczyną ze

gwaltownie, ze skutkiem przyjęcia jej. Kęgniarka oduczona ze zdziwienia (pacjentka była w kalni, w odległości kilku kroków i mogła usłyszeć), spełniła jego polecenie, zmieniając je po swojemu: Doli Serge ma umówioną inną wizytę; nie może przyjąć Rosenberg. Dumna Niemka, która nie spodziewała się goś podobnego, poczuła się urażona. Jak to? Nie chce, przyjąć ten żydowski doktorzyna? O nie! Musi ją prz tak czy inaczej! I kierując się dumą wtargnęła do watnego gabinetu doktora Serge. Poczciwy psychoanaliz również zaskoczony, chciał w pierwszej chwili posłać js diabła, ale zdołał się opanować.

— Wybaczy pan, panie doktorze, ale to pilne — ona, . ■

— Czym mogę pani służyć? Nie powiedziano pani, że jej stem umówiony?

Tymczasem wylękniona pielęgniarka stanęła w drzw usiłując na mię usprawiedliwić się przed doktorem i jaśnić mu, że ta nieopanowana pacjentka musi być nie na rozumu.

Korpulentna matrona opadła na kanapę i oddyc z trudem. Widząc na jej twarzy cierpienie wywołane i dyszką, doktor Serge doznał czegoś w rodzaju rados

współczucia. I, przemagając własną niechęć, zwrócił się do pielęgniarki:

— Proszę przynieść szklanę wody.

Ta, spełniwszy polecenie, zostawiła ich samych.

Pani Rosenberg, kiedy już przyszła do siebie, starała się być uprzejma wobec doktora i odpowiedziała bez zmieszania na wszystkie jego pytania, pozwalając sobie przy tym na kłamstwa w niektórych szczegółach, jak na przykład z wiekiem. Doktor

Serge pozwolił jej fantazjować. Zaczynał go już interesować ten przypadek. Ale kiedy powiedziała mu, że była pacjentką doktora Vieto, przerwał badanie.

— W takim razie wybaczy pani, ale nie mogę się nią zajmować.

Dama nalegała. Tylko taki psycholog jak on może zbadać jej przypadek. Ona dobrze wie, że jej dolegliwości są natury psychicznej. A poza tym — „Ten lekarz jest dobrym chirurgiem, ale nie zna się absolutnie na kompleksach i nie wierzy w psychoanalizę... Pan rozumie, panie doktorze... On sobie tylko żartuje ze mnie... Powiada — niech pan sobie wyobrazi — że konflikty psychiczne to mistyfikacja, właściwa ludziom bogatym... Mówi, że nic mi nie jest, że jestem zdrowa i silna jak byk... Potworność!” Czy to jej wina, że będąc w tak ciężkim stanie zdołała odzyskać energię i si—

ły?

— Byłam jedną nogą na tamtym świecie, panie doktorze... Żeby pan widział tę ranę... Straciłam całą krew... Niech pan spojrzy... Tutaj... na karku... Jeszcze widać bliznę.

— Tak, tak... Nie twierdzę, że to nieprawda... Ale jeśli pani chce, żebym się nią zajmował, proszę mi przynieść upoważnienie od doktora Vieto.

— Nie ma potrzeby. On sam mnie do pana skierował.

— Zaraz, zaraz!... Czy to nie jakieś nowe kłamstwo?

Dama zamierzała zademonstrować nowy atak furii, zdołała się jednak opanować, zbliżyła się do telefonu i w koń—p11) po tysiącu wymyślań na służbę łączności, skontaktowała obydwu

lekarzy. Doktor Vieto, rzecz jasna, był zachwyco—ny tą zamianą. To on sam zasugerował ją pacjentce.

— Oczywiście, popieram z entuzjazmem... Jej potrzeba rocheł rozrywki, musi pogadać z kimś, kto zechce wysłuchać le; i bredni... Sam się pan przekona, że jest zdrowsza niż

162

163
byk... W każdym razie, niech pan do mnie zajrzy, przekażą panu historię jej choroby... Są tu pewne sprawy, o któryc ona nie może się dowiedzieć... Uprzedzam pana z góry.. Proszę jej nic nie mówić... Potem się pan dowie... Tak, nieć pan wpadnie, kiedy panu wygodniej...

Doktor Serge podziękował mu za uprzejmość i obie wkrótce go odwiedzić.

Na twarzy pani Rosenberg doktor dostrzegł coś w rodzą ju dziecięcej radości. Niewątpliwie czuła się usatysfakcjonę wana. Zwyciężyła. I, zdobywając się na jeszcze jeden silek, by przezwyciężyć własną dumę, wyznała doktorom że żywi do niego wielkie zaufanie.

— Tak, panie doktorze, w pańskich rękach poczuję lepiej. Jestem tego pewna.

Doktor Serge zażądał naprzód od pacjentki, żeby opowie działa mu dokładnie o swoich dolegliwościach, a że te byj mocna powiązane z jej perypetiami życiowymi, czuła zmuszona opowiedzieć mu przy okazji swoje życie.

Wyjechała z Niemiec, kiedy dopiero zaczynał się n o w |
norzadek nowołana wraz z innymi nauczycielami niemieckieon

Porządek, powołana wraz z innymi nauczycielami niemieckiego gimnazjum w Gwatemali. Była jeszcze młoda i czuła się gorącą zwolenniczką nowej wiary. Towarzy dokuczali jej bardzo z powodu tuszy i marsowego kroku. Powiadali, że jej wiara jest tak bezmyślna, że nawet stosuje wojskowy krok. Nosiała okulary w szylkretów oprawie i surowe stroje. Nie szła na układy z nikim, byłby przeciw nowemu wyznaniu. Podróż była niezwyłłą szczęśliwą, tak że nawet jeszcze dziś należy do jej ulubionych wspomnień. Przede wszystkim dlatego, że na statku, kochała się w jednym z tych niezapomnianych towarzyszy z grupy, w profesorze Hermanie Rosenbergu, jej późniejszym małżonku. Przeżyli wiele lat, zajmując się nauką i wychowując jednocześnie bliźnięta. Nie chcieli więcej niż dwóch chłopców zapewniało im szczęście. Co prawda nowy porządek domagał się wielu synów, ale to wiązywało w Reichu, nie w Ameryce. Bliźnięta rosły i zdrowe, że aż przyjemność była na nie patrzeć. Mieć już piętnaście lat w Gwatemali, kiedy ziściło się pragnienie Hermana Rosenberga służenia Führerowi: został nowym agentem propagandy w Ameryce Środkowej z dzibą w okolicach Kanału. Przenieśli się do Panamy.

szczęście było im jeszcze bardziej przychyłne, ponieważ zrobili majątek. Ona, jako że była kobietą przedsiębiorczą, wrogiem lenistwa, otworzyła niewielki magazyn nowości, który zdobył sobie bezprecedensową popularność w eleganckim świecie. (Niech pan nie zapomina, doktorze, że pan Rosenberg był również związany z ambasadą niemiecką). Sklep rozwijał się i przekształcił się wkrótce w wystawny DOM MODY

ROSENBERG. Wszystko układało się wysmienicie, a kiedy Hitler napadł na Europę, państwo Rosenber—gowie obiecywali sobie wspaniałą przyszłość. Chłopcy, którzy byli już dojrzałymi młodzieńcami, otrzymali stypendia Trzeciej Rzeszy na studia w Berlinie. Był to prezent od Fuhrera i pan Rosenberg zapragnął pojechać osobiście, żeby odwiedzić dzieci, z upajającą nadzieją na uściśnięcie ręki „naszemu Führerowi”. Pani Rosenberg także marzyła się podróż w towarzystwie małżonka i synów, ale było to niemożliwe. Musiała zostać w Panamie, żeby doglądać sklepu i pewnych tajnych spraw. Statek, którym jechali Rosenberg i synowie, miał flagę USA. O wiele przyjemniej byłoby podróżować transatlantykiem HAMBURG AMERICAN LINE, ale rozkaz jest rozkazem. Wierny agent Trzeciej Rzeszy miał ważne zadanie szpiegowania amerykańskiego parowca. Minęło zaledwie dziesięć dni od podniesienia kotwicy, kiedy wybuchła wojna. Z głębi oceanu wynurzyło się tysiące łodzi podwodnych, które tylko czekały na tę wielką chwilę. Bomby, ogień, torpedy. Koniec świata! Pani Rosenberg nie mogła zmrzyć oka. Od chwili wypowiedzenia wojny spędzała bezsenne noce. Po jakiego diabła była im ta podróż? Nie lepiej im było w Panamie? Pewnego dnia w sklepie zadzwonił telefon. Była dwunasta w południe. Wszystkie pracownice wyszły. Pani Rosenberg robiła rachunki i czekała na swojego plymoutha. Czemu spóźnił się ten samochód? Niedawno temu, z polecenia przyjaciółki, zgodziła do służby antyjskiego szofera. Pani Rosenberg nie lubiła czarnych. A mówiąc dokładniej gardziła nimi. Budzili w niej swojego rodzaju niesmak. Ale za to byli posłuszni. Ponadto ten

cały Joe wyglądał sympatycznie. Był to mężczyzna silny i dobrze zbudowany, z szerokim uśmiechem, odsłaniającym białe, równe zęby. Dlaczego się spóźniał? Pojechał Wymienić akumulator, ale, do licha, powinien już być z powrotem. Przeklęty czarnuch! Wszyscy są tacy sami! W tym

164

165

momencie zadzwonił telefon. Pani Rosenberg myślała, dzwoni Joe, żeby jej oznajmić o jakimś nowym kłopot z władzami albo o Bóg wie jakiej komplikacji. Ale to był szofer. (Halo, kto mówi? Z ambasady? Tak, słucham. ^ Przekazali jej straszną wiadomość. Transatlantyk, który płynęli jej bliscy... tak, tak... zatopili go... tak, słuch tak... Nikt nie zdołał się uratować... *Mein Gott!*... Nie ujr więcej swoich synów ani swojego ubóstwianego Herma. Znaleźli śmierć od niemieckich bomb... Właśnie rodacy brali szczęście pani Rosenberg... Ale była to ofiara dla hrera... *Heil Hitler!*... Poczula, że wszystko wiruje jak w oczach... Straciła przytomność... Upadła ciężko na wznak i już nie pamiętała nic więcej... Dowiedziała się późno że padając, uderzyła karkiem o metalowy przedmiot, kto zranił ją ciężko... Leżała bez zmysłów do chwili, kiedy przejechał jej samochód. Na szczęście szofer miał ze sobą kłopot otworzył skrzynię i zobaczył swoją panią leżącą w kałuży i sądząc, że ma do czynienia z morderstwem, zadzwonił policję. Przyjechał agent dyżurny. Przyszły pracownik Zgromadzili się ludzie. Zażądali karetki ze szpitala. Ale je na z pracownik doradzała pośpiech. Najlepsza zwiłoka że okazać się zębna dla pani Rosenberg. Biedaczka!

Straciła już tyle krwi. I tak, Joe, pracownicy i policjant przenieśli ją do auta. I samochodem (pospiesz się Joe!) do szpitala... Doktor Vieto, wezwany w porę, zarządził transfuzję krwi... Ona, nieprzytomna, nie zdawała sobie sprawy z czego. Na szczęście doktor dokonywał cudów, tak że po jakimś czasie pani Rosenberg mogła opuścić szpital jako konwalescentka... Wypoczynek, słońce, dużo słońca, dużo powietrza i dobre odżywianie — brzmiały zalecenia doktora. Stosując się do jego wskazówek odzyskała siły, czuła się *daleko* lepiej jak nigdy i wróciła do magazynu... Jednakże od tego czasu zaczęły ją dręczyć przedziwne koszmary... podobnego nigdy jej się nie zdarzało... Budziła się zadyszana, spocona, rozbita... Miała uczucie, że zaraz zanurzy się w otchłań, z której już się nie wydostanie... Było okropne, przeraźliwe... Można było od tego oszaleć...

Skończywszy swoją opowieść, pacjentka oddychała z dymem, pocila się...

Doktor Serge podał jej szklankę wody.

— Niech się pani uspokoi! Proszę się niczego nie ob

166

wiać! Ale... proszę mi powiedzieć, dlaczego uważa pani, że znajduje się na granicy obłądzenia?

— Nie wiem... Te straszliwe koszmary... Tak się ich boję, że lękam się zasnąć... Czasem spędzam większą część nocy bezsenne, zmuszając się do czuwania, ale w końcu sen mnie zmagia i pogrążam się w przedziwnych wizjach... Często budzę się z tych snów z przeraźliwym krzykiem i mam uczucie, jakbym się dusił...
Doktor Vieto: — Proszę mi powiedzieć, czy pani ma jakieś...

się duszą... Pokojowka musi nacierać mnie aikonoiem i podsuwać amoniak do wężania... Później nabieram tchu, odzyskuję normalny oddech i czuję się lepiej... Ale skoro tylko znów zasnę, koszmar powtarza się z większym natężeniem... To potworne, panie doktorze...

Czuję, że oszaleję...

— W porządku... Zajmiemy się tym... Niech się pani teraz postara opowiedzieć mi swoje koszmary... I proszę nie kłamać... Będzie to zbyteczne, a nawet szkodliwe... Musi mi je pani opowiedzieć po kolei i bardzo dokładnie... Proszę niczego nie pomijać, choćby było nie wiem jak groteskowe, a tym bardziej szczegółów wstydlivych. Trzeba, żeby pani opowiedziała wszystko!

— Nie, panie doktorze! Nie! Żąda pan rzeczy niemożliwych.

— Dlaczego? Czy pani koszmary są zatem... jakby to powiedzieć... nieprzyzwoite?

Pani Rosenberg, zmieszana, spuściła głowę. Jej wydatny biust wznosił się i opadał, podobny kościelnym organom. Drżała na całym ciele. Momentami wstrząsała się, jak w ataku febry. W końcu przemówiła, nie podnosząc głowy.

— Widocznie płacę za jakiś grzech, doktorze... Tak, to musi być jakaś kara boska... Wie pan dobrze, że jestem nieustępliwa w sprawach rasowych... Zawsze byłam zwolenniczką czystości rasy... Dlatego w Niemczech nienawidziłam Żydów... Zawsze uważałam ich za rasę plebejską... (Pan wybaczy, panie doktorze...) Później, po

przyjeździe do Ameryki, zetknęłam się z mieszaniną ras, jaka występuje tu na Przesmyku... wielka dysproporcja białych w stosunku do czarnych... I muszę panu wyznać, odczułam to jako nieodzowną konieczność, żeby zatriumfował nowy porządek... Trzeba by było wytepić wszystkie rasy niższe... A przede wszystkim Murzynów... Zawsze ich uważałam za rasę niewolników... Dlatego ich nienawidzę... Budzą we mnie

167

jakiś wstręt, coś w rodzaju obrzydzenia... I teraz czuję prazliwy lęk, że coś dzieje się ze mną... Nie, nie mogę n o tym myśleć... To byłoby okropne... Ta obsesja jest k Niebios za moją próżność i dumę. Ale to niemożliwe... się nie może zdarzyć!

— Czego się pani obawia?

— Wstyd mi powiedzieć.

— Proszę się przewyciężyć.

— Jak to wyrazić? Ja... staję się... czarna!

Doktor Serge nie mógł pohamować wybuchu śmie Nigdy w życiu nie słyszał czegoś tak absurdalnego.

Pani Rosenberg spływała potem. Czuła się przygnę] na, upokorzona, chciało się jej płakać. Dlaczego ten do taki przecież oschły, śmieje się jak idiota. Czyżby sobie k, z jej nieszczęścia? Do diabła z tym durniem! W końcu, j przecież Żyd!

Na szczęście doktor przestał się śmiać.

— Ale niech mi pani powie, droga pani, gdzie

u licha widziała, żeby ktoś zmieniał skórę albo jej ko^ tak jak się zmienia ubranie? Nie jesteśmy przecież kamele nami! j

— Tak, tak! Widziałam! Tutaj, na Przesmyku, było wi-
takich wypadków. Najpierw pokrywają się wielkimi czai mi
plamami, w końcu robią się całkiem czarni.

— A proszę mi powiedzieć... zauważyła pani u sie takie
plamy?

— Tak, kilka... małych...

— Może mi pani pokazać?

— Są małe, doktorze. Będzie się pan ze mnie śr Już się
pan uśmieł wystarczająco. Lepiej opowiem p—moje koszmary,
wtedy przestanie pan się śmiać. Jest pewna, że zainteresuje pana
ten niezwykły przypadek... baczy pan...

— Tak, interesuje mnie... Interesuje mnie nawet bardz
Może pani zaczynać...

Wziął ołówek i oczekiwał.

Dama odetchnęła z trudem; otarła twarz; postarała najpierw
uporządkować labirynt obrazów — zagmatwa i nieczytelny —
jakim był świat jej marzeń sennych.

W końcu zdecydowała się:

— Oglądał pan jakiś z tych filmów kukielkowych, z których
wyłania się cały świat barw i zabaw?

— Tak, ale...

— Niech pan zaczeka... Zaraz pan zobaczy... Mój
pierwszy sen był czymś w tym rodzaju... Byłam mała jak
Alicja w krainie czarów i wspinałam się z trudem po kolebiącym
się stoku... Wdrapywałam się powoli i z wielkim wysiłkiem
między dwoma rzędami białych kolumn... Zdyszana,
kierowałam się ku wieżobłokowi, odzie na noczerwieniam

nie owanał się ku wielzobkowi, guzie na poczciwiałym
niebie odcinał się wielki, lśniący, srebrzysty krzyż... Było to coś
w rodzaju Golgoty... Co mnie zdziwiło najbardziej, to że
Chrystus nie był jasnowłosym Mesjaszem, chudym i cierpiącym,
ale dobrze zbudowanym Murzynem... Ponieważ byłam daleko,
nie mogłam mu się dobrze przyjrzeć, ale coś mi mówiło, że on
kpi sobie ze mnie, że mnie wabi ku sobie z pewną złośliwością,
jakby cieszył się z mojego cierpienia... Wspinaczka była ciężka i
wyczerpująca... Zauważyłam, że nogi pogrążają mi się w jakiejś
grząskiej masie... Nie było to błoto ani wosk i wkrótce zdałam
sobie sprawę, że wspinam się po czerwonej drodze krzyżowej z
ludzkiego ciała... Po drodze spotykałam ostre 'groty, raniące
niczym włócznie... Wzgórze jeżyło się coraz większymi
kolcami... Czułam, że krwawią mi dłonie i stopy... Ale
spływająca krew nie sprawiała mi cierpienia, a raczej
przyjemność... W oddali słyszałam dziwny hałas, który coraz
bardziej narastał... Przypominał dudnienie bębnow... Nagle
rozległ się śmiech tak donośny, jakby był nadawany przez
olbrzymi megafon... I wielkie, najeżone kolcami wzgórze
zaczęło dygotać, jakby wstrząsane drganiem skorupy
ziemskiej... Wstrząsy tej nieforemnej masy zmuszały mnie do
tysiąca podskoków, aż wreszcie wyrzuciły mnie w przestrzeń...
Spadając w przepaść, słyszałam ten piekielny śmiech i wówczas
zdałam sobie sprawę, że wyleciałam z ust Murzyna... Ruchoma
masa, po której się wspinałam, to był jego język, a białe
kolumny to zęby... I ten czarny cyklop śmiał się bezustannie...
Obudziłam się przerażona... Ale ku Mojemu zdumieniu, już na

jawie, słyszałam jeszcze ten śmiech, doprowadzający mnie do rozpaczki... Zadzwońlam zdenerwowana i kiedy weszła pokojówka, spytałam jej, kto to śmiał się w sposób tak sarkastyczny... A ona, skręcając SIĘ ze śmiechu, odparła: „To Jce, proszę pani, zabawia nas

168

169

tańcząc *jiteburga*”. ...Kilka godzin wcześniej, kiedy ws dałam do samochodu, widziałam uśmiechniętą twarz Antj czyka i wydało mi się teraz po przebudzeniu, że patrzył wfc dy na mnie z pewnym szelmstwem... Może to wygląda dorzecznie, ale jego twarz była tą właśnie twarzą, kt oglądałam w moim śnie... Wszystko to wydało mi się bar dziwne i, oczywiście, ogarnął mnie niesmak nie do prze ciężenia...

Zmęczona, zamilkła na chwilę. Doktor Serge zdawał być zainteresowany, robił notatki i, nie podnosząc głcv rozkazał:

— Proszę dalej.

— Następnego dnia miałam drugi sen... Słyszałam zykę jazgotliwą, ogłuszającą... I pociągnięta przez nią głębiłam się w korytarze bez końca... Były to bardzo gie, nie kończące się galerie... Podążałam za rytmem, fascynowana i podniecona... Nagle znalazłam się w jakii kościele, o przedziwnych świetlistych łukach i usłys chór Murzynów, którego głosy to oddalały się aż do zag bienia, to powracały nagle, zmieszane z łomotem bębnć i dźwiękiem czyneli... W chwilę później ujrzałam się ot czona tłumem kolorowych mężczyzn i kobiet, jakbym bj w sercu Afryki... Podskakiwali, podrygiwali, kołysali w rytmie tańca...

Pocili się i cuchnęli... Wśród nich tańc roześmiany Joe...

Wszyscy sprawiali wrażenie epileptyków Chcąc ich powstrzymać, zaczęłam krzyczeć: Dostyc już! St czy!... Ale było to daremne... Ten rytm był silniejszy moich krzyków... I tak nie do odparcia była magiczna wa, że sama zaczęłam podskakiwać i podrygiwać, ogarnie tym dzikim szaleństwem. Nie mogłam się powstrzymaj I przyłączyłam mój głos do chóru z taką gwałtowność że struny głosowe wyskoczyły mi z gardła...

Wibrowa w miarę jak wznosiło się moje wycie... Chwilami napina się do ostatecznych granic, jakby rozciągały je olbrzj palce... Już miały rozerwać się, już czułam jak pękają W tym momencie ocknęłam się ze snu... Byłam komplet: wyczerpana, spocona... I wydawało mi się, że czuję jescz wśród bielizny okropny zapach, jaki wydzielali ci ludzie

— Nie słyszała pani żadnej muzyki po przebudzeni[^]

— Nie, panie doktorze. Jeśli była, to widocznie kie spałam

170

— Tak, to możliwe... Jakieś radio w sąsiedztwie...

— Prawdopodobnie.

— A jaka była pani pierwsza reakcja po przebudzeniu? proszę mi opowiedzieć.

— Miałam uczucie wstępu do siebie, do własnego ciała, bo jescze czułam, choć już na jawie, ten specyficzny odór spod pach... Pomyślałam, że może moja pościel... może pokojówka... sama nie wiem... ona zajmowała się moją bielizną... Wszystko było możliwe... Niemniej jednak zmitrę—
żułam sporo czasu w łazience szorując się liliowym mydłem

z jakimś porożcem w ręce, szorstką się mową wymyśliłam, zapudrowałam całe ciało; następnie skropiłam się moimi najlepszymi perfumami... Odetchnęłam z zadowoleniem... I, przekonana, że uległam złudzeniu, wyszłam po zakupy... Pamiętam, że dzień był upalny... Wróciłam do domu, spocona... I przebierając się, poczułam nagle ten odór spod pach... Omal nie oszalałam... Znowu pobiegłam do łazienki... Oh, co za okropność, już nie miałam żadnych wątpliwości... To moje ciało wydzielало taki zapach... Od tej pory zaczęłam odnosić wrażenie, że moje najlepsze przyjaciółki, a nawet klientki, trzymają się ode mnie z daleka... Uciekały od mojego zapachu... Co za wstyd, doktorze!... Żeby Jto zlikwidować musiałam uciec się do użycia dezodorantów... I tego dnia właśnie zaobserwowałam, że powoli staję się czarna...

— To dziwna przemiana. Niech się pani jednak uspokoi...

Miała pani inne sny?

— Tak, panie doktorze. Nie od razu, ale w dwa dni później... Bo muszę tu dodać, że następną noc spędziłam bezsenność ze strachu przed koszmarami... Potem, w ciągu dnia w sklepie miałam denerwującą krzątaninę... Mimo to, wieczorem musiałam iść na bal, wypiłam kilka kieliszków i wróciłam dosyć późno... Od razu się położyłam i po chwili zapadłam w kamienny sen... Przeżyłam wówczas mój trzeci koszmar... Znajdowałam się w magazynie mód, który był i nie był moim sklepem... Widziałam szczegóły, które mi go przypominały, ale tamten był większy i bardziej wytworny... Najdziwniejszy był rodzaj towarów, wystawionych na

sprzedaż... Dziwaczne przedmioty z Afryki, słonie, przeraźliwe Ptaszyska i groteskowe maski... Wśród licznej klienteli wy—
Pełniającej sklep dostrzegłam kilka Amerykanek w mundurach.
W moim śnie żywiłam do nich, nie wiem czemu, pew—^a.
antypatię... Dostrzegłam u nich pewną arogancję, która

171

mnie raziła... I postanowiłam im udowodnić, że taka arogancja to nic innego jak impertynencja, bo w końcu i tak aryjska zapanuje nad światem... Podeszłam, żeby je otżyć i siłą się na dobrą angielszczyznę, zaczęłam zachwalać mój towar: „Szczyt elegancji z Południowej Afryki, pań, słonie z najlepszego nylonu...” Ale czułam, że mój nie jest moim głosem, że należy do kogoś innego... Brzmi wysoko i nieprzyjemnie, jakbym to nie mówiła ja, tylko jakaś czarna straganiarka... Zauważyłam, że słuchając szeptały z wyraźnym sarkazmem... Nalegałam, zachwalałam jakoś moich masek... Ale mój głos stawał się coraz bardziej chropawy... Śmiały się wszystkie, tonem drwiny, który czułam jako obraźliwy... Nie mogłam znieść tego dłużej i *o* ślepiona gniewem zaczęłam im wymyślać, ale przemą\łam do nich czystym slangiem antylskim... Wszyscy ot nawet i moje pracownice, zaczęli się śmiać... Były to skądś śmiechy, histeryczne wybuchy, wycia... I pośród piekielnej wrzawy usłyszałam ostry dźwięk, który zdawał się trwać bez końca... Pomyślałam, że to syrena alarmowa Szybko jednak odgadłam, że źródłem tego hałasu musi być trąbka mojego samochodu... Spojrzałam ponad ludźmi i, baczyłam w oddali Joego, jak wijąc się ze śmiechu skał klakson... Wpadłam w taki szal, że rzuciłam

się na go... Po drodze zderzyłam się z jakimś meblem, upaść
przekoziółkowałam trzy razy i z całej siły uderzyłam w kark, po
czym straciłam przytomność... Ocknęłam się czona
pielęgniarkami i lekarzami... Wśród nich zauważyłam doktora Vieto
w białym kitlu, który zbliżał się do z olbrzymią strzykawką i
zaśmiewając się, mówił: „Zali więc trochę twoją krew na czarno,
żeby się przekonać, | wyjdzie mój eksperyment!”... Zapytałam
go, co to zr Odparkł: „Zamienię cię w Murzynkę, żebyś się stała
bar pogodna i bardziej ludzka!”... Sprzeciwiłam się... Sza*łam
się wściekle, ale mnie związano... Wszystkie wys były
daremne... A doktor się zbliżał... Ale nie, to nie, doktor, to był
Murzyn Joe, przebrany za lekarza... Patłam z lękiem na tę
ogromną strzykawkę, wznosząc okrzyk przestrochu... On,
uśmiechając się, zbliżył się do mnie... niósł mi koszulę (cóż za
potworność!) i ciach, jednym chem wbił mi igłę w brzuch...
Poczułam ogień, gorąco pjął w żyłach... I natychmiast
zdałam sobie sprawę, że

172

ra pokrywa się płamami, jak futro lamparta... Co za tortura,
niech pan sobie wyobrazi!... Czułam, jak moją białą skórę
pokrywają czarne cętki!... Ogarnęła mnie nieludzka trwoga...
Plamy rozszerzały się powoli, zlewały się, zaczynały pokrywać
całe ciało... I nagle ujrzałam się — nie patrząc — cała czarna i
dzika... Zawylałam przeraźliwie i obudziłam się... Moja bielizna
była mokra od potu i w pierwszej chwili miałam wrażenie,
jakbym się pocila czystym atramentem... Zdenerwowana
nodbiegłam do lustra i obejrzałam całe ciało... Znalazłam tylko

kilka plamek wielkości pieprzyków... Nie było ich wiele, ale mimo wszystko kupiłam wszelkiego rodzaju maści przeciwko skazom skórny... Powinnam być przygotowana, bo przewidziałam przecież mój smutny los... Miałam stać się czarna... Nie było odwrotu...

— I zaobserwowała pani potem nowe plamy?

— Tak, panie doktorze, już mówiłam. Robią się coraz większe.

— Proszę mi pokazać.

Z udanym wstydem i z wielkim trudem wysupłała olbrzymi biust i strapiona pokazała mu wielką, nabiegłą krwią, siną plamę.

— Tak to sobie wyobrażałem — rzekł lekarz. — Natarła pani skórę wszystkimi rodzajami balsamów i to ją podrażnia. Wywołała pani nekrozę.

— To pochodzi od słowa „Negr”?

— Nie, od słowa *nekros*, To z greckiego. Martwica skóry. Ale jedźmy dalej. Miała pani jeszcze jakiś sen?

— Tak, wczorajszej nocy... Cóż za przeraźliwy koszmar!

— Zechce mi go pani opowiedzieć?

— Nie wiem, czy będę mogła, panie doktorze.

— Proszę się przemóc!

— Czulałam zapach przyrządzanego jedzenia, tak kuszący, że pobudził mój apetyt... Widziałam wstęgę dymu, która się wila przede mną, wabiąc mnie, jak to pokazują w kinie... Szłam w ślad za niebieską nicią dymu... Pomalutku zbliżyłam się do kuchni... Czarna kucharka pozdrowiła mnie jak starą

... Takie były szczegóły wydarzenia, które nie podrażniły

przyjaciółkę... Taki brak szacunku wydał mi się niezwykłym
dziwny... Przede wszystkim dlatego, że zabroniłam Jej
przyrządzać w domu podobne dania... Ale nie zwróciłam na to
większej uwagi, bo aromat smakowitej potrawy po—*łaniał
mnie bez reszty... Stara kucharka mieszała w garn—

173

ku, spokojna i obojętna, nucąc piosenkę... Co za rozko-
zapać!... Poczułam straszliwy głód... — Daj mi trochę go —
powiedziałam — ...Dała mi. Pożarłam porcję łap wie i oblizałam
się z zadowoleniem... — Co za pyszne j nie, z czego to
przyrządziłaś? — Spojrzała na mnie z uśmiechem: — Dorsz,
proszę pani, murzyńska potrawa! — czułam się zawstydzona...
Ale raptem ogarnął mnie pogrom entuzjazmu i, gotowa na wszystko,
zaczęłam zawodzić opętana: *Jolinyu! Jolinyu!*... Nagle
znalazłam się na zaban murzyńskiej, w towarzystwie Joego... Już
go nie darzył nienawiścią... Rozumieliśmy się wzajemnie...
Przechc śmy między rzędami stolików, na których stały najroz-
sze potrawy... Miałam ochotę popróbować tych różność i Joe
częstował mnie wszystkim po trochu... Ujrzałam s brzumi kosz z
żółtymi, błyszczącymi owocami... Och, to nie były zwykłe
owoce, to były ostre papryki... Ode zwariowaną ochotę najeść
się tych pikantności... Rzucił się na koszyk i zaczęłam pożerać je
zachłannie... Co za w całym ciele!... Wargi już mnie piekły i
wywinęły się, wargi Murzynki... Poczułam ogromne
pragnienie... Po mi wino czerwone, słodkie i lekkie, które
nazywają *se Piłam łapczywie* i część rozlałam... Wino ciekło mi
po po piersiach, po brzuchu... Nagle w gęstym tłumie roz się

jeden chór, w którym wszyscy niezmordowanie powtarzali tę samą frazę: *Calahu, calahu... Aji, aji... Cal Aji, aji...* Czarny Joe zbliżył się do mnie lubieżny... stali tańczyli już w spazmatycznych podrygach... I ja tarłam z Joem... Czulałam silny uścisk jego ramion i wdyłam jego zapach dzikiego zwierzęcia... Spojrzałam na jego wielkie, roześmiane usta... Wstrząsnęłam się zadyszana... i wpił się w moje usta pocałunkiem mocnym, cielesnym, nikliwym... Obudziłam się przerażona... A ponieważ jeszcze na wargach smak jego warg ogarnęło mnie obrzydzenie, że wyskoczyłam z pościeli i pobiegłam przepłukać usta... Przyszło mi na myśl, że Murzyn Joe być adeptem czarnej magii albo praktyk wudu... Na był kimś takim. To on mnie czarował... I tak, na ubrana, tyle co okryta szlafrokiem, wezwałam go do mojego biura i pożegnałam... Biedny głupiec skonsternował. Dlaczego go zwalniam?... Nie zrobił nic złego... Och, przeciwnie, powinnam mu podnieść pobory... Co za i

174

nizm!... Nie posiadając się z wściekłości, kazałam mu wyjść i na szczęście poszedł bez słowa... Pobiegłam do wanny, wyzwolona już spod jego wpływu... Ale teraz nowu się boję... Może się zemścić... Może zesłać na mnie Bóg wie jakie koszmary... Ja oszaleję, panie doktorze... Muszę panu powiedzieć, że ta przemiana, jaka się we mnie dokonuje, jest procesem powolnym, ale nieustannym... Już nie odważam się rozmawiać po angielsku, bo kiedy to robię, zaczynam się jąkać i udaje mi się zaledwie wybełkotać jakieś bzdury...

— To nerwy, droga pani.

— Tak, to samo mówi doktor Vieto, ale co by pan powiedział, gdybym mu wyznała, że nawet włosy zaczynają mi się kręcić?

— Pewnie nadużywała pani mydła... Potas... wie pani.

— Och, doktorze!... To okropne!... Staję się Murzynką!

...

— Nie mam zamiaru się z panią spierać... Ale teraz proszę zostawić mi trochę czasu, żebym mógł przynajmniej przeanalizować materiał oniryczny... Proszę przyjść jutro...

Kiedy następnego dnia wprowadzono ją do gabinetu, ujrzała doktora pogrążonego w zadumie. Czyżby znalazł rozwiązanie? Posadził ją naprzeciwko siebie. Spostrzegła, że ma zamiar powiedzieć jej coś straszliwego. Nie znajdował słów. Było to widać. Mówił jej o tysiącu spraw, nie dotykając istoty zagadnienia. Był piekielny upały. W końcu zdecydował się:

— Musi się pani przygotować. Mam dla pani straszną wiadomość... Niech się pani postara opanować i proszę się nie martwić, bo wszystko będzie dobrze... Wracam właśnie od doktora Vieto... Miałem z nim bardzo ożywioną rozmowę... Nie mogliśmy dojść do porozumienia... Niemniej uważam, że jedynym sposobem na wyleczenie pani, jest powiedzenie jej prawdy, którą powinna pani znać już od dawna... Tylko pani podświadomość zdaje sobie sprawę z tej prawdy, jako że pani zmysły zarejestrowały ją, kiedy znaj dowa—k się pani w stanie zbliżonym do letargu... Było to podczas omdlenia, jakie panią oślednęło po upadku i zranieniu. Żeby wyrzucić się dokładnie

Owianięto po upauku i ziamieniu. Zebry wyrazic się dokladniej, poznała pani tę prawdę podczas transfuzji... w głębi pani świata wewnętrznego walczą ze sobą dwie siły. To nie kończące się zmaganie jest powodem Pani niepokoju... Trzeba, żeby stawiała pani czoło rzeczywi—8 °ści możliwie jak najprędzej...

Psychoanaliza opiera się

175

zawsze na wydobywaniu na jaw prawd ukrytych i krych, które występują przeciwko człowiekowi z najgł szych warstw jego podświadomości... Jeśli się ich nie puści do świadomości, pozostaną w ukryciu, wywołując wklania psychiczne i przerażające sny, jak te, które mi ni opowiedziała... Jest pani gotowa poznać prawdę?

Pani Rosenberg zlodowaciały dłonie. Nie mogła się cydować. Ogarniała ją przerażliwa trwoga. W końcu z\ ciężzyła jej niepohamowana ciekawość.

— Jestem gotowa — odparła.

Cóż to za przerażająca prawda, jaką jej miano wyja\ Jak na taką tajemnicę, musiało to być coś bardzo pov nego... A może doktor odkrył w jej snach ukryte namięt ści?... Co za wstyd!... Nie odważała się spojrzeć na niego\ Słuchała z opuszczoną głową i taką pozycję utrzymała cały czas, kiedy lekarz mówił.

Głos brzmiał spokojnie:

— Doktor Vieta opowiedział mi dokładnie przet transfuzji... A ponieważ chciałbym, żeby pani dowieć się o tym w sposób możliwie najmniej gwałtowny, opowif całą scenę od chwili, kiedy położono panią półprzyton na szpitalnym łóżku. Straciła pani

dużo krwi. Znajdom się pani między życiem a śmiercią. Była to kwestia mi

I tak to rozumiały pielęgniarki, słuchając rozkazów dofc ra Vieto: „Transfuzję! Natychmiast! Szukać dawców! W tym czasie nie istniał bank krwi ani nie było krwi serwowanej... Trzeba było skorzystać z ofiarności tych licznych dawców, jacy się trafiali. Pobrano próbki od ale bez zadowalających rezultatów. A co najgorsze, opu czały panią siły. Co robić? Doktor Vieto tracił już nadzie Krążył po sali, zdenerwowany, wzburzony. Wie pani A brze, jak panią ceni. W tym momencie pielęgniarka niosła mu, że ktoś zgłosił się dobrowolnie. Był to krwi uniwersalnej. Doktor Vieto ucieszył się ogro „Niech wejdzie! Natychmiast!” I wszedł dawca krwi. Nił by pani nie odgadła, kto ofiarował swoją krew, żeby ratować... Być może okazała się pani w stosunku do niesprawiedliwa... To jest ta okrutna prawda, którą pi panią ukryto i którą teraz mam pani wyjawić... Tym cą, szanowna pani, był Murzyn Joe, pani szofer...

Porażona tą wiadomością zażywna dama wydała g3 jęk. Tak poważne wydało jej się to wszystko, że zapomniała nawet o możliwości zemdenia. Doktor Serge obserwował ją, jak się skręcała niczym zraniony boa. Jęczała. Syczała.

— Co za nieszczęście! Co za hańba!

Czy to możliwe, żeby zrobiono jej coś takiego?

— Już pani powiedziałem, trzeba było wybierać między życiem a śmiercią.

— Lepiej byłoby umrzeć.

— Niech pani nie będzie nierozsądna. Proszę się

opanować... Pierwsza reakcja... tak nieoczekiwanie...
rozumiem... Ale nie trzeba aż tak do tego podchodzić... Robi
się pani taka zła, jakby doktor Vieto zamienił panią w
potwora...

— Tak, tak! To jest właściwe słowo! Zrobił ze mnie
zwierzę!

— Pani skrupuły wydają mi się śmieszne... Wie pani
dobrze, że pigmentacja skóry nie ma nic wspólnego z krwią,
taką czy inną... To zostało wystarczająco udowodnione...
Proszę więc pohamować nerwy i wysłuchać mnie... Pani
zaburzenia mają swoje źródło w wewnętrznej walce dwóch
przeciwstawnych sił: jedno „ja”, które nienawidzi Murzynów, i
drugie, pełne wdzięczności, sympatyczne, ludzkie... Niech pani
postara się mnie zrozumieć: kiedy przetoczono pani
„znenawidzoną” krew Joe’go znajdowała się pani w stanie pół
snu, pół jawy... Pani zmysły odbierały rzeczywistość w
połowie... I to właśnie pani podświadomość ukryła zachłannie
ten chaotyczny zlepek doznań, bezkształtnych i przykrych...
Dlatego też błędem było nie wyjawić pani faktów... Nie byłoby
trudno przekonać panią, że tak musiało się stać... A tak, sama
pani widzi, jakie poważne zaburzenia spowodowała ta walka
wewnętrzna przeciwstawnych sił... Teraz już może pani znaleźć
wyjaśnienie swoich snów... Trzeba też pani wiedzieć, że Joe,
pani dawca, miał uczucie, że jest dzieckiem (był tak osłabiony z
ubytku krwi) i to wywołało u niego dziwny atak śmiechu... Ten
nerwowy śmiech był całkiem wyjątkowym zjawiskiem...
Wzruszy się nim zarazili: ówinnie zreszta dlatego, że już minęło

wszystko się zmieniło, głównie z powodu tego, że już nigdy
wielkie niebezpieczeństwo... I tak to lekarz, asystent i
pielęgniarki wybuchnęli śmiechem... To jest jeden ze
szczegółów, który uporczywie powtarza się w pani snach...
Ponadto, w głębi duszy czuła pani od owej chwili coś w rodzaju
wdzięcz—

176

U —

W zaczarowanym zwierciadle

177

ności dla poczciwego Joego, który ofiarował własną kre
żeby panią ratować, ale to uczucie zderzało się zawsze z ni
idiotycznym uprzedzeniem do Murzynów... I te nieust ne
zmagania są głównym czynnikiem pani konfliktu... małutku, przy
pani pomocy, dokonam analizy poszczeg[^] nych snów. Może to
panią zainteresuje...

Pani Rosenberg szlochała, zrezygnowana i przybita,
wiedziała co robić ani co myśleć. Ogarnęło ją takie pienie, że żal
było patrzeć. Doktor Serge nie mógł j móc chętki do kpiny, jaka
łączyła się z jego współczuć Z pewnością pani Rosenberg
dostrzegła na jego warg niewyraźne odbicie tej wewnętrznej
radości (zwłaszcza, dy jej mówił: „Musi pani koniecznie
podziękować swojt szoferowi!”), bo, odzyskawszy nagle
energję, przeszła—; wzrokiem hieny i skierowała się do drzwi,
wykrzając:

— 3To ordynarny dowcip! To są kpiny! Zobaczą z moim
adwokatem! Doktor Vieto będzie mi musiał zapłacić! Zobaczy,

jak to się skończy!

Trzasnęła drzwiami i wyszła rozjuszona.

Doktor Serge został sam, skonsternowany. W tym 5 mencie pojawiła się mocno wystraszona pielęgniarka. I miała wyraz twarzy, że doktor mimowolnie wybuchł śmiechem.

Dowiedział się potem, że po wyjściu z jego kliniki Rosenberg złapała taksówkę i czerwona ze złości zja się w szpitalu u doktora Vieto, domagając się zwrotu krwi. Albo jej, tak czy inaczej, zwrócić, albo składa for ny pozew. Nie było sposobu uświadomić jej niedor tego żądania. Na domiar złego doktor Vieto, stary kav zalecał się od pewnego czasu do tej godnej matrony. nie wiedząc co robić, zrzucił całą winę na doktora oskarżając go o nieostrożność i gadulstwo. Gdzie b przysięga Hipokratesa?

Sprawa miała różne koleje. W końcu, w wyniku ob nego porozumienia, zdecydowano zrobić wdowie transfuzję. Było to niełatwe, jako że dama stawiała warunki. Nie zgadzała się na pierwszą lepszą krew. być czysto aryjska. I skąd, do diabła, mieli taką Na szczęście, po tysiącach prób, okazała się do pr krew pewnego marynarza, pyzatego i olbrzymiego

bardziej jasnowłosa niż najczystszej krwi Zygfryd, a w dodatku bardzo jankeski. Dama obejrzała go podejrzliwie ze wszystkich stron, jakby chodziło o jakiś towar. Ale wreszcie zdecydowała się. Zrobiono w mig tę cholerną transfuzję (żeby się dama przypadkiem nie rozmyśliła) i okazała się ona tak zbawienna dla pacjentki, że nawet sprzeciwiający się temu lekarze musieli przyznać, że przypadek kliniczny pani Rosenberg

godzien jest opisania w rocznikach szpitala jako przykład dobrego wyniku współpracy chirurgii i psychoanalizy.

Pani Rosenberg wyjechała na rekonwalescencję do wiejskiego zakątka. Obaj lekarze, złączeni już serdeczną przyjaźnią, odwiedzali ją co tydzień. Pacjentka czuła się coraz lepiej. Koszmary pozostawiły ją w spokoju. A jako że wszystko pozwalało przypuszczać, iż zaburzenia ustąpiły, wróciła do swojego sklepu.

Doktor Serge nie oglądał jej od tego czasu.

Pewnego ranka dostał telefon od doktora Vieto. Chirurg zapraszał go na kolację do domu pani Rosenberg. Mieli dla niego w zanadrzu wielką niespodziankę. Nie można było się wymówić. Była to sprawa bardzo osobista, która wymagała jego obecności. Mieli być tylko we troje.

Doktor Serge był już umówiony na ten wieczór.

— Och, to niemożliwe — rzekł. — Żałuję bardzo. Niech mi pan wierzy, że naprawdę żałuję, ale muszę być w Klubie na balu, urządzanym na rzecz żydowskich sierot.

— Nic z tego, drogi doktorze. Po kolacji, jeśli to panu odpowiada, pójdziemy razem do Klubu.

I ponieważ doktor Serge jeszcze się wymawiał, wyznał mu w tajemnicy:

— Chcieliśmy zrobić panu niespodziankę, ale ponieważ Pan się upiera, powiem, że chodzi o nasze zaręczyny...

Rzeczywiście, kiedy zjawił się w domu wdowy, czekały już gotowe koktajle. Pani zdążyła już wypić kilka i można &awet nowiedzieć, że troche nrzeholowała. Wwoładała dobroduszenie.

bardzo kobieco i może trochę wyzywająco. Doktor Serge pomyślał, że wypiękniała; była tego wieczoru do—~rze ubrana. Pani Rosenberg jest bez wątpienia wspaniałą Kobieta.

% Doktor Vieto, który także wypił odrobinę za duzo, czuł ^ szczęśliwy. Wkrótce miał mieć własne ognisko domowe.

178

179

Był już na to najwyższy czas. Bo też bardzo mu tego kowało. I spotkał odpowiednią kobietę: zdrową, dol i piękną.

Jedli i pili wesoło. Pani, która przesadziła ze swo| koktajlami, czuła się z lekka niedysponowana. Doktor Vii doradzał jej pozostanie w domu, jako że nie wypadalo,—; w tym stanie zjawila się w Klubie. Ale ona była tak pr pełniona szczęściem i whisky, że nie trafiały do niej żad argumenty. Uparła się iść i nie było innego wyjścia, j towarzyszyć.

Kiedy przybyli do Klubu, było już bardzo późno i^J nieważ panował tłok, nie znaleźli żadnego wolnego mie Ludzi było do diabła i trochę. Gwar niemożliwy. Md śmiechy, wesołość i mnóstwo alkoholu. O czym najr myślała cała ta publiczność, to z pewnością o osierocou dzieciach. Doktor Vieto nie znalazł innego wyjścia, jak kować° się w barze. Potem na pewno znajdzie się stolik.

W barze szaleństwo znalazło swoje ujście. Wszyscy czeli, skakali i pili nader obficie. Pani Rosenberg nie szkała dostosować się do otoczenia. Najbardziej doktora Serge to, że czcigodna dama zaczęła zdradzać ki nadmiernej pobudliwości.

Wydarzył się tu, że dostawcy nie przyjeżdżają do restauracji

wydawało mu się, że doste u niej pewną skłonność do gestów wulgarnych i nie zwoitych. Nagle dama zażyczyła sobie piwa. Doktor zdecydowanie zaprotestował. Taka mieszanka mogłabyś nie posłużyć. Ale ona się tak upierała, że lepiej było tychmiast jej ustąpić. Wypiła jedną szklankę po i zaczęła nucić *God save America*. Nagle wylała piwo, nęła na podłogę i bardzo zadowolona wydała przetil okrzyk: *Jupy!*, niczym stary marynarz. Później, ogar nagłym smutkiem, zaczęła pochlipywać. Nie ulegało wości, że jest zalana w sztok.

Doktor Vieto nie miał pojęcia, co robić. Na sz ponieważ wiele osób było w takim samym stanie, zwracał specjalnej uwagi na panią Rosenberg. W razie w barze panował upał nie do zniesienia. AtmiS była tak gęsta, że oddychało się z trudem. A dla niej nieczne było świeże powietrze, bo w tym klimacie się tylko poczuć gorzej. I doktor skierował się W tarasu, z nadzieją znalezienia jakiegoś wolnego stolii

180

Doktor Serge, który od dłuższego czasu obserwował panią Rosenberg, pochylił się ku niej ze współczuciem:

— Pani ma w dalszym ciągu jakieś duże zmartwienie.

Wdowa nie mogła powstrzymać hałaśliwego łkania i wyznała, że rzeczywiście nadal dręczą ją koszmary, spowodowane wyrzutami sumienia. Wciąż widziała w snach śmiejącego Joego, ale nie chciała przyznać się do tego doktorowi, żeby mu nie sprawiać zawodu.

— Już to mówilem. Pani trzeba się pozbyć uczucia niewdzięczności. Musi pani podziękować swojemu dawcy.

Dama chciała znowu wpaść w furię, ale złapał ją atak głośnej czkawki i udało jej się opanować wściekłość. Później, jakby zmieniając zamiar, uśmiechnęła się życzliwie i zdecydowała:

— O tak, z pewnością. Muszę mu podziękować. Biedny Joe!

Doktor Vieto wrócił, nie znalazłszy wolnego stolika. Za wszelką cenę chciał znaleźć jakieś miejsce blisko morza. Ale do kogo, psiakrew, z tym się zwrócić. Zęby choć napatoczył się jakiś kelner, z którym można by się porozumieć. Wszyscy sprawiali wrażenie głuchych i nieprzytomnych. W ogóle nie zwracali uwagi na doktora.

W tym momencie podszedł do pani Rosenberg kelner Antylczyk.

— Joe! — powiedziała ona. — A ty, co tu robisz? Tak spontaniczne i serdeczne było jej pytanie, że obaj

lekarze spojrzeli na siebie uśmiechnięci. Nie ulegało wątpliwości, że jest wyleczona. W przeciwnym razie rzuciłaby się z furią na swojego byłego szofera, którego uważała za głównego sprawcę swoich zaburzeń.

— Jestem teraz kelnerem, proszę pani — odparł Joe. — Pani życzy sobie stolik? Zaraz to załatwię. — I już miał oddalić się pospiesznie, usłużny nad wyraz, kiedy ona go zatrzymała.

— Nie, nie!... Niech idzie doktor Serge... Ja muszę z tobą porozmawiać. To konieczne... Muszę ci podziękować... Biedaku!... Chodźmy w jakieś ustronne miejsce...

Obaj lekarze chcieli ją od tego odwieść, ale dama się

uParła. Nie było sposobu wybić jej z głowy niezwyklego P°mysłu. I oddaliła się, zataczając, uwieszona ramienia °ego, w stronę palarni. Na szczęście wszyscy w tym mo—
181

mencie tańczyli i cała scena przeszła nie zauważona... tor Serge przekonał doktora Vieto, że lepiej było pozwo jej zrobić to, na co ma ochotę. Ona chciała się wyladowuj Koniec końców to nic poważnego. Możliwe, że zechce pot wracać do domu.

Jednakże, ponieważ nie było jej długo, doktor Viie wystarczająco zdenerwowany, · postanowił zakończyć tę taskową komedię.

— Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje! — I poszedł: szukać.

Wszystko to wydawało się śmieszne doktorowi Se i zbierał się już do domu, kiedy usłyszał jakiś krzyk, biegł do saloniku, gdzie ujrzał straszną scenę. Na pod dze, na białym dywanie, leżał Joe w ogromnej kałuży kr Pani Rosenberg rozczochrana i oszalała, wydawała mr krew w żyłach wrzaski.

Zgromadzili się ludzie.

— Co się stało?

— Co się dzieje?

Pani Rosenberg zabiła Joego. Nikt nie mógł tego zre mieć. Doktor Vieto zabrał wariatkę swoim samochodem. ■>\$

Doktor Serge obejrzał tymczasem trupa. Na karku dniała

olbrzymia rana. Wyglądało na to, że cios został dany afrykańskim toporem. Nie było już nic do robc Reszta należała do sędziego śledczego. Wychodząc, zar drzwi i zlecił policjantowi, żeby pilnował wejścia.

Okropna tragedia sprawiła, że Klub wkrótce opuste
Czekając na przybycie sędziego, doktor Serge usiadł przy stoliku na tarasie, naprzeciw morza, i pograżył w rozmyślaniach... Bryza była taka przyjemna...

Kiedy go obudzono, spostrzegł ze zdumieniem, że morzu odbijają się już pierwsze promienie wschodząc słońca. Chciał się wytłumaczyć:

— Zasnąłem... Cóż za przykrość!... Sędzia jeszcze przyjechał?

Kelner spojrział na niego zdziwiony.

— Jaki sędzia?

— Ten, co miał przyjechać!... Przecież zawsze pr jeżdżą sędzia, kiedy popełniono morderstwo.

(„Co się stało doktorowi?” — pomyślał kelner.) I odf głośno:

— Ależ tutaj nikt nie popełnił żadnego morderstwa! __ Jak to!?!... A więc... to wszystko mi się śniło?...

— Jedyne, co się wydarzyło, to skandal z panią Rosenberg.

— Ależ, człowieku!... Więc jak to jest?... Śniłem to, esy to prawda?

— Jak to! Nie wie pan?

— Nie irtuj mnie! Powiedz: co zrobiła pani Rosenberg?

— No cóż... Coś strasznego!... Przyłapali ją z czarnuchem!

— Do diabła! To jeszcze gorzej! Jednym skokiem poderwał się na nogi. Wymamrotał:

— Biedny Vieto!

Potem, wznosząc ramiona, dodał:

— Koniec końców powinniśmy złożyć dzięki żydowskiemu

Bogu.

I gotów już do odejścia, dorzucił:

— Ach, ten konflikt krwi!

I bardzo dumny i szczęśliwy, doktor Serge pomaszerował do swojej kliniki. s

Panama 1946

Przełożył Jerzy Kuhn

182

RICARDO REY BECKFORD

Zagadka wyspy Samos

Niniejsza praca, zasadnicza dla znajoma ści fagoanalizy, została opublikow| przez profesora Wilhelma Wagnera zaledwie dwoma laty w czasoj *Anthropologie und Erwartung*. Dotarli nas echo polemik, jakie wywołała, w cieszących się najwyższym prest. ośrodkach naukowych starego świata. ‘sze czasopismo ma dziś zaszczyt op kować tekst po raz pierwszy po his sku, który odnowił zacieklą i płodną skusję, jaką teorie Wagnera i jego *ti* lenników wywołały w świecie nauki.

Przed trzema już blisko laty przedstawiłem moich badań pod tytułem *Fagoanaliza. Teoria zachc. istoty ludzkiej przy odżywianiu* *. Ze wszystkich kr. jakie wywołała już sama publikacja tego dzieła — a ich przecież niemno — jedyna, jakie

publikacja tego dzieła — a ich przecież miało — jedynie, jak
umysł naukowca . że, a nawet musi uznać za słuszne, to te, które
zgodnie magają się danych i konkretnych spostrzeżeń, na któr
można by oprzeć moje teoretyczne twierdzenia. Pozos krytyki,
jako pochodzące ze środowisk czy od osobnik mających
niewiele wspólnego z prawdziwymi zainteresoi niami dla badań
naukowych, najczęściej nie biorą na^ pod uwagę terenu, na
jakim należy zagadnienie oprzeć.

Jednakże, pomimo emocjonalnego charakteru wieka tych
ataków, ich doskonałej niemal niezdolności do Ł. nia faktów
należących do dyscypliny, której są ignorant w sposób nieraz
alarmujący, musimy przyznać, że zj

sobie one (i to nie tylko wśród szerokiej public__
uznanie, które ma niewiele wspólnego z ich zasługami,
powinno nas to jednak zbytnio dziwić. Było to do prz dzenia, a
nawet, powiedziałbym, nieuniknione, nawet

· Dotychczas nie ukazało się w języku hiszpańskim (Nota
Red

184

ryzyku wybaczenia tym, którzy na wybaczenie nie zasługują
*.

W rzeczywistości wszystkie znane dotąd kultury, od
najprymitywniejszych po stojące na najwyższym stopniu
ewolucji, wyrażały — jak powszechnie wiadomo — przy
pomocy najbardziej zróżnicowanych form identyczny zasadniczy
stosunek i identyczne uczucia obawy i wstydu wobec ludzkiej
potrzeby spożywania pokarmów. Zachowania zmierzające do

zaspokojenia tej podstawowej potrzeby — wspólnej dla wszystkich istot żywych — zostały ustalone, w tym co się tyczy człowieka, w oparciu o kryteria i oceny, które nie biorą pod uwagę, czy nie doceniają, rzeczywistych chęci jednostki i biologicznej natury procesu.

W tym sensie można przytoczyć jeden tylko wyjątek, choć chwilowo o charakterze czysto teoretycznym. Chodzi jednak o teorię o takim znaczeniu, że naszym zdaniem wystarcza samo jej istnienie, aby poważnie zastanowić się nad uniwersalnością niektórych pojęć i przesłanek cieszących się najwyższym uznaniem w studiach humanistycznych. Jeśli z drugiej strony weźmiemy pod uwagę ich znaczenie dla przyszłości teorii fagoanalitycznej, stanie się jasne, iż zajmujemy się zarówno nią, jak i aktualnym stanem badań związanych z omawianym tematem.

Wykopaliska przeprowadzone przed dwoma laty na wyspie Samos pod kierownictwem W. T. Richardsa pozwoliły odkryć ślady całkowicie nieznanej cywilizacji. Sprytowi i cierpliwości Richardsa i jego współpracowników zawdzięczamy również częściową rekonstrukcję dwóch mieszkań należących do tej kultury. Ich wewnętrzne rozmieszczenie zaskoczyło archeologów i stanowi nadal przedmiot szczególnego zainteresowania.

Wszystkie mieszkania, jakie znamy — z jedynym wyjątkiem z Samos — posiadają ilość pokoi stołowych równą ilości dorosłych mieszkańców domu i jedyną, wspólnie używaną, sypialnię. Schemat ten, z uzupełnieniami i wariantami, wydawał się dotychczas uniwersalny. Domy z Samos — 1 na tym polega

cudowna nowość — posiadają, wszystkie, cztery sypialnie i jedną jadalnię.

* Wydaje się, że znakomity uczoney ma tu na myśli ataki pocho—^ce z Kręgu Bawarskiego i z Uniwersytetu w Ghanie (Nota Redakcji).

185

To niezwykle rozmieszczenie kazało przypuszczać — hm dzy innymi W. T. Richardsowi — że w omawianej cywji zacji czynność odżywiania dokonywana była zgola w spos zbiorowy. Zdaniem Richardsa nie ciążyło na niej odwie ne tabu. Zostało ono rzekomo przeniesione — jak zda wskazywać niezwykła ilość sypialń — na akt snu *.

Ekspedycja L. Lesfilles'a na wyspę Samos miała miejs bezpośrednio po wyprawie Richardsa. Jej znaleziska b z pewnością nie mniej cenne niż tego ostatniego. LesflL pracował podczas pierwszych miesięcy ubiegłego roku w oli licy położonej bardzo blisko miejsca poszukiwań archeolo angielskiego. Nieliczne rzeźby, jakie zdołał odkryć — jedyi znalezione dotąd na Samos — mogłyby już same wskazyfy na wszystkie trudności, jakie musiała przezwyciężyć eksp dycja. Chodzi o siedem głów, rzeźbionych w marmurze, n leżących do osobników o różnym pochodzeniu społeczni i obu płci.

„La nudite scandaleuse” — aby posłużyć się słowami o mego Lesfilles'a — to powszechne określenie tych rzeź Głowy z Samos pokazują bowiem ludzką twarz w całej potwornej nagości. Okolica ust jest tam agresywnie v> eksponowana, bez najmniejszych wybieoów czy zamask< wań. Na jednej z nich —

jak podaje Lesfilles — artys? przekraczając granice najbardziej elementarnej przyzwoitości, nie tylko pozwolił sobie na odtworzenie zarysu watałki, ale tak daleko się posunął, że pozwala nam domyślać 4 kilku zębów modelu **. Zbędne byłoby wyjaśniać, że historia aktu w rzeźbie nie notuje żadnego precedensu goś podobnego. a

Odkrycia Lesfilles'a miały potwierdzić — w sposób 1j pozór niezbity — niektóre spośród hipotez proponowany przez Richardsa przy okazji domów z Samos. Jednak w interpretacji faktów Lesfilles odbiega znacznie od swój go znakomitego kolegi.

Ale jak powszechnie wiadomo, rozbieżności między om ma badaczami są już niemal przysłowiowe i mają długi

* Richards W. T. *Samos and the Bedrooms*. Oxford Uniyer Press, 1964, t. II, str. 528 et seq.

* Lesfilles L. *Le pays aux visages impudiques*. Presses Universitaires de France, 1966, str. 328 et seq. (Z łatwo zrozumiałych powodów to dzieło nie zawiera fotografii rzeźb).

acz nie zawsze budującą historię. W interesującym nas przypadku może zwracać uwagę jako bezpośredni precedens pewien artykuł, jaki Lesfilles opublikował na krótko przed rozpoczęciem poszukiwań i badań na wyspie Samos. We wspomnianym artykule Lesfilles przeciwstawiał całą serię zastrzeżeń i obiekcji dziełu, w którym Richards przedstawia swoje transcendentalne odkrycia w tej dziedzinie *. Nie bez zastrzeżeń i dwuznaczności, które, jak się wydaje, stanowią

element jego stylu, Lesfilles rozważa we wspomnianej pracy wszystkie wnioski, do jakich doszedł Richards, a zwłaszcza te, które odnoszą się do „zaskakującej ilości sypialń”. W tej sprawie sugerował możliwość, zgodnie z którą duża ilość sypialni nie jest związana z aktem snu — jak to utrzymywał Richards — lecz z aktem seksualnym **.

Tak niepewna i chwiejna interpretacja jak ta, którą zaproponował Lesfilles, nie zasłużyła, w pierwszej chwili, na żadną replikę ze strony Richardsa. Jednakże Lesfilles upierał się przy niej, czyniąc z niej jeden z centralnych punktów swojej książki***. Nie tylko podaje w niej kompletne zestawienie różnic interpretacyjnych z Richardsem, ale wypracowuje całą teorię w tej materii i posuwa się do twierdzenia, że jeśli zostaną kiedykolwiek odkryte na Samos malowidła czy rzeźby przedstawiające w całości ciało ludzkie, ich genitalia będą zasłonięte czy zamaskowane.

Pomimo szacunku, na jaki zasługuje uczony rangi Lesfilles[^], tym razem zgadzamy się w pełni z Richardsem, gdy określa te przepowiednie jako „niczym nie uzasadnione, bezsensowne i fantastyczne”****.

Karl Albenwogel ze swej strony — przewodnik i rzecznik tak zwanego Kręgu Bawarskiego — poświęcił ostatnio całą serię prac sprawie Samos. Zostały one zebrane i wydane w ładnej broszurce przez Wydział Antropologii Narodowego Uniwersytetu Bawarskiego pod tytułem *Mythos Wahrheit*.

· Mamy naturalnie na myśli *Samos and the Bedrooms* op. cit ** Lesfilles *L Dormir ou fcrniquer?* W: Keue *Saentifique*

des études arcUzologiques, Paris, N° 128, tom XXXVIII, str. 215/229, 1965.

*· Lesfilles L. *Le pays aux...*, op. cit.

***♦ Richards W. T. *Fornication and LesfiUes: a wrongy way*. W: *Anthropolgy*, t. XXI, str. 67 et seq.

186

187

Tym, którzy znają opinie Albercwogela, niełatwo pr dzie znaleźć jakikolwiek bodziec przy lekturze jego Niewzruszona jest lojalność tego badacza dla pewnych komo niepodważalnych, a niewątpliwie przestarzałych sad. Stanowczość i surowość jego sądów, choć całkowicie, na czasie, jest przysłowiowa.

Ale pozwólmy Bawarczykowi zabrać głos: „Niezda niekompetencja Richardsa i Lesfilles’a zmusza mnie, po raz pierwszy, do ustalenia pewnych spraw”, powis I dalej: „Sprawy trzeba przedstawić wprost, bez krętów czy ogólników, główny problem to jadał A jeszcze dalej: „Przejdźmy bezpośrednio do sedna Wy”. Na stronie 42 wydaje się już, że Albernvogel mie się wreszcie tematem. Jednak na stronie 45 prz mina nam o „konieczności schwywania natychmiast za rogi”.

Aby uniknąć niebezpieczeństwa cytowania tak przez łą wieczność, streścimy jego opinię. Albenwogel, przed : ceniem uwagi na jadalnię, o jakiej mowa, czuje się w o% wiązku rozróżnić dwa, jego zdaniem podstawowe, poją Pojęcie „wspólnego używania” i „używania równoczesne Wychodząc od nich konkluduje: ..Nie istnieje. w kor wencji. żadna przeszkoda.

aby przypuszczać, że to służy jedyne pomieszczenie, przeznaczone na Samos na czynnej związane z odżywianiem — które wywołało tyle niepójów u Richardsa i Lesfilles'a — było używane w sposób indywidualny i sukcesywny przez mieszkańców domu?.

Albenwogel nie dopuszcza jednym słowem możliwości jakoby mieszkańcy Samos żyli „w nieznosnej zbiorowo jaką zakładałoby wspólne i jednoczesne korzystanie z 0% samej jadalni przez wszystkich mieszkańców domu?”. Uważa, że w konsekwencji, że chociaż ludzie z Samos pracowali na czynności związane z odżywianiem jeden tylko lokal, to korzystali z niego w surowo przestrzeganej ilości.

Ale jedyna rzecz, jaką Albenwogel zdołał osiągnąć swoim niewczesnym wyjaśnieniem, to wpadnięcie z jednej zagadki w inną, jeszcze trudniejszą do rozwikłania. Z „nieznosną zbiorowością” współbiedników z Samos w nieznosną potęgę architektów z Samos. Dlaczego wobec tego tylko j

188

jadalnia? Dlaczego wiele sypialni? Problem pozostaje nie wyjaśniony.

Do tego miejsca przedstawiliśmy, i to w zwięzły sposób, najważniejsze naszym zdaniem teorie, jakie walczą dziś o pozyskanie sobie zwolenników wśród specjalistów. Postaramy się przedstawić teraz nasze własne wyjaśnienie problemu Samos.

Richards i Lesfilles podzielają hipotezę „amoralną” czy też, ściślej, „heteromoralną”, gdy przypuszczają, że nie istnieje tabu odnośnie do czynnika odżywiania. Działanie to potęgi

odnoszące się do czynności odżywiania. Kozną się natomiast w tym, co się tyczy wielości sypialń. Dla Richardsa aktem objętym tabu jest akt spania, dla Lesfilles[^] — akt seksualny. Albernvogel wynikiem, który widzieliśmy, przeciwstawia się wyjaśnieniom heteromoralnym. Jeśli chodzi o sypialnie i o rzeźby, zachowuje łatwe do zrozumienia milczenie.

Teoriom heteromoralnym tych pierwszych i naiwnemu moralizmowi tego drugiego, my, wierni podstawowym zasadom fagoanalizy, przeciwstawiamy wyjaśnienie pośrednie i, do pewnego stopnia, godzące w oba poprzednie. Nasza teoria, której nie wahamy się nazwać neomoralistyczną, zawiera i syntetyzuje, by tak to określić, nie dające się pogodzić krańce dysputy.

Rozpocniemy od stawienia czoła jednemu z najtrudniejszych problemów: chodzi o rzeźby Lesfilles'a. Naiwny mo—ralizm nie ośmiela się nawet postawić tego problemu, który z drugiej strony, z jego punktu widzenia, byłoby niemożliwością wyjaśnić.

Nagość twarzy z kolei — w połączeniu z jedyną jadalnią — zdała się prowadzić nas nieuchronnie do którejjkolwiek z hipotez heteromoralnych. Jednakże nie byłoby ani ostrożne, ani rozsądne angażowanie się w takie kategoryczne twierdzenia. Zacytujemy na poparcie fragment z *The Golden Bough* J. G. Frazera, w którego autorytet nie sposób wątpić. Mówi on: „Przedstawiciele plemienia Warua nie Pozwalają na siebie patrzeć, kiedy jedzą lub piją... Gdy pro—Ponuje im się jakiś trunek, proszą często o kawałek płótna, aby zasłonić się podczas picia”.

Stąd wniosek, że zasłonięcie okolicy ust ma miejsce tylko w czasie aktu spożywania pokarmu. We wszystkich innych okolicznościach ludzie Warua — prymitywny naród,
189

który nie zna wstydu, delikatności i, oczywiście, straszny zakazów cywilizacji na wysokim etapie ewolucji — ma twarz całkowicie odkrytą.

Oto przynajmniej historyczny precedens dla sytuacji, ka przedstawiona w innych słowach, takiego precedensu nie miała w całej historii rodzaju ludzkiego. Ani surc i chorobliwa moralność ludów cywilizowanych, ani cal wity brak tabu związanego z odżywianiem, co można zauv żyć, przynajmniej dotychczas, jedynie w świecie nieprze sianych teorii naukowych.

Ta historyczna interpretacja rzeźb jest naszym zdanie jedyną, jaka nie wymaga przypadków wyjątkowych . zadowalającego wyjaśnienia nagości głów znalezionej przez Lesfilles'a.

Pozostaje nam na koniec fakt bardziej znamieny niż dyna jadalnia: to wielość sypialń. Albernvogel zignoro* ją. Ani,, Richards ani Lesfilles nie zdołali jej wyjaśnić. __ snu nigdy nie był objęty tabu. Akt seksualny... sama ■ myśl już jest śmieszna. Nasze wyjaśnienie jest tak prc

jak sama rzeczywistość. Jeśli jest wiele sypialń, to __ się tak po prostu dlatego, że mieszkańcy Samos mieli z\ czaj jeść w łóżku.

Przełożył Andrzej Soból—JurczykowskiE^

JUAN JOSfi ARREOLA

O balistyce

Ne saxa ex catapultis latericium dimittent scutarent.

CAESAR, *De bello d'viii lib. 2.*

Catapultae turribus impositae et quae spicula mitterent, et quae saxa.

APPIANUS, *Ibericae.*

To, co tam widać, te niewyraźne blizny wśród uprawnych pól, to ruiny obozu Nobiliora. Dalej wznoszą się stanowiska obronne Castillejo, Reneblas i Pena Redonda. Ze starożytnego miasta pozostało jedynie wzgórze nabrzmiałe ciszą...

— Niech pan z łaski swojej nie zapomina, że przyjechałem aż z Minnesoty. Niech pan porzuci puste słowa i powie mi, co, jak i na jaką odległość wyrzucały balisty.

— Żąda pan rzeczy niemożliwej.

— Ale przecież jest pan uważany za światowy autorytet, jeśli chodzi o starożytne maszyny wojenne. Profesor Burns z Minnesoty nie zawahał się podać mi pańskiego nazwiska i adresu jako pewnego źródła.

— Proszę przekazać profesorowi, któremu listownie wyraziłem swój szacunek, moje podziękowanie i szczerze wyrazy współczucia z powodu jego optymizmu. A propos, jaki miał przebieg jego eksperymenty z dziedziny rzymskiej balistyki?

— Całkowite fiasko. Wobec licznie zgromadzonej publiczności profesor Burns obiecał zburzyć mur na stadionie w Minnesota i coś się zepsuło. To już piąty raz kompromi—tuja g0 ta jego katapulty i jest bardzo przemyślany. Oczekuje, że ja

w jego katalogu i jest bardzo przygięty. Oczekuje, że ja dostarczę mu pewnych danych, które skierują go na właściwą drogę, ale pan...

— Niech mu pan powie, żeby się nie zniechęcał. Nie—
szczęsny Ottokar von Soden strawił najlepsze lata swojego
191

życia na łamigłówce *ctesibia machina*, która funkcjonowała”
przy pomocy sprężonego powietrza. A Gatteloni, który wie dział
więcej niż profesor Burns, i prawdopodobnie więcej niż ja,
poniósł porażkę w 1915 roku próbując uruchomić wspaniałą
maszynę, której budowę oparł na opisach Ammiana Marcelina.
Jakieś cztery wieki wcześniej inny mechanik florentyński, zowiący
się Leonardo da Vinci, stracił masę czasu na konstruowanie
ogromnych balist według poronionych wskazówek głośnego
amatora Marca Witruwiusza Poliona.

— Jako zapalonego miłośnika mechaniki dziwi mnie i obraża
język, jakiego używa pan w odniesieniu do Witruwiusza, jednego
z czołowych geniuszów naszej nauki.

— Nie znam opinii, jaką pan i pański profesor Burns mają o
tym szkodliwym indywiduum. Dla mnie Witruwiusz jest zwykłym
dyletantem. Niech pan przeczyta z pewną uwagą, jego *libri
deem*: na każdym kroku zauważy pan, że Witruwiusz mówi o
rzeczach, o których nie ma pojęcia. Je dynie przekazuje nam
niezwykle cenne teksty greckie, bezładu ni składu, począwszy
od Eneasz, Tacyta po Heron z Aleksandrii. |

— Po raz pierwszy spotykam się z podobnym brakiem
szacunku. Na kim wobec tego można polegać? Może na |

Sekstusie Juliuszu Frontinie? 4

— Niech pan przeczyta jego *Stratagematon* z największą ostrożnością. Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że trafiło się w sedno. Ale niebawem czytającego ogarni rozczarowanie przy jego opisach nie do przebrnięcia i błąd. Frontinus wiele wiedział na temat akweduktów, ścieków i kloak, ale w dziedzinie balistyki nie był zdolny wyliczenia prostej paraboli.

— Niech pan nie zapomina, że po powrocie mam pisać pracę doktorską na dwieście stron na temat rzymskiej balistyki i przygotować kilka odczytów. Nie chcę naraz się na wstyd, jak mój mistrz na stadionie w Minnesocie. Niech więc pan będzie łaskaw przytoczyć mi kilka starożytnych autorytetów na ten temat. Profesor Burns zmącił umysł swoimi opowiadaniem, pełnymi powtórzeń i pręgiem unikania tematu.

— Pan pozwoli, że z tego miejsca pogratuluję profesorowi Burnswi jego wielkiej ścisłości w traktowaniu

192

gadnienia. Widzę, że jedynie przekazał panu chaotyczną wizję, jaką dają nam na temat starożytnej balistyki tacy autorzy jak Marcelinus, Arrianus, Diodor, Josephus, Polibiusz, Wegecjusz i Prokopiusz. Powiem jasno. Nie posiadamy ani jednego współczesnego rysunku, ani jednej konkretnej danej. Pseudobalisty Justusa Lipsiusa i Andrei Palladiona są zwykłymi wymysłami na papierze, całkowicie nierealnymi.

— Wobec tego, co robić? Proszę pomyśleć o dwustu stronach mojej pracy. O dwóch tysiącach słów każdego odczytu

w Minnesocie.

— Opowiem panu anegdotę, która skieruje pana na drogę ku zrozumieniu prawdy.

— Słucham.

— Mówi ona o zdobyciu Segidy. Pamięta pan naturalnie, że miasto to zostało zajęte przez konsula Nobiliora w 153 roku.

— Przed Chrystusem?

— Robienie takich sprecyzowań wydaje mi się raczej zbędne.

— Przepraszam pana.

— No więc Nobilior opanował Segidę w roku 153.

Natomiast z pewnością panu nie wiadomo, że klęskę miasta, kluczowego punktu w marszu na Numancję, spowodowała balista.

— Nareszcie! Sprawna balista.

— Moment. Tylko w przenośni.

— Niech pan kończy tę anegdotę, Jestem pewien, że wróć do Minnesoty nie umięjąc powiedzieć niczego konkretnego.

— Konsul Nobilior, który był człowiekiem lubującym się w widowiskach, zapragnął rozpocząć atak wielkim wystrzałem z katapuły.

— Przepraszam, ale mówimy o balistach...

— A czy pan i pana sławny profesor z Minnesoty możecie mi powiedzieć, jaka jest różnica między balistą a katapułą? I między fundibulą, doribolą i palintoną? W dziedzinie starożytnych machin mówił już o tym don Jose Almirante; ani pisownia nie

...nie jest ustalona, ani wyjaśnienia zadowalające. Oto nazwy tego samego przedmiotu: petro—bl litobola, pederera czy petraria. I również może pan

— W zaczarowanym zwierciadle

193

użyć nazw: onagrius, monancona, polibola, acrobalista, ci robalista, toxobalista i neurobalista dla każdej maszyny, kt ra działa przez naciągnięcie, nakręcenie czy przeciwwag A ponieważ wszystkie te urządzenia były od IV wieku pr Chrystusem ruchome, przysługuje im słusznie ogólna zwa carrobalista.

— Natomiast jest rzeczą pewną, że sekret, jaki porusz te iguanodonty wojny, zaginął. Nikt nie wie, jak utwarć no drewno, jak przygotowywano cięciwy z wikliny, kc skiego włosa czy jelit, jak funkcjonował system przecer# wag.

— Niech pan kończy swoją anegdotę, zanim postancj wię zmienić temat pracy doktorskiej i wyrzucę z sali odcz towej moich wyimaginowanych słuchaczy.

—————Nobilior, który był człowiekiem lubującym się w dowisifach, zapragnął rozpocząć atak wielkim wystrz z balisty...

.” — Widzę, że pamięta pan doskonale swoje anegdot| Powtórzył pan dosłownie.

— Panu natomiast pamięć nie dopisuje. Właśnie doko nałem znamiennej modyfikacji.

— Doprawdy?

— Powiedziałem balista zamiast katapulta, aby nowej dygresji z pana strony. Widzę, że strzeliłem jak ku w płot.

— Ja natomiast chciałbym, żeby wystrzeliła, w cokc wiek, machina Nobiliora.

— Nie wystrzeli.

— Co? Nie dokończy pan swojej anegdoty?

— Owszem, ale nie będzie wystrzału. Mieszkańcy Segid poddali się dokładnie w chwili, gdy balista z nacią tymi swoimi wszystkimi dźwigniami, naprężonymi elastjnymi cięciwami i obciążonymi platformami przeciw szycowała się do wystrzelenia w nich granitowego Dali sygnały z murów, wysłali parlamentariuszy i wszc układy. Darowano im życie, ale pod warunkiem, że op czą miasto, aby Nobilior mógł spełnić swój królewski prys puszczenia go z dymem.

— A balista?

— Uległa całkowitemu zniszczeniu. Wszyscy o niej pomnieli, nawet artylerzyści, wobec radości z tak łatwo odniesionego zwycięstwa. Podczas gdy mieszkańcy Segidy podpisywali kapitulację, cięciwy pękły, trzasnęły drewniane przesła, potężne ramię, które miało wyrzucić ów niecodzienny pocisk, zastygło na ziemi martwe, wyrwane, wypuszczając głąz ze swojej pięści...

— Jakże to?

— Czyżby pan nie wiedział, że katapulta, która natychmiast nie strzela, ulega zniszczeniu? Jeżeli profesor Burns nie nauczył pana tego, pozwałam sobie bardzo wątpić w jego kompetencję. Ale wróćmy do Segidy. Nobilior otrzymał poza tym tysiąc

osiemset funtów srebra jako okup za najznamienitszych obywateli, z czego natychmiast wybił monetę, aby zapobiec grożącemu niebezpieczeństwu buntu wojska, któremu zalegał z żołdem. Zachowało się kilka tych monet. Jutro będzie je pan mógł obejrzyć w Muzeum Nu—

mancji.

— Czy nie mógłby pan zdobyć dla mnie jednej z nich na pamiątkę?

— Niech pan nie będzie śmieszny. Jediną osobą prywatną, która posiada monety z tej epoki, jest profesor Adolf Schulten, który spędził życie grzebiąc się w ruinach Nu—mancji, sporządzając plany, odgadując pod zagonami zasiewów ślady stanowisk wojskowych. Natomiast mogę dla pana zdobyć pocztówkę z awerssem i rewerssem monety.

— Proszę mówić dalej.

— Nobilior potrafił wyciągnąć wielkie korzyści ze zdobycia Segidy, i monety, które wybił, noszą z jednej strony jego profil, a z drugiej sylwetkę balisty i napis „Segisa”.

— Dlaczego „Segisa”, a nie Segida?

— Któż to może teraz wiedzieć. Omyłka tego, kto wykonał matryce. Monety te cieszyły się wielkim powodzeniem w Rzymie. A jeszcze większym sława balisty. Warsztaty Cesarstwa nie mogły nadażyć z wykonaniem zamówień dowódców wojskowych, którzy domagali się katapult na tuziny, i to coraz większych. I im bardziej skomplikowane, tym lepiej.

— Ale proszę mi powiedzieć coś konkretnego. Czemu Należw według pana nazywać te różnorodność nazw. jeśli

zawsze chodzi o to samo urządzenie.

r— Może chodzi o różnice w wielkości, może o typ poci—

194

195

sków, jakie artylerzyści mieli pod ręką. Widzi pan, litot czy petrarie, jak wskazuje ich nazwa, wyrzucały kamie Kamienie różnych wielkości. Źródła podają, iż od dwuc stu czy trzydziestu funtów do ośmiu czy dwunastu kwint Wydaje się, że polibole również wyrzucały kamienie, w formie salw, to jest gradu kamieni. Doribole wysyŁ etymologicznie rzecz biorąc, olbrzymie dzidy, ale rów pęki strzał. A neurobalisty, któż może wiedzieć... be z mieszankami zapalającymi, wiązki płonącego drewna, py i olbrzymie wory nieczystości, aby jeszcze bardziej gęścić morowe powietrze, jakim oddychali nieszczęśni ot gani. Wiem nawet, że pewna balista wyrzucała sójki.

— Sójki?

— Niech pan pozwoli, że opowiem inną anegdotę.

— Widzę, że pomyliłem się co do archeologa i pr wodnika.

— tfeśt bardzo ładna. Niemal poetycka. Będę się str czał.

Obiecuję.

— Niech pan opowiada i chodźmy. Słońce zachodzi nad Numancją.

— Pewien oddział artylerii porzucił nocą największą listę swojego legionu na wyniosłości terenu, która niała wioskę Bures, na drodze do Centobrygi. Jak pan rozumie, powracam znów do II wieku przed Chrysti: nie wychodząc z tej okolicy. Następnego ranka wieś Bures, cołko niewinnych nastaw, otentli wybacze tej

ranka mies Bures, seika niewinnych pasterzy, stanęli wobec tej groź która wyrosła jak spod ziemi. Nie wiedzieli nic o katapatach, ale zwietrzyli niebezpieczeństwo. Zamknęli się wszystkie spusty w swoich chatach i pozostawiali tam pr trzy doby. Ponieważ nie mogli tak trwać w nieskończor rzucili losy, aby zdecydować, kto pójdzie następnego zbadać tajemniczy przedmiot. Los wypadł na nieśmia

i nierozgarniętego młodzieńca, który uznał, że skazano! na śmierć. Ludność spędziła noc na żegnaniu go i dodał niu mu otuchy, ale chłopak drżał ze strachu. Owego:?? mowego poranka, przed wschodem słońca, balista mus mieć posepny wygląd szubienicy.

— Czy młodzieniec powrócił z życiem?

— Nie. Padł martwy u stóp balisty pod gradem które nocowały na wojennej maczynie i odlatywały straszone...

— Wielki Boże! Balista, która powoduje poddanie się miasta Segida bez jednego wystrzału. Druga, która zabija pastuszka przy pomocy stada ptaków. Czy o tym mam opowiadać w Minnesocie?

— Nie, pan opowie, że katapulty były używane w wojnie nerwów. Niech pan doda, że całe Imperium Rzymskie było jedynie ogromną machiną wojenną, skomplikowaną i kłopotliwą, przepelnioną antagonistycznymi dźwigniami, z których jedne odbierały siłę drugim. Może się pan tym usprawiedliwić, że była to broń okresu dekadencji.

— Ale czy spotka się to z dobrym przyjęciem?

— Proszę opisać fatalne apogeum balist. Niech pan to zrobi

w sposób malowniczy. Opowie pan, że zawód magistra stał się w miastach rzymskich w najwyższym stopniu niebezpieczny. Chłopcy w szkołach skazywali swych nauczycieli na prawdziwe kamienowanie, atakując ich kieszonkowymi aparatami, które były dziecinną pochodnią wojennych balist ręcznych.

— Ale czy spotka się to z dobrym przyjęciem?

— Proszę mówić z rozmachem i szczegółowo o utworzeniu legionowego konwoju. Niech pan zatrzyma się na opisie dwóch tysięcy wozów i zwierząt pociągowych, amunicji, sprzętów do fortyfikacji i oblężeń. Niech pan mówi o niezliczonych tragarzach i niewolnikach, o handlarzach, kucharzach i prostytutkach. Zepsucie moralne, malwersacje i choroby weneryczne dostarczą panu szczodrych tematów. Niech pan opisz również po same koła wielki ruchomy kamienny piec, który był zasługą inżyniera Cajusa Licinia Licita, wypiekający po drodze chleb, po tysiąc bochenków na kilometr.

— To wprost wspaniałe!

— Proszę wziąć pod uwagę fakt, że piec ważył osiemnaście ton i nie pokonywał więcej niż trzy kilometry dziennie...

— To straszne!

— Niech pan będzie wytrwały. Niech pan mówi bez przerwy o wielkiej koncentracji balist. Proszę hojnie sypać cyframi, wskażę panu źródła. Może pan powiedzieć, że w czasach Demetriusza Poliorcetesza doszło do zgromadzenia ośmiuset machin przeciwko jednemu miastu. Wojska

rzymskie, niezdolne do modernizacji, cierpiały potworne opóźnienia, miotając się wśród pochłaniających siły wojennych.

— Ale czy spotka się to z dobrym przyjęciem?

— Niech pan zakończy mówiąc, że balista była brocią psychologiczną, symbolem siły, przytłaczającą metaforą.

— Ale czy spotka się to z dobrym przyjęciem? i (W tym momencie archeolog dostrzegł na ziemi

który wydał mu się bardzo właściwy do postawienia którejś kropki po swoim wykładzie. Był to bazaltowy kar wielki i zaokrąglony, ważący jakieś dwadzieścia kilo. grzebując go z wielkimi objawami entuzjazmu, włożył w ręce studenta).

— Ma pan szczęście! Chciał pan zabrać na pamiątkę monetę, a oto co zsyła panu los.

— Ale co to jest?

— <To cenny pocisk z epoki rzymskiej, wystrzelony *bd* wątpienia przez jedną z tych machin, które tak pana intej resują. (Student przyjął prezent nieco zmieszany).

— Ale... czy jest pan pewien?

— Niech pan zabierze ten kamień do Minnesoty i umie* ści go na pulpicie podczas odczytu. Zrobi pan wielkie wraJ żenie na audytorium.

— Sądzi pan?

— Ja sam dostarczę panu wymaganej dokumentacji, abj władze pozwoliły panu wywieźć go z Hiszpanii.

— Ale czy jest pan pewien, że ten kamień jest pociskiem rzymskim?

(Głos archeologa przybrał zirytowany, ponury ton).

— Jestem tego tak bardzo pewien, że jeśliby pan, zamiast przyjechać teraz, przyspieszył o jakieś dwa tysiące lat swoją podróż do Numancji, kamień ten, wystrzelony przez jednego z artylerzystów Scypiona, rozbiłby panu głowę.

(Wobec takiej miażdżącej odpowiedzi student z Minnesoty zamyślił się i przycisnął z uczuciem kamień do piersi. Uwalniając na chwilę jedną rękę, przesunął ją po czole, jakby chcąc zetrzeć, raz na zawsze, widmo rzymskiej balistyki).

Słońce zaszło już ponad pustynnym krajobrazem numan—
tyjskim— W suchym łożysku Merdancho błyszczało tęskne
Wspomnienie rzeki. Serafimy Anioła Pańskiego fruwały

oddali, ponad niewidocznymi wioskami. Mistrz i uczeń stali
nieruchomo, uwiecznieni w chwilowym skupieniu, jak dwie skały
w szarym zmierzchu.

Przełożył Andrzej Soból—Jurczykowski

ALVARO MENEN DESLEAL właśc. Alvaro Merendez
Leal

Achilles i żółw

Spod skorupy, niczym spod hełmu komicznego żołnie
okrywającego mu grzbiet zamiast głowy, zwierzak co chw
wystawia ślepią, by na mnie spojrzeć, wciąż oglądając. do tyłu.
Lęka się widocznie, że doścignąwszy go, nie przestanę na tym, i
uniesiony gniewem, zmiażdżę go mi szybkimi stopami.

Niejaki Zenon był autorem owego pomysłu. Początko nie
chciałem nawet o tym słyszeć. Achilles, syn srebr nogiej Tetydy,

najpiękniejszy, najdzielniejszy, najsilniejszy i najslawniejszy spośród homeryckich bohaterów, mia okazać się niezdolnym do pokonania w wyścigu ociężał zółwia?... Toż to bzdura: Ale nie mogłem ignorować dłużej, gdyż w niedoświadczonych umysłach efebów, przygotowując się do zawodów w biegach składają ofii w mej świątyni w Sparcie — której wrota mają być wsze zamknięte — zaczęła się snuć cienka przędza Zv pienia.

Tak więc, zamierzałem łeb rozwalić Zenonowi, używa jako pocisku osławionego zółwia. Nie byłby to znowu wyczyn, jeśliby go porównać ze zdobyciem jedenastu na kontynencie i dwunastu na wyspach, nie licząc już którzy zginęli z mej ręki: Kyknos, Nestor, syn Pr i Hektor, ulubieniec Apollina, którego śmierć poruszyła mego Zeusa. A co dopiero Tenes, syn samego Apolla! samo jednak nie byłby godny tenże Zenon mego gniew jak i Agamemnon mojej nienawiści; jeden mój okrzyk nawet nie tak donośny jak ów, co siał przerażenie w przyjacielskich szeregach — wystarczyłby, żeby z nim skończyć.

Patroklesowi, jemu, zawdzięczam tę poniżającą sytuac
200

w jakiej się teraz znajduję: nie chciał, abym zabijał nawet bym krzyczał na Zenona. „W Elei — rzekł mi trokles — ten człowiek udowodnił, że strzała wystrzel z łuku nie porusza się, ponieważ w danej chwili str jest tam, gdzie jest; albo jest tam, gdzie nie jest; ale dować się tam, gdzie się nie jest, jest rzeczą niemożliw zatem jest tam, gdzie jest, a jeśli jest tam, gdzie jest, to porusza się”.

Patrokles nie tylko zdobył moją wielką miłość, moją ·

trwalszą wierność, moją przyjaźń czułą i gwałtowną, także mój szacunek. Wiem, że Menejkios, jego ojciec, wiedział mu kiedyś: „Synu, Achilles przewyższa cię urokiem, ale ty masz nad nim przewagę wieku. Jego siła większa od twojej, ale ty za to możesz mówić doń roznie; kieruj nim, bądź jego przewodnikiem. Posłucha jeśli będziesz mu dawał dobre rady”. Kiedy Patrokles sił mnie do rezygnacji z moich planów względem Zeno i opowiedział mi o strzale, ograniczyłem się do zabicia z ku kozy. Gdy zwierzę spadało z wysokiej skały z przebij sercem, Patrokles zrozumiał moją refutację aporii. „Ruc dowodzi się idąc — rzekłem mu — a biegu, biegnąc”.

I wówczas zdecydowałem się przyjąć wyzwanie.

Zenonomalże nie skonał ze zdumienia. Wszystkiego *mi* się spodziewać ten śmieszny dialektyk, tylko nie mo obecności w Elei. Mimo wszystko nie od razu podjąłem cyżę, ale kiedy powiedział mi, że nawet bym się nie ruszył, zirykowałem się. Przed oczyma przesuwwały mi, j straszliwe sceny, jak ta, kiedy poderżnąłem gardło *d* stu młodzieńcom trojańskim przy stosie, na którym płor zwłoki mego przyjaciela, i krwawy epizod, zakończyć śmiercią Hektora, kiedy ten zaproponował mi układ, iż lo zwyciężonego miałoby być zwrócone jego bliskim. A działałem, że Hektor będzie zabity, a nie ja; toteż odparł* mu obelżywie i obszedłem się z jego trupem w taki spc że sami bogowie byli poruszeni. Wiedziałem też, że sp się jego przekleństwo. „Twoje łono — powiedział mi tor — kryje serce z kamienia: pomyśl teraz, że stanę przyczyną gniewu bogów na ciebie w dniu, w którym Pa i Apollo mimo twego mestwa spowodują twa zoubę

u Sk skiej Bramy”. Sam Apollo musiał naciągnąć łuk, by wj ścić strzałę, która śmiertelnie raniła mnie w piętę.

202

Zwierzak podnosi swą łysą czaszkę filozofa i stwierdza moją obecność. Wiem, że pod tą drętwołą kryje się absurdalny pomysł ukąszenia mnie w „tę” piętę, skoro go tylko dogonię. Głupi pomysł! Czyż ja — ów szlachetny przeciwnik, który wyleczył rdzę z własnej włóczni króla Teutranii, śmiertelnie przeze mnie zranionego — miałbym teraz zmiażdżyć mą stopą bohatera takiego gada? Ale mimo wszystko nie pozwolę się już zaskoczyć atakiem na piętę.

Na skraju areny eleaci tworzą koło. Z początku byli zdenerwowani: gryzli paznokcie, szarpali tuniki i targali swe zmierzwione brody. Kiedy ustawiliśmy się do startu, Par—merides usiadł, nie mogąc znieść myśli, że niedługo nastąpi potwierdzenie tezy. Teraz znów stoi. Widzę, że nikt nawet nie mrugnie powieką, że nie drga żaden mięsień, że nie porusza się żadna zmarszczka, że nie wydziela potu żaden por ich skóry, z wyjątkiem moich, które odwadniają się w nie kończącym się wysiłku.

Zenon ustalił reguły: „Achilles — rzekł — szybkonogi, da żółwiowi dziesięć metrów przewagi”. Następnie wyjaśnił demosowi, że gdybym biegł dziesięć razy szybciej niż opieszale wodałaz, to w czasie kiedy przebiegłbym dziesięć metrów, tamten pokonałby jeden, w czasie gdy ja przebiegłbym ten jeden metr, żółw posunąłby się naprzód o decymetr, w czasie gdy ja

pokonałbym decymetr, żółw przebyłby jeden centymetr, gdy ja przebyłbym ten centymetr, to żółw przebyłby milimetr, kiedy ja milimetr, żółw jedną dziesiątą milimetra, kiedy ja jedną dziesiątą milimetra, żółw jedną setną... I tak bez końca, przy czym nigdy nie zdołałbym go doścignąć.

Demos rzecz jasna roześmiał się z tych uroszczeń. Ja roześmiałem się także. Ale teraz już nikt się nie śmieje, nawet ja sam. Jedynie Zenon ma na wargach lekki grymas zadowolenia i satysfakcji. Ponieważ, kiedy wszyscy śmialiśmy się z niego, powtórzył swoją groźbę: „Achilles — Wrzasnął pełen złości — nie przebiegnie nawet dziesięciu metrów: pozostanie na miejscu swego startu, jak białe po—s^gi, które upamiętniają jego bohaterskie imię”. W tym Momencie zbliżył się do mnie i z niezwykłą bezczelnością oświadczył, że zanim przebiegnę dziesięć metrów, musiałbym najpierw przebiec połowę. Odparłem mu, że tak. „A przed przebyciem tej połowy — krzyknął — musisz

203

przebiec połowę poprzedniej połowy”. Odparłem mu, że „A przed przebyciem połowy poprzedniej połowy, prz połowę poprzedniej połowy”. Nic mu nie odrzekłem, bo i to sprawa bez końca.

Teraz poruszam moimi szybkimi nogami jak os__,
Żółw spogląda na mnie od czasu do czasu, odwracając\ jaszczurczą głowę. Ja za nim z tyłu, spocony i dyszący^ zdołałem jak dotąd dotrzeć do połowy połowy połowy] ływy... i wydaje mi się, że nie osiągnę jej nigdy. Je co mnie pociesza, to

świadomość, że żółw także się rusza (jako że sofista nie może mieć racji w stosunku mnie, nie mając jej w stosunku do żółwia), ale znaj~~ę~~ się bliżej mety i wygrał bezsprzecznie ten statyczny

Oby Zeus poraził go swym gromem

Przełożył Jerzy

sEKGIO PITOL

podobny bogom

Pielęgniarka zauważyła, że jego oczy — i chociaż była przyzwyczajona do pacjenta i do nieustannego śledzenia postępów choroby, nie zdołała powstrzymać gestu odrazy, jaką zawsze w niej wywoływały — utkwily w poźółkłej, brudnej stronicy gazety, podniesionej z trudem z ławki, na której leżał. Niepewne spojrzenie zdawało się koncentrować na tym kawałku papieru, gdzie wśród załamania, plam i innych uszkodzeń wyodrębniały się jakieś znaki, które chwytaly i skupiały rozproszone przebliski uwagi, jakby w odległej strefie jego świadomości zabłysło nagle jakieś światełko. Zdziwiona pielęgniarka zaczęła zastanawiać się, czy wewnątrz tego bezkrwistego ciała powstał nagle jakiś impuls, który od trzech lat (od owej koszarnej i tragicznej nocy, kiedy ziściło się wszystko to, co kipało w jego wnętrzu, i kiedy jego istota wypełniła się po brzegi w całej owej objętości, do jakiej była zdolna) głucho, daremnie usiłował wynurzyć się na powierzchnię. Ale impuls ten, jeśli w ogóle zaistniał, zatrzymał się, nie nabierając kształtu w żadnym określonym ruchu, przewyciężony pierwszą z wielu przeszkód, jakie przerywały ten długi dzień. Niezdolność przezwyciężenia ich tłumaczył fakt, że teraz, w wieku trzydziestu

lat, znajdował się tutaj, zamknięty, osaczony, pokonany przez los, który kierował nim od chwili, gdy zaczęła budzić się w nim świadomość i gdy jej pierwszym przejawem stało się to wszechobejmujące, obmierzłe użycie pamięci, jakie sprawiło, że jego rodzice i współwyznawcy uznali go za narzędzie Cudu. (Ilość monotonicznie recytowanych wersów była dla jego matki powodem ciągłego zdumienia). Ale źródłem jego osobistej dumy nie była rozległa znajomość Pisma, jaką mógł się popisać, lecz ogromna ilość zabronionych paciery i modlitw, o których rodzice nie wie—

205

dzieli, i bezmiar nienawiści o powstrzymywanej gwałtowności, jaką potrafił ukryć pod maską uległego spojrzenia i nieco służalczego uśmiechu, którego dobroć uznano by| nikczemnie podawać w wątpliwość.

I nie była całkowicie błędna myśl, że coś się w nim ruszyło na widok tej niewyraźnej fotografii, którą zobac na zniszczonej stronie gazety, a której drukowane nie przekazywały mu już żadnego posłannictwa. Oddaw się jej jednak zaczarowany i pochłonięty, aby przygiąć] się otwartym ustom, gdzie zęby sterczały jak ziarna kukurydzy i podkreślały gest niemożności, i karabinom wycwanym w ciało kobiety, do której należały te usta, i łemu zawiniątku trzymanemu w bezkrwistych, zwiędłych ramionach kobiety o tych ustach głupich, ustach w de rium, ze sterczącymi bezwstydnie, brutalnie kilkoma gwałtownymi ziarnami kukurydzy, i językowi ostremu, jałow| mu, sparaliżowanemu

wobec perspektywy tych czarnych stalowych łur, które w nią celowały, a które, kiedy pk ogniem, każą jej wypuścić to zawiniątko okręcone chus które z pewnością będzie płakać, gdy upadnie, gorzkij i przejmującym płaczem, a potem pozostanie nieruchon i żaden jęk nie obwieści jego istnienia, w oczekiwaniu, żołnierski but je zdepcze i kopyto konia oszalonego dyme i trzaskiem ognia zagłębi się w nie, aby zabarwić się gwa townym i gęstym kolorem wiśni, gdy kurz natyc zamieni je, ku rozkoszy much, w chropowaty i lepki st Grupa luźnych i zmieszanych obrazów poszukiv twardo, niezręcznie, uporczywie drogi, która wyprowadzić by je na zewnątrz, osiągając jedynie zdziwienie idioty, pieźny niepokój wewnątrz tej nieforemnej masy bezbam nego ciała, w którego wnętrzu można było wyobrazić sob kości pływające bez porządku ani ładu w jakimś gest płynie (nie można myśleć o krwi, lecz o jakiejś trując obrzydliwej wodzie) i poprzez jego oczy nie zdołało przezi| trować się nic odmiennego od jego zwykłego idiotyzmu przepelniony niezrozumieniem i lękiem wobec tego świat gwałtownych i ruchliwych ust, który od czasu do czasu, wpływem zewnętrznego bodźca, potrafił chwilowo dost świata ludzi uciekających w popłochu, końskich kopyt, których przywarła krew, ciało i krew jego braci, aby nać im ten czerwony kolor, dręczący go obsesyjnie w dniac

206

jakie nastąpiły po tym nieszczęściu. (Świat zaczął przybierać karmazynowy kolor i spustoszenie, groza i przeraźliwe krzyki, które powtarzały się od tej nocy, ukazywały się już zawsze w towarzystwie najbardziej wstrząsających tonów purpury). Kiedy

nie był jeszcze zamknięty w swoim obecnym więzieniu i mieszkał w małej chacie krytej słomą, pod opieką brudnej starej kobiety, która wybuchała płaczem równie często, jak gładziła go kościstą i szorstką ręką po włosach, tak długo namawiając go, aby spał, aby jadł, aż ją rozumiał, gdyż już wówczas zaczynał nie rozumieć, gubić się w niezmiernie złożonym labiryncie, w którym, jak mu się wydawało, odgrywa jednocześnie rolę muchy i pająka; nie potrafiąc nawet przekazać potrzeby pocieszenia, jakiego nie dawały mu łzy ani pieszczoty starej, lecz jakie musiało pochodzić od samego Słowa, odbite i przekazane przez Niego świadomości któregoś z jego sług, choć trzeba by było, aby powtarzano mu tysiące razy każde zdanie (mimo iż kiedyś, w zaledwie bezpośredniej wówczas przeszłości czy terażniejszości, jaka nie znikła dla niego całkowicie, znał na pamięć więcej psalmów niż ktokolwiek inny we wspólnotie, poza nieskończoną ilością modlitw wyznania, które nie należało do niego ani do jego rodziców, lecz do tych, którzy zdołali usunąć go ze szkoły, do matek jego kolegów, które niejasnymi słowami wyrzucały go ze swych domów, i do mężczyzn i kobiet, którzy pewnej październikowej nocy, popchnięci szaleństwem, gorączką, koniecznością narzucenia ziemi, po której chodzili, jakiegoś prawa i jakiejś kary, jakie byłyby bliższe ich przekonaniom, i bronili tego, co uważali za swe prawa, i, prawdopodobnie pod wpływem alkoholu, dali wyraz swoim namiętnościom, sprzymierzając się z nim i z jego nieskończoną nienawiścią po to, aby ta mała wspólnota, która zatruwała swymi potępięczymi śpiewami i pokorną dumą powietrze San Rafael,

odkupiła swoje grzechy). On, który dysponował cudowną pamięcią, on, który potrafił znajdować najbardziej subtelne maski dla ukrycia upokorzenia i perfidii, zdawał sobie sprawę, że najprostsze rzeczy wymykały mu się z łatwością, że coś w nim odmawiało przypomnienia elementów, jakich dostarczała mu rzeczywistość, i zanim wszedł w ową zasadniczą noc, którą przeczuwał jako mu przeznaczoną i której bliskość czuł, potrzebował pieśczoły, nie takiej, jaką da—

207

wały mu te ręce, które wikłały się w jego włosach, ale kiej, która musiałaby być wywołana głosem, jaki by k (ktokolwiek) wydał z siebie i zdołał go przekonać (ta zbliżała się z szybkością, jakiej nie mógł czy nie chciał, po prostu nie zależało mu, aby ją zmniejszyć), że jedyny winnym, a ponieważ był nim On, nie można Go było zwać winnym, jest Pan. Ale błysk łaski pochodzącej ze wa odkupienia nie pojawił się nigdy, prócz tego, jaki chodził z jego własnych ust, wyszeptany do wewnątrz, i otwartymi zaledwie ustami, czyniąc go jednocześnie mó i słuchaczem, aby jedynie on mógł dostrzec błąd, o ile istniał, bo nawet wówczas nie opuściła go pycha, i nie baczyłby sobie — chociaż wybaczenie i duma, i w ostate nym rozrachunku nawet sama przemożna pycha w okolicznościach, wobec przelanej krwi, płaczu bliskig gwałtów, jakie wywołał jego postępek, i zgłiszczy muró zburzonych wyrokiem Tego, który od wieków i na wie jest na wysokościach, mogły wydawać się dziecinne — mniejszej pomyłki, jaka mogłaby splamić w oczach innj jego reputacie przedwczesnie dojrzałego geniusza. Tak wołał nie

reputację przedwczesnie dojrzałego geniusza. Tak wolał nie mówić, zachować to czujne myślenie w oczekiwaniu na tajemne posłannictwo, jakie miało mu zesłać odhienie i wybaczenie.

Być może to rozpaczliwe czyhanie na nadzieję było to, co przedłużyło agonię i opóźniło jego przejście do światła i cienia, w jakim teraz, niemal bezwładny, leżał nieczuły, jąc przed sobą różne ilustracje z gazety, które usiłowała dotrzeć do niego i dać mu możliwość usystematyzowania zmazanych wspomnień, w których, podobnie jak zapomniany skutek odpowiada jakiej przyczynie, jaka chwila jest fatalnym i nieuniknionym rezultatem innej, nie mógł różnicować, czy powinny wywołać w nim radość czy lęk. Nawet w chwili, kiedy zabrano go z ulicy owej przed klętej nocy, kiedy powodowany szaleństwem, jakie rozrało mu żołądek, serce, mózg, wnętrze, wykrzykiwał obelgi pod adresem swych bliskich i wzywał tych drugich i nakłaniał ich do rozlewu krwi, aż zbrodnie popełnić przeciwko wierze zostaną całkowicie zmyte, aż dopełni oczyszczenie, nie potrafił już odtworzyć wydarzeń; kiedy z krwi i zgliszcz, i płomieni, wśród których, wydało mu dostrzegł potworne spojrzenie swojej matki, wydobyły

208

silne ramiona jakiegoś mężczyzny, które przekazały go w inne ręce, te oddały go w inne i z kolei przekazały innym zlecenie, aż w końcu łańcuch przerwał się w nędznej chacie na skraju San Rafael, gdzie brudna i smutna kobieta, tak brudna jak podłoga jej podłej izby, której smutek upodabniał ją do jej smutnego obejścia, gładziła mu dłonią włosy, a jej suche i zapadnięte oczy patrzyły na niego z litością. I jej głos, zamiast

wypowiedzieć przebaczenie, namawiał go do wykonywania czynności bez żadnej wartości moralnej; żeby jadł, spał, starał się zerwać delikatnie nici pamięci — jakby to było takie proste, że ktoś tylko tego pragnie, a całe życie, całe lata, miesiące, tygodnie, dni i godziny poświęcone na magnifikację i zrealizowanie jakiejś idei, która uporczywie go prześladowała, zacierają się całkowicie i definitywnie. Gdyż nie chodziło tylko o denuncjację, ten jeden czyn, o którym należało koniecznie zapomnieć, aby pozostać z sobą w pokoju (moment, który sam w sobie mógł wydawać się ludziom potworny, gdyż nie łączyli go z absolutną ideą chwały Boga, wobec której wszelka miłość ludzka stawała się banalna, pozbawiona znaczenia), lecz o niekoń—czony i złożony zbiór powiązanych ze sobą momentów, jakie miały miejsce już od chwili, gdy budziła się jego świadomość, bo zarodek istniał w nim od początku, odkąd zaczęto wprowadzać go w podstawy wiary, i natchniony zaczął wąć—: pić nie tylko w jej wielkość, ale również w jej prawdziwość. I tak, kiedy później zaczął chodzić do szkoły i koledzy pokazywali go palcami, i zrobili z niego cel tak niezmiernej ilości obelg, że sam dyrektor, uważając go za źródło niepokoju, nie chciał trzymać go dłużej w szkole, nie czuł do nich urazy, gdyż przeciwnie, jakiegokolwiek inne, bardziej uległe czy koleżeńskie zachowanie wydałoby mu się wyrazem odrażającej apatii, i później, kiedy słowo „prześladowanie” w odniesieniu do innych (którzy dotychczas byli aktywnymi przedmiotami wszelkich stosunków, w jakich takie określenie wchodziło w grę) nabrało namacalnego i nieomylnego znaczenia i ci, którzy

poprzednio go odpychali, poczuli lęk i upokorzenie, gdy zaczęto ich śledzić, i świątynie poświęcone kultowi zostały zamienione na koszary czy po prostu zamknięte, i przenajświętsze serce Je[^]zusa zostało usunięte do niewidzialnych schowków w mieszkaniach, a księża uwięzieni czy wypędzeni i groteskowe

— W zaczarowanym zwierciadle

209

kukły ubierano w sutanny i ornaty, aby wystawiać je wstydnie na publiczne kpiny, i szyderstwo zawisło nad ściołami i sanktuariami, i staruchy krzyczały na placach i jarmarkach, i działalność jego ojca burzliwie rozwijała i jego wyjazdy dla celebrowania kultu w sąsiednich scowościach, Peñueli, Amatlani, Coscomatepec, San fael, przy pobłażaniu władz i czyhających oczach wiernych! prześladowanego kultu, i więzienia, i mur straceń — st się codzienną porcją bólu i ofiary dla kleru, któremu <E zarzucał zbyt dużą potulność i samozaparcie, a na niego i j rzekomą niewinność spadła cała gorycz, jaką zawiera spojrzenia, i opluwano go i upokarzano, jako nieprzyjaciela Boga, kiedy w rzeczywistości był on Jego narzędzie Jego formułą kary, Jego płomiennym mieczem, anioł niosącym Jego zemstę, poczuł pragnienie wyznania miłości, wyklarowanej przez tyle lat potajemnego przech wywaitia, przez wiarę, która znalazła się w nielące, uczucie, że byłoby to działaniem nierozważnie przedwc snym, kazało mu zatrzymać się na czas; musiał nosić skę aż do nadejścia odpowiedniego momentu, ufny, pev swej odporności wobec lęku czy wyrzutów sumienia, jah taki czyn mół w nim wywołać odwż nie nosił wówc w swej świadomości

niegi w dniu wyroku, gdyż nie dostał w swej świadomości przytłaczającego bólu, jaki powodu niepewność; i właśnie dlatego, że później nie był pewi wartości czynu, którego dokonanie spowodował, domag się (a nikt nie odpowiadał na jego żarliwe błaganie) choćc za ledwie wyszeptanego słowa odkupienia. Pograżon w ogniu swych wątpliwości, torturowany przez żar, który go trawił do momentu wejścia w ciemność, gdzie stopnił wo lęk, wątpliwości, kolory, obrazy, rozplywały się, zacie rały, aż znikło złowrogie wspomnienie tego momentu niecenia i szalu, kiedy pewnego popołudnia, z rozpalonej wnętrzościami, działając jak we śnie, napisał zdecydowa nym piśmem pilnego ucznia kilka linijek do kogo trzeb gdzie zawiadomił, że to ewangelicy zdradzili władzom jówkę księdza Crespo (którego natychmiast po schwytannij powieszono na drzewie w alei) i następnego dnia, gdy z na| większą ostrożnością wybrano dom, gdzie miało się odfc nabożeństwo, w większym sekrecie niż kiedykolwiek, gdj jego ojciec zdawał sobie sprawę, że obecna sytuacja sprzj rozruchom, a on mógł przekonać się, że jego list wywo

210

odpowiedni skutek, gdyż ich imiona były na ustach i w sumieniach wszystkich, że czyniono ich odpowiedzialnymi za powieszenie księdza. Później, kiedy był jeszcze do tego zdolny) przypomniał sobie, że owej nocy krzyczał na ulicy wzywając, aby podłożono ogień pod dom Serafina Naranjo, gdzie jego ojciec celebrował nabożeństwo, i przyszli jedni z karabinami, inni z pochodniami i inni z kamieniami, i inni gotowi krzyczeć i

wygrażać, gotowi nie dopuścić, aby ktokolwiek wyszedł z tego domu, gdy on, głosem, który namiętność uczyniła potężnym i który wybijał się ponad powszechny wrzask, domagał się kary za pomordowanych księży, za których męczeństwo, jak przysięgał, było odpowiedzialnych tych dwadzieścia osób zebranych, aby intonować półgłosem psalmy i modlitwy. A później już wszystko zamieniło się w ogień, jaki z pochodni przeszedł na ściany i zamienił oczy ludzi w miedziane zwierciadła pożaru, i trzech jasnowłosych mężczyzn, w ciężkich wysokich butach, strzelało z karabinów w drzwi, kiedy wierni próbowali wydostać się spośród dymu i płomieni, i tłum rósł, i nienawiść potężniała, wznagała się, biegła bratersko z ręki do ręki, z ust do ust, i jakaś kobieta, chyba Ignacia, usiłowała rozpaczliwie wyjść z zawiniątkiem, które płakało w jej ramionach, i usłyszał wystrzał, i zawiniątko upadło, i potem jeden z trzech jasnowłosych mężczyzn rozdeptał je biegnąc, i nagle bluznęła krew spod końskiego kopyta, gdy on, z przeciwległego chodnika, z kolanami wpartymi w twarde płyty, nieporuszony wśród wrzawy, jaka go otaczała, prosił, aby Pan wzmógł karę wobec niewiernych, błagał, aby pokrył ich ogień, kiedy twarz jego matki ukazała się w oknie w płomieniach, i kamień uderzył ją w czoło, i jej spojrzenie przywarło do niego w przerażeniu, a on, w ekstazie, przyjmował z głębokim namaszczeniem agonię śmiertelników, oczyszczenie miasta. Był tam jeszcze, gdy zwałił się dach i czuł parzący popiół na twarzy, i wchłaniał z przeraźliwą rozkoszą woń, jaką wydzielaly te stopy dymiących ruin i zwęglonych ciał, i nie zdołał już nic więcej zobaczyć, gdyż jakiś

człowiek wyrwał go z tego transu i po Przejściu przez wiele rąk, szorstkich i obcych, znalazł się w chacie zidiociałej staruchy, gdzie łączność z Panem urwała się całkowicie, i stamtąd zaprowadzono go do tego budynku, gdzie teraz leżał na ławce patrząc z zachwytem na

211

niewyraźną fotografię ze starej gazety, wiedząc nawet czego, bijąc z wściekłością pielęgniarkę za każdym raa kiedy próbowała mu ją zabrać, pogrążony w całkowitą pustkę, do której uparcie starał się włączyć te błagalne us które zobaczył naprzeciw karabinu.

Meksyk, 1958 r.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczyk

JUAN JOSE ARREOLA

Zwrotniczy

Podróżny przybył bez tchu na opustoszałą stację. Wielka walizka, której nikt nie chciał mu przynieść, wyczerpała go zupełnie. Wytarł czoło chusteczką i osłaniając dłonią oczy patrzył na tory, które gubiły się na horyzoncie. Ciężko dysząc spojrzał z uwagą na zegarek: była dokładnie godzina, o której miał odejść pociąg. Ktoś, kto znalazł się nie wiadomo skąd, położył mu rękę na ramieniu. Odwróciwszy się, przybysz znalazł się wobec starego człowieka o nieokreślonym wyglądzie kolejarza. Trzymał on w ręku czerwoną latarkę, ale tak małą, że wyglądała jak zabawka. Spojrzał z uśmiechem na podróżnego, który z niepokojem spytał: — Przepraszam pana, czy pociąg już odszedł? — Pan chyba od niedawna przebywa w tym kraju? —

Muszę natychmiast wyjechać. Muszę być jutro koniecznie w T. — Widać, że pan nie ma pojęcia o tym, co się tutaj dzieje. To, co powinien pan teraz zrobić, to poszukać noclegu w gospodzie dla podróżnych — i wskazał dziwaczny, popielaty budynek, wyglądający raczej na więzienie. — Ależ ja nie chcę nocować, tylko odjechać pociągiem. — Niech pan jak najszybciej wynajmie pokój, o ile są jeszcze wolne. Jeśli zdoła go pan uzyskać, niech pan wynajmie na miesiąc, będzie to taniej i spotka się pan z lepszą obsługą. — Czy pan oszalał? Muszę być jutro koniecznie w T.! — Właściwie powinienem pana pozostawić własnemu losowi. Dam panu jednak kilka wskazówek.

— Jeśli można... — Kraj ten słynie ze swych kolei, jak panu wiadomo. Dotychczas nie było co prawda możliwe zorganizowanie ich we właściwy sposób, ale zrobiono już wiele w sprawie publikacji rozkładów jazdy i ekspedycji biletów. Przewodniki kolejowe obejmują i łączą ze sobą Wszystkie miejscowości kraju, z najmniejszymi i najbardziej zabitymi wioskami włącznie. Pozostaje tylko, aby po—

213

ciągi stosowały się do rozkładów i rzeczywiście przejeżdżały przez stacje. Mieszkańcy kraju oczekują tego, chwilo! zaś godzą się z nieregularnością usług, a ich patriotyzm pozwala im na jakiegokolwiek objawy niezadowolenia.

— Ale czy jakiś pociąg przejeżdża przez to miasto? Twierdzić tak oznaczałoby popełnić nieściskość. Jak mci się pan

przekonać, tory istnieją, choć nieco uszkodzono w niektórych miejscowościach są one po prostu narysowane kredą na ziemi. Ze względu na obecne warunki żądł pociąg nie ma obowiązku przejeżdżać tędy, ale nic nie si na przeszkodzie, aby mogło się to wydarzyć. Widziałem w życiu wiele przejeżdżających pociągów i poznałem kilka drożnych, którym udało się do nich wsiąść. Jeżeli poczem pan przez odpowiedni okres czasu, może nawet ja sam tę miał zaszczyt pomóc panu wsiąść do pięknego i wygodnego wagonu. — I pociąg ten zawiezie mnie do T.? — Dlaczego upiera się pan, że musi być właśnie do T.? Powinno być pan zadowolony, jeśli uda się panu do niego wsiąść. Gdy znajdzie się pan już w pociągu, pańskie życie poda wreszcie naprawdę w jakimś kierunku. Cóż szkodzi, że nie w kierunku do T.? — Przecież mam prawidłowy bilet do T. Toteż powinienem być dowieziony do tego miejsca czyż nie tak? — Ktoś mógłby powiedzieć, że ma pan rację. W hotelu dla podróżnych będzie miał pan możliwość porozmawiać z osobami, które wykazały przezorność wykupując duże ilości biletów. Zazwyczaj ludzie przewidujący kupują bilety do wszystkich punktów kraju. Niektórzy dali na bilety prawdziwy majątek...

— Sądziłem, że na dojazd do T. wystarczy mi jeden bilet. Proszę spojrzeć. — Następny odcinek kolei państwowej zostanie zbudowany za pieniądze jednej tylko osoby, która ostatnio wydała swój olbrzymi kapitał na bilety powrotne po sieci kolejowej, której plany, zawierające wspieranie tunele i mosty, nie zostały nawet zatwierdzone przed inżynierów przedsiębiorstwa. — Ale pociąg, który przejeżdża przez T., już

kursuje? — I nie tylko ten. W rzeczywistość * jest bardzo dużo pociągów w tym kraju i pasażerowie mogł z nich korzystać ze względną regularnością, ale trzeba przy| znać, że nie jest to jeszcze obsługa formalna i idealna. I^ nymi słowy, wsiadając do pociągu nikt nie ma nadziei, dojedzie tam, gdzie sobie życzy.

214

— Jak to? — W swej trosce o obsługę obywateli przedsiębiorstwo znalazło się w konieczności poczynienia rozpaczliwych kroków.

Każę kursować pociągom przez niedostępne tereny. Te eksploracyjne pociągi potrzebują czasami wielu lat na pokonanie swej trasy i życie pasażerów ulega pewnym ważnym przemianom. Zgony nie należą do rzadkości w takich wypadkach, ale przedsiębiorstwo, które wszystko przewidziało, dodaje do tych pociągów wagon — kaplicę i wagon cmentarz. Złożenie zwłok podróżnego — luksusowo zabalsamowanych — na peronie stacji przewidzianej przez jego bilet, stanowi przedmiot dumy dla każdego konduktora. Czasami te pionierskie pociągi przebiegają odcinki, na których brak jednej z szyn.

Jeden bok wagonów trzęsie się w pożałowania godny sposób na skutek uderzeń kół o pokłady. Pasażerowie pierwszej klasy — to jeszcze jeden dowód przezorności przedsiębiorstwa — sadowią się po stronie szyny. Pasażerowie drugiej klasy z rezygnacją znoszą wstrząsy. Ale są również odcinki, na których brak obu szyn; tam pasażerowie cierpią na równi, do czasu, aż pociąg ulegnie całkowitemu zniszczeniu. — Święty Boże! —

Niech pUn posłucha: osada F. powstała właśnie w wyniku jednego z takich wypadków. Pociąg poruszał się po terenie nie do przebycia. Ścierane piaskiem koła zdarły się aż po osie. Podróżni spędzili ze sobą tyle czasu, że wymuszone, banalne rozmowy przerodziły się w serdeczne przyjaźnie. Niektóre z tych przyjaźni zamieniły się szybko w idylle i w rezultacie powstała F., postępową osada, pełna figlarnych dzieci, które bawią się zardzewiałymi szczątkami pociągu. — Boże mój! Ja nie nadaję się do takich przygód! — Powinien pan zacząć hartować swój charakter; może stanie się pan bohaterem. . . Niech pan nie sądzi, że brak okazji, aby pasażerowie wykazali swą odwagę i zdolność do poświęcenia. Pewnego razu dwustu anonimowych pasażerów zapisało jedną z naj chwalebniej szych kart w naszych rocznikach kolejowych. Otóż w czasie pewnej próbnej jazdy maszynista zauważył w porę pewne poważne niedociągnięcie ze strony konstruktorów linii. Na trasie brakowało mostu, który miał prowadzić ponad przepaścią. Otóż maszynista, zamiast podli Ać drogę powrotną, przemówił do pasażerów i zdołał uży—

215

skać od nich wysiłek konieczny do kontynuowania ja2 pod jego energicznym kierownictwem pociąg został brany część po części i przeniesiony na ramionach na tu stronę przepaści, która dodatkowo kryła na swym dnie n spodziankę w postaci wezbranej rzeki. Rezultat przeds wzięcia był tak zadowolający, że przedsiębiorstwo zrezygr wało definitywnie z budowy mostu, zadowolając się atrakcyjną zniżką w cenie dla pasażerów

zaczynając się ała cyjnią zniżką w talyie dla pasażerów, którzy odważają stawić czoło tej dodatkowej niewygodzie. — Ale ja konie nie muszę być jutro w T.! — Świetnie! Podoba mi się, nie porzucą pan swego projektu. Widać, że jest pan e; wiekiem z zasadami. Niech się pan zatrzyma chwilowo w j telu i wsiaǳie w pierwszy przejeǳający pociąg. Niech pan stara zrobić to możliwie szybko; tysiące ludzi bęǳi się starało panu w tym przeszkodzić. W momencie prz jazdu pociągu pasażerowie rozdrażnieni zbyt ǳługim oczeki waniem wybiegają tłumnie z hotelu i dokonują hałaśliwa; inwazji? na stację. Często powodują wypadki niebywał brakiem uprzejmości i ostrożności. Zamiast kolejno ws dać, tratuǳą jedni drugich, utrudniają sobie wzajemnie ws danie i pociąg odjeǳa zostawiając ich wzburzonych peronie. Podróżni, wyczerpani i wściekli, przeklinają sT brak wychowania i spędzają ǳłuższy czas na ubliżaniu sc bie i bijatykach. — A policja nie interweniuje? — Usiło wano zorganizować oddział policji na kaǳej stacji, ale i dający się przewidzieć przyjazd pociągów czynił taką sli bę niecelową i w wysokim stopniu kosztowną. Poza ty członkowie tego oddziału okazali się szybko bardzo prze kupni i zajmowali się osłoną wyjazdu wyłącznie zamoż nych pasażerów, którzy w zamian za tę przysługę oddawa im wszystko, co przy sobie posiadali. Postanowiono wów czas utworzyć specjalne szkoły, gdzie przyszli pasażerów: otrzymują lekcje kurtuazji i odpowiedni trening, któr przysposabia ich do spędzania życia w pociągach. Tam uc się ich poprawnego sposobu wsiadania do pociągu, na\ znajdującego się w ruchu i to z ǳużą szybkością. Wyposaǳ ich

się również w rodzaj zbroi, która ma ich chronić przed
połamaniem żeber. — Ale już po wejściu do pociągu je się
wolnym od dalszych niebezpieczeństw? *i

— To zależy. W każdym razie radzę panu obserwować
uważnie stację. Może się zdarzyć, iż będzie pan sądził, iż

216

już dojechał do T., a będzie to tylko złudzeniem. W celu
uregulowania życia w zbyt przepelnionych wagonach,
przedsiębiorstwo zmuszone jest do stosowania pewnych
chwyków. Istnieją stacje, które są nimi tylko na pozór: zostały
zbudowane w głębi puszczy i noszą nazwę jakiegoś ważnego
miasta. Ale wystarczy trochę uwagi, aby odkryć oszustwo. Są
one jak teatralna dekoracja, a ludzie znajdujący się na peronach
są wypchani trocinami. Na kukłach tych widać wyraźnie
zniszczenia, spowodowane niepogodą, ale czasami są one
doskonałym obrazem rzeczywistości: noszą na twarzy znamiona
niewypowiedzianego zmęczenia.

— Na szczęście T. nie znajduje się daleko stąd. — Ale
chwilowo nie dysponujemy pociągami bezpośrednimi. Niemniej
jednak może się również zdarzyć, że dojedzie pan do T. już
jutro, tak jak pan sobie tego życzy. Organizacja ruchu
kolejowego, chociaż niedoskonała, nie wyklucza możliwości
podróży bez przesiadek. Istnieją osoby, które nie zdały sobie
nawet sprawy ze stanu rzeczy. Kupują bilet do T. Przejeżdża
pociąg, wsiadają i następnego dnia słyszą, jak konduktor
zapowiada: „Przyjechaliśmy do T.” Nie czyniąc żadnych
ostrożności podróży wysiadają i rzeczywiście znajdują się w T.

— Czy mógłbym coś zrobić, żeby przyczynić się do takiego zakończenia podróży? — Naturalnie. Natomiast nie wiadomo, czy to się na coś przyda. W każdym razie niech pan próbuje. Niech pan wsiądzie do pociągu z głębokim przekonaniem, że dojedzie pan do T. Proszę nie rozmawiać z nikim z pasażerów. Mogliby rozczarować pana swymi historiami podróży, a nawet mogłoby się zdarzyć, że zadenuncjowaliby pana. — O czym pan mówi? — Ze względu na aktualny stan rzeczy pociągi kursują pełne szpiegów. Szpieczy ci, po większej części ochotnicy, poświęcają życie dla krzewienia twórczego ducha przedsiębiorstwa. Czasami ktoś sam nie wie, co mówi, i rozmawia tylko dla zabicia czasu. Ale oni natychmiast orientują się we wszystkich znaczeniach, jakie może posiadać najprostsze nawet zdanie. W najniewinniejszej uwadze potrafią znaleźć Występną myśl. Gdyby zdarzyło się panu popełnić najmniejszą nieostrożność, zostałby pan natychmiast aresztowany; resztę życia spędziłby pan w wagonie więziennym, w wy—Padku gdyby nie zmuszono pana do wyjścia na jakiejś pozornej stacji, zagubionej wśród puszczy. Niech pan podró—

217

żuje pełen dobrej wiary, spożywa możliwie najmniej ilość pożywienia i nie stawia stopy na peronie, zanim dostrzeże w T. jakiejś znajomej twarzy. — Ależ ja niko nie znam w T.! — W takim razie niech pan podwoi ostr ność. Będzie pan wystawiony, zapewniam pana, na lic pokusy w czasie drogi. Jeżeli będzie pan wyglądał okna, ostrzegam, że są one wyposażone w pomysłowe dzenia wywołujące cały szereg złudzeń w umyśle na rów I nie

szania, wywołując cały szereg zakłóceń w umysłach pałków. I nie tylko słabi im ulegają. Pewne aparaty sterowa z lokomotywy, wywołują przy pomocy dźwięków i ruchów mych obrazów wrażenie, że pociąg znajduje się w bie A pociąg tkwi nieruchomo całymi tygodniami, podczas gd pasażerowie widzą przez szyby, jak migają przed ich ma czarujące krajobrazy. — Jaki to ma cel?

— Wszystko to czyni przedsiębiorstwo, kierując się chwsi lebnym zamiarem zmniejszenia niepokoju pasażerów i kwidowania w miarę możliwości doznań podróży. Dąży do tego, aby pewnego dnia pasażerowie oddali się całko wicie przypadkowi, w rękach wszechwładnego przedsiębiorstwa, i aby nie obchodziło ich skąd ani dokąd jadą. — A ; dużo podróżował pociągami? — Ja, proszę pana, jest tylko zwrotniczym. Prawdę mówiąc, jestem zwrotnic emerytowanym i jedynie zjawiam się tu niekiedy, at przypomnieć sobie dobre czasy. Nigdy nie podróżowałe ani nie mam na to ochoty. Ale podróżni opowiadają różne historie. Wiem, że pociągi stworzyły masę możliwości poza przypadkiem osady F., o której pochodzeniu pa opowiedziałem. Zdarza się czasem, że personel poda, otrzymuje tajemnicze rozkazy. Proponuje pasażerom, al wysiedli z wagonów, zazwyczaj pod pozorem podziwiar piękna jakiejś miejscowości. Mówi się im o grotach, wodl spadach, o sławnych ruinach: „Zatrzymujemy się na *k* drans, aby mogli państwo podziwiać grotę taką czy ką” ■— mówi uprzejmie konduktor. Gdy pasażerowie dują się już w pewnej odległości, pociąg ucieka całą rą. — A pasażerowie? — Przez pewien czas

włóczą skonsternowani z miejsca na miejsce, ale w końcu zbier się i zakładają kolonię. Te nieprzewidziane postoje nie są w odpowiednich miejscach, bardzo odległych od wsze kiej cywilizacji i wyposażonych w dostateczne bogactwo naturalne. Porzuca się tam wybrane grupy, składające

z młodych ludzi i przede wszystkim licznych kobiet. Nie chciałby pan dokonać swych dni w malowniczej, nieznaney miejscowości, w towarzystwie ładnej dziewczyny? — Staruszek przymrużył oko i patrzył filuternie na podróżnego, uśmiechnięty i dobroduszny. W tym momencie dał się słyszeć daleki gwizd. Zwrotniczy podskoczył pełen niepokoju i zaczął dawać śmieszne i bezładne znaki swą latarką. — Czy to pociąg? — zapytał przybysz. Staruszek zaczął biec po torze ze wszystkich sił. Gdy był już w pewnej odległości, odwrócił się i krzyknął: — Ma pan szczęście! Jutro przybędzie pan do tej swojej stacji. Jak pan mówił, że się nazywa? — X! — odpowiedział podróżny. W tym momencie staruszek rozpląnął się w jasnym poranku. Ale czerwony punkcik biegł w dalszym ciągu i podskakiwał niezgrabnie między torami, naprzeciw pociągu. W głębi krajobrazu zbliżała się lokomotywa jak hałaśliwa zjawia...

Przełożył Andrzej SobaUJurczykowski

CESAR LÓPEZ

W

więzieniu

Cii

Więzienie jest więzieniem gdzie się jest więźniem w'< zieniu w którym więzień jest przeciwieństwem i więcej jak tylko

przeciwieństwem nie będącego wię w więzieniu gdzie się jest
więźniem zaś kiedy się pr być nie więźniem w więzieniu gdzie się
jest więźniem jest to dokładnie przeciwieństwem tego że się jest
niem w* więzieniu gdzie się jest więźniem a także to nie jest
więźniem w więzieniu gdzie się jest więźniem ni się od tego że się
nie było więźniem w więzieniu gd się jest więźniem tak samo jak
więźniowie znajdujący w więzieniu gdzie się jest więźniem różnią
się od niew niów znajdujących się w więzieniu gdzie się jest więź
i będąc więźniem w więzieniu gdzie się jest więźniem ba patrzeć
oczyma więźnia w więzieniu gdzie się jest niem a nie oczyma
niewięźnia w więzieniu gdzie się więźniem aby zechcieć przestać
być więźniem w więzier gdzie się jest więźniem i wówczas stać
się niewięźnie w więzieniu gdzie się jest więźniem i patrzeć
oczyma więźnia w więzieniu gdzie się jest więźniem więźniem wię
nia więzień w więzieniu więzienia ja więzień więźniem jestem
niewięzień więzienie więzień więzienie *

więzieńwięzieniewięzieńwięzieńszynajuwięzieńszy
pierwszego dnia:

po niezliczonych dniach poprzednich, których było z wiele,
by określić ich liczbę, pierwszego dnia postanowior wyjść z
więzienia i wszyscy się z tym zgadzamy, wszys oprócz jednego,
wszyscy się zgadzamy wyjąwszy jednego jednego, który coś
mówi, co wydaje się nam niezrozumiałe nam wszystkim, którzy
jesteśmy zgodni wyjąwszy tego je nego, który nas nie obchodzi,
ponieważ chodzi nam tyli

—3&, gada bez przerwy i w dalszym ciągu wszyscy jesteśmy r
więzieniu, z tą wszakże różnicą, że zaczynamy
idrugiego dnia:

| przygotowania do wyjścia, do wyjścia z więzienia, do odej
—Iścia z tego miejsca, które chcemy opuścić. Wyjść. Więzie—
Inie nie pozwala nam wyjść i dlatego musimy opuścić to miejsce,
to miejsce, w którym są mury, mury ze strażnikami i strażnicy ze
światłami, lampy z elektrycznością i to wszystko razem z murami,
ze strażnikami, ze światłami i z elektrycznością. Elektryczność
we wszystkim i to jest najbardziej podejrzane. Podejrzenia ze
wszystkich stron, musimy więc wszyscy zdecydować, jak to
zrobić. To zrobić. Zrobić to: wyjść z więzienia.

Pod koniec dnia, który upłynął na dyskusjach,
postanowiliśmy wykopać tunel. Tunel, a zatem kopimy tunel,
zawsze kopanie tunelu jest najlepszym, jeśli już nie jedynym
rozwiązaniem, jakie można w tym wypadku wymyślić. Tunel
kopano wiele razy, tunel jest czymś tak prostym, że nikt weń nie
chce uwierzyć i dlatego właśnie kopimy tunel. Wszyscy
kopimy tunel, wszyscy kopimy tunel włączając człowieka,
który się nie zgadzał i który nie zgadza się w dalszym ciągu, tak
więc wszyscy kopimy tunel i wszyscy się zgadzamy, wszyscy
oprócz jednego, prócz mężczyzny, który też kopie tunel, ale nie
zgadza się z nami, i który przez cały czas gada, choć my go nie
rozumiemy, i nie ustajemy w pracy i nie mamy o czym mówić, i
kopimy,
robimy ten tunel.

Wszystko kopimy ten tunel kopimy go, nie nie mówią

wszyscy kopie ten tunel, kopie go, nic nie mówiąc, wszyscy wyjąwszy jednego, który nie zgadzając się, kopie tunel i gada

trzeciego dnia:

kopie tunel i będziemy go jeszcze kopać przez wiele dni. Wszyscy kopie tunel, podczas gdy strażnicy, ponieważ więzienie ma swoich strażników, pilnują więzienia. Strażnicy pilnują więzienia, są strażnikami. Słyszymy ich kroki. Strażnicy również rozmawiają między sobą i my słyszymy ich głosy. Ale nie wiemy dokładnie, gdzie są strażnicy, więc pilnujemy wszyscy. Ponieważ my sami wyobrażamy sobie

221

kroki i głosy strażników i dlatego sami musimy pilnować. Pilnujemy wszyscy razem, a strażnicy pilnują nas. Jesteś teraz podzieleni na brygady pracy, by szybciej wykonać co mamy do zrobienia. To był pomysł mężczyzny, który gada i który nie przestał gadać, ale który okazał się do skołałym organizatorem; teraz dalej gada i kopie nie zgadzając się, my wszyscy też kopie i w dalszym ciągu wiemy, dlaczego on się nie zgadza, ale my wszyscy kopie w dalszym ciągu; być może mężczyzna, który gada był w innym więzieniu, ale to nie jest takie pewne, gdyż ręczono nam, że wszyscy jesteśmy w więzieniu po raz pierw*« §zy: my wszyscy, którzy pracujemy w tunelu. Strażnic kontynuują swoje przypuszczalne spacer, my wyobrażam)) sobie ich głosy i ich kroki. Jesteśmy strzeżeni, ale nie pełniemy błędu i nie czynimy pseudodomowych hałasowej żeby ukryć odgłosy pracy przy tunelu, ponieważ wywoła*! łoby to»

przeciwny skutek. Wyobrażamy sobie strażnikowej jak pilnują, ich głosy i ich kroki i podczas gdy oni nas pilnują, my wyobrażamy sobie to ich pilnowanie, pełną wyobrażeń o naszej działalności. Wszyscy więc kpimy sobie ze strażników, zmuszając ich tym samym do zmiany przerw miotu ich wyobrażeń czwartego dnia:

kopie nadal tunel, myślimy o tunelu, myślimy i kopie tunel, co zajmuje nam cały czas, cały nasz czas, czas wszystkich jest zaangażowany w tunel i w wyjście, a czyżna gada w dalszym ciągu, gada jak zawsze i nie zgać się i kopie dalej tunel.

Praca posuwa się naprzód, posuwa się do tego* stopnia, hałasy, które robią strażnicy—pilnujący narastają w nas, łasy odczuwa się coraz intensywniej i teraz my pracujemy bardziej intensywnie, a także pilnujemy i wyobrażamy bardziej intensywnie. Wszystko dlatego, że tunel suwa się, a my wszyscy chcemy wyjść, a zatem musimy skończyć tunel

piątego dnia:

mężczyzna, który gada, gada w dalszym ciągu, nadal pracuje w tunelu, jak i my, którzy nic nie mówimy i

222

chcemy go nie rozumiejąc, ponieważ wszyscy chcemy wyjść i jesteśmy co do tego zgodni, tylko on się z nami nie zgadza, pracuje i gada, i my go nie rozumiemy, ale tunel posuwa się i nie czujemy zmęczenia, toteż nie ustajemy w pracy, ponieważ musimy skończyć tunel i

szóstego dnia:

pracujący w tunelu kopią szybciej, ponieważ zdali sobie

sprawę, że ziemia zaczyna wyglądać inaczej, i ci, co pilnują, też zdali sobie sprawę, i mężczyzna, który gada i my wszyscy zdaliśmy sobie z tego sprawę, ponieważ tunel jest już skończony. Tunel do wyjścia z więzienia jest już skończony i wszyscy mamy wyjść i cieszymy się, cieszymy się, bo wreszcie mamy szansę wyjść z więzienia i dlatego my wszyscy, którzy mamy wyjść, cieszymy się, wszyscy się cieszymy, wszyscy mamy wyjść z więzienia

siódmego dnia:

człgając się wychodzimy jeden za drugim, aż do wyjścia ostatniego, wychodzimy wszyscy, my wszyscy, którzy kopaliśmy tunel i pilnowaliśmy i zgadzali się, a także mężczyzna, który gadał i którego nie rozumieliśmy, ale teraz to już nieważne, bo jesteśmy wolni i nie jesteśmy otoczeni murami ani też pilnowani. Wszyscy posuwamy się naprzód i nie musimy już pilnować. Wszyscy jesteśmy na zewnątrz i staramy się oddalić od wyjścia, musimy wykorzystać noc, musimy się oddalić, musimy wykorzystać noc, gdyż zostawiliśmy ubrania w więzieniu, zostawiliśmy ubrania więźniów i teraz jesteśmy nadzy. Wszyscy maszerujemy nago i dlatego korzystamy z osłony nocy. Noc jest ciemna i dzięki temu nikt nie może spojrzeć, że jesteśmy nadzy, ale noc jest zimna, a my nie mamy ubrań i jesteśmy nadzy. Wszyscy zostawiliśmy ubrania wychodząc, mężczyzna, który gadał, gada w dalszym ciągu, ale już znaleźliśmy miejsce, gdzie można by się schronić, gdyż jesteśmy nadzy i zmęczeni i jest nam zimno i kładziemy się spać, ponieważ chce nam się spać

ósmego dnia:

osnego dnia.

budzimy się w budynku, do którego przybyliśmy w nocy. Wszyscy byliśmy zmęczeni i zmarznięci. Wszyscy spaliśmy, 223

aż się obudziliśmy. Było ciemno, ale wydawało nam się nie ma tu nikogo, więc wszyscy spaliśmy, aż się obudzimy, jako że byliśmy zmęczeni, a teraz jest dzień i pozwala nam rozpoznać to miejsce. Miejsce wydawało się opuszczone. Miejsce jest rzeczywiście opuszczone. Al tu łóżka i stoły i mundury strażników—pilnujących. stko opuszczone. Jest nam zimno, więc ubieramy się w dury. Jest też sporo jedzenia i wszyscy jesteście i jemy. Nie wiemy jednak, co dalej robić, więc znów dj tujemy i mężczyzna, który gadał, teraz gada także i: zgadza się, abyście tu zostali

dziewiątego dnia:

jesteście tutaj, wszyscy zgadzamy się zostać tutaj, ws oprócz jednego, który gada, a my go nie rozumiemy, a wszyscy zostajemy tutaj, gdzie są łóżka, ubranie i je i są także instrukcje, wyjaśniające nam, co robić: to budynek, w którym są więźniowie, i musimy tutaj pozos Jest to więzienie, są w nim więźniowie i wydaje się wszystkim, że poznajemy więźniów, ale nie jesteście pewni, pewni jesteście tylko tego, że noszą oni ubr więzienne, które myślimy zostawili uciekając. Tak więc steśmy w więzieniu, znowu wszyscy jesteście w więzieni| tylko że teraz jesteście strażnikami

n—tego dnia:

nadal jesteście dozorcami w więzieniu i musimy pilno\

więźniów. Więźniowie noszą nasze stare ubrania wiezie i wydają się nam znajomi, ale nie wiemy, skąd przyszli, , nieważ w więzieniu wszystko odbywa się prawidłowo, js kolwiek teraz my wszyscy jesteśmy strażnikami, a inni więźniami; Wszyscy zgadzamy się, że dobrze jest być st nikiem, wszyscy oprócz jednego, który zawsze gada, a rego my nie rozumiemy.

I z tych powodów w więzieniu panuje spokój i odwie rutyna. Upłynęło wiele dni, tyle dni, że nie wiemy, ich było naprawdę i wszyscy się zgadzamy, wszyscy dzamy się porzucić rolę strażników, porzucić rolę stra ków, ponieważ strażnicy muszą pilnować, ponieważ st nicy są tymi, którzy pilnują. My wszyscy jesteśmy str kami—pilnującymi. Pilnujemy więzienia. Pilnujemy,

224

więźniowie nie uciekli, bo są oni teraz więźniami i dlatego zechcą uciec. Robimy to dla nich. Pilnujemy przez cały czas i to nie dlatego, żebyśmy my sami, ale żeby oni nie uciekli. Tak więc zdecydowaliśmy się porzucić rolę strażników i wszyscy się z tym zgadzamy, ale mężczyzna, który się nigdy nie zgadzał, nie zmienił zwyczaju: w dalszym ciągu gada i w dalszym ciągu nie zgadza się z nami. Ale wszyscy postanowiliśmy porzucić rolę strażników—więźniów. Wszyscy oprócz jednego

następnego dnia:

wychodzimy z naszego pokoju strażników, gdzie wszyscy zostawiliśmy mundury, gdyż wszyscy chcemy porzucić rolę strażników, i mężczyzna, który gada, jest także jednym z nas. On zawsze był jednym z nas, zawsze był jednym z nas, tylko że on gadał, a my pozostali nigdy nie rozumieliśmy. Zastanawiają się

wszyscy, co robić, ponieważ nie chcemy być strażnikami. Zdajemy sobie sprawę z czekających nas trudności: ponieważ jest już pewna ilość więźniów, więc może zabraknąć dla nas miejsca, a nie będziemy mogli powoływać się na prawo pierwszeństwa, skoro my wszyscy, wszyscy przestaliśmy być więźniami. Tak więc rozprawiamy między sobą i wszyscy wyrażamy zgodę, wszyscy oprócz mężczyzny, który gada, mimo że nikt go nie rozumie, i który idzie z nami.

Wchodzimy do celi, ponieważ jesteśmy zdecydowani pozostać. Cella jest pusta i wszyscy szukamy więźniów, ale nie znajdujemy ich, znajdujemy tylko stare ubrania więzienne. Wszyscy ubieramy się w nie, ponieważ jesteśmy nadzy i jest nam zimno, a następnie kładziemy się spać i śpimy aż do rana, i budzimy się, i jesteśmy teraz więźniami, i są straż—nicy—pilnujący, którzy zajmują się więzieniem, ich twarze wydają się nam wszystkim znajome, nam wszystkim, ponieważ wszyscy jesteśmy w celi, wszyscy zgadzamy się pozostać w celi, wszyscy oprócz jednego, który gada i którego my nie rozumiemy

aż pewnego dnia:

po niezliczonych dniach poprzednich, których było zbyt wiele, by określić ich liczbę, pewnego dnia zdecydowano wyjść z więzienia i wszyscy się zgadzamy.

15 — w zaczarowanym zwierciadle

225

Wszyscy się zgadzamy.

Wszyscy się zgadzamy, oprócz jednego.

Wszyscy oprócz jednego, który gada, zgadzamy się

Wszyscy, oprócz jednego, który gada, zgadza się.

Wszyscy, oprócz jednego, który gada i którego my nie zumiemy, zgadzamy się.

I wszyscy rozpoczynamy przygotowania do wyjścia z wienia.

Przełożył Jerzy

CLEMENTE GUIDO

Zamęt

Kolegom

Wiedziałem, że mój asystent, Miguel Angel, chirurg ogólny i notoryczny pijak, miewa różne dzikie pomysły i że Jubi robić mi kawały, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że posunie się aż tak daleko. No i nie przypuszczałem, że władze mojego szpitala pójda na coś takiego. A tym bardziej dyrektor, „Gadający Wąs”, co to zawsze opowiadał, że jest moim przyjacielem. Nie myślałem też, że „Helena” da się wciągnąć w machinacje Miguela Angela, razem z przełożoną pielęgniarek z sali operacyjnej i z samiotkim dyrektorem szpitala.

Tak się nie robi, panowie!

Zastanawiam się teraz przez trzy noce, czy opowiedzieć państwu, czy też nie, moją przygodę, a właściwie przygodę mojego asystenta, Miguela Angela, bo obawiam się, że państwo także mi nie uwierzycie.

Jestem jednym z najlepszych chirurgów w szpitalu, ten zaś jest najlepszym szpitalem w kraju, co nie jest aż takim zresztą wyróżnieniem, bo tutaj nie ma zbyt wiele szpitali. Robię najbardziej precyzyjne, jakie tylko można sobie wyobrazić,

operacje w okolicy miednicy. Mój asystent — Miguel Angel, nie ma specjalizacji chirurgicznej, ale świetnie sobie radzi z pomocą przy operacjach i sam powiada, że dużo uczy się przy mnie.

Wyobraźcie sobie, że raz, w pełni pijaństwa, które zaczęło się w Domu Medyka, Miguel Angel zabrał mnie do domu publicznego na drugim końcu miasta, żeby mi udowodnić, że nic mu nie zrobią bandziory, co tam przychodzą, bo on jest lekarzem sądowym—. Ach, prawda, zapomniałem, że ten bydlak jest również lekarzem sądowym. No więc zawiózł mnie tam, postawił gorzałę dziewczynkom i alfon—siakom i zamknął się z jedną w pokoju, skąd wyszedł do—

227

piero po pięciu dniach. Jasne, że musiałem wracać o snych siłach do domu i zostawiłem go przy jego bach liach.

Przeprowadzamy zwykle operacje w delikatnych ok cach, w pobliżu aorty i innych dużych naczyń, ważnych życia. 3

Powinienem był zrozumieć, że Miguel Angel zawsze dla mnie w zapasie swoje głupie dowcipy i że pewnego nego dnia urządzi mi jakiś. A mówię to, bo miałem wystarczające dowody na to, co knuje w tajemnicy, starczy powiedzieć, że raz upił mnie u siebie w domu, tem wsadził w swoje ubranie (garnitur mężczyzny o ście pięć stóp i sześć cali na człowieka mierzącego stóp i dwa cale!) i tak mnie wyekspediował do rodzir domu, a później jeszcze zadzwonił do mojej żony i op dział, że spotkał mnie nagiego na ulicy i ubrał, w co pod Beką, żeby ludzie się ze mnie nie nabijali. Jasne, żona sprawiła mi bał, jak się patrzy!

Ale ja w dalszym ciągu niczego nie podejrzewając, rowałem

z nim razem, a wszystkie te historie przypisyw łem jego pijackiej fantazji.

A już przedtem ostrzegał mnie Cedeño, żebym uwa na tego człowieka (Cedeño jest chirurgiem kardiologii w naszym szpitalu), ale ja nie zwracałem uwagi na gadanie, bo wiem, że Cedeño jest wrogiem Miguela Ange odkąd ten drugi zaczął opowiadać po całym szpitalu o zdrowych skłonnościach seksualnych pierwszego.

Nie sądźcie państwo, że byłem w tym dniu na Przysięgam, że znajdowałem się w jak najlepszej fort i od ponad trzech miesięcy nie wypilem ani kieliszka, też tym bardziej nie rozumiem, dlaczego nikj; mi nie rzy, kiedy opowiadam tę historię.

Operacja została zaplanowana na siódmą rano. „Płaa nos”, anesteziolog, był już od świtu na sali operacyjr Tak samo reszta personelu. Osluchiwał serce, badał nie, podłączał kroplówkę, sprawdzał aparaturę, no cóz codzienna rutyna.

Przyszedł Miguel Angel. Karłowaty, gruby, czarny, sympatyczny. Nie zauważyłem w nim niczego szczegól Nie wiedziałem, że ten dzień będzie dniem fatalnym, dnia który on wybrał, żeby wyeliminować mnie z listy najl

228

szych chirurgów w kraju, ku radości —moich konkurent i smutkowi pacjentów.

Ach, żeby był wtedy ze mną czarny Cedeño, może r. niknąłby chłodną uprzejmość Miguela Angela i odgać jego zamiarv!

Ale teraz za późno już na żale!

No więc umyśliśmy się jak zwykle bardzo dokładnie i częła się operacja. Istny cud!

Od aorty w dół przebiegliśmy cały zespół naczyń pacjentki, uwalniając ją od węzłów wykazujących r twórcze zmiany: żyły białe, żyły niebieskie, jedne pu jące pod naszym spojrzeniem, błagające o więcej życia swej właścicielki, inne, błękitne i spokojne w swojej przewodzenia krwi zwrotnej. ;

Zrobiliśmy naszą robotę, przy czym „Płaskonos” Reyl nie utrudniał nam bardziej niż zazwyczaj.

Było to prawdziwe dzieło sztuki. Nie dlatego, że ja mówię, ale że było nim naprawdę. Operacja skończyła się.

Zacząłem zszywać jamę brzuszną i wtedy zdarzyło to.

Miguel Angel zaczął mi się robić coraz mniejszy, cor« bardziej malutki, coraz bardziej ma—ciu—ciu—peńki.

Oslupis

łem. Nie spuszczałem z niego wzroku. Miguel Angel i na twarzy kpiarski uśmiech i karłowaciał coraz bar& i bardziej, aż doszedł do wzrostu jakichś czterech cali. Przysięgam wara, że nic nie piłem!

To nie był skutek „niebieskich diablików”. Żadne bi myszki ani nic z tych rzeczy.

Ten cholerny lekarz sądowy, chirurg ogólny i mój asj^ stent, kiedy tylko osiągnął wymieniony wymiar, wskoczyl do jamy brzusznej pacjentki i zanim zdołałem temu prz szkodzić, zniknął mi w jednym z wielu zakamarków wnątrz brzucha.

Zacząłem rozprężać go powoli, pod ścisłym nadzorem

Zacząłem poszukiwać go gorączkowo: pod zoriątkiem wśród jelit, nad wątrobą, za śledzioną. Asystentka powie[^] działa mi, że kompresy są w komplecie. Idiotka nie zda* wała sobie sprawy, że nie szukam ich, ale tej bestii mojego asystenta, który schował mi się w brzuchu pacjentki. Szukałem dalej.

Przebiegłem wszystkie zapadliny,

230

rurociąg brzuszny. I nic. Ten cały Miguel Angel zniknął bez śladu.

Co robić?

„Płaskonos” Reyes warknął pod moim adresem kilka przekleństw, bo nie zaszywałem brzucha, a ja bałem się powiedzieć mu prawdę.

Drżąc jawnie, zaszyłem jamę brzuszną. Wszyscy przyglądali mi się, jak ogarnięty przerażeniem wychodziłem z sali operacyjnej.

Nie chciałem z nikim rozmawiać o tej sprawie. Wróciłem do domu, zamknąłem się w pokoju i odmówiłem przyjmowania pacjentów.

Jednak sumienie nie dawało mi spokoju. Nie ulegało wątpliwości, że Miguel Angel umrze w brzuchu pacjentki. Nie obchodził mnie zresztą jego los, tylko jej. Czy organizm kobiety zdoła wchłonąć Miguela Angela, kiedy już martwy stanie się obcym ciałem w jej wnętrzościach? Czy biedna operowana nie umrze, gdy jej organizm walczyć będzie, aby pozbyć się tego człowieka zostawionego w brzuchu?

Ze względu na te wszystkie pytania, jakimi zadreczęłem się

przez siedemdziesiąt dwie godziny, zjawiłem się znowu w szpitalu i zleciłem ponowną operację pacjentki. Lekarz dyżurny zdziwił się i zaprotestował, twierdząc, że kobieta czuje się dobrze. Odczytał mi historię choroby. Nie było po co otwierać brzucha. Nie zważałem na to. Jestem szefem, a szef to szef i nigdy się nie myli. Tak jest przynajmniej w moim kraju... szefowie zawsze mają rację.

Przygotowano salę operacyjną, ale wszyscy byli już zmówieni przeciwko mnie.

Obserwowano mnie bardzo dokładnie, żeby sprawdzić, po co operuję po raz drugi pacjentkę, która jest w jak najlepszym stanie.

Kiedy tylko otworzyłem brzuch, zobaczyłem tego przekłętego Miguela Angela, jak siedzi sobie spokojnie okrakiem na tętnicy. Miałem ochotę dać mu po łbie pincetą i uwolnić się od jego obecności, ale schwyciłem go delikatnie za głowę i wręczyłem instrumentariuszce, mówiąc, że to jest właśnie to obce ciało, które pozostawiłem podczas poprzedniej operacji i że z jego to powodu operowałem pacjentkę po raz drugi.

231

Nie rozumiem dlaczego wszyscy mówili potem, że to,, wy dostałem z brzucha kobiety, było tylko skrzepem kn niegroźnym dla organizmu. Ani też skąd człowiek tak ważny, jak patolog Chino Ayerdis, mógł potem potwierdzić że to całkiem normalny skrzep.

Wszyscy twierdzili, że operowałem pacjentkę dla snego widzimisie.

A Miguel Angel?

Ten łajdak znalazł się w swoim domu, spokojny jak., nigdy nic i zapewniał, że spędził trzy dni u Cacheo, tjj rajfurki, co prowadzi pokątny zakład na Monseñor Lesca że pił tam i zabawiał się z dziewczynkami.

Wszyscy mu uwierzyli.

A za to mnie, mnie, który uratowałem mu życie, nie uwierzył.

I dlatego to właśnie siedzę teraz w sali nr 5 szpitala psychiatrycznego i staram się, żeby ktoś mnie zrozumiał żeby ktoś wreszcie zdał sobie sprawę, że padłem ofiarą machinacji mojego asystenta.

Managua 7 maja 1972

Przełożył Jerzy Kuh

GABRIEL GARCIA MARQUEZ

Ostatnia podróż statku widma

„Teraz pokażę wam, kim jestem”, powiedział do siebie, nowym, grubym głosem mężczyzny, wiele lat od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ogromny transatlantyk, ciemny i bezgłówny, który pewnej nocy przepłynął nieopodal osady, niczym wielki, nie zamieszkały pałac, dłuższy niż cała osada i o wiele wyższy od wieży kościelnej, i w mroku płynął dalej, ku obwarowanemu przed bukanerami kolonialnemu miastu po drugiej stronie zatoki, ze starym portem, gdzie handlowano niewolnikami, i z obrotową latarnią morską, której posępne, świetlne ramiona co piętnaście sekund przekształcały osadę w księżycowe obozowisko z fosforyzującymi domami i ulicami z wulkanicznego piasku: i chociaż był wtedy dzieckiem, bez

wukamczeligo puszkowia, i chociaż był wtedy dzieckiem, bez tego grubego, męskiego głosu, ale za to z matczynym pozwoleniem na słuchanie do późna na plaży nocnych harf wiatru, pamiętał, jakby miał wciąż przed oczyma, że transatlantyk zniknął, ilekroć światło latarni padało na jego burty, i pojawiał się znowu, gdy ześlizgiwało się tak, iż wyglądał na statek migotliwy, co pojawiając się i znikając raz po raz, płynął ku Wejściu do zatoki, szukając niepewnymi ruchami somnam—bulika boi, które znaczyły kanał portowy, aż coś musiało się zepsuć w jego busolach, gdyż zboczył na skały podwodne, uderzył w nie, rozleciał się w strzępy i poszedł na dno nie wydawszy jednego dźwięku, chociaż podobne zderzenie z rafami winno spowodować chrzęst żelastwa i wybuch maszyn, zdolny przejąć zimnym strachem nawet mocno uśpione smoki w prehistorycznej dżungli, co zaczynała się na ostatnich ulicach miasta, a kończyła po drugiej stronie świata, więc myślał, że jest to sen, zwłaszcza następnego dnia, gdy zobaczył lśniącą toń wodną zatoki, pstry nieład Murzyńskich chat na wzgórzach portowych, szkunery prze—

233

mytników z Gujany, ładujących niewinne papugi z żołąkami pełnymi diamentów, pomyślał: „zasnąłem licząc zdy i śniłem o ogromnym statku”; jasne, umocnił się w przekonaniu i nikomu nie opowiedział o wydarzeniu, wracał też pamięcią do tamtego widzenia aż po tę marcową noc roku następnego, gdy szukał na morzu ślad delfinów, a natrafił na posepny transatlantyk, migotliwy zładny, który płynął jak za pierwszym razem ku zwoć czemu

przeznaczeniu, tyle że teraz był on tak pewien, nie śni, że pobiegł opowiedzieć matce o wszystkim, a przez trzy tygodnie jęczała z zawodu, jaki ją spotkał, „psuje ci się w mózgu od tego ciągłego wałęsania się, nia we dnie i szukania przygód po nocach jak obwie a ponieważ miała płynąć do miasta, żeby kupić coś wygonego, na czym mogłaby siedzieć i myśleć o niebosz mężu, gdyż bieguny jej bujaka zużyły się przez jede lat wdowieństwa, skorzystała ze sposobności i popr w łodzi przewoźnika, aby płynął nad rafami, żeby syn mó zobaczyć, co jest w rzeczywistości pod taflą morza, miło harce płaszczek na gąbczastych kobiercach, różowe pa i błękitne korwiny nurzające się w rozpadlinach z naje stszą wodą, a nawet zabłąkane włosy topielców z jakie kolonialnego statku, co uległ katastrofie, lecz ani śladu zatopionym transatlantyku, żadnego martwego dziecka, jednak obstawał przy swoim tak bardzo, że matka ob cała być z nim w marcową noc roku przyszłego, na pev nie wiedząc, że jedyną rzeczą pewną w jej przyszłości j« fotel z czasów Francisca Drake'a, który kupiła na wypr dąży u Turków, i tej samej nocy usiadła w nim, żeby począć, wzdychając, mój biedny Holofernesie, gdybyś dział, jak dobrze się myśli o tobie na tych pliliszowych ciach i wśród brokatów niczym z królewskiego katafã ale im bardziej wspominała zmarłego męża, tym bar krew w jej sercu burzyła się i tężała, jak gdyby matka siedziała, lecz biegła, ociekając w gorączce potem i wdyc jąc ziemiste powietrze, a kiedy wrócił o świcie, zastał martwą w fotelu, jeszcze ciepłą, lecz na wpół zepsutą js by od ukąszenia żmii, to samo spotkało potem cztery zanim nie wyrzucili do morza

morderczego fotela, bar daleko, gdzie nikomu nie mógłby szkodzić, bo używano przez tyle stuleci, że stracił zdolność dawania

zaś on musiał przyzwyczać się do nędznej codzienności sieroty, wytykany przez wszystkich jako dziecko wdowy, która sprowadziła do osady ów nieszczęsny tron, żyjąc nie tyle z publicznej jałmużny, ile z ryb, jakie wykradał z cudzych łodzi, gdy tymczasem głos jego męźniał coraz bardziej, a on sam nie pamiętał już o własnych wizjach z ubiegłych lat, aż do następnej marcowej nocy, kiedy przypadkiem spojrzął na morze i nagle: „matko moja, jest tam ogromny azbestowy wieloryb, rycząca bestia, chodźcie go zobaczyć”, krzyczał oszalały, „chodźcie go zobaczyć”, aż jazgotliwie rozszczękały się psy i wywołał taką panikę wśród kobiet, że nawet najstarsi ludzie przypomnieli sobie o lękach własnych pradziadków i wleźli pod łóżka myśląc, że oto wrócił William Dampier, ale ci, co wybiegli na ulicę, nie potrudzili się nawet zobaczyć tę nieprawdopodobną machinę, która gubiła się właśnie na wschodzie i rozpadała w corocznej katastrofie, a sprawili mu tęgie lanie i zostawili ciężko poturbowanego, więc wtedy powiedział, śliniąc się ze wściekłości: „jeszcze pokażę wam, kim jestem”, ale pilnował się, aby z nikim nie dzielić się własnym postanowieniem, i spędził cały rok owładnięty szaleńczą myślą: „jeszcze pokażę wam, kim jestem”, oczekując wieczoru, kiedy ukaże się zjawą, by zrobić to, co zrobił, gotowe, wykradł łódź, przepłynął zatokę i całe popołudnie czekał na swą wielką godzinę, wśród niebezpiecznych zaułków portu, gdzie handlowano niewolnikami

niebezpiecznych znaków portu, gdzie tak niewinnie wodził, w ludzkim tyglu Karaibów, lecz tak przejęty własną przygodą, iż nie zatrzymał się, jak zwykle, przed sklepami Hindusów, żeby przyjrzeć się mandarynom rzeźbionym z całych kłów słoniowych, nie zadzwonił z holenderskich Murzynów na inwalidzkich wózkach i nie wystraszył się, jak niegdyś, Malajczyków o miedzianej skórze, którzy opłynęli dookoła cały świat, wabieni przez chimere z tajemniczej speluny, gdzie sprzedawano ciała hebanowych Brazylijek, ponieważ z niczego nie zdawał sobie sprawy, aż zapadła noc z całym ciężarem gwiazd, a dżungla słodko zapachniała przepyszlinem i zgnitymi salamandrami, a on już wiosłował w skradzionej łodzi ku wejściu do zatoki, z lampą wygaszoną, żeby nie wzbudzić ciekawości straży portowej, odrealniany co piętnaście sekund snopami zielonego światła latarni i ponownie urzeczywistniany ciemnościami, wiedząc, że płynie niedaleko

234

235

boi znaczących kanał portowy, gdyż nie tylko coraz raźniej widział ich natrętny blask, ale i tchnienie we stawało się coraz smutniejsze, i tak wiosłował, pogrążony we własnych myślach, że nie zauważył, skąd doszło do niego nagle okrutne sapanie rekinów ani dlaczego noc zgęstniała, jakby gwiazdy w jednej chwili umarły, a dlatego że to oto był statek w całym swym niepojętym wymiarze, matł większy od jakiegokolwiek wielkiej rzeczy na ziemi i cieńszy niż jakakolwiek ciemna rzecz na ziemi i wódz trzysta tysięcy ton rekiniego zapachu płynęło tak blisłodzi, że

można dostrzec szwy stalowej otchłani bez jedne światelka w niezliczonych bulajach, bez jednego westchnij nia maszyn, bez żywej duszy, dźwigającej własny świat™ szy, własne puste niebo, własne martwe powietrze, włas czas zatrzymany, błędne morze, po którym pływał ca świat potopionych zwierząt, i nagle to wszystko znikło pr blasku „latarni i przez chwilę morze było przejrzyste, cowa noc, codzienna przestrzeń pelikanów, tak iż był między bojami, nie wiedząc, co robić i pytając biebie wiony, czy naprawdę nie śni na jawie, nie tylko teraz, i innymi razy, lecz zaledwie o to zapytał, tajemniczy pc dmuch zgasił boje od pierwszej do ostatniej, a z chwilą gdj blask latarni prześliznął się, transatlantyk pojawił się znojj wu, ale jego busole już błędziły, więc być może nie wieJ dział nawet w jakim miejscu oceanu znajduje się, szu po omacku niewidzialnego kanału, lecz w rzeczywistość dryfował na skały, i przytłoczyła go myśl, że gasnące bojj są ostatecznym kluczem do zaklęcia, zapalił lampkę na łch dzi, najmniejsze, czerwone światelko, które nikogo w straż niczych minaretach nie mogło zaalarmować, ale dla pilot było niby wschodzące słońce, bowiem dzięki niemu znalaz właściwy kurs i wszedł do głównego kanału, ożywiony udał nym manewrem, i wtedy zapaliły się jednocześnie wszy.”*—I kie jego światła, kotły znowu zadudniły, na niebie zapłonę gwiazdy, a martwe ciała zwierząt poszły na dno, zabrs czały talerze i z kuchni rozszedł się zapach sosu laurowe go, słyszało się dźwięki bombardonu i orkiestry na spać rowych pokładach, zaś w półmroku kajut delikatne pul’ wanie serc zakochanych na pełnym morzu, lecz on nc w sobie tyle złości, że nie dał się

oszołomić wrażeniu ar zastraszyć urokom, powiedział jedynie z większą niż kiedyś

kolwiek stanowczością, teraz pokażę wam, kim jestem, do licha, teraz pokażę wam i zamiast stanąć na uboczu, by nie zgniotła go ogromna machina, zaczął wiosłować przed nią, bo teraz pokażę wam, kim jestem, i prowadził statek, aż był tak pewien jego posłuszeństwa, że znowu zmusił go do zejścia z kursu na nabrzeże, wywiódł z niewidocznego kanału i prowadził potulnie jak morskie jagnię ku światłom uspiętej osady, żywy statek, którego nie raniły już sierpy latarni, nie czyniły niewidzialnym, lecz co piętnaście sekund tworzyły go z aluminium, a w oddali zaczynały nabierać ostrości krzyże kościoła, nędzne domy, żłuda, a transatlantyk płynął wciąż za nim, płynął ze wszystkim, co miał w sobie, z kapitanem śpiącym na boku, w którym tłukło się serce, mięsem walecznych byków w oszronionych spizarniach, samotnym chorym w szpitalu, osieroconą wodą w zbiornikach, zniewolonym pilotem, który zapewne pomylił morskie skały z nabrzeżem, bo w tej oto chwili rozległ się donośny ryk syreny, raz, i zmoczył go pary deszcz lejący się z góry, drugi raz, i niewiele, a skradzionej łodzi groziłoby niebezpieczeństwo, i jeszcze raz, ale za późno, bo oto muszle na brzegu, bruk uliczny, drzwi niedowiarków, cała osada iluminowana światłami wylęknionego transatlantyku, a on ledwie miał czas oddalić się, ażeby nieszczęście dopełniło się, krzycząc wzburzony: „oto go macie, szmaciarze”, na sekundę, nim straszny, stalowy kadłub rozorał ziemię i dał się słyszeć czysty brzdek tysiąca nieciuset kieliszków do szampana. które tłukły się

... jeden za drugim od dziobu po rufę, i wtedy zrobiło się widno, nie było już marcowego świtu tylko promienne, środowe popołudnie, a on sycił się widokiem niedowiarków gapiących się z otwartymi ustami na największy transatlantyk na tym i na tamtym świecie, stojący na mieliźnie naprzeciw kościoła, wyższy niż jego wieża, bielszy od wszystkiego, i gdzieś z dziewięćdziesiąt razy większy od całej osady, z nazwą wykutą żelaznymi literami, „Halacsillag”, i burtami ociekającymi jeszcze starymi, bezradnymi wodami mórz śmierci.

Przełożył Rajmund Kalicki

236

OSCAR HURTADO

List sędziego

Puertadegolpe jest miasteczkiem sąsiadującym z gualisa, w prowincji Pinar del Rio. Podróźni, którzy czasu do czasu trafiają tu przypadkiem, twierdzą, że je to miejsce ciekawe, ze względu na starą architekturę. Ni©—{ którzy nawet uważają je za piękne. My, jego mieszkańcy,^ nie podzielamy tej opinii, ale mimo to nie chcielibyśmy)—I mieszkać w żadnym innym miejscu. Przypuszczam, że je—rl steśmy przyzwyczajeni do naszego sklepiku z wyszynkiem,!—! do naszego kościoła i do naszych pól. Wszystko jedno dla<i; czego, w każdym razie nigdy chętnie nie wyjeżdżamy!; z Puertadegolpe.

Oczywiście hawańczycy, żyjący wśród wielkich budyn—jj ków i ulic pełnych hałasu, mogą, jeśli chcą, nazywać na&j prowincjuszami, ale to nie przeszkadza, żeby Puertadegolpe i

była lepszym miejscem do zamieszkania niż Hawana. Ja przez dwadzieścia pięć lat byłem sędzią w miasteczku i gę to zaświadczyć. Jeśli jeszcze wam to nie wystarczy, słuchajcie naszego doktora, który mówi, że kiedy przy—»J jeżdżą do Hawany, czuje ucisk pod czaszką; a zarówno oiyi jak i ja jesteśmy rodem ze stolicy. Para takich świadków jest więcej warta niż cała seria argumentów.

Czy nie jest u was nudno? — zapytacie. — Owszem, by może, czasem spotkacie się z nudą, ale zapewniam was, że fe| nawet ci, którym udało się wzmocnić ducha tak solid podporą, jaką jest zdrowe życie na wsi, muszą mieć dosta—?!| tecnie silne nerwy, żeby nie zdrzeć na myśl o pev sprawach.

Podczas mojej niedawnej wizyty w Hawanie musiałem wysłuchać z ust paru osób opowieści o dziwnych wydarzeniach, jakie miały miejsce w stolicy. Widząc zainteresowanie tego rodzaju historiami, o mało nie opowiedziałem im tego, co tu opisuję; bałem się jednak, że wywołam ironiczne

238

komentarze, których nie mógłbym tolerować. A więc, uciekam się do pomocy pióra, pozbywając się przez to owych dokuczliwych wtretów, jakie każda ustna narracja pociąga za sobą.

Muszę, zanim zacznę, uprzedzić was z góry, że każdy mieszkaniec wsi powinien być uważany za istotę całkowicie odmienną od mieszkańca miasta. To jest oczywiste, wiem o tym, ale są sprawy, do których trzeba stale na nowo powracać, aby — jak to mówią — otrzepać je z kurzu.

Gdyby ktoś z was, hawańczycy, spotkał się. podczas sobotniej nocy z duchami chłopców, którzy zginęli w wojnie 95 roku, spacerujących pod rękę z dziewczętami, które spoczywają na tutejszym cmentarzu, wówczas ten ktoś zakłóciłby naszą spokojną atmosferę tysiącem okrzyków; i duchy, goście samotności i ciszy, musiałyby poszukać sobie innej atmosfery, bardziej gęstej i mniej dostępnej.

Ale my, z naszą pogodą ducha jako główną cechą charakteru, pozwalamy im spacerować w ich własnych postaciach, nie zakłócając im spokoju. Wiele wymiarów może zajmować tę samą przestrzeń — to jest udowodnione matematycznie. Tak więc, moi państwo, będziecie tu mogli zobaczyć człowieka bez głowy, siedzącego na brzegu studni i grającego na gitarze w pełnym świetle księżycy, z chórem dzieci igrających wokół.

Pozwólcie, że zrobię do was oko i szepnę wam do ucha tę tajemnicę: duchy same wiedzą, gdzie ich miejsce.

Przyznaję, że moje opowiadanie jest równie niezwykle, jak pojawienie się czerwonej muchy w naszych stronach, gdzie stado psich upiórów poluje aż do świtu i gdzie kowal przez całą noc podkuwa wierzchowce zmarłych jeźdźców. Pewnej nocy, kiedy alkohol rozrywał mu czaszkę, a ich zwykłe upiorne hałasy przekroczyły miarę — zwymyślał je. Nazajutrz rano pięć pesos na kowadle mrugało złotą źrenicą na przeprosiny. Takie rzeczy nie zwykły się zdarzać w Hawanie, gdzie masowe używanie okularów zmienia pole widzenia. Lecz chociaż duchy zamieszkują tam inną przestrzeń, nie przestają przez to istnieć.

Nadszedł dzień owej straszliwej burzy, w lecie 1908 roku. W tym sezonie zaobserwowałem dwa wielkie cyklony. Pierwszy cyklon dał z wielką siłą przez cały wieczór i noc, ustając dopiero o świcie.

239

Kiedy nazajutrz wyrzależ przez parkan, zobaczyłem wdowę po Benicie, w zadartej spódnicy, grzebiącą w t; co zostało z jej sadu. Obserwowałem ją przez chwilę, czym udałem się do sklepiku „Pod Kreolem i Jego Psem” aby o tym, co widziałem, opowiedzieć sklepikarzowi.

Juan Perez był mężczyzną żonatym i nieczułym wdzięki p;ci pięknej.

— Przychodzi pan w samą porę — powiedział. — Bur przyniosła coś na moją ziemię. Rodzaj statku, rzekłbym*;

Wyraziłem obawę o jego ziemniaki, ale uśmiechając się z wdzięcznością, wyjaśnił mi, że chodzi o statek—zjawę, nie zdolny do zniszczenia zasiewów. <

Zastanawialiśmy się chwilę, w jaki sposób trafił z mor na ziemię Juana, a następnie zaczęliśmy mówić o czym ii nym.

W kościele siła wiatru zerwała dzwon i jego serce się w głowę muła zamieniając go w jednorożca.

To był wspaniały cyklon, roztoczył wszędzie swoją sii rozrzucając nasze duchy po całej wyspie. Wracały powoljedne pieszo, inne na wycieńczonych koniach, ale tak szc śliwę z powrotu do Puertadegolpe, że niektóre z nich kały jak dzieci. Estanislao powiedział mi, że nigdy od c bitwy pod Mai Tiempo jego ojciec nie sprawiał urażenia człowieka tak wczereanego

jego ojciec nie sprawiał wrażenia człowieka tak wyczerpanego.

Na tych i innych wydarzeniach upłynął tydzień, aż wreszcie wszystko wróciło do normy. W jakiś czas później, pewnego popołudnia, sklepikarz zwrócił się do mnie z oznakami wielkiego zmartwienia:

— Chciałbym, żeby pan poszedł na moje pole i rzucił okiem na statek... Bo wie pan, żona mówiła wczoraj wieczerą... czorem...

Udałem się z nim na jego ziemię. Pośrodku pola stał piękny statek, jakiego nikt nie widział od trzystu lat. Był pomalowany na czarno, pokryty rzeźbami i miał duże okno na rufie. Na pokładzie widać było ustawione rzędem działa — Dwie kotwice wgryzały się w ziemię. Widziałem już różne wyspaniałości, nawet pocztówki z siedmioma cudami świata ale nie widziałem niczego, co mogłoby się z tym równać.

— Wydaje się zbyt solidny jak na statek widmo — powiedziałem, widząc, że sklepikarz nadal się martwi.

240

— Być może, to jest półwidmo — odparł niezdecydowany. — Jedyne co wiem na pewno, to fakt, że zniszczy mi ziemniaki; i moja żona...

Zbliżyliśmy się do statku i postukaliśmy w jego kadłub. Był twardy i dźwięczny jak dzwon.

— A to ci historia! — pomyślałem.

Oczywiście nie znam się dobrze na statkach, ale przypuszczam, że ważył około dwustu ton i że przybył tu z zamiarem pozostania. Pomyślałem o żonie Pereza i poczułem

dla niego litość.

— Wszystkie konie z Puertadegolpe nie wyciągnęłyby go z mojej posiadłości — powiedział sklepikarz, marszcząc czoło.

Szmer na pokładzie kazał nam podnieść głowy. Ujrzeliśmy mężczyznę, który wyszedł z jednej z kajut i obserwował nas spokojnie. Ubrany był na czarno, z chustką na głowie i szpadą u boku.

— Jestem kapitan Pedro Nau — ton jego głosu był wytworny. — Przybyłem tu w poszukiwaniu rekrutów, ale widzę, że zajechałem za daleko w głąb ziemi.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł sklepikarz.

— Sądzi pan? — spytał zimno kapitan, wyjmując tabakierę.

Sklepikarz otworzył usta, zamknął je na powrót i przemówił przez zęby:

— Nie chciałbym okazać się złym sąsiadem, ale wołałbym, żeby pan nie zarzucał kotwicy na moich polach. Wie pan... moja żona przywiązuje dużą wagę do swoich ziemniaków... No i...

Kapitan schował tabakierę i wytarł palce jedwabną chusteczką.

— Przybyłem tu na krótko, ale jeśli ten dowód szacunku zdoła ułagodzić pańską szanowną małżonkę — mówiąc to zdjął z palca pierścień z ogromnym szafirem i rzucił go do stóp sklepikarza — bardzo będę rad przyczynić się do tego.

Juan Perez zrobił się czerwony jak pomidor.

— Nie zaprzeczę, że moja żona lubi klejnoty, ale ten jest

zbyt kosztowny.

— Nic podobnego, dobry człowieku. Jedna połowa pierścienia jest wynagrodzeniem za szkody w pańskich zasie—
w—w zaczarowanym zwierciadle

241

wach, druga zaś — dowodem mego szacunku dla pańskich małżonki i mojej przyjaźni dla pana, sąsiedzie.

I pożegnawszy nas, obrócił się na pięcie i zniknął w jucie.

Sklepiarz wrócił do miasteczka promieniejąc dumą. Wil działał, że nie tyle tu chodzi o jego żonę, ile o...

— Jest o wiele cenniejszy, niż moneta kowala — i pod niósł do światła pierścień, którego nawet ani razu nie łem w ręku.

W roku 1908 obchodziliśmy stulecie postawienia na kościoła. Rozwieszano cienkie perkałe, jak podczas ś narodowych, odprawiano msze — nasz katolicyzm aktywny — urządzano procesje, festyny. Nie mieliśmy czasu, by zajmować się statkiem widmem.

Tylko sklepiarz raz jeszcze i drugi spotkał się ze swoimi; miłym dzierżawcą, a jego żona świeciła klejnotem przy i każdej nadarzającej się okazji.

Pominawszy pewnego idiotę, chłopaka, który żył z jałmużny sąsiadów, my wszyscy nie zadawaliśmy się zbyt z duchami. Ow biedak zarabiał kilka *centavos*, rozwiązując na swój sposób pewien problem matematyczny, który za—« dawali mu rozmaici kawalarze. Doweipniś pokazywał mu po| kolei, w jednej ręce srebrnego *peso*, a w drugiej jednego i

— No. Toto — nvtano on (ponieważ tak on nazywalić* my)

— którą z dwóch monet wybierasz?

I Toto bez wahania brał jednego *centavo*. ;d—

Pewnego dnia zlitowałem się nad nim i kiedy byliśmy jf sami, spytałem go delikatnie, starając się go nie urazić4|

— Dlaczego bierzesz cen/owo? Nie wiesz, że *peao* wart jest sto razy więcej?

Odpowiedź była tak zaskakująca, że aż otwarłem usta ?e zdsawienia. ·

— Jasne, ye wiera. Ale kiedy wezmć peso, nikt wieceŁ nie powtórzy zabawy. I

Mimo wszystko, pomijając ten przebłysk zdrowego ro»* sądku, chłopak był prawdziwym idiotą.

W dzień jubileuszu sklepikarz poinformował kapitana Nau, z jakich powodów bito w dzwony w kościele. Kapitan natychmiast wywiesił flagę i dał salwę ze swoich dział, przy— łączając się do obchodów. Działa miały kule z dobrego

242

laza, takiej samej jakości jak drewno, z którego zbudowany był statek. Jedna z nich zrobiła dziurę w składzie sklepikarza.

Kiedy już uroczystości dobiegły końca, spostrzeegliśmy, że w Puertadegolpe dzieje się coś niedobrego.

O pierwszym zdarzeniu dowiedziałem się od szewca, gdy pewnego wieczoru piliśmy „Pod Kreolem i Jego Psem”.

— Pan zna mojego dziadka, który umarł młodo?

— Chodzi panu o Zenaido, tego spokojnego chłopaka?

— Spokojnego?! — wrzasnął szewc, waląc pięścią w stół.

— Pan nazywa spokojnym indywiduum, które wraca do domu o trzeciej nad ranem, pijane jak bela, i budzi nas wszystkich hałasem, jaki czyni?!

— Niemożliwe, żeby to był Zenaido — odparłem zdziwiony, ponieważ znałem go jako jednego z najbardziej czcigodnych duchów w miasteczku.

— Tak, to on — upierał się szewc. — Pewnej nocy wyrzucę go kopniakiem na ulicę.

Jego słowa wzburzyły mnie do głębi, ponieważ nie lubię ludzi, którzy źle wyrażają się o swojej rodzinie. Zbierałem się, by udzielić mu ostrej odpowiedzi, gdy rzeźnik Anacleto wszedł z przyjacielem wołając: *

— Czort jeden, zabiję go w końcu naprawdę! Odnosiło się to do jego szwagra, który zginął w wojnie o niepodległość.

— Co, pewnie przychodzi do domu pijany, nie? — zapytał szewc z nadzieją, iż znalazł towarzysza niedoli.

— Czort przeklęty! Żeby nie wzgląd na moją siostrę!...

Wypadki te nie były odosobnione. Nasza upiorna młodzież, bez wyjątku, wracała pijana w pierwszych godzinach świtu. Budziłem się, kiedy przechodzili pod moim domem, zataczając się i śpiewając sprośne piosenki, jakich nigdy dotąd nie słyszeliśmy.

Najgorsze było to, że głos docierał do sąsiedniego miasteczka i ludzie z Lengualisa zaczęli mówić o „tych pijakach z Puertadegolpe”.

Mimo że jesteśmy tolerancyjni, zaczęło się to nam nie

podobać.

Oczywiście wkrótce odkryliśmy przyczyny naszych kłopotów. Lecz chociaż sklepikarz był oburzony na swego dzierżawcę, jego żona nie chciała nic słyszeć o zwrocie pierścion

243

ka. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót i już o każde porze można było spotkać tych młodych libertynów, odsy[^]piających hulanki w różnych zakątkach miasteczka.

Prawie co wieczór pojazd zjawa karmił statek ładunkiem rumu, dając wyobrażenie o ilości trunków, jaka tam przelewała; i mimo że nieco poważniejsze duchy gardziły kapitanem, najmłodszy z przyjemnością wypijali oprócz swojej porcji jeszcze i tę, której zrzekli się starzy.

Pewnego popołudnia, gdy odbywałem sjęstę, zapukano *t* do moich drzwi. Na progu stał ksiądz, z wyrazem twarzy człowieka, który ma przed sobą niemiłe zadanie.

— Idę porozmawiać z kapitanem i chciałbym, żeby pan mi towarzyszył — oświadczył bez ogródek.

Sjesta jest nieprzyjaciółką woli i atakuje umysł jak ter—mit, pozostawiając go pustym. Kamień, któremu pozwalamy opaść w jej próżni, nie wytwarza echa. Staralem się za—protesfbwać, wysuwając argument—pionek: „To jest sprawa duchów, a więc sprawa fantasmagoryczna”, ale ksiądz zagrał wieżą: „Nie wiem, dlaczego niebo ani piekło nie przyjęło ich do tej pory, ale póki przebywają na ziemi, jestem odpowiedzialny za ich prowadzenie się”.

Zawsze mówiłem, że nie ma nic lepszego, jak dobra argumentacja, zwłaszcza jeśli argumentujący zna pewne nasze grzeszki, powierzone mu nieopatrznie przy spowiedzi.'5

— Pójdzie pan ze mną na wypadek, gdyby wyłoniły się jakieś wątpliwości natury prawnej.

Kiedy przybyliśmy do statku, ujrzelśmy kapitana, zażywającego chłodu na pokładzie. Gdy tylko spostrzegł du—« chownego, z całą kurtuazją uchylił kapelusza i zapewniamj was, że poczułem wielką ulgę po tym jego uprzejmym geście. Proboszcz odpowiedział na pozdrowienie* i donośnym, głosem oznajmił:

— Panie, pragnąłbym zamienić z panem kilka słów.

— Proszę na pokład, proszę na pokład — odparł kapi—r tan z wielką uprzejmością.

Wspięliśmy się po niezbyt wygodnej drabince i kapitan wprowadził nas do obszernej kajuty na rufie. W niej to* znajdowało się owo wielkie okno, o którym już mówiłem. Było to miejsce bardziej niezwykle, niż można sobie wyo—i brazić: pełne złotych i srebrnych pucharów, szpad inkru*|

stowanych drogimi kamieniami, rzeźbionych krzesel, olbrzymich kufrow z cennego drewna, które zdawały się pękać od nadmiaru monet. Nawet proboszcz przystanął zdziwiony i nie stawiał zbytniego oporu, kiedy kapitan wyjął kilka srebrnych kielichów i poczęstował nas rumem. Przyznaję, że kiedy spróbowałem, mój punkt widzenia zmienił się całkowicie. Wydawało mi się bzdurą ganić chłopców za to, że pili ten trunk

tak wysmienity, iż zdawał się napemiac żyty miodem i ogniem. Proboszcz bez ogródek wyłuszczył kapitanowi całą sprawę, lecz ja nie przysłuchiwałem się wiele temu, co mówił. Byłem zajęty rumem i obserwowaniem przez okno ryb, które pływały tam i sam nad ziemniakami sklepikarza. W owej chwili widok ten wydał mi się najzwyczajszym w świecie; chociaż zaskoczył mnie trochę marynarz topielec unoszący się w powietrzu z włosami i brodą pełnymi baniek. Pierwszy raz widziałem coś podobnego w Puertadegołpe.

Kapitan bardzo uprzejmie wysłuchał naszego proboszcza, przytaczając ze swej strony argument, że chłopcy są chłopcami i że młodzież musi się wyszumieć.

Kiedy nasz poczciwy duszpasterz skończył mówić, kapitan na nowo napemnił nasze kielichy.

— Byłbym szczerze zmartwiony, jeśli miałbym przeszkadzać temu, przez kogo byłem tak dobrze przyjmowany, ale wiem, że ucieszy panów wiadomość, iż jutro w nocy wyruszam na morze. Wypijmy zatem za pomyślność mojej podróży.

Powstaliśmy i uroczyście wnieśliśmy toast. Następnie kapitan pokazał nam niektóre osobliwości zebrane w różnych krajach podczas swoich niezwykłych podróży. Niestety, pomimo moich wysiłków, nie mogę sobie niczego, z tego, co widziałem wówczas, przypomnieć.

Rozstanie było gorące. Pamiętam, że nawet proboszcz był wzruszony i zwracał się do kapitana „mój synu”.

W chwilę potem znalazłem się na polu ziemniaków,

opowiadając memu przyjacielowi w sutannie o cudach oglądanych przez okno. Zwrócił się w moją stronę, mówiąc bardzo poważnie:

— Na pańskim miejscu wróciłbym do domu kontynuować sjęstę.

Następnego dnia zaczął dąć coraz silniejszy wiatr.

244

245

O ósmej wieczorem zamknąłem dobrze dom i udałem do sklepu, żeby spędzić burzę w towarzystwie.

— Co za cyklon! — sklepikarz wydymał wargi, na! wając rum. — Mówiono mi, że rzeka wezbrała.

— To dziwne, jak ci ludzie morza znają się na pog dzie — odparłem. — Kiedy kapitan mówił, że odpłynie u,,, nocy, wydawało mi się, że będzie potrzebował silnego wia—j tru, żeby poruszyć swój statek. ,

— Ach, tak! — przerwał sklepikarz. — Tej nocy odpry—j wa... Chociaż zapłacił mi hojnie za dzierżawę pola, muszę powiedzieć, że jego wyjazd nie będzie ze stratą dla miasteczka. Nie podobają mi się ludzie, którzy kupują trunki u obcych, zamiast popierać miejscowych kupców.

—■ Ale pan nie ma takiego rumu jak kapitan!

Twarz sklepikarza zrobiła się przeraźliwie Czerwona. Wytarł z siłą ładę, okazując jak bardzo jest zirytowany.

Mifsiałem go uspokajać, wychwalając jego rum; i, niech mi nieba wybaczą, ale przysięgłem, że jest o wiele lepszy niż rum kapitana.

— Powiedzcie mi, czy jest coś lepszego, niż to! —
wykrzyknął, gdy podnosiliśmy w górę szklanki... Ale nagle
zatrzymaliśmy się. Na dworze Wycie Wiatru zamieniło się w
słodkie pienia.

— To z pewnością nie jest maja Marta — szepnął
sklepiarz, mając na myśli siostrę swojej babki.

Podeszliśmy do drzwi. W przestworzach, otoczony
gwiazdami, żeglował statek widmo. Wszystkie światła miał
zapalone, a z pokładu dobiegał nas radosny szum i śpiewy.

— Odjeżdża! — wykrzyknął sklepiarz. I nagle zawoła
—liśmy jednocześnie:

— I zabiera ze sobą połowę miasteczka!

Następny dzień upłynął na robieniu bilansu poniesionych
strat. Burza znowu rozsiała nasze duchy po wyspie, | ale tym
razem niewiele ich Wróciło, gdyż Wszyscy młodzi zabrali się na
pokład z kapitanem. Zniknął także ów chłopiec półgłówek;
dowiedzieliśmy się potem, że nie wiedząc, co robi, wsiadł na
pokład i odjechał razem ze statkiem.

Lamenty dziewcząt duchów nie miały końca. Miasteczko
było poruszone. I trzeba było wówczas zobaczyć ludzi, któ— j
rzy przedtem najbardziej narzekali na rozpasanie swoich |

246

młodych zmarłych, teraz najgłośniejszemu ze wszystkich
lamentujących po ich stracie.

Nie odczuwałem najmniejszej sympatii ani do szewca, ani do
rzeźnika, którzy nie ustawiali w opowiadaniu, jak bardzo brak im
ich przodków, ale żał mi było słuchać biednych dziewcząt

ich przodków, ale za nimi było słuchać ściskanych dziewcząt duchów, lamentujących po stracie kawalerów, których, jak tylko zapadła noc, nawoływały po ulicach miasteczka. Wydawało mi się niesprawiedliwe, żeby miały utracić swoich mężczyzn „po raz drugi”.

Ale nawet duch nie może lamentować wiecznie. W kilka miesięcy później doszliśmy do wniosku, że ci, którzy odjechali statkiem, już nigdy nie powrócą... Nie mówiło się też więcej o tej sprawie.

Później, pewnego dnia, może parę lat potem, kiedy cały epizod, uległ zapomnieniu, zgadnijcie, kto nadszedł drogą do Puertadegołpe? Oto ten chłopak, półgłówek, który odjechał statkiem, nie doczekawszy śmierci i zostania duchem. Jestem przekonany, że nigdy nie powtórzy się podobny wypadek. Ciągnął za sobą ogromny, zardzewiały miecz, zwisający mu u pasa. Jego ciało, tatuowane w różnokolorowe wzory, przypominało, moim zdaniem, perski dywan, a zdaniem sklepikarza jedną z tych wyszywanek, jakie robią dziewczęta, W ręce trzymał węzełek pełen rzadkich muszli i osobliwych, starych monet. Zbliżył się do studni przed domem swojej matki i, wyciągnąwszy wiadro wody, zaczął pić.

Najgorsze, że wrócił tak samo głupi, jak wyjechał. Pomimo Wszelkich starań nie mogliśmy wydobyć z niego niczego sensownego. Mówił bezustannie o abordażach, rabunkach i o straszliwych zbrodniach, z czego wywnioskowałem, że kapitan, mimo swych dwornych obyczajów, był bardziej piratem niżli

rycerzem.

Lecz wyciągnięcie jakiegokolwiek sensu ze słów chłopaka było równie niemożliwe jak szukanie gruszek na wierzbie.

Bezustannie powtarzał jedno ze swoich opowiadań i słuchając go można by sądzić, że była to jedyna rzecz w jego życiu godna uwagi.

„Zarzuciliśmy kotwicę przy wyspie zwanej «Kosz kwiatów» i marynarze schwycili stado papug. Nauczyli je kłąć... i później latały one po statku i przeklinały straszliwie...

247

Patrzmy na morze i widzimy galeon hiszpański... Wypuszcza czarny papugi i gotujemy się do abordażu... Papugi rzuciła się na Hiszpanów... Z furią wydziobują im oczy... Hiszpanie wymachują rękami i skaczą jak opętani... Pewieci ślepy artylerzysta skierował ogień na Santa Barbara... Eka! Jplozja rozruciła papugi na wszystkie strony, jak tysiąc kolorowe oczy... Opadały wpierw w gronach, później spierały; ralnie... Tak pochłonoło je morze... Potwornie przeklinały...”: Tego rodzaju były historie, które nam opowiadał. Potrafił tylko mówić o głupich papugach. Nie udało nam się do— wiedzieć czegoś więcej. W dwa dni później zniknął ponownie. Nigdy też więcej go nie ujrzeliśmy

Tak wygląda moja opowieść i zapewniam was, że podobne historie zdarzają się często w Puertadegolpe. Okręt dotąd nie wrócił; ale, nie wiem czemu, wszyscy czekamy, aż którejś wietrznej nocy ujrzemy go, jak płynie ku nam ze wszystkimi zaginionymi duchami. I zapewniam was, że kiedy przybędzie,

będzie mile widziany.

Jest u nas w mieście pewna dziewczyna duch, która nie może doczekać się powrotu swego ukochanego. Każdej nocy można ją ujrzeć siedzącą na środku pola, ze wzrokiem utkwionym w niebo, w oczekiwaniu na pojawienie się światel masztów wśród gwiazd. To się nazywa wierność w miłości.

Wizyta statku nie zniszczyła pola sklepikarza, ale od tamtej pory ziemniaki mają smak rumu. Kreślę się z szacunkiem

Sędzia Tranquilino Epifania.

Przełożył Jerzy Kiihn

JOAO SIMOES LOPES NETO

Błędny ognik

Było to tak: w dawnych czasach, bardzo dawnych, zdarzyła się noc tak długa, iż wydawało się, że nigdy nie powróci światło dnia. Noc ciemna jak smoła, bez światła na niebie, bez wiatru, nawet bez powiewu, bez żadnego szmeru, bez zapachu łąk nielśnych kwiatów.

Ludzie byli przygnębieni, pogrążeni w smutku; ponieważ nie można było upiec mięsa na rożnie, nie wzniecali ognia w paleniskach i zaczęli się żywić mdlą zupą; ogniska gasły i trzeba było oszczędzać żarzące się głownie.

Oczy znudzone nocą, nieruchome całymi godzinami patrzyły nie widząc czerwonego żaru drewna... tylko żaru, nie przyskały bowiem rozweselające iskry, gdyż nie rozdmuchiwały ognia zadowolone usta.

W tych kompletnych ciemnościach żaden poganiacz bydlę nie mógł przemierzać polnych dróg, żaden koń nie miał wechu

nie mógł przemierzać polnych dróg, zaciemniał nie miał wyczu-
ani ucha, ani oka, aby powrócić do swojej zagrody; nawet lis nie
trafiłby na swe własne ślady.

A noc ciągnęła się i ciągnęła...

II

Kłamię: wśród ciemności i martwego milczenia od czasu do
czasu, to z tej, to z tamtej strony, głośny trzel jakiegoś ptaka
przebijał powietrze; był to *quero—quero*, który nie spał od
ostatniego zachodu słońca i ciągle czuwał, czekając na powrót
słońca, które miało nadejść, a tak się spóźniało...

Tylko *quero—quero* śpiewał od czasu do czasu; jego „*que
—ro—quero*” — tak wyraźnie dochodzące gdzieś z głębi
ciemności — podtrzymywało nadzieję ludzi stłoczonych wokół
czerwonego blasku żaru.

Poza tym wszędzie panowała cisza; a wszystko pogrążone
było w bezruchu.

249

III

Kłamię: ostatniego słonecznego popołudnia, kiedy słońce
schodziło na drugą stronę pagórków w kierunku zachodu gdzie
wschodzi gwiazda zaranna, tego ostatniego pop””” dnia spadł
straszny deszcz: była to prawdziwa trąba We i trwała długi
czas... M

Plony zostały zatopione; wody jezior podniosły się i roZ—f
lały wstęgami, ślizgając się po kopcach termitów i po mo—«|
czarach, które wszystkie połączyły się ze sobą; mielizny ur&»j
sły i cały ciężar wody Spłynął ku parowom, a z nich do s^ mieni,

które trysnęły dalej przez pola, zatapiając wgłębieni nia terenu, uderzając We Wzniesienia pagórków. Wierzchom ki te stały się schronieniem przestraszonych zwierząt, kt6»i re znalazły się tam w całkowitym pomieszaniu; były tam cielęta i pumy, bydło rogate i źrebaki, kuropatwy i dzikie psy, Wszystkie w przyjaźni z czystego strachu. Jakżeby nie!... Roje mrówek czepiały się czubków drzew, węże skrę* cały się w gęstwinie nenufarów, a na licznie rozsianych kępach sitowia i turzycy kołysały się myszy oraz inne drobne zwierzątka.

Ponieważ woda wypełniła Wszystkie kryjówki zwierząt, wtargnęła również do Schronienia wielkiego węża boa, który od Wielu zmian księżyca spał w spokojnym odrętwieniu. Obudził się teraz i pełł poruSZając ślę niespokojnie.

Wkrótce zaczęły zdychać zwierzęta, a wąż boa pożerat padlinę. Ale zjadał tylko oczy i nic, ale tó nic, Więcej.

Wody opadły, martwych zwierząt było coraz więcej i każdej godziny wąż boa zjadał coraz więcej oczu.

którzy mają oczy czerwone; jeszcze bardziej uważaj, kiedy oczy są żółte; podwójną ostrożność zachowaj z oczami mętnymi lub prążkowanymi...

Tak było również, choć w inny sposób, z wężem—płomie—niem, który zjadł tyle oczu.

Wszystkie — a tyle, tyle ich zjadł — zachowały w sobie błyszczącą smuzkę ostatniego światelka, które w nich zostało z ostatnich promieni słońca, widzianych zanim zapadła wielka noc. I tyle, tyle oczu — wszystkie z kropelką światła, zostało pożartych; z początku garść, potem większa porcja, potem

jeszcze więcej, całe sążnie...

VI

I stało się, ponieważ wąż boa nie miał sierści jak wół ani łusek jak p&Szcak, ani piór jak struś, ahi skorupy jak pancernik, ani grubej skóry jak tapir, stało się więc, że jego ciało zrobiło się przezroczyste, przezroczyste, rozświetlone tysiącami światełek oczu, które w nim tkwiły zmiażdżone, a każde z nich pozostawiło swój małeńki promyczek światła. I stało się, że wąż boa cały zmienił się w światło, światło bez ognia, w niebieskawy płomyczek o świetle żółtawym, smutnym i zimnym, pochodzący z oczu, w których się znajdował, kiedy jeszcze były żywe...

IV

Wszelkie stworzenie zachowuje w swym ciele sok spoży*—tego pokarmu. Krowa mleczna, która je tylko dojrziałą koni” czymę, daje w mleku słodki zapach zielonej paszy. Wieprza, który pożera mięso żrebaków, nawet 20 alkierów mandio—ki nie oczyszcza; smutna czapla i wodny ptak *blgud* nawet we krwi mają zapach ryb. Tak jest i i ludźmi, którzy nawet nic nie jedząc noszą w o^each barwy swoich zapędów. Człowiek o oczach czystych jest dzielny i hojny; uważaj na tych

250

VII

Tak to było i dlatego ludzie, kiedy zobaczyli po raz pierwszy węża boa tak zmienionego, wcale go nie poznali. Nie poznali i myśląc, że to było coś innego, zupełnie coś ufnego, nazywali go odtąd wężem—płomieniem.

I wiele razy wwołdniał wąż—płomień krążył wokół

gospodarstw, niczym dzikie zwierzę. Wtedy to właśnie zaczął śpiewać ptak *quero—quero* czujny jak wartownik.

A ludzie, jako że są ciekawi, patrzyli zdumieni na to
251

wielkie cielsko węża, przezroczyste i świecące jak płomyk, dłuższe niż trzy lassa, oświetlające matowo polne kwiaty... A potem płakali. Płakali nieświadomi niebezpieczeństwa, bo w ich łzach również zachowało się trochę światła ich oczu, a wąż—płomień teraz pożądał żywych oczu ludzkich, bo oczy padliny już mu zbrzydły...

VIII

A więc, jak mówiłem, w ciemnościach widać było tylko matowy blask ciała węża—płomienia i z tego to powodu ptak *quero—quero* śpiewał ostrzegawczo o każdej porze nocy.

Po pewnym czasie wąż—płomień zdechł; zdechł ze słabości, gdyż zjedzone oczy napęliły mu ciało, ale nie dały mu siły, bo nie było jej w świetle, które zawierały w sobie żywe oczy.

Najpierw wściekle się kręcił po zwałach padliny, po skórkach zwierząt, po rozkładającym się mięsie, po walającej się sierści, po rozsianych kościach, ale gdy zdechł, ciało jego również rozłożyło się, tak jak wszystko co ziemskie pewnego dnia się psuje...

Wtedy to uwiecznione w nim światło wydostało się na zewnątrz. Zdawać by się mogło, jak na zamówienie, pokazało się znów słońce.

IX

W chwili, gdy się to stało, nie było już ciemności, a światło stało się

Kamień: pokazało się, ale nie nagle. Najpierw ciemność stała się cięsza, ukazały się gwiazdy; te znikły w zabarwiającym się niebie; potem zaczęło się robić jaśniej, jaśniej, jaśniej i naraz w dali ukazała się luna światła... potem połowa ognistego kręgu i oto słońce zaczęło się podnosić, podnosić, podnosić, aż doszło do zenitu, potem znów opadło, jak dawniej. Tym razem, aby na zawsze podzielić czas na dwie części — dzień i noc.

252

X

Wszystko, co umiera na świecie, łączy się z nasieniem, z którego wyrosło, aby narodzić się ponownie. Tylko światło węża — płomienia zostało samo, nigdy nie złączyło się ze światłem, z którego wzięło początek.

Zawsze posępne i samotne szuka miejsc, gdzie jest padlina, i im jej więcej, tym zwawiej płąsa. A w zimie tężeje, nie ukazuje się, śpi, może się chowa.

Ale w lecie, przy wilgotnych upałach, zaczyna się dla niego życie. Wąż — błędny ognik, cały skręcony jak kula — kula świetlista — zaczyna wędrować po polach, pagórkach i wzgórzach do świtu.

Jest to ogienek żółty i niebieskawy, co nie pali suchych krzewów ani nie grzeje wody źródlanej, a toczy się, kręci, biegnie, podskakuje, rozpada się, rozprasza, gaśnie... a kiedy najmniej się spodziewasz, nagle znów się pojawia.

Przekłety! Zgiń, przepadnij!

Kto spotka błędnego ognika może nawet oślepnąć... Kto go spotka, ma tylko dwa wyjścia, aby się uratować: albo stać

nieruchomo, bardzo spokojnie z mocno zamkniętymi oczami i nie oddychając czekać, aż błędny ognik sobie pójdzie, albo — jeśli jedzie konno — rozwinąć lasso, zrobić dużą pętlę, rzucić nań i pędzić galopem, trzymając lasso wyciągnięte, rozwinięte aż po węzeł. Wąż—błędny ognik pójdzie za żelaznym kółkiem przy węźle... ale uderzywszy w zielska nagle cały się rozpadnie, światło jego się rozproszy i powoli zgaśnie w podmuchu wiatru.

XII

Wieśniaku, bądź ostrożny, trzymaj swoje bydło z dala od miejsc, gdzie siedzi wąż—błędny ognik — to pastwisko niesie zarazę...

Widziałem takie rzeczy...

Przełożyła Janina Z. Klave

SALYADOR ELIZONDO

Zieleni Indianie

Nadchodzą znowu zieleni Indianie. Milczące czołówki biwakują parami na skraju Mound City, niewielkiej osady z drewnianych belek, która przed trzydziestu laty zaznała przejściowej prosperity wywołanej żylą, która jednak szybko się wyczerpała. Indianie przynoszą na sprzedaż suche skóry i pałeczki rzeźbione zębami. Nie potrafią liczyć; jedynie i pierzyć. Są czcicielami — jak mówią — zielonego słońca spoza pustyni i nie umieją nic innego jak tylko wiązać i rozplątywać skomplikowane węzły: dają czasami popisy na ziemistej i jedynej ulicy Mound. Nie umieją mówić, ale niektórzy starzy poszukiwacze złota, którzy powoli wymierają w osadzie, mówią, że zieleni Indianie rozmawiają za pomocą węzłów, jak niemi

gestami. Niektórzy kowboje, biwakujący ze swoimi stadami w pobliżu strumienia, mijający Mound w drodze do rzeki Ancho, mówią, że przybywają oni z Zatoki Meksykańskiej w małych grupach i że ludzie uważają ich za świętych, gdyż wywołują deszcz, znają sposoby na płodność u domowych zwierząt i u kobiet, a także potrafią rozplątywać węzły, jakich żadna istota ludzka nie potrafiłaby rozwikłać. Mówią też, że są dobrymi specjalistami od porodów świń, koni i krów, Wszystkie ich umiejętności opierają się na sprawności rąk, a ich religia polega na wpatrywaniu się w słońce; mądrość ta połączona jest z monotonnymi i dziwacznymi tańcami, przy pomocy których przygotowują się do rytuału, jaki praktykują w samotności. Mówi się, że mają pociąg do *óloliuqui*, którą przechowują podczas swoich długich wędrówek w woreczkach, sporządzonych z moszny byka, i noszą je przewieszane na powrozie przez ramię.

Inni powiadają, że rozsiewają oni na swojej drodze *loco—weed*, który sprawia, że padają konie, a kobiety zachowują

254

się jak suki podczas rui. Ci, co mieszkają w Mound, od czasu gdy nieboszczyk Bili McCoy założył osadę przed jakimś trzydziestu laty, twierdzą, że to zawsze ci sami zieleni Indianie wędrują co cztery lata i że ich liczba nie powiększyła się ani nie zmalała przez ten czas. Wyciągają stąd wniosek, że skoro się nie rozmnażają, muszą być nieśmiertelni. Ale ja nie jestem tego zbyt pewien, choć widziałem, jak przechodzili tędy już trzy razy. Idą nago i wydaje się, że robią z zielonkawej miedzi

niago i wydają się złościć z zielonkawej młodzi.

Stary Buck Pringle, który widział ich też, jak przechodzili przez Realitos w 1876 roku, mówi, że nie są oni nieśmiertelni, tylko martwi, i że nie ma nikogo na południe od Colorado, kto byłby bardziej martwy niż zieleni Indianie, i dlatego nie umieją mówić ani nie rozumieją ludzkiego języka, i że również dlatego potrafią rozplatać każdy węzeł. Mówi stary Buck, że zabili ich Meksykanie przed powstaniem Republiki i są to po prostu dusze dawnych wojowników. Ale jak tu się dowiedzieć, czy to prawda.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykawaki

RUBEN DAMO

Głuchy satyr

(opowiadanie greckie)

Mieszkał w pobliżu Olimpu satyr i był starym królem swego gaju. Bogowie powiedzieli mu: „Używaj, gaj jest twój; bądź szczęśliwym próżniakiem, uganiaj się za nimfami i graj na twym flecie”. Satyr wiodł beztrudne życie.

Pewnego dnia, gdy ojciec Apollo grał na boskiej lirze, satyr opuścił swe posiadłości, ośmielił się wejść na świętą górę i zaskoczył długowłosego boga. Ten ukarał go czyniąc głuchym jak skała. Daremnie w gąszczu gaju pełnego ptaków niesły trele i rozlegały ćwierkania; satyr nic nie słyszał. Przybywała Filomela i ponad jego głowę, zmierzwioną i ukoronowaną winnymi pędami, śpiewała pieśni, od których zatrzymywały się strumienie i rumieniały się blade róże. On pozostawał nieczuły lub wybuchał dzikim śmiechem, i podskakiwał lubieżnie i wesoło,

gdy poprzez prześwit gąszczu dostrzegał jakieś białe i krągłe biodro, które słońce pieściło swym jasnym światłem. Wszystkie zwierzęta szanowały go jako pana, któremu winne są posłuszeństwo. Przed jego oczami tańczyły dla rozrywki chóry bachantek rozpalonych gorączką szału, którym towarzyszyły dorastające fauny, jak i piękni efebowie, pieszcząc go z szacunkiem swym uśmiechem; i choć nie słyszał żadnego dźwięku, ani odgłosu grzechotek, miał swoje rozrywki. Tak spędzał życie ten brodaty król o kozłich nogach.

Satyr był kapryśny.

Miał dwóch radców dworu: skowronka i osła. Pierwszy stracił swój prestiż, gdy satyr ogłuchł. Przedtem, gdy zmęczony rozpustą grał łagodnie na flecie, skowronek akompa—

256

niował mu. Potem w wielkim lesie, gdzie nie słyszał nawet huku olimpijskiego gromu, cierpliwe zwierzę o długich uszach służyło mu do jazdy wierzchem, podczas gdy skowronek w chwale świtu sfruwał mu z rąk, aby opiewać bezmiar niebios.

Gaj był ogromny. Do skowronka należał jego szczyt; do osła pastwiska. Skowronka pozdrawiała pierwsze promienie jutrzeńki; pił rosę z młodych pędów, budził dąb, mówiąc: „Stary dębie, zbudź się”. Rozkoszował się pocałunkiem słońca, był kochany przez gwiazdę poranną. A głęboki błękit, tak wielki, wiedział, że on, tak mały, istnieje pod jego bezmiarem. Osioł (choć wóczas nie rozmawiał jeszcze z Kantem) był, według powszechnej opinii, biegły w filozofii. Satyr, który widział, jak ogryzając liście z drzew na pastwisku poruszał uszami z poważną

miną, miał wysokie mniemanie o tym myślicielu. W owych czasach osioł nie miał tak wielkiej sławy jak dziś. Pracując zuchwami nie wyobrażał sobie, że będą go wysławiali Daniel Heinsius po łacinie, Pas—serat, Buffon i wielki Hugo po francusku, Posada i Valder—rama po hiszpańsku.

Pocziwiec, jeśli gryzły go muchy, opędzał się przed nimi ogonem, wierzgał od czasu do czasu i wydobywał ze swej gardzieli dziwaczny akord pod sklepieniem lasu.

Był rozpieszczany. Gdy odbywał sjestę na czarnej i chłodnej ziemi, trawy i kwiaty ofiarowywały mu swój zapach. A wielkie drzewa pochylały swe listowie, by użyzyć mu cienia.

W owych dniach Orfeusz, poeta, przerażony nędzą ludzi, postanowił uciec do lasów, gdzie pnie i kamienie rozumiałyby go i słuchały w ekstazie i gdzie mógłby rozkoszować się harmonią i ogniem miłości i życia grając na swym instrumencie.

Gdy Orfeusz przebierał palcami po swej lirze, uśmiech pojawił się na apolińskim obliczu. Błogość napelniała De—meter. Palmy rozsypywały swój pyłek, nasiona pękały, lwy poruszały łagodnie grzywami. Pewnego razu goździk sfrunął ze swej łodygi, zamieniając się w czerwonego motyla, i gwiazda spadła oczarowana, przeobrażając się w kwiat lili.

Jakież gaj byłby wspanialszy od gaju satyra, którego on oczaruje, gdzie będzie uważany za półboga; gaj, będący ca—

17 _ W zaczarowanym zwierciadle

257

W radością i tańcem nieknem i namietnością odzie wie

anakreoncki gołąb. Ucihło^o echo, słychac było tylko głos Orfeusza. Natura zachwycała się hymnem Wenus, przechodząca w pobliżu, spytała z dala swym boskim głosem: „Czy jest tu może Apollo?”

I w całym tym bezmiarze cudownej harmonii jedynie= głuchy satyr niczego nie słyszał.

Gdy poeta skończył, spytał go: „Czy podoba ci się mój śpiew? Jeżeli tak, pozostanę z tobą w gaju”.

Satyr skierował spojrzenie ku swym dwom doradcom. Trzeba było, aby oni rozstrzygnęli to, czego nie mógł zrozumieć. Spojrzenie to pytało o opinię.

.258

— Panie — powiedział skowronek, starając się wydać najsilniejszy dźwięk ze swej krtani — niech pozostanie z na—| mi ten, kto tak śpiewał. Jego lira jest piękna i potężna.; Pokazała ci wielkość i rzadkie światło, jakie widziałeś dziś w twym gaju. Użyczyła ci swej harmonii. Panie, te sprawy są mi nieobce. Kiedy przychodzi naga jutrzienka i budzi się świat, wznoszę się ku niebiosom i rozsypuję z wysokości — J niewidzialne perły moich trel, i wśród porannych jasności moja melodia zalewa powietrze, i jest radością przestrzeni. Otóż mówię ci, że Orfeusz śpiewał dobrze i jest wybranцем bogów. Jego muzyka upoiła cały gaj. Orły nadleciały, aby krążyć nad naszymi głowami, kwitnące krzewy poruszały swymi tajemniczymi kadzidłami, pszczoły opuściły swe komórki, aby przybyć i słuchać. Co do mnie, o Panie, gdybym był na twoim miejscu, oddałbym mu wieniec z winnych pędów i lyrs. Istnieją dwie siły: cielesna i

duchowa. To, co Herkules uczyniłby swymi dłońmi, Orfeusz czyni swym natchnieniem. Potężny bóg rozbiłby jednym uderzeniem pięści samą górę Athos. Orfeusz ujarzmiłby swym triumfującym głosem lwa z Nemei i dzika z Erymantes. Wśród ludzi jedni urodzili się, by kuć metale, drudzy, aby wydierać płodnej ziemi kłosa zboża, inni, aby walczyć w krwawych wojnach i inni, aby uczyć, sławić i śpiewać. Gdy jako twój podczaszy daję ci wino, ciesz się twe podniebienie; gdy ofiaruję ci hymn, raduje się twoja dusza.

zmarszczył gniewnie czoło i nie zdając sobie z niczego sprawy, wykrzyknął, wskazując Orfeuszowi wyjście z gaju:

— Nie!

Do sąsiedniego Olimpu doszło echo i rozległ się tam chóralny wybuch gromkiego śmiechu, który później nazwano ^rfeusz^yszedł smutny z gaju głuchego satyra, gotów niemal powiesić się na pierwszym drzewie laurowym, spotkanym na swej drodze.

Nie powiesił się, ale pojął za żonę Eurydykę.

Przełożył Andrzej Sobol—Jurczykowski

Kiedy skowronek śpiewał, Orfeusz akompaniował mu na swym instrumencie, a wielkie i władcze liryczne tchnienie wydobywało się z zielonego i wonnego gaju. Głuchy satyr zaczynał się niecierpliwić. Kim jest ten dziwny gość? Dlaczego ustał przed nim szalony i rozkoszny taniec? Co mówili jego dwaj doradcy?

Ach! Skowronek śpiewał, ale satyr nie słyszał! W końcu skierował swe spojrzenie na osła.

Chodziło o jego zdanie? Więc dobrze. Wobec wielkiego i
dźwięcznego gaju, pod świętym błękitem, osioł poruszył głową z
jednego boku na drugi, poważny, nieustępliwy, milczący jak
mędrzec, gdy rozmyśla.

Wówczas satyr uderzył swą rozciętą stopą w ziemię,:

260

SÓCRATES COBAS

Czarodziejak

Pewnego razu był sobie pewien tak biedny jak śliczny i
nieszczęśliwy z powodu surowości swojego ojca chłopczyk,
który wracał do domu po długim i wyczerpującym dniu pracy w
lesie, bo chociaż dziecko, można powiedzieć, że był tak
pracowity, jak biedny, śliczny i nieszczęśliwy z powodu
surowości ojca.

zdarzyło się, że z powodu zmęczenia czy nieuwagi, czy też z
innego nieznanego powodu, który nie był żadnym z tych dwóch,
gdy przechodził przez rzekę, upuścił z mostu do wody siekiere,
należącą na domiar złego, jak wszystkie rzeczy w domu, do
ojca, który bardzo ją sobie cenił, co jest rzeczą zrozumiałą, jeśli
się weźmie pod uwagę, że była ona jednym z nielicznych
narzędzi, jakie posiadali, aby zarobić na utrzymanie, i tak już
wystarczająco w owych miejscach i czasach trudne.

podobne zdarzenia, nieszczęśliwe i powszechne, zdają się
uzasadniać przekonanie, że nieszczęścia na pozór spadają na
tych, którzy ze względu na swoje zalety najmniej na nie
zasługują, i choć niniejsze opowiadanie przeczy temu,

przynajmniej w tym konkretnym przypadku, nie zdoła jednak wykazać, że opinia przeciwna, jakoby szczęście było proporcjonalne do ilości dobrych uczynków, jest słuszna i nie tak niezwykła jak ta pierwsza.

chłopczyk, biedny, śliczny, pracowity i jeszcze bardziej teraz nieszczęśliwy, przeraził się i jego pierwszą, może w pewnym stopniu nieświadomą, reakcją był rzewny płacz.

z powodu tych łez, a może z powodu upadku siekiery, co również jest możliwe, wody rzeki, przedtem spokojne, poruszyły się w dziwny sposób i wyłoniła się z nich płynna i promienna czarodziejka rzeki czy też wód w ogóle, jak można by sądzić po wspaniałości jej płynnych szat; chociaż

262

nie można być tego pewnym nie znając dokładnie wyglądu innych czarodziejek wyższej czy niższej kategorii, co jest ważnym, o ile już nie koniecznym, warunkiem porównania, zbliżyła się do dziecka, czym dowiodła, że jej pojawienie się związane było, jak to uprzednio przypuściliśmy, z nim właśnie, i powiedziała łagodnie: „o, chłopczyku”, jako że czarodziejki zwykle używają wołacza, „czemu tak płaczesz?”

dziecko opowiedziało jej w sposób bardziej lub mniej przejrzysty, co się stało, bacząc, by rozpocząć od „o, pani” i w ten sposób utrzymać odpowiedź w tonacji pytania.

„jeśli o to chodzi, przestań płakać, ja ci pomogę”, odpowiedziała z uśmiechem i zaczęła zanurzać się w niezbrane rejony, z których przybyła, lecz po kilku chwilach można było dostrzec to samo wzburzenie powierzchni wody, które jednak

nie wydało się tak dziwne jak poprzednio, i ukazała się równie płynna i promienna nasza czarodziejka niosąc złotą siekierę oprawioną w piękną rękojeść z drogocennego drzewa, „czy to przypadkiem, chłopczyku, twoja siekiera?“, zapytała zbliżając się, jakby pragnęła mu ją wręczyć, choć chodziło jej o to jedynie, aby jej się przyjrzał*

„o nie, pani, to nie ta”, odpowiedziało dziecko nie przejawiając najmniejszego zamiaru odpowiedzenia gestem na gest czarodziejki, może dlatego, że przy tym świetle i z tej odległości rozpoznanie okazało się możliwe na pierwszy rzut oka.

„spróbujmy więc jeszcze raz”, rzekła jakby do siebie, podczas, gdy znowu znikwała.

gdy ponownie się ukazała, poprzedzona zwykłym wzburzeniem wody, które nie wydawało się już wcale dziwne, niosła tym razem siekierę z błyszczącego srebra z odpowiednią do niej rękojeścią.

ale musiała wracać do wody, gdyż dziecko wykazało jej, że znowu popełniła omyłkę.

chłopczyk zadawał sobie pytanie, podczas gdy oczekiwał nowego pojawienia się jej, jako że uprzejmość czarodziejki zdawała się je obiecywać, czy jej pomoc, pomimo dobrych intencji, nie okaże się nieprzydatna, jako że z powodu swojego oderwania od ziemskiego świata nie wie ona, że biedni wieśniacy, nawet śliczni jak on, posiadają tylko zardzewiałe siekiery o zużytych rękojeściach, nie zaś piękne przed—

mioty, jakie znała ona z racji swej wysokiej pozycji, co wskazywały niestosowne pytania, które zadawała przednio, kiedy pokazywała mu drogocenne siekiery.

o tym myślał, kiedy ujrzał ją przed sobą, nie dostrzegł—! szy uprzedniego wzburzenia wody, bo albo wydawało mu się już ono naturalne, gdy powstało po raz czwarty, albo j też tak bardzo był pochłonięty swoimi myślami.

tym razem odpowiedział na gest, bowiem, również na pierwszy rzut oka, rozpoznał tę zwykłą i starą siekiere, która— | rą niosła czarodziejka wraz z poprzednimi, ze złota i srebra i które wręczyła mu z najpiękniejszym ze swoich uśmie—i | chów, mówiąc: „oto, chłopczyku, nagroda za twoją uczci— | wość”, po czym znowu zniknęła, promienna i płynna, w swoim tajemniczym królestwie.

rozmyślając nad tym co się stało, co można by pozornie wziąć za dowód stosunku szczęścia do ilości dobrych uczynków, cteiecko wróciło do domu, gdzie starało się opowiedzieć o wszystkim, podczas gdy rodzice i bracia zadawali mu jednocześnie i niecierpliwie pytania i przerywali licznymi okrzykami podziwu na widok siekier, które przechodziły z rąk do rąk, tych ze szlachetnych metali, bo dawną, zwyczajną i zużytą, rzucono w ką, dokładnie pod nogi braciszka, który w milczeniu przyglądał się całej tej scenie i który zagadkowym spojrzeniem czy nerwowym ruchem, jakim splatał palce obu rąk, czy też tymi oboma szczegółami dawał do zrozumienia, że ta historia naprowadza go na jakąś myśl, co okazało się prawdą, gdy podniósł szybko z ziemi siekiere i wszedł ukradkiem

gdy pochłonięszy ją z ziemi siekierą i wyszedł ukłonięty tylnymi drzwiami bacząc, by nie zwrócić na siebie uwagi radosnej grupki, która jeszcze raz słuchała przerywanego opowiadania wznosząc te same okrzyki i robiąc te same spostrzeżenia na temat drogocennych przedmiotów.

gdyby opowiadanie to nie było związane, krótkie, ograniczające się do głównej sprawy i pozbawione wszelkich uwag marginesowych, zdań wyjaśniających czy jakiegokolwiek innego odchylenia, można by wiele powiedzieć o tym drugim chłopczyku, również ubogim, ślicznym, pracowitym i nieszczęśliwym, ale o krętym, ambitnym, zazdrośnym i pozbawionym skrupułów charakterze.

po wyjściu z domu pobiegł on z siekierą na most i przypominając sobie opowiadanie braciszka wrzucił ją do wo—
264

dy, po czym natychmiast zaczął płakać, rzewnie, choć obłudnie.

po upływie czasu, jaki nakazywała ostrożność czy też takiego, jaki wydawał się konieczny, aby się wynurzyła, pojawiła się czarodziejka rzeki czy wód w ogóle, gdyż wątpliwość ta nie została wyjaśniona, jakby jedynym jej zadaniem było oczekiwanie na upadek siekiery i na płacz dziecka, aby ukazywała się płynna i promienna.

powtarzając to, co wyglądało na jej rytuał, zbliżyła się do niego i ze zwykłym u czarodziejek „o, chłopczyku”, zaczęła go wypytywać.

gdy poznała już powód płaczu, zaofiarowała mu swoją

szlachetną pomoc i zanurzyła się, aby wyłonić się po chwili ze złotą siekierą w pięknej rękojeści z drogocennego drewna.

gdy czarodziejka zbliżyła się pytając, czy rozpoznaje siekierę, dziecko o krętym, ambitnym, zazdrosnym i pozbawionym skrupułów charakterze pomyślało, że byłoby ryzykowne odpowiadać przecząco, gdyż może czarodziejka, zmęczona poprzednimi zanurzeniami i wynurzeniami już nie powróci, lub nie powróci, gdyż wyda jej się podejrzana taka ilość uczciwych dzieci w tak krótkim czasie, lub po zapadnięciu nocy tajemniczy i być może surowy kodeks wodny nie pozwoli jej na to i straci on wówczas, wraz z cennym przedmiotem, również domową siekierę, co wywołałoby straszną reakcję ze strony ojca, która pogłębiłaby jego i tak już wielki upadek moralny; albo też, nawet jeśli zastosuje się do metody użytej przez brata i rozpozna jedynie siekierę domową, i tak nie otrzyma żadnej nagrody, gdyż być może nie ma zwyczaju przydzielać jej dwa razy w ciągu jednego dnia, lub z powodu późnej pory, lub kodeksu, lub kto wie z jakiego jeszcze powodu, którego jego zmęczony umysł nie znajdował, ale podejrzewał.

tak więc, zważywszy wszystkie pro i contra, postanowił nie ryzykować i przyjąć tę pierwszą propozycję, która wynagrodzi ojcu stratę starej siekiery, to znaczy, o ile wróci do domu, gdyż równie dobrze będzie mógł sprzedać całe to złoto i uciec daleko od nędzy, pracy i surowości ojca.

gdy czarodziejka usłyszała, że odpowiada twierdząco, ani nie przestała się uśmiechać, promienna i płynna, ani nie powstrzymała swojego uprzejmego gestu wręczania.

„jeśli tak, chłopczyku, oto ci ją oddaję”, powiedziała
265

i jednocześnie wymierzyła mu w sam środek czaszki pewny i silny cios siekierą, który poszedł szerokim, czerwonym cięciem ku dołowi, aż zatrzymał się przy szyi, gdzie ten wspaniały przedmiot utkwił silnie wbity.

„oto, chłopczyku”, powiedziała nie przestając się uśmiechać „nagroda za twoje kłamstwo” i dodała zanurzając się: „któż by pomyślał, jaka ta praca jest czasami ciężka”.

Przełożył *Andrzej Soból—Jurczykowski*

ALFREDO CARDONA PENA

W zaczarowanym zwierciadle

Po katastrofie samolotu z bagażu, jaki należał do pana Anzelma Valdieza, ocalało jedynie stare, owalne lustro w srebrnej oprawie. Wzięła je pani Aurelia, jedyna krewna zaginionego, i kazała zawiesić w korytarzu na najwyższym piętrze rezydencji. Ustalono później, że lustro zostało kupione na włoskim bazarze podczas ostatniej podróży pana Valdieza do Europy. Był to naturalnie przedmiot wielkiej wartości, który ocalał z wypadku dzięki solidnemu opakowaniu z kartonu.

Pewnego popołudnia pani Aurelia przechodząc obok lustra, dojrzała w głębi tafli wykwintnej weneckiej roboty przerażający obraz twarzy pana Valdieza, całej w płomieniach. Krzyknęła przeraźliwie i padła zemdlona. Odnalazł ją i podniósł zatroskany mąż, pan Tolentino. Następnego dnia lustro zostało zakryte czarną, jedwabną zasłoną. Tak zarządziła przerażona i zapłakana pani domu. Ale mąż, sportowiec, człowiek energiczny i rzeczowy, zbeształ ją za to. Wytłumaczył jej, że nie widziała w lustrze niczego, że wszystko było wytworem pobudzonej katastrofą lotniczą wyobraźni. I żeby jej to udowodnić, wziął ją za rękę, zaprowadził do korytarza, zerwał jednym szarpnięciem czarną zasłonę i przeszedł się kilka razy przed lustrem, powtarzając:

— Widzisz? Nic tam nie ma. Przekonałaś się?

— Przysięgam ci, że...

— Bzdura! Zapomnij o swoich strachach i zostaw lustro tak, jak jest, odkryte, niech demonstruje własną wartość.

Po kilku dniach, wracając z niewielkiej sali gimnastycznej, mieszczącej się na końcu korytarza, pan Tolentino przeszedł obok lustra i wydało mu się, że widzi w nim jakieś odbicie.

Zaintrygowany cofnął się, pobladł i zadrżał: okale—

267

czona twarz pana Valdieza pojawiła się i zniknęła w jednej chwili, jakby jakiś złowieszczy powiew. Pan Tolentino do tarł do swego pokoju i usiadł na brzegu łóżka, ogarnięt straszliwą trwogą. Schwycił się obiema rękami za głowę! i powtarzał jak ogłupiały: „To niemożliwe! To niemożliwe!”

Naturalnie zataił przed żoną fakt ukazania się widma | i nikt, obserwując jego swobodne zachowanie, nie mógłby] odgadnąć, co działo się w głębi jego duszy.

Minął jakiś czas i pani Aurelia znowu miała to samo okropne przywidzenie raz, drugi, trzeci... podobnie Tolenti—H no. Ale oboje milczeli, roztrzęsieni i załamani. Rozkład mie—i szkania i umiejscowienie lustra stwarzały nieuniknioną j nieczyjaść przechodzenia obok niego. Lecz wszakże zasłonięcie, zniszczenie lub sprzedaż zwierciadła, oznaczałyby przy* znanie się do własnej klęski, toteż żyli nadal w niewyraźnej udreće, skrywając trwogę.

Pewnego wieczoru, gdy pan Tolentino leżał w łóżku, czytając gazetę, wpadła żona w ataku hysterii.

— Wynośmy się stąd, bo oszaleję! — krzyczała.

— Widziałś coś? — zapytał mąż, dygocąc.

— Tak, tak! To okropne! — atak nerwowego śmiechu wstrząsał nią całą, a on, stojąc obok, patrzył na nią i za—;; gryzał wargi. W końcu wyszli z domu i spędzili resztę nocy j w hotelu. Na widok wielkiego lustra ściennego w recepcji Aurelia zakryła dłońmi oczy i chciała uciekać, ale Tolentir zatrzymał ją i ze sztucznym spokojem zrobił oko do u cjonisty, wręczając mu jednocześnie napiwek.

— Niech się pan nie przejmuje — powiedział ze złości—r] wym uśmiechem pracownik hotelu. — Podpiszę za pana. d Oczywiście nie mogli zasnąć. Zaczęli rozmawiać.

— Wiesz? — powiedziała Aurelia — to jest kara, straszliwa kara.

— Nie mów tak. Sądzisz, że rzeczywiście coś tam dzieje?

— Dzieje się czy nie, ale to jest kara.

— Do diabła z karami i lustrami. Zaraz jutro rozbiję JS na kawałki, zobaczysz!

— I co przez to osiągniesz? Lepiej już wyznać wszystko.

Rozległo się przekleństwo, ale w końcu mężczyzna zgodził się na ten niełatwy krok. Następnie uścisnęli się i Aurelia wypłakała się w jego ramionach, pozbywając się wraz ze łzami resztek koszmaru.

Śmierć Anzelma Valdieza nie była sprawą przypadku. Majątek jego wynosił trzydzieści milionów, a on sam liczył sobie zaledwie czterdzieści dziewięć lat i cieszył się doskonałym zdrowiem. Aurelia i Tolentino postanowili wyprawić go w podróż jego eleganckim prywatnym samolotem. Osiem dni

podroz jego eleganckim, pływającym samolotem. Osiem dni wcześniej, przekonani, że interesy pana Valdieza nie pozwolą mu na lot z Teksasu do Meksyku przed upływem tygodnia, umieścili w silniku ładunek wybuchowy. Sami zaś, pełni oczekiwanias, wyruszyli wcześniej własnym packardem.

— Na pewno — powiedział dodając gazu Tolentino — przywiezie jeden z tych rupieci, w jakich się lubuje. Zauważyłaś to śmieszne lustro, które pakował?

Kiedy sędzia ich wysłuchał, zarządził szczegółowe śledztwo i wszystko, niestety, zostało wyjaśnione. Skazano ich zgodnie z prawem i zamknięto akta, ale przedtem gazety narobiły sporo hałasu.

Kilka dni później otwarto dom małżonków Tolentino dla sporządzenia inwentarza ruchomości. Jeden z urzędników, przechodząc obok lustra, wybuchnął głośnym śmiechem. Inspektor tajnej policji zganiał go surowo, nie lubił bowiem tak wulgarnych przejawów wesołości. Urzędnik wyjaśnił:

— Widziałem tam jakiegoś starucha. — I wskazał lustro.

Wówczas detektyw przypomniał sobie, że jedno ze skazanych wspominało coś o „twarzy z lustra”, co on sam uznał za klucz do całej sprawy. Kazał zdjąć je ze ściany i zanieść do eksperta od zwierciadeł, autora traktatu o wyrobie luster w dawnych wiekach. Człowiek ten nazywał się Jose Urdiel i miał sklep na ulicy Izabeli Katolickiej. Do niego właśnie zgłosił się detektyw z cennym antykiem.

— Jest to tak zwane „lustro magiczne” — wyjaśnił Urdiel po wymontowaniu tafli i zbadaniu przedmiotu.

— Co pan ma na myśli?

— Tak nazywano w średniowieczu lustra, które służyły rzekomym czarodziejom do zwodzenia prostaczków.

— Ciekawe, ciekawe...

— Niech pan spojrzy, tu, pod taflą, jest cynowa płytką z podobizną starca.

— Tak, rzeczywiście...”

— No właśnie. Ponieważ tafłę poddawano kąpieli w lu* strzanym pyłe, w skład którego wchodził alabaster, malunek może pojawiać się chwilami, w zależności od oświetlenia.

— Ach. Już rozumiem!

— Tak czy inaczej, to lustro warte jest majątek. Niech pan przyjrzy się tej ramie odlanej w całości. To bogate zdobnictwo, te woluty na zwieńczeniach i ta płatanina linii ornamentu wyprzedzają style XVII wieku. Ja bym tego nie sprzedał nawet za dwa tysiące dolarów.

Wieczorem, przed położeniem się spać, inspektor tajnej policji zanotował w dzienniku:

„Piątek, dwudziesty drugi czerwca. Dziś przekonałem się, do jakiego stopnia wyrzuty sumienia mogą opanować wolę i unicestwić logikę. Zabójcy pana Valdieza sądzili, że nie—r winny średniowieczny rysunek odbijający się w lustrze przedstawia oblicze ich ofiary. Kompleks winy, połączony ze strachem, zmusił ich do zeznań. Gdybym był poetą, napisałbym w tym miejscu: »W zaczarowanej tafli zwierciadła...*^

Przełożył Jerzy Kiihn

MANUEL MUJICA LAINEZ

Dylizans

Ile to już dni, okrutnych, pełnych udręki dni, podróżują tak, potrząsani, podrzucani, ciskani bezlitośnie o ściany dylizansowego pudła, uwięzieni na twardych siedzeniach? Catalina straciła rachubę czasu. Może pięć, może dziesięć lub piętnaście, a może cały miesiąc upłynął od chwili, gdy wyjechali z Cordoby ciągnięni przez osiem nierozgarniętych mulic. Z Cordoby do Buenos Aires jest sto czterdzieści dwie *leguas* * i chociaż Catalina oblicza, że przejechali przeszło trzysta, tylko osiemdziesiąt dzieli miejsce wyjazdu od Guardia de la Esquina, najbliższego zajazdu pocztowego.

Inni pasażerowie drzemią kiwając głowami niby kukły, ale Catalina nie może usnąć. Od czasu kiedy opuścili światłą Cordobę, raz lub dwa z trudem przymknęła oczy. Powóz skrzypi i trzeszczy kołysząc się na skórzanych pasach rozciągniętych między wysokimi kołami z twardego drzewa *urunday*. Na nic nie zdaje się owijanie piast kół i osi pasmami świeżej skóry, aby złagodzić uderzenia. Piekielna kolasa chyba rozmyślnie została zbudowana tak, aby dręczyć tych, co nią podróżują. O nie, dłużej tak być nie może! Gdy tylko przyjadą do Buenos Aires, starsza pani poskarży się głównemu administratorowi Poczty Królewskiej, don Antoniowi Romero de Tejada, a jeśli będzie trzeba, pójdzie nawet do samej Wicekrólowej del Pino, pani Rafaeli de Vera y Pintado. Niechaj wiedza kim jest Catalina Varoas!

Starsza pani otula się szerokim, popielatym szalem i jeszcze raz obmacuje, pod spódnicą, sakiewki z jej skarbem, które wsiadyła w bieliznę. Przygląda się lękliwie, czy współpasażerowie nie dostrzegli jej gestu, lecz szybko się uspo—

— hiszpańska miara długości, 5,57 km (przyp. tłum.).

271

kaja. Nikt na nią nie patrzy. Kurier okrutnie chrapie wciśnięty w kącie, na piersi ma brązową tarczę z herbem królewskim, nogi oparł na pocztowym sakwojażu. Inni ułożyli się w najdziwniejszych pozycjach, na kocach, z których kładą niewygodne posłania, gdy tylko powóz zatrzymuje się na postoju. Pod siedzeniami, w skrzyniach, słychać pobrzękiwanie brzuchatych naczyń ocierających się o butle z winem i suchy prowiant.

Na zewnątrz słońce doprowadza okolicę do szału. Tuman kurzu spowija dylizans i czterech żołnierzy pod bronią eskortujących konno pojazd na wypadek, gdyby pojawili się Indianie i trzeba było bronić ludzkiego życia. Krew mulic smaganych biczami płami podniesione szyby. Gdyby jednak otworzono okna, kurz zadławiłby podróżnych, więc muszą jechać w zaduchu, wśród odrażającej woni wiktuałów, ludzi i niepranej odzieży.

Mój „Boże! I tak przez cały czas, cały czas, w każdej minucie, bez względu na to, czy przejeżdżają przez chle—
bowcowe zagajniki czy też przepływają przez rozlewiska Rio Segundo i Saladillo! Ampia, Stanica Ferreira, Tio Pugio,

Colman, Fraile Muerto, zakole Castillo, zajazd Zan—jón, Cabeza de Tigre... Płaczą się nazwy w głowie Cataliny Vargas, podobnie jak mylą się rozrzucone na pustkowiu hacjendy z górującymi nad okolicą jednakowymi, strażniczymi wieżami i mijane w przelocie karczmy, w których wieśniacy przerywają grę w karty i kości, aby wyjść na spotkanie olbrzymiej kolasy, jedyne łącznika z dalekim miastem.

Mój Boże! Mój Boże! I te bezsenne popołudnia, jako że prawie całą podróż odbywają nocą! Popołudnia, kiedy zropaczona przewraca się na niesfornej pryczy, a słuch dręczy bliskość parobków i niewolników pastwiących się nad gitarą lub piekących mięsiwo na ogniu! A potem znowu galopem... Czarni niewolnicy usadawiają się na koźle, czepiając się go niczym pijawki (cudem tylko nie zgubili się jeszcze w tym zamieszaniu); worki, kufry i materace już ułożono na dachu. Dźwięczy róg poczyłiona i w drogę, galopem... galopem...

Catalina dotyka, pod spódnicą mieniącą się brudem jak skrofuliczne zwierzęta zaprzężone do powozu, sakw wypełnionych złotymi monetami. Bezlitosna udreka warta jest

272

jednak tego, co czeka ją potem, kiedy okrągły pieniądz z królewskim wizerunkiem pokaże całemu Buenos Aires swą potęgę. Jakże jej będą schlebiali! Nawet sam Wicekról del Pino odwiedzi jej salon, gdy dowie się o takiej fortunie. Jej fortuna! I nie tylko monety błogo kołyszące się pod spódnicą: również majątek w Cordobie, jeszcze inny w Santiago i dom przy ulicy de las Torres... Zmarła jej siostra, wdowa, i teraz jej przypadły

długo wyczekiwane bogactwa. Nigdy nie odnajdą testamentu, który starannie zniszczyła; nigdy nie dowiedzą się o reszcie... o tych... o tych ukrytych lekarstwach... i o tym, co dodała do leku. Bo czy nie miała prawa tego uczynić? Czy to sprawiedliwe, aby szaleństwo siostry pozbawiało ją wszystkiego, co się jej należy? Czy nie postąpiła słusznie zabezpieczając się na stare lata? Choroba, która pożerała Lukrecję, należała do nieuleczalnych...

Galopem... galopem... galopem... Obok stukających drzwiczek tańczy figura żołnierza z eskorty. Przeciągły jęk rogów obwieszcza, że zbliżają się do Guardia de la Esquina. Jeszcze jeden etap za nimi.

A potem następne: posuwają się brzegiem rzeki Carca—raña przyglądając się z daleka nędznym, gauczowskim ran—czom rozrzuconym wśród rozlewisk, w których moczą swe warkocze samotne wierzby; docierają do India Muerta; przeprawiają się przez Arroyo del Medio... Dniami i nocami, dniami i nocami. I oto Pergamino z fortem otoczonym szeroką fosą, ze zwodzonym, drewnianym mostem i czterema działkami wymierzonymi w bezkresną równinę. Porucznik dragonów, preżąc się, wypinając pierś niczym jakieś pstrokate ptaszysko, przychodzi odebrać pisma ostemplowane czerwonym lakiem. Zmieniają mulice ociekające potem i krwią, całe w błocie. A riocą ruszają w dalszą drogę.

Galopem... galopem... tupot kopyt i świst bicz... Nie ustaje stukotanie szyb. Nawet pod niebem roziskrzonym gwiazdami. Wspaniałym niczym płaszcz królowej. unął nie daie

spokoju więzniom owej trzęsącej się kolasy. Koła grzęzną w wyboistych koleinach, jakie zostawiły wozy ciągnione przez woły. Ale już niewiele. Arrecifes... Areco... Lu—jan. Już niewiele.

Catalina Vargas jest na wpół omdlała. Jej palce zaciskają się na sakwach, w których kołysze się siostrzane zło—

18 — w zaczarowanym zwierciadle

273

to. Siostra! Nie należy jej przypominać. Wszystko to był koszmarem śnionym dawno temu.

Królewski kurier zapala fajkę. Starsza pani podrywa się wściekła. Tego już za wiele! Jakby nie dość było dotyczasowych niewygód! I już chce zbesztać urzędnika, kiedy dostrzega nagle w powozie nową pasażerkę. Widzi ją za smugą dymu; mglistą, widmową. Ma na sobie popielaty szal, podobny do tego, który sama nosi i jak ona okrywa głowę kapturem. Kiedy weszła do powozu? Nie w Perga—mino. Mogłaby przysiąc, że nie w Pergamino, na ostatnim postoju. Więc jak to możliwe...?

Podróżna zwraca twarz w stronę Cataliny Vargas, a ta rozpoznaje, w półmroku kaptura, we mgle, która wszystko ogarnia, ostre rysy twarzy swej siostry, zmarłej siostry. Inni jak gdyby nie dostrzegli jej pojawienia się. Kurier dalej ćimi fajkę. Obok zakonnik modli się ze złożonymi rękoma, a małżeństwo jadące z Peru drzemie potrząsając głowami. Młoda Murzynka cicho rozmawia z oficjalistą.

Catalina blednie i z otrockim okrzykiem: Siostra, siostra!

Catalina kuli się i ze strachu obiewa potem. Siostra wpatruje się w nią rybimi oczami. Gęstniejący dym przyprawia o mdłości. Starsza pani chciałaby krzyczeć, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Odpędza rękoma gęste powietrze, lecz nikt nie ma czasu zajmować się nią, bo w tej Oto chwili coś z wielkim trzaskiem łamie się w podwoziu, dylizans przewraca się i wali na ziemię wśród skowytu i podskoków gwałtownie zatrzymanych mulic. Pękła jedna z osi.

Woźnice i żołnierze pomagają poturbowanym pasażerom wydostać się z dylizansowego pudła. Mnożą wyjaśnienia, aby ich uspokoić. To nic. Za pół godziny uszkodzenie będzie naprawione i ruszą dalej do Arrecifes, dokąd mają cztery *leguas*.

Catalina powraca do siebie po omdleniu leżąc na korzeniach drzewa ombu. Reszta otacza powóz, którego skrzynia wróciła już do normalnego położenia na pasach podwozia. Brzmi róg i żołnierze dosiadają koni. Jeden z żołnierzy staje przy otwartych drzwiczkach powozu, aby sprawdzić, czy nie braknie kogoś z pasażerów wchodzących właśnie do środka.

Starsza pani chce się podnieść, lecz trzyma ją jakieś okrutne brzemień. Czyżby złamała nogę, a może to złote

a iakby były z marmuru, jakby wszystka odzież pSmLSa i w” marmurowy blok płatający « cło ziemi? Głos więźnie jej w gardle.

O kilka kroków dalej kołysze się gotowy do drogi dylizans. Już zajęli swe miejsca kurier królewski, franciszka—nn małżeństwo, Murzynka i oficjalista Teraz dogrupy nLkżerów

dołącza jej widmowa siostra Lukrecja, blizna—S do niej podobna, w popielatym szalu i z opuszczonym kapturem I patrzcie. Odrząca uprzejmą dłoń poczythona. Są wsz[^]cy Już siadają na koźle. Już trzaskają biczyska. W Si kurzu dylizans pędzi do Arrecifej kołysząc się, podskakując, klucząc jak ślepe, spłoszone TMeTM^

A Catalina Vargas zostaje sama, bezwładna, niema, w samotność pampy i nocy, gdzie wkrótce będzie słycać tylko krzyk sępów.

Przełożył Rajmund Kalicki

274

JAYIER

Popielaty pies

Przed drzwiami zatrzymał się na kilka chwil; wahał się, czy ma zadzwonić. Niewiele oczekiwał po tej wizycie. Wiedział z góry, jaka będzie opinia lekarza.

Odwrócił głowę i zobaczył psa leżącego na krawędzi chodnika — popielatego, chudego psa o oczach jasnych i przezroczystych.

Wtądy nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła pielęgniarka, w milczeniu przeprowadziła go wąskim korytarzem, a gdy weszli do poczekalni, powiedziała: — Będzie pan łaskaw usiąść.

Usiadł. Poczekalnia była przestronna, pachniało woskową pastą i cygarami. Stojąca lampa rzucała na podłogę krąg światła, za którym nie można było dojrzeć przedmiotów znajdujących się w pokoju.

Wziął do ręki jakieś czasopismo i odłożył je, przerzuciwszy kilka stron.

Na przeciwległej ścianie wisiał obraz. Rozróżniał jedynie złocone zdobienia ramy. Próbował poruszyć lampę, lecz tkwiła mocno na ciężkiej, brązowej kolumnie. Skierował wzrok na obraz. Wydało mu się, że widzi scenę marynistyczną: moło, grupkę rybaków i statki. I wtedy uświadomił sobie, że odtwarza własne wspomnienia: port w niewielkiej zatoce nad Pacyfikiem.

Z natężeniem wpatrywał się w obraz. Dostrzegał jedynie niekształtną masę barw. Za świetnym kręgiem wszystko się zacierało. Zmienił pozycję. Odchylił głowę ku oparciu fotela i twarz jego znalazła się w cieniu. Zamknął oczy i znów je otworzył. Dostrzegł wówczas półkę z książkami. Podniósł się, postąpił naprzód i przystanął. Na półeczce, obok książek, stał krucyfiks. Ramę obrazu zdobiły cztery złote wężyki ornamentu. Przeliczył je:

276

— Raz, dwa, trzy, cztery.

Wciąż nie mógł dojrzeć sceny przedstawionej na płótnie. Zdawało mu się, że widzi postać kobiety, jakiś portret.

Nie chciał się zbliżyć. Zabawa ta pochłaniała go całkowicie; zapomniał o psie.

Cofnął się i znowu usiadł. Przymrużył oczy, a obraz oddalił się, aby w końcu rozpląnąć się i zniknąć; z wolna otwierał je i wtedy obraz zbliżył się, był niemal w zasięgu ręki, jak gdyby oderwał się od ściany i wyszedł mu na spotkanie. Kolory układały się w naidziwniejsze formy. Szybko zmieniały się wizerunki

unkładający się w najdziwniejsze formy. Szybko zmienił się widok, które tworzył: dłonie, cienie złączone, ślimaki, wysuszone drzewa, gdy uciekają włokąc za sobą ogromne korzenie.

Nagle wśród ram pojawił się pies. Mężczyzna zamknął oczy, potem otworzył je. Pies czynił rozpaczliwe wysiłki, chcąc uciec. Mężczyzna gwałtownie poderwał się, zbliżył do płótna. Pies znikł. Na ścianie wisiał olejny obraz — głowa młodzieńca.

— Dobry wieczór panu — rzekł lekarz, który wyszedł z gabinetu.

Mężczyzna odpowiedział na powitanie i skierował spojrzenie na płótno. Lekarz troskliwie ujął go pod ramię i zapytał:

— Interesują pana obrazy?

— Tak, doktorze, swego czasu sam malowałem.

— Pokażę panu obraz wiszący w gabinecie. Podarował mi go pewien chory. Nigdy nie malował, była to jego pierwsza praca. Chodźmy.

Weszli do gabinetu. Lekarz przymknął drzwi i znowu ujął pacjenta pod rękę; zaprowadził go przed obraz.

— Co pan sądzi?

— Doprawdy, wzruszająca naiwność. Wydaje się, że malowało go dziecko lub jakiś prymitywista. Proszę spojrzeć na ulicę, te domy w powietrzu, te postacie.

Dalej nie mógł mówić. Płótno pokryło się barwą szaro—popielatą, a w jednym z rogów zarysowała się głowa psa.

Zamknął oczy i cofnął się.

— Proszę usiąść — powiedział lekarz — co panu dolega?
— To co zawsze — pies — wyrzekł siadając; widzę go
znowu.

277

Lekarz usiadł obok, chciał zmierzyć puls, ale mężczyzna cofnął rękę:

— Nie mam gorączki. Mogę pana zapewnić, że mój puls jest w normie. Zaraz wyjaśnię, dlaczego przychodzę do pana. Wiem jednak, co mi pan powie, już to słyszałem wielokrotnie: „Proszę nie myśleć o nim, ten pies nie istnieje”. Przecież ja go widzę. Idzie wciąż za mną. Jest chudy, ma popielatą sierść i jasne, przezroczyście oczy.

— Proszę się uspokoić — rzekł lekarz. — Nie powiem panu: „Ten pies nie istnieje”.

Zamilkł na chwilę.

— Cóż w rzeczywistości istnieje? — dodał. — Czy tylko to, co możemy dotknąć, zważyć? Czy nie może zmaterializować się to, co sobie wyobrażamy, na przykład sen? Pan go widzi, więc owa wizja jest bytem rzeczywistym. Rozumiem. Dzisiaj potrzebuje mnie pan. Dlatego właśnie jest pan tutaj. Uczynię wszystko, aby być pomocnym. Kiedy zobaczył go pan po raz pierwszy?

— Przed z górą trzema laty.

— Gdzie?

— W Chile, w Antofagście.

— Jako dziecko nie miał pan ulubionego psa przyjaciela?

— Nie, nigdy nie miałem psa.

— Czy nigdy nie ugryzł pana żaden pies?

— Nie.

— Nie chciał pan mieć psa? Może nie pozwolono panu?

— Nie.

— Proszę przypomnieć sobie: w dzieciństwie przestraszył pana jakiś pies?

— Nie, nigdy będąc dzieckiem nie przestraszyłem się, pamiętałbym przecież.

— Pańscy rodzice żyją?

— Nie, zginęli przed dwoma laty w wypadku samochodowym.

— Mówił pan, że zajmowało go malarstwo, prawda?

— Istotnie, malowałem.

— A dlaczego teraz pan nie maluje?

— Próbowiałem wielokrotnie. Powiedziałem już panu, że po raz pierwszy zobaczyłem tego psa przed trzema laty w Chile. Właśnie malowałem. Zaciekawiała mnie pewna sce—

278

na: grupa rybaków wiążąca sieci. Niezwykły jest sposób, w jaki pracują ci ludzie. Wiążą sieci usadowieni w koło, pomagając sobie palcami stóp. Rozstawiłem sztalugi. Szkicowałem scenę, gdy jakiś pies — ten właśnie — zaczął biegać koło grupy rybaków. Przeszkadzał mi się skupić, więc poprosiłem jednego z mężczyzn, aby psa przepędził. „Jakiego psa”? — zapytał. „Tego” — powiedziałem, wskazując go. „Przecież tutaj nie ma żadnego psa” — odrzekł.

— Pies znikł. Nie zwróciłem na to uwagi. Później — no

kilku minutach — pies znowu krążył wokół rybaków. Przeszkadzał mi. Nie chciałem się naprzykrzać. Zebrałem moje przybory malarskie i ruszyłem do pracowni. Po drodze zauważyłem, że pies idzie za mną. Zwolniłem kroku, pies także. Stałem i on również się zatrzymał. Stał nieruchomo i przyglądał mi się. Jego oczy wywarły na mnie ogromne wrażenie. Bałem się, więc ruszyłem dalej. Wszedłem do pracowni, otworzyłem okno i zobaczyłem psa; rozciągnął się na progu drzwi wychodzących na ulicę. Czekał na mnie. Od tamtej pory nie mogę uwolnić się od jego obecności. ,

— Nie próbował pan malować?

— Było to niemożliwe. Często wychodziłem z domu z myślą, że właśnie teraz będę malował. Pies szedł za mną, kręcił się koło sztalug, patrzył na mnie. Szukałem schronienia w pracowni, ale słyszałem jego szczekanie na ulicy; podchodził do drzwi, drapał.

— Wszedł do pana pracowni?

— Nie, nigdy nie udało mi się zwabić go do środka. Nieraz zostawiałem drzwi otwarte. Chciałem mieć go w pokoju. Nie uciekłby mi wtedy. Sam czekałem. Godzinami całymi próżno wyczekiwałem, by wreszcie usłyszeć, jak szczeka i przyzywa mnie z ulicy. Wiele razy starałem się go zabić. Pewnej nocy, w Antofagście, zatrzymała mnie policja. Oddałem właśnie sześć strzałów. Było to w samym centrum, zaledwie kilka metrów od głównego placu. Złapano mnie z pistoletem w dłoni. Musiałem wyjechać z Chile. Wróciłem do Argentyny. Leciałem samolotem, na lotnisku pies już na mnie czekał. To było straszne.

— Rozumiem — powiedział lekarz. — Nie można żyć wlokąc za sobą cień, który nie jest naszym własnym cie—
279

niem. Musi się pan poddać kuracji szpitalnej. Możemy zacząć nawet jutro.

— Tak, doktorze, jestem zdecydowany. Mam do pana całkowite zaufanie.

— Dziękuję. Proszę przyjść jutro. Będę czekał na pana o jedenastej. Teraz mam jeszcze parę wizyt. Czy odwieźć pana samochodem?

— Nie, dziękuję, wolę spacer.

Wyszli razem. Lekarz podał mu rękę i wszedł do samochodu.

— Jutro będę czekał na pana — powiedział. Mężczyzna przeciął ulicę i znowu ujrzał psa. Zwierzę szło za nim.

Mgła była gęsta, w oddali zabrzmiała syrena statku. Fale wściekle uderzały o kamienie. Od kilku godzin błądzi! po porcie. Nagle na falochronie, za sobą, zobaczył psa. Wyciągnął pistolet. Teraz zwierzę nie mogło ujść. Dokąd miałoby uciec? Pozostawały mu dwie drogi; obie były ostateczne; cofnąć się i wpaść do wody, gdzie fale załamywały się o kamienny falochron lub wyjść na spotkanie, a trudno by teraz chybił celu.

Odbezpieczył broń. Wolno ruszył naprzód. Pies cofnął się, wpatrując w mężczyznę. Ten zmierzył się do strzału, uczynił krok naprzód i głośno krzyknął.

Nazajutrz dwaj rybacy znaleźli ciało mężczyzny, które fale

wyrzuciły na plażę. Nie leżało samotnie; pies był obok. Głowę położył na piersi topielca i niekiedy całował mu dłonie i twarz. Był to chudy, popielaty pies, o oczach jasnych i przezroczystych.

Przełożył Rajmund Kalicki

CARLOS MARIA GUTIERREZ

Winda

Yeni Dumnowej

Była sobota, zapadał zmierzch. Doktor Jorge Francisco Echavarren był w domu sam, kiedy zatelefonowała jakaś kobieta.

Tego ranka wpadł do gabinetu jego wspólnik, księgowy Bonasso, żeby podpisać umowy eksportowe, które powinny zostać zrealizowane zaraz po ukazaniu się dekretu prezydenta i oznajmił mu przy okazji: „Doktorze, dzisiaj poker jest nie tam gdzie zawsze. Gramy u jakiegoś Amerykanina, z ambasady, jak sądzę. Ale niech się pan przygotowuje, bo reszta pozostaje bez zmian”. Bonasso dodał, że nie zna jeszcze adresu Amerykanina, ale obiecał dowiedzieć się i zlecić swojej sekretarce, Mircie, żeby przekazała go w porę doktorowi.

I chociaż sekretarka nie zadzwoniła, Echavarren zaczął przygotowywać się do wyjścia. Nie był to jego najlepszy dzień: obiad w samotności, przy wielkim stole w jadalni, zepsuł pośpiech kucharki i służącego, palących się do wykorzystania wolnego dnia. Później, po zbyt długiej sjeście, obudził się zmarznięty i w złym humorze, niezdecydowany, czy iść do obcego domu, gdzie na pewno będzie musiał poznawać jakichś ludzi. Ale pozostawała sprawa dekretu. Ponadto musiał dom

wydawał mu się nie do zniesienia.

Maria Isabel i Alicia miały zostać do poniedziałku w San Rafael. Alicia postanowiła zamknąć się w domku plażowym, żeby skończyć projekt urbanizacji wiejskich osiedli albo jakiś inny ze swoich ekstrawaganckich, lecz niegroźnych pomysłów. Maria Isabel, dyskretna, ale uparta, nie chciała zostawiać córki samej i pojechała pod pretekstem sprawdzenia, jak znoszą ich różne słone powietrze Atlantyku.

Jesień była łagodna, chociaż rankami zimna. Echavarren wybrał w garderobie parę flanelowych spodni, wygodne mokasyny i sweter z golfem. Na koniec zostawił sobie do wyboru zamszową marynarkę i błękitny blezer. Zgodnie ze swoim zwyczajem wyjmował z noszonego ubrania i układał na toalecie przedmioty osobiste: zapalniczkę gazową z inicjałami, fajkę Dunhilla i londyński kapciuch, srebrny ołówek, oprawną w foczą skórę książeczkę czekową National City Bank, kluczyki do mercedesa, platynowy łańcuszek z senatorskim insygnium. Na końcu zarysowującej się linii położył zegarek: cienka złota koperta z ręcznie grawerowaną florencką bransoletką.

W łazience odkręcił kurek z gorącą wodą i rozpiął piżamę, która dalej sama zsunęła mu się do stóp. Przyjrzał się w lustrze swemu pozbawionemu tłuszczu ciału pięćdziesięcioletka: brzuch czerstwy, seks zrezygnowany, jako że zdołał aawrzeć trudny układ między nigdy nie drzemającym instynktem a spokojem wymuszonym przez inteligencję, włosy szpakowate, bez rzucającej się w oczy łysiny. Zrobił minę do lustra,

demonstrując zarówno zęby i uważne spojrzenie dojrzałego mężczyzny.

Kiedy, dmuchając i poklepując wygładzone maszynką elektryczną policzki, uśmierzał pieczenie wody kolońskiej, wydało mu się, że słyszy telefon. Poszedł go odebrać, zawiązując po drodze szlafrok i poprawiając okulary.

Dom był pogrążony w ciemnościach, służący już wyszedł. Zszedł na dół, kierując się blaskiem lampy, zapalanej być może przez chłopca. Nagle wszystko w półmroku wydało mu się obce, jakby widziane po raz pierwszy. Nie poznawał kształtu mebli, ich rozmieszczenia, głuchej ciszy opuszczonego domu. W głębi salonu lampa oświetlała stolik z milczącym telefonem. Od jedwabnego abażuru światło załamywało się ku górze, padając na Martina kupionego w poprzednim tygodniu i Echavarren zbliżył się do obrazu. Zawsze zadziwiała go cudowna właściwość pieniądza. Pieniądz miał zdolność przeobrażania się, wynurzał się z brudu i ze skąpstwa — jak istota ludzka podczas porodu wyłania się z krwi, śluzu i winy — by przekształcić się w piękno absolutne, pozbawione śladów grzesznego pochodzenia. Czując pod bosymi stopami ciepło dywanu, Echavarren poroz—koszował się raz jeszcze umiarkowaniem, jakie pociągało go w malarstwie Yicente Martina: śmiałość tonów podporząd—

kowanych pięknu, które nie budzi niepokoju, rygor kompozycji, powściągliwa wirtuozeria, w wyniku której figury, w gruncie rzeczy harmonijne, nie objawiały swego charakteru. Świeżo przybyła z Europy Alicia zakwestionowała za—” kup: „Obraz nie może być tak doskonały. Przyjrzyj mu się dobrze,

tatusiu. Powinien nosić na sobie jakieś piętno tragedii albo czy ja wiem... jakiegoś dowodu, że Vicente wie o tym, że w końcu umrze, jak wszyscy, że czasem ludzie zewnętrznie nieskazitelni gniją od środka”. W tym momencie Echavarren zanotował w myśli, że trzeba będzie któregoś dnia wypytać Alicię o jej dwa lata w Paryżu, j Przypomniał to sobie teraz, ale zaraz porzucił tę myśl, po—’ nieważ odkrył nowy efekt w obrazie i zbliżył się, zaintrygowany, przecierając okulary: dzięki światłu lampy błękity cofały się w półmrok i przedmioty stworzone przez Marti—na zacieraly się, tak że nic nie przeszkadzało w wyłącznym odbiorze pozostałych barw. Odwrotnie nawet — purpury i ochry malarza, zazwyczaj łagodne, nabierały chropowatości, która zmieniała je w skrzepy organicznej materii, nieokreślonej, lecz odrażającej. Dalej, poza zasięgiem świetlnej plamy, zacieniona otchłań ściany pożerała piękno obrazu. Echavarren powrócił myślami do Alicii. Telefon zadzwonił ostro po raz drugi.

Kobieta nie była Mirtą, choć także zdradzała dobre maniery. „Przepraszam, czy to mieszkanie doktora Echavar—rena? Czy jest pan doktor?” Odparł, że tak, ale myślał nadal o Martinie i Alicii, o swojej możliwej pomyłce i o tym, że błąd jest najobrzydliwszą formą niepewności. „Mam przekazać panu adres. Będzie pan uprzejmy zanotować?” Wobec tego Vicente był współnikiem wroga. I Alicia korzystała z, tego klucza, który otwierał drzwi, Zamknięte na zawsze przed Echavarrenem. Głos kobiety rozdzielał słowa. ^ Wziął ołówek: „Ellauri 3821, piętnaste piętro. O ósmej”.* Samogłoski wydłużały się, jakby kobieta wymawiała je uśmiechając się kpiąco. Echavarren zdał

sobie nagle sprawę, że ta nieznajoma nienawidzi go jak nikt nigdy dotąd i poczuł przez chwilę, że przerażająca i zła moc czyha na niego z drugiej strony kabla. Doznał uczucia oburzenia na Martina i Alicję: ich idiotyzmy stwarzały taki efekt w zwykłej rozmowie telefonicznej. Powiedział: „Dziękuję bardzo.—Jak brzmi nazwisko gospodarzy? Z kim mówię?” Nie było odpowiedzi, usłyszał tylko ciężki oddech, pełen wyczekiwania. Dodał jeszcze: „Kto mówi?”. A później: „Nieważne.” Połączenie zostało przerwane z tamtej strony.

Echavarren przebiegł salon wielkimi krokami, zapalając wszystkie światła. Reszta obrazów, meble w stylu duńskim, kamienny anioł salamanceński przywieziony z Hiszpanii otoczyły go natychmiast. Wąchając zapach wody kolońskiej na dłoniach wszedł na górę ubrać się. Kiedy był już gotów, wyjął dwie chusteczki z szuflady komody, która wydzielala lekki zapach perfum Marii Isabel.

Schodząc postanowił nie brać samochodu. Ulica Ellauri była blisko. Przejdzie się po świeżym powietrzu. Wszedł do biblioteki i zapalił lampę na biurku. Wyloniły się regały zatłoczone książkami, dyplomy w mahoniowych ramach i fotografie z ONZ. Na niskim stoliku, obok trunków w karafkach z rżniętego kryształu, książki i zagraniczne czasopisma otrzymane w tym tygodniu, czekały na przejrzenie w niedzielę. Nalał scotchu do szklaneczki i wypił jednym haustem. Nalał sobie po raz drugi, tym razem sącząc powoli trunek o posmaku dymu i starego drewna, po czym odstawił szklaneczkę na regał. Na tym samym regale odsunął kilka książek i pokręcił tarczą umiarkowanej w

regale ustawiając kilka książek i pokrywając talerzą wymalowaną w ścianę kasy pancernej. Zielone drzwiczki otworzyły się bezszelestnie. Echavarren odliczył dziesięć banknotów po dziesięć tysięcy pesos, zastanowił się chwilę i wyjął jeszcze dziesięć. Banknoty były czyste, nie używane, ze ślicznymi wielobarwnymi ornamentami i ze sceną historyczną, wymalowaną przez londyńskiego grafika. Schował plik banknotów do kieszeni spodni, ustawił książki na swoim miejscu i wysączył reszkę trunku, oglądając jedną z fotografii. Adlai Ste—venson i Walery Zorin spoglądają na niego nieporuszeni, podczas gdy on, z uniesionym w górę palcem i z okularami o podwójnej ogniskowej na czubku nosa, podobny trochę do Edena, odczytuje przed Radą Bezpieczeństwa deklarację na temat Kuby. W tamtym roku wcześniej spadł śnieg na Manhattanie; na Boże Narodzenie Maria Isabel poszła z nim do Macy’ego i kupili futro z norek. Wyjął jedną z chusteczek i starł z regału mokry ślad po szklance.

Wkrótce potem szedł ulicą Elluari z rękami w kieszeniach i z fajką w zębach. Zaczynał mżyć ledwo odczuwalny kapuśniaczek i stopy Echavarrena potraçały czasem jesien—

284

285

ne liście w alei. Szedł, zwracając uwagę na numerację domów, i czuł na języku aromatyczne ciepło holenderskiego tytoniu. Dekret także był pełen cyfr. Tego ranka Bonasso pokazał mu kopie przysłane przez ministra. Nieoczekiwanie oładnęła nim fala smutku i miłości do Alicii. Obiecał sobie

porozmawiać z nią w poniedziałek.

Stare drzewa dzielnicy Pocitos ocieniały ulicę lśniąca od deszczu i musiał wyteńczyć wzrok, żeby odnaleźć poszukiwany budynek. Numer 3821, z wielkich cyfr odlanych w brązie, wystawał z pokrytej jasną mozaiką fasady, która wznosiła się ku nocy. Kiedy stanął, tak że deszcz padał mu na twarz, dostrzegł między listowiem i płaszczyzną cienia kilka oświetlonych okien i parę ledwo widocznych balkonów. Wszedł do ogrodu i przez wielkie szyby westybulu zajrzał do środka, przyglądając się ścianom czerwonej barwy, posadzce, wyłożonej czarnymi płytami, poprzecinanej wąskimi linifciami z brązu, wewnątrz noszącemu piętno samotności budynków drogich i nowoczesnych. W hallu nie było foteli ani roślin; tylko harmonijne proporcje pustej przestrzeni i łagodny blask rozlewający się od źródła światła, które architekt zrećnie zamaskował. W prostokącie z czarnego marmuru, wbudowanym między szybami, które tworzyły jego obramowanie, drzwi ze stali i szkła otworzyły się bez przeszkód, kiedy Echavarren je popchnął. Na ścianach hallu nie widać było żadnego domofonu, jedyną plamą rozdzielającą czerwoną płaszczyznę były drzwi windy z chromowanej stali. W jedno ze skrzydeł wpasowany był niewielki świetlny krążek fioletowej barwy. Echavarren musnął go czubkiem palca i drzwi, posłuszne impulsowi, otworzyły się, odsłaniając oczekującą kabinę. Kiedy wszedł, drzwi złączyły się znowu z szumem niewidocznych rolek.

Metalowe ściany — także z nierdzewnej stali — podłoga z czarnego, elastycznego tworzywa, ukryte światło i czerwone

guziczki ułożone w dwóch poziomych rzędach, czyniły z windy przedmiot użyteczny i piękny, sugerujący możliwość innego jej wykorzystania. Echavarren poczuł się nieco onieśmielony, co mu się zawsze zdarzało wobec piękna świata techniki. Nacisnął piętnasty guzik w jednym z dwu rzędów, które wystawały z metalowej ściany, przypominając użębienie bezdusznego robota. Kabina była tak dobrze wyważona, że jedynym świadectwem jej ruchu były fio—

286

letowe cyfry, zapalające się kolejno pośrodku niehumanicznych zębów.

Echavarren doświadczył znanego i przyjemnego uczucia pełni; pragnął znaleźć się już przy stole gry, chciał żeby była już północ. O tej porze zdążyłby już powspominać z ambasadorem dzieciństwo, wymienić fragmenty zamglonych obrazów, jakie obaj przechowywali w pamięci: uczniowie Aldave i Pedrazzini zaskoczeni z grzesznymi rękami w ubikacji przez brata Dieudonne; klasa szkolna z ogłuszającym szumem ulewy bijącej o dach i Chrystus, wyblakły, skąpany w strumykach krwi, przebity gwoździemi prawdy, na olbrzymim, ściennym krucyfiksie; nauczyciele o zapomnianych twarzach, którzy przetrwali jedynie we wspomnieniu dziecięcej nienawiści, a kiedy pojawiali się czasem znowu, to już tylko jako pospolite nazwiska napotykanne podczas przeglądania nekrologów; pryszczę i złoty ząb ambasadora, zaakceptowanego jako towarzysza wspólnej ławy przez ucznia Echavarrena (sztandarowego czwartej klasy Gimnazjum imienia Przenajświętszej Rodziny) na polecenie brata

Schwarzniak (mimo i rzekomo węższej rodziny) na polecenie brata
Dieudonne. Owego roku, przed egzaminami, dowiedział się, że
ten smutny chłopiec, znieawidzony przez kolegów, jest
dzieckiem ze zrujnowanej rodziny i że swój wielki czarny krawat
nosi na znak żałoby po ojcu, który zginął w sławnym pojedynku.
Trzydzieści dziewięć lat później, kiedy Bonasso opowiedział mu
niektóre plotki dyplomatyczne z Rzymu, Echavarren zrozumiał
dopiero, że ten pachnący zsiadłym mlekiem, o wiecznie
spoconych dłoniach chłopiec, którego wielki krawat zbliżał się
do niego nadmiernie, kiedy ambasador zaglądał do jego zeszytu,
zawsze był pedałem.

Namacał w kieszeni dwieście tysięcy *pesos*. Razem z tym,
co miał Bonasso, stanowić będą milion. Za ledwie cztery tysiące
dolarów, ponieważ w krajach rozwijających się wszystko jest
tańsze. Z lanchii, zaparkowanej pod sosnami Villa Borghese,
rzymski przystojniś dostaje swój upragniony Rolex Colendograf
jako pocieszenie za zbliżającą się rozłąkę. Żona jakiegoś
polityka, pozdrawiając Marię Isabel w foyer Komedii
Narodowej, porównuje swoje nowe okrycie z nutrii z nurkami z
Manhattanu. O północy minister i chłopiec—pedał będą siedzieli
naprzeciwko Bonassa i Echa—varrena; pozostali gracze będą
czekali na końcową rozgrywkę—

287

kę, zgodnie z milczącą umową starych towarzyszy. Kiedy
wielkie żetony z masy perłowej powędrują na środek zielonego
sukna, Echavarren złoży karty i powie jedno tylko słowo, jak
zakłęcie. Wszyscy, oprócz ambasadora i ministra powtórzą to

słowo. W środę dekret powędruje do podpisu do prezydenta Republiki. Zamknięty w cichej kabinie Echa—varren wypróbował swój głos, wypowiadając zaklęcie: „Pas”. Drzwi z chromowanej stali otworzyły się z szumem dobrze naoliwionych rolek w absolutnej ciemności.

Echavarren pospieszył do wyjścia, chcąc się zorientować w położeniu przy odbłasku z kabiny. Ale winda za jego plecami zamknęła się nagle z głuchym pogłosem, pozostawiając go w ciemnościach. Wówczas zbadał ścianę i powierzchnię drzwi nie znajdując wszakże przycisku. Winda odjechała, zabierając ze sobą całe światło. Echavarren załomotał w stalowe drzwi, jakby elektryczność mogła dać się zastraszyć, ale nie było odpowiedzi.

Pośrodku ciemności wyostrzył słuch. Apartament powinien znajdować się blisko. A nawet tego typu budynki miały po jednym apartamencie na każdym piętrze. Odgłosy zebrania towarzyskiego powinny wskazać mu drogę. Jednakże nie słyszał niczego: ani dzwonienia lodu w szklankach, ani rozmów, ani stuków żetonów, ani echa ulicy. Bez żadnego odbłysku z okna ani smugi światła w progu jakichkolwiek drzwi, piętro wydawało się nie zamieszkałe.

Przez chwilę Echavarren poddał się panice, nieruchomy, z dłońmi opartymi o drzwi windy, która była dlań jedynym godnym zaufania punktem odniesienia. Nieco później roześmiał się z przerażenia, które zmroziło go przez chwilę. Wyjął zapalniczkę i zrobił krok naprzód, krzesząc jednocześnie kciukiem ogień. I w tym ułamku chwili sparaliżowało go nagle i' nieprawdopodobne spostrzeżenie: stopa nie natrafiła na podłogę

i opadła w próżnię, bez możliwości zatrzymania się, pociągając za sobą nogę i resztę ciała, zaskoczone brakiem oparcia. Zapalniczka wypadła mu z ręki i Echavarren rozdziwił się jakby w dwóch odruchowych i jednoczesnych reakcjach ciała i umysłu: to pierwsze, które nie chciało umierać, dokonało rozpaczliwego wysiłku i pociągnęło za nogę z całą energią mięśni i nerwów, tak iż zdawało się, że trzasa nabrzmiałe tętnice szyjne i zdołało zachować równowagę; za to umysł, wytrenowany tylko

288

do rzeczy zgodnych z logiką, odrzucił absurdalną ideę i zaprzeczył świadectwu zmysłów. Z dołu, z najdalszej głębi ciemności, doleciał go lekki stuk zapalniczki o twarde podłoże. Echavarren stał sztywno, w postawie na baczność, nie odważając się nawet mrugnąć. Krople potu spływały mu po plecach jak igielki lodu.

Ponieważ wiadomość przekazana przez stopę była nie do przyjęcia, postanowił jej tymczasem nie wierzyć. Drzwi windy były dlań jedyną rzeczą pewną. Sięgnął ręką do tyłu, ale nie znalazł ich. Być może oddalił się za bardzo i trzeba było tylko sięgnąć głębiej, ale kiedy już miał to uczynić, przyszła mu do głowy inna myśl obłąkańcza: że drzwi także zniknęły ze swego miejsca. Natychmiast poczuł, że twarz i piersi ma złane potem, który przepalał mu słonym smakiem wargi i piekł w tych miejscach, gdzie sweter przylegał do ciała. Odrzucił ów nienawistny absurd, gdyż w takim wypadku rzeczywistość zostałaby zredukowana do wrażeń dotykowych, ale na razie to mu musiało wystarczyć. Podłoga nadal niezanurzalnie

znajdowała się pod jego stopami, dodając otuchy. Począł, aż uspokoi mu się gwałtowny oddech, i schował tymczasem okulary; teraz już niepotrzebne. Wylał twarz rękawem, po czym odważył się na wysunięcie prawej nogi, najpierw do przodu, nie odrywając jej od podłogi i poruszając nią zygzakiem. Powtórzył tę samą operację na boki i do tyłu. Druga stopa wykonała identyczne ruchy. Później ręce zatoczyły koło, metodycznie badając próżnię. Odpoczął kilka sekund, ugiął powoli nogi i przykucnął. W tej pozycji obmacywał podłogę, zatrzymując się wstrząśnięty, ilekroć odkrywał, bezpośrednio u stóp, niewytłumaczalne, nieregularne krawędzie w miejscu, gdzie kończyła się podłoga, której sypanie tworzywo kruszyło mu się w palcach. Przez cały czas przykucnięty, nachylając się i obracając wokół z bezgraniczną cierpliwością, posuwał się na czworakach centymetr po centymetrze. W końcu dotknął policzkiem zimnej powierzchni: drzwi były na swoim miejscu. Wyprostował się, sapiąc z wysiłku i stanął na nogach, twarzą i brzuchem przylegając ściśle do stalowych płaszczyzn. Wyciągnął ręce i powolnymi ruchami palców zbadał ścianę po obu stronach drzwi. Wówczas to, z czego wreszcie zdał sobie sprawę, przyprawiło go o swego rodzaju zawrót głowy — stan, w którym przebłysk grozy łączył się

19 — w zaczarowanym zwierciadle

289

z niejasną akceptacją tejże grozy, niczym w koszmarach sennych. I kiedy opadał na kolana, czując jak szczęki kurczą mu się w niekontrolowanym grzmocie, dopuścił tylko krótko do

się w nie kontrolowanym grymasie, dopuścił w końcu do świadomości myśl, której już nie mógł odrzucić: ściany i podłoga również zniknęły. Zostały tylko drzwi windy i coś w rodzaju gzymsu, na którym przycupnął, gzymsu z nierównym brzegiem, urywającym się nad przepaścią. Ciemności i próżnia bez granic otaczały ze wszystkich stron tę nieprawdopodobną wysepkę materii, resztkę zredukowanej rzeczywistości, bardziej jeszcze złowrogą przez swą całkowitą izolację. Światło, dźwięki, dowody życia zniknęły i zostały zastąpione przez ich negację: odwieczny, zwierzęcy lęk przed ciemnością i ciszą. Jakiś obrzydliwy zapach zdawał się dobywać z głębi tej niewyobrażalnej próżni, aż Echavarren odkrył, że to jego własny pot. Zwalczył paraliż języka, by móc usłyszeć przynajmniej własne słowa, ale nie był w stanie sformatować żadnej myśli. Potwornym wysiłkiem woli nakazał wreszcie wargom zdanie, które nasunęło mu się z przeszłości, ale zanim język zdołał je wypowiedzieć, zapomniał jego treści. Spozstrzegł za to, że inne słowo ściga mu nieustannie mięśnie ust, niczym podwójny tik. Usłyszał własny głos, powtarzający słowo „przepraszam”, ale nie rozumiał znaczenia wypowiedzianych dźwięków i zaraz też przestał je wymawiać, gdyż zamieniły się w czkawkę, zdławioną potokiem śliny. Przycupnięty przy drzwiach nie do sforsowania, złany potem, zdrzemnął się, nie mając możliwości mierzenia czasu. Za którymś przebudzeniem poczuł nowy wariant otaczającego go odor: znany zapach amoniaku. Dopiero kiedy poruszył nogą w mokrym bucie, zdał sobie sprawę, że niepowstrzymanie oddawał mocz.

Doktor Jorge Francisco Echavarren zaniósł się łkaniem wśród ciszy. Łzy i śluz z nosa ciekły mu po kącikach ust i po brodzie, kiedy gładził drżącymi dłońmi mokre uda, a następnie pocierał palcami oślepe oczy, rozmazując po rozpalonych powiekach i po wykrzywionej przetrachem twarzy letnią sprężystość śluzu, żrącą wilgotność moczu, pewność skazania i niemożliwość apelacji.

Przełożył Jerzy Kiihn

NÉCLIDA PINOII

Sala rycerska

Wiem, nigdy nie było to łatwe. Nawet zwierzęta nie ustępują posłusznie. Człowiek udaje odwagę, ale jego zuchwałość jest w rzeczywistości cieniem, który ginie w słońcu. Ja też nie chciałem umrzeć. Zniszczyć wigor mojej skóry w płomieniach. Wypadło mi jednak uprzedzić przeznaczenie — nie rzucając się ze skały, lecz jedynie z wolną podcinając nadmiar energii.

Od lat nie wymawiam ani jednego słowa, jestem tylko niewolnikiem rzadkich nie uporządkowanych myśli. Z początku jeszcze wygłaszałem kazania o śmierci, w których bardziej rozkoszowałem się wymienianiem wdzięków przyrody niż wykazywaniem jej defektów: od cytowania nazw drzew, przechodząc przez faunę i świat minerałów aż do rozszyfrowywania biegów rzek. Monotonia, którą się moja chciwość maskowała.

Teraz synowie nalegają, wysuwają problemy, symulują rozpaczliwe sytuacje, abym w jakikolwiek sposób uczepił się życia i wstał z kołyski. Rani ich moje milczenie pomimo upływu

lat. Ale nie wzruszają mnie ich niedorzeczności. Te ciała w formie bloków, które przyzwyczałem się nazywać synami, już nie stanowią części mego ciała, ja sam jestem jedyną przeklętą częścią mego ciała i nic poza mną nie istnieje na ziemi. Przekazuję im tę nadzieję, ale oni jej nie chcą przyjąć.

Żona sprzeciwia się mojej walce. Występuje jako amazonka. Zdolna nieskończoną ilość razy ucinąć swoje piersi, aby jej nie dokuczała ich obfitość i litry mleka. Nie wytłumaczyłem jej mego odsunięcia się od świata. Nic by nie pomogło wyjaśnianie jej bolesnego spotkania z cieniem. Żeby przekląć moją zbrodnię, musiała z ziemi wydobyć siłę, któ—

291

ra wędrowała przez ścieki, aby się w niej wykapać, w jej kolorze i zapachu. Jakby nasze stałe współżycie upoważniało ją do obcięcia chorych pędów i delektowania się mechanizmem nożyc.

We wszystkie formy się przebierałem, kiedy ożywiała mnie jeszcze próżność. Słonecznik, wojownik, kochanek, właściciel ziemski. Obecnie zagłębiając się w dawnych uczynkach i wybaczam je sobie. Zniesienie miłości zapewniło mi samotność, odwagę, aby wyeliminować sztandary, kawalkady i parady z muzyką. Jestem sam i niełaska żółcąca moją skórę jest święta, nie naśladuje ospy, ukąszenia węża ani nawet kolorytu przeciętego na pół owocu *abacate*. Zabiłem szacunek świata, przepych, nie potrzebuję noża w lewym ręku, aby udawać, że wymierzam sprawiedliwość.

Drzwi i okna są starannie zamknięte. Powietrze prawie się

LIZWI I OKNA są stale i nie zamykają. I owocu prawie się nie odświeża, tylko wtedy, kiedy pojawia się któryś z synów, proponujący uroki świata. Zamykam wówczas oczy, aby nawet światło słońca mnie nie rozpraszało. I znów pod osłoną cienia powracam do wpatrywania się w sufit. Pomimo tego życia w odosobnieniu tak tajemnego, w którym towarzyszą mi tylko larwy nurzające się w wilgoci, gromadzi się w moim ciele dziwna energia.

Przygotowałem się drobiazgowo do tej podróży. Nie pokonam ani mór, ani nie zaskoczę mojego serca prawdopodobieństwem rozbicia się statku. Oddaję się czynności bardziej subtelnej i bezkompromisowej: patrzę w sufit i rozkoszuję się. Chronię się w ten sposób od słuchowych pokus, od panowania światła, od stworzeń. Moje bezpieczeństwo jest wmurowane w suficie — sposób, który wymyśliłem, aby się cieszyć, że pewnego dnia stanę się nieśmiertelny.

Wiem, jest to obsesja, kwiat, który nie rośnie na zdrowej glebie: Ale starość jest okrutna, potępia gesty, których jej ciało już nie może wykonać, czy przyziemne zamieszanie, z którego biorą się niekonsekwentne manifestacje życia. Ma za złe wszelki ruch, burzę w lesie, młodość.

Chcę umrzeć z otwartymi oczami, patrząc w sufit, na jego magiczne herbowe tarcze, drewnianą arystokrację. Tam osadzona jest moja historia, koncentracja soków koloru szafranu, farby królewskiej. Wszystkie rozdziały, które pamięć zachowała, od urodzenia aż do decyzji unieruchomienia się tutaj i tworzenia zamków, stawów, olbrzymich miedzianych

rondli, z pełnym entuzjazmem dla kowadła. A nie było łatwo zespolić w przedmiotach na suficie różnorodności całego życia, życia przepłoszonego przez dźwięki fletów.

Moje radości są tam odbite. Patrzę na nie bezustannie. Jedynie podczas snu jestem niełojalny w stosunku do tego przeznaczenia. Ale to krótkie godziny. Prawie nie sypiam, a jedzenie staram się przyjmować coraz rzadziej. Pracowałem dniami i nocami, aby wnieść do domu moją nieśmiertelność. Zawsze we mnie tkwił strach przed śmiercią. Przeciwno tej słabości walczyłem żegnając się z życiem. Trud pielgrzymy, spełniany na kolanach, w powietrzu ciężkim od nadmiaru wilgoci.

Żona z początku myślała, że postanowiłem odnowić sufit salonu powodując się kaprysem. Chodziłem między salonem a składem, do którego nikt nie miał wstępu. Ukrywając moje poczynania, zachowywałem dla nich moją prawdę jak cenny dar. Czasem pozwalałem sobie na ostatnie wędrówki po polach. Wiedziałem, że będą to moje końcowe lekcje. Żegnałem się, choć zapytywałem siebie, czy gotów jestem porzucić raj owoców, śliwki, grube dęby, wody rzeki, którą znałem od źródła i widziałem, jak ginęła w swym górnym biegu. Przy każdej wizycie składanej ziemi obawiałem się, że zacznę ją kochać, że zarażę się jej harmonią, jakbym był jeszcze młody niczym bożek Pan i jakbym powinien był go naśladować.

Kiedy wracałem do domu, moje milczenie mnie chroniło albo uzurpowałem słowa już nie moje, gdyż te zgubiłem razem ze

skromnością i nie walczyłem o nie. Synowie mówili: pewnego dnia my też wyjedziemy. Tym sposobem sugerowali, jeszcze stosując się do zasad hierarchii, że może będą mnie naśladować, gdyż w ich przekonaniu już nie mieszkałem w domu, już od dawna ich opuściłem.

Dowodziłem im, że siła nie leży w łanach zboża, w kręgu ziemi ani w zręcznych do rzemiosła palcach, w żadnych z tych miejsc nie znajdowała się siła. Chciałem, aby byli podzieleni, zwyciężając trudności. Ja byłem gliną, oni mieli być naczyniami powstałymi dzięki rzemiosłu. Moją drogę znałem — szła między bólem i zdumieniem. Ja również odziedziczyłem po ojcu zmęczenie życiem.

Ojciec nauczył mnie, abym nigdy go nie naśladował, gdyby nawiedziły mnie jego niepokoje przed groźbą śmierci.

293

On nigdy by nie odstąpił od swego powołania przez wzgląd na synów. W tradycjach jego rodziny słowo miłość miało szerokie przeznaczenie. Związał się z matką, tak, ale obydwójce przejmowało wstrętem to współzycie, codzienny obowiązek sprawdzania twarzy, ciał, złowrogi hałas opróżniających się pęcherzy. Nie wymagał od synów oddania ani uprawiania pól, ale wszyscy poszli za swoim losem wiążącym ich z ziemią. Niektórzy zapaleńcy uprawiali ziemię do późnej nocy. Słyszał ich wówczas trzaskających się na polach, nie pytając o powody, które przypieczętowały w ten sposób ich losy. Pewien rodzaj piękna odbijał się wszakże na ich twarzach i ich niepewne kroki błędziły po pokojach, po salonie, gdzie ojciec zatopiony w

po pokonaniu, po sukcesie, gdzie ojciec zamknięty w nieruchomości nakazał milczenie własnej krwi.

A kiedy zaczął chudnąć, poświęcił się kopaniu wielkiej jamy na najjaśniejszej polanie w lesie. Tu słońce nie pozwalało na cienie. Pracował nie przyjmując pomocy, a praca ta zajęła mu ostatnie lata. Kopał ziemię łopatką wielkości ręki, z delikatną powolnością, która wydawała się, bardziej niż łopatkę, używać oddechu jako instrumentu do otwierania ziemi. Uśmiechał się za każdą odrzuconą porcją ziemi. Zabronił wizyt, gdyż sprofanowałyby to, co odtąd miało być jego rajem.

Pewnej nocy obejrzałem pracę ojca. Uważałem, aby nikt mnie nie widział. W ciągu godziny naśladowałem go kopiąc ziemię i w zdobywaniu jej posuwałem się o kilka centymetrów naprzód. Czyniłem wysiłki, aby on się nie spostrzegł, że wziąłem udział w jego festynie. Następnie wyczyściłem motykę, zamiotłem ziemię, zostawiłem wszystko, jak zastałem. Ale drżałem, jakby mój ojciec stał obok i miał mi za złe, iż dokonałem czynu zarezerwowanego dla bogów. Mówiłem sobie: „Chciałem ci pomóc, ojcze”. Mój pot przeczył tej prawdzie. Tajemnica ojca wchodziła w moje życie i ogarniała mnie litość. Ale cóż to za złowroga litość, która działa jak złodziej, chowający motykę na dnie rzeki, aby on nigdy nie odkrył owego uczynku.

Następnego ranka zbliżył się do mnie z powagą na twarzy. Oddał mi worek ziemi, który — kiedy go niósł — pozostawił mu ślady na plecach. Skinął ku mnie i patrząc w niebo zaczął mówić do kogoś — nie wiem do kogo, ale słyszałem jego słowa;

„Przyniosłem z powrotem to', co jest

294

twoje, moją ziemią ja sam się zajmuję”. I zawsze udawał, że jego prawdopodobnie ostatnie słowa — gdyż w miarę postępowania pracy tracił zwyczaj rozmawiania — nie do mnie były skierowane.

Zaplanował bankiet i celebrował go samotnie. Umarł zaraz, kiedy jama była już tak duża, że mogło w nią wejść jego ciało, jego zwykły ubiór, jego łóżko, niektóre przedmioty kuchenne, broń myśliwska, garść ziaren, jego pies i koń, które tak dzielnie poświęcił. Ułożyliśmy go pośród jego rzeczy i włożyliśmy do ziemi, z której wyszedł. Byłem jedynym, który nie oplakiwał tej straty. Nie chciałem opuścić ceremonii, zanim nie zbadalem, czy człowiek, którego grzebałem, miał na twarzy zapisane cierpienie dumy. I kiedy przysłaniał mi odłrytą twarz ojca, zrozumiałem, że pewnego dnia musi iść w jego ślady ten, który sprofanował grób, skalał ręce w zabronionej ziemi, słyszał jego ostrzeżenie i zawsze bał się śmierci. Wówczas wybrałem siebie, aby towarzyszyć ojcu w jego ekscentryczności.

Niebawem ogarnęło mnie skąpstwo. Nie z miłości do pieniędzy, ale do ich siły nabywczej. Gromadziłem tyle, ile mogłem, i nigdy ich obfitość mnie nie oszalała. Zacząłem zbierać srebro, złoto, ziemię i zwierzęta. Obfitość wyrastała z moich korzeni.

Aż zdecydowałem się umieścić w suficie ulubione przedmioty; czyniłem to w ten sposób, aby synowie nie mogli wydrzeć tego, co tam zasadziłem jako ziarno, nie rujnując

całego salonu.

Pracę moją wykonywałem w tajemnicy. I zanim umieściłem tu moje skarby, zmusiłem żonę i synów do opuszczenia okolicy, dokąd mieli powrócić po czterdziestu dniach. Po ich wyjeździe wzdłuż podwórka, które dzieliło dom od składu, przywiązałem zwierzęta w taki sposób, że ich ciała się stykały. Ozdobiłem ich głowy gałązkami oliwnymi, gałęziami leśnymi, liśćmi dębu i złocistym zbożem. Podwórko przypominało las, a ja przebiegłem drogę górą jak cesarz.

Ostatniego wolnego dnia, po skończonej pracy przy suficie, zapuściłem się w las. Udawałem, że poluję, ćwiczyłem mięśnie jak atleta. Mój maraton zbliżał się ku końcowi. Kiedy oni wrócą, będzie to dla mnie znakiem pożegnania. W suficie chciałem również utrwalić obraz życia, którego motywy zbierałem przez wszystkie lata. Odcisnąłem więc

295

tam dramat, czystą tragedię, kształt warzyw i owoców, je dawne służebne gesty i dzikie poczynania. Nigdy nie da**
no żadnemu człowiekowi takiego bogactwa.

Zawiadomienie na drzwiach mówiło, że nawet gdyby się dziwili, muszą mi dać prawo żyć według piętna moich styg—
matów. Kto by się nie zgadzał, czując odrazę do mojego czynu, niech opuści dom. Nie zbraknie mu pieniędzy i aprobaty. Synowie jednakże, zagubieni w swej naiwności, rzucali obelgi, prosząc mnie w ten sposób o pomoc. Żona nie powiedziała ani słowa. Dotknęła mego ramienia, zamknęła mi powieki, jak się zamka oczu nieboszczyków. Wrażała swoją wściekłość. z

którą chowała mnie w ziemi w tym momencie, okazując mi nieposłuszeństwo. Przez długi czas wpatrywaliśmy się w siebie i kiedy w końcu opuściła salon, aby nigdy więcej nie powrócić, potknęła się o mnie, jakbym już był cieniem. Umarliśmy jedno dla drugiego. Mimo to przez pierwsze lata obawiałem się własnej słabości. Miałem porywy, aby zwyciężyć mury, wyjść z domu, zakosztować znowu słońca. Wówczas oświadczyłem wobec notariusza, że synowie będą mieli prawo do spadku tylko wtedy, jeśli mi nigdy nie pozwolą opuścić granic salonu, nawet gdyby poważna choroba wymagała zabrania mnie, albo gdybym ich o to błagał. W zamian za srebrny arsenał mieli czuwać, czy nie pojawia się we mnie jakiś wrzód słabości.

Zmieniali się nocą i dniem, aż zrozumieli z biegiem lat zbędność tej opieki. Moją jedyną pasją było kłaść się na łóżku ustawionym w salonie, aby z niego lepiej kontemplować sufit.

Nigdy nie przestali składać mi wizyt. Przekazują mi informacje o oznakach zamożności ziemi czy dziwactwach przyrody. Przynoszą mi gałęzie obsypane ledwie zawiązanymi owocami, jajka pofarbowane słomą i krwią, mleko pachnące krową, wysilają się, aby mi dowieść aktywności wzrostu; nie zapominam, jakie jest życie tam na zewnątrz.

Zawsze dziękuję oczami, bo przecież powinni mnie nienawidzić za głębokie bruzdy, które im wyrzeźbiłem w ciele, a oni zgodzili się na to, gdyż jak owce przyzwyczaili się do corocznej utraty swego runa. Może przeczuwają, że jesteśmy przeznaczeni do niezwykłych poczynań.

Kto wie, czy zdaleka ode mnie... I któryś z nich był cieniem!

Kto wie, czy z dała ode mnie — który jestem już cieniem i moją aspiracją jest być tylko nim — nie zapytują,

296

który z nich będzie musiał umieścić się na krzyżu, przebić ręce i nogi brylantowymi gwoździami i stać się generalnym spadkobiercą?

Zapewne już nachodziła ich wściekłość — ich twarze nie są te same. Czy mogą uciec od tego spadku? Pochodzi on z tak daleka! Może zaczęło się od specyficznych cech przodków, wszystkich oddanych śmierci, silnej kochance. I tak się niepokoją synowie, że nawet pieniądze nie uwalniają ich od poczucia winy. Ze słów ich wynika, że powierzyli swoje życie doświadczalnemu cyklowi, kultywują w żołądkach trudne trawienie, mają sposób wyrażania się bliski bólu, a w duszach uczucia takie, jak skąpstwo, małostkowość, pogardę dla własnej przenikliwości. Oddają się rytuałom, w których poświęca się rośliny, zwierzęta i wszystko inne, a to ich gubi. Zagęszczają swoje tajemnice, ich złowrogie poczynania pozostawiają ślady na ziemi.

Czasem wyznają: jesteśmy twymi synami. Jeden z nas będzie musiał pochować cię z wzorową prostotą, spadkobierca twojej niegodziwości. Tak, będzie musiał mnie pochować używając drabiny, dysponując poczuciem równowagi, siłą i umiejętnością rozkazywania, gdyż po wykonaniu zadania przez stolarza — a przygotowane już są młotek, gwoździe i piła — będzie musiał rozkazać opuszczenie domu. Takie zawsze było moje zarządzenie. Nikt nie powróci do tego ustronia po mojej śmierci,

chyba że zechcą świętować inne odejście i pogrzeb będzie niezbędny.

Żona, wiem o tym, nie towarzyszyłaby mi na płonącym stosie. Jak obiecała, nigdy nie powróciła do salonu. Nigdy nie wymówiła mego imienia, nie zapytała o moje zdrowie, o to, ile strupów wystąpiło na moim ciele po tylu latach. Może pełna radości wyobraża sobie, że umarłem, chociaż tej nadziei nie może żywić przez czas dłuższy. Pilnujemy się, jakbyśmy się widzieli, w jakiś tajemny sposób jeszcze się zapładniamy. Przyzwyczailem się do jej kroków pokonujących korytarz wygrodzony w salonie, aby nie widząc mnie, mogła przejść do kuchni i innych pomieszczeń. Ta jej „złość” jakoś zmiękcza moją duszę. Zauważyłem w ciągu lat, że jej kroki są inne, straciła już zrećzność, której używała jako broni w swoim złotym okresie. Z pewnością, gardząc wszelką pomocą, wspiera się na ścianach, na przyjaznych występach. Stosuje ostrożność powiek wobec słońca, aby dojść do

297

kuchni. Wyobrażam ją sobie grubą, zamroczoną, naśladującą krowy w ich życiowej łągodności.

Ileż razy ustają wszelkie jej odgłosy i zostają z niewiedzą, czy wyjechała, czy siedzi w swoim pokoju, czy umarła. Byłaby to jej zemsta, gdyby mnie wyprzedziła w klasycznym akcie. Synowie nie mieliby odwagi sugerować, aby została pochowana w domu, jako że mam być pierwszym, który zainauguruje cmentarz zmontowany w salonie. Nawet nie powiedzieliby mi o jej śmierci. Zarządziłem bowiem, aby mi oszczędzono spraw i

kombinacji świata, a nawet jego intensywnej harmonii. ,

Słyszę jej chrząkanie w nocy. Może pali za dużo albo po prostu cierpi z powodu słabości ciała w rozkładzie. Po każdym ataku kaszlu przychodzi ordynarna cisza. Jakby przyciskała usta do poduszki, okrywała się kocami, grzebiąc w ten sposób oznaki życia. Chce torturować mnie swymi ukrywaryfymi poczynaniami, aby jakoś ustalić między nami kodeks agonii. Myślę, że ona żyje i kultuwyuje nienawiść do mnie jak rozłożyste drzewo. Ale postanowiłem ją zabić, tak jak synów i siebie samego. Winien im jestem jedynie jałmużnę zupy coraz wykwinniejszej. Otoczony jestem zmarłymi i niestosownym współczuciem.

Pierworodny, wydaje mi się, kocha mnie bardziej niż inni. Ma jeszcze energię, która mu pozwala na intensywne uczucia. Może miłość jest tajemnicą łatwiejszej asymilacji? Nie jestem mu wdzięczny za szacunek, który musi rozdzielać jak nawóz, aby się nie udusić. Jest jego obowiązkiem jakoś zaznaczyć swoje przejścia przez ziemię. Próżność mu przeszkadza myśleć, że kocha. A ponieważ miłość jest niepokojem przejściowym, patrzę na syna i obserwuję jego smutek. *

Zawsze robi różne próby ze mną. Stara się wydobyć słowa, wymieniać zdania, magiczne sekrety, które by i jego uratowały. Szybkimi gestami wykazuję mu moje znudzenie oraz to, że moje postępowanie i mój sufit nie są rezultatem nieporozumienia. Nikt mnie nie uroczył i czynię przy nim znak krzyża odpędzając w ten sposób diabły, które — jak on sobie wyobraża — tkwią we mnie. Powinien był wiedzieć, że nowego dnia nadaże w ślady

... i owinięty był wiecznie, że pewnego dnia podążę w ślady
ojca, też stając się sługą pewnej namiętności. Przejmuje się
koniecznością opuszczenia domu po mojej śmierci, wreszcie
mówi, że matka od—

298

mawia opuszczenia go i zapewnia, że w nim zostanie, abym
nie zażywał w spokoju swego egoizmu. Żona nie dławiła mnie,
nie spowodowała mego zerwania z ziemią. Ja byłem w Egipcie,
ona w Mezopotamii. Synowie zostali poczęci w czasie nocnych
spotkań. Gdzie w mej pamięci czy w mym ciele zgubiły się moje
dawne egzaltowane cielesne radości? Wymówka, że byłem
szczęśliwy w zielonych latach, już mnie nie ratuje od nadejścia
innego królestwa. Za pomocą gestów pokazałem jej, jak się o
nią troszczyłem — od początku zarezerwowałem jej pośmiertne
miejsce na suficie. I nie jest to byle jaki kąć, dany tylko z litości.
Jej trumnę zbudowałem tej samej wielkości, co moją. Myślałem,
że może będzie chciała zabrać ze sobą jakieś drobne
przedmioty, jakieś roślinki, jakiegoś żuka, a także kulę
kryształową, prezent ślubny, w której głębokości zanurzyła się
wówczas, aby powrócić z twarzą czystą, przejrzystą, jakiej u
niej nigdy więcej nie widziałem, pomimo długich lat obserwacji.
Stało się to, kiedy zrozumiała, że jeszcze się rozdzielimy, tak, ale
nie zawini temu ani ona, ani ja. Uwierzyła w nieśmiertelność
życia. Ja, bardziej złowrogi, wymyśliłem nieśmiertelność śmierci i
przygotowałem się do bankietu.

Synowie również muszą mi towarzyszyć. Wystarczy, by
spojrzeli na sufit, policzyli ilość trumien, które kazałem

zainstalować, a nie ulegną pokusie myśli o koncentracji ciał. Nie wierzyłem nigdy, że ziemia jest jedynym przeznaczeniem człowieka. Wołałem naśladować orła, uwić gniazdo nad miejscem, gdzie zawsze jadałem, golilem się, obierałem pomarańcze.

Moje ruchy zanikają, siły opuszczają mnie. Ale ciągle patrzę z poządlwością na sufit, cały założony trumnami. Belki krzyżujące się na tym polu z drzewa zapewniają mu względną wieczność. Nie, założę się, że nie będzie łatwo każdego z nas pochować. A'le oni mnie zapewniają, że ta dziwna namiętność dozna spełnienia. Trumny podobne są do tarcz wojowników monopolizujących cienie i heroiczne czyny. Nad każdą nazaczyłem imię, aby się nie wahali z wyborem. Pierworodny patrzy na mnie ze smutkiem. Może stara się dyskretnie wybadać, ile na mnie jeszcze ciała, w jaki sposób moje kości się ogałacają posłuszne memu życzeniu. Łatwo już je policzyć. Ileż to razy moje wahania są tak podobne do agonii, że widzę, jak woła szybko innych braci. Gdy

299

tylko przychodzą, wątpią w moje życie, są pewni, że umarłem. Ale jeszcze idą po lustro i kryształ objawia im mój delikatny oddech, niedostrzegalne okiem drżenie; rozumieją wówczas upór, z jakim, pomimo wątpliwego życia, zaczynam znów patrzeć na sufit, zakorzenioną wieczność. Kiedy życie we mnie powraca, grupa się rozpada.

Wiedzą, że moja śmierć się zbliża. Kwestia godzin albo dni, nie pożyję dłużej. Uwodzi mnie ta nadzieja. Badania tych ludzi są

zawsze pełne smutku. Ale pomimo mojej intensywnej do niej miłości śmierć wydaje się mnie nie chcieć. Jeszcze kilka godzin, kilka dni, wiem. Ach! Jak trudno jest czekać!

Przełożyła Janina Z. Klave

JOSÉ DONOSO

Zamknięte drzwi

Adela de Rengifo skarżyła się często, że przytrafiły jej się najgorsze nieszczęścia w życiu: owdowieć w wieku dwudziestu pięciu lat, być biedną i zmuszoną do pracy, żeby utrzymać się na jakim takim poziomie, a do tego jeszcze mieć chorowitego synka, to jest, ściślej mówiąc, nie tyle chorowitego, co słabowitego, z tych dzieci, co to sypiają dwa razy tyle, co dzieci normalne.

Bo na dobrą sprawę, odkąd się tylko urodził, Sebastian spał bardzo wiele. Zamykał oczy, kiedy tylko głowa opadła mu na poduszkę, z taką starannością wyhaftowaną przez matkę, i po krótkiej chwili spał jak anioleczek.

„Taki dobry jest biedaczek, taki spokojriutki!” — opowiadała Adela koleżankom w biurze. „Nawet nie zapłacze, ani nie obudzi się w nocy, jak to inne dzieciśka”.

Adela i Sebastian zajmowali dwa pokoje, które nie należały do najgorszych, chociaż ich okna wychodziły na wąskie podwórko, na drugim piętrze nieco wilgotnego i dosyć ciemnego pensjonatu. Rano, kiedy Adela wychodziła do biura, pani Mechita, właścicielka pensjonatu, zajmowała się Sebastianem. Ale dziecko było tak spokojne, że prawie wcale nie musiała troszczyć się o nie, bo nigdy nie dawało się we znaki hałasem ani

uobczy się o nie, co nigdy nie dawno się we zrakach mechanizm
psotami, jakimi zwykle zatrują życie pięcioletnie dzieci. Kiedy
tylko pani Mechita zabierała się do porannych zajęć domowych,
Sebastian wślizgiwał się do swojego pokoju, by wyciągnąć się
na łóżku i spać snem sprawiedliwego. Pani Mechita zaglądała do
niego, bo wydawało jej się „coś nie tak”, żeby dziecko w tym
wieku wołało spać, niż zajmować się sprawami... no cóż —
bardziej normalnymi. Aż pewnego popołudnia, zdecydowawszy
się zwrócić uwagę Adeli na tę swoistą cechę syna, zaczęła ją
jakby od niechcenia, nie podnosząc wzroku znad
szydełkowania, którym zawsze były zajęte jej piegowate palce:

301

tylko przychodzą, wąpią w moje życie, są pewni, że
umarłem. Ale jeszcze idą po lusterko i kryształ objawia im mój
delikatny oddech, niedostrzegalne okiem drzenie; rozumieją
wówczas upór, z jakim, pomimo wątpliwego życia, zaczynam
znów patrzeć na sufit, zakorzenioną wieczność. Kiedy życie we
mnie powraca, grupa się rozpada.

Wiedzą, że moja śmierć się zbliża. Kwestia godzin albo dni,
nie pożyję dłużej. Uwodzi mnie ta nadzieja. Badania tych ludzi są
zawsze pełne smutku. Ale pomimo mojej intensywnej do niej
miłości śmierć wydaje się mnie nie chcieć. Jeszcze kilka godzin,
kilka dni, wiem. Ach! Jak trudno jest czekać!

‘Przełożyła Janina Z. Klave

JOSfi DONOSO

Zamknięte drzwi

Adela de Rengifo skarżyła się często, że przytrafiły jej się

najgorsze nieszczęścia w życiu: owdowieć w wieku dwudziestu pięciu lat, być biedną i zmuszoną do pracy, żeby utrzymać się na jakim takim poziomie, a do tego jeszcze mieć chorowitego synka, to jest, ściślej mówiąc, nie tyle chorowitego, co słabowitego, z tych dzieci, co to sypiają dwa razy tyle, co dzieci normalne.

Bo na dobrą sprawę, odkąd się tylko urodził, Sebastian spał bardzo wiele. Zamykał oczy, kiedy tylko głowa opadła mu na poduszkę, z taką starannością wyhaftowaną przez matkę, i po krótkiej chwili spał jak anioleczek.

„Taki dobry jest biedaczek, taki spokojniutki” — opowiadała Adela koleżankom w biurze. „Nawet nie zapłacze, ani nie obudzi się w nocy, jak to inne dzieciśka”.

Adela i Sebastian zajmowali dwa pokoje, które nie należały do najgorszych, chociaż ich okna wychodziły na wąskie podwórko, na drugim piętrze nieco wilgotnego i dosyć ciemnego pensjonatu. Rano, kiedy Adela wychodziła do biura, pani Mechita, właścicielka pensjonatu, zajmowała się Sebastianem. Ale dziecko było tak spokojne, że prawie wcale nie musiała troszczyć się o nie, bo nigdy nie dawało się we znaki hałasem ani psotami, jakimi zwykle zatruwają życie pięcioletnie dzieci. Kiedy tylko pani Mechita zabierała się do porannych zajęć domowych, Sebastian wślizgiwał się do swojego pokoju, by wyciągnąć się na łóżku i spać snem sprawiedliwego. Pani Mechita zaglądała do niego, bo wydawało jej się „coś nie tak”, żeby dziecko w tym wieku wołało spać, niż zajmować się sprawami... no cóż — bardziej normalnymi. Aż pewnego popołudnia, zdecydowawszy

się zwrócić uwagę Adeli na tę swoistą cechę syna, zaczęła ją jakby od niechcienia, nie podnosząc wzroku znad szydełkowania, którym zawsze były zajęte jej piegowate palce:

301

— Na miłość boską, Adelito, ależ śpioch z tego dziecka!

Nie chory on czasem?

Adela odparła chłodno:

— I cóż w tym nadzwyczajnego, że śpi, skoro ma na to ochotę?

— Ano nic, tak tylko powiedziałam... — odezwała się pani Mechita. Oddaliła się, zaciskając swoją buldożą szczękę i rozmyślając nad tym, że młode wdowy są zbyt nerwowe i że w przyszłości trzeba się będzie wystrzegać, żeby znowu nie wynająć którejs mieszkanie.

Ponieważ spostrzeżenie pani Mechity utwierdzało jej własne niepokoje, Adela nie mogła nie brać go pod uwagę. Nie ulegało wątpliwości, że Sebastian sypia zbyt wiele. Nie to, żeby chodził przez cały dzień senny i zaspany, ale że nagle, tak bez powodu, wydawał się być zdania, że nieźle byłoby przespać się chwilkę i tak to właśnie robił, jak ktoś, kto oddaje się najmiłszej rozrywce, kładąc się w swoim łóżeczku z prętami z brązu albo siedząc na pierwszym lepszym krześle. Matka, zaniepokojona, przyglądała mu się czasem kiedy spał. To uspokajało jej obawy, gdyż jest rzeczą pewną, że nic złego nie może się przytrafić istocie, która śpi z takim wyrazem zachwyty na twarzy, jakby pod powiekami przewijały jej się sceny z bajecznego świata.

Ale choćby nie wiem iak starała się nie przeimować. Adela

musiała zdać sobie sprawę, że Sebastian jest dzieckiem odmiennym. I jak tu się nie martwić? Obojętny i samotny, zdawał się nie utrzymywać żadnych związków z tym, co się działo dokoła — ani z ludźmi, ani z przedmiotami, ani z zimnem, ani z ciepłem, ani z uporczywym deszczem, który zimą zbryzgiwał kurz, nagromadzony na szybach lufcika w hallu. Odnosiło się wrażenie, że Sebastian, «jak księżyc, jedną tylko połowę ukazuje światu. Trochę ją to trwożyło. Pozostali mieszkańcy pensjonatu byli dla niego mili, przede wszystkim, żeby nie sprawiać przykrości Adeli, która koniec końców była prawdziwą damą, chociaż nie miała szczęścia w życiu. Ale ona się nie łudziła: wiedziała, że nikt nie lubi Sebastiana. I żal ścisnął jej serce, choć musiała przyznać, że mają trochę racji, bo było to dosyć niezwykle, żeby siedmioletnie dziecko, sypiało tyle i żeby nie lubiło robić nic innego poza tym. Nie to, żeby „zapadał w sen” z senności albo ze zmęczenia, ale po prostu, wybierając odpowiednią

302

chwile, „zabierał się” do spania, tak jak normalne dzieci „zabierają się” do gry w kulki albo do śpiewu. Nie interesowali go rówieśnicy. Nudziły go książki, czasopisma i filmy. Nie lubił się bawić. Jedyne o czym marzył, to rzucić wszystko, żeby iść do łóżka i „zabrać się” do spania. Pewnego razu Adela zapytała go:

— Co ci się śni, synku?

— Śni?

Nie tak. Nie obojętność na świat, jakichś postaci albo

— NO TAK. NIE OGŁĄDASZ NIC WE SNE, JAKIENS POSTACI ABO WYDARZEŃ?

Sebastian pogładził matkę po ręce i odparł.

— Nie... chyba nie. Nie przypominam sobie. Adele zdenerwowała ta odpowiedź.

— Dlaczego w takim razie sypiasz tyle, skoro nic z tego nie masz? — spytała surowo.

— Bo lubię to, mamusiu.

Słyszac to, Adela zirytowała się naprawdę. Ona sama musiała pracować i poświęcać się, żeby go utrzymać. Młoda jeszcze i niczego sobie, ze względu na syna odrzucała propozycje matrymonialne mężczyzn, którzy zalecali się do niej w biurze. Dla niego... dla niego... dla niego tysiące wyrzeczeń, tysiące cierpień, a on tymczasem pozwalał sobie na spanie po całych dniach. I spał, bo lubił spać, nic poza tym. Żałowała teraz, że przyzwyczaiła Sebastiana od małego do robienia tego, co mu się żywnie podobało — było to niebezpieczne i prawie niemoralne. Z początku, trzeba przyznać, Adela przeczuwała niejasno jakiś tajemniczy sens owego spania, jakby sny syna zawierały jakiś skarb, coś czego chociaż i on, i ona nie rozumieją, w przyszłości może się okazać pożytecznym albo bardzo ważnym. I ta próżna nadzieja była powodem, że dotychczas milczała, ogarnięta swojego rodzaju lękiem. Ale skoro chodziło tu tylko o pewne zamiłowanie do snu, była to nieprzyzwoitość! Ona miała swoje upodobania i chętnie uczyniłaby im zadość!

— Dobrze, mamusiu — powiedział Sebastian, zaskoczony

złym humorem matki. — Jeśli chcesz, mogę nie spać więcej, tylko tyle, co w nocy.

Serce Adeli zatrzymało się nagle, jak na skraju przepaści. Zamilkła i po chwili zapytała głosem cichym i powolnym:

303

— To znaczy, że robisz to, kiedy chcesz, tak sam z siebie? Możesz się opanować?

— Tak, mamusi, śpię, kiedy mam ochotę...

I na widok syna, stojącego przed nią, tak samotnego, tak dziwnego, we władzy tej tajemnicy, której ani on, ani ona nie mogli zrozumieć, patrzącego na nią poważnie smutnymi, niebieskimi oczami, poczuła, że ogarnia ją uczucie miłości i nie mogła się powstrzymać, żeby go nie objąć i nie pocałować, i nie przycisnąć do piersi.

— Ależ nie, moje dziecko — powiedziała. — Spij sobie, ile tylko chcesz.

Pomyślała z goryczą, że Sebastian jest żywym portretem swojego ojca — dobrego, owszem, chłopaka, ale niezbyt może inteligentnego. A przynajmniej nie tak inteligentnego, jak Carlos Zauze, jej kierownik w biurze, który nie dawał jej spokoju zaproszeniami i zalotami, które choć pełne szacunku, były kusząco uporzeczywe. Bo tylko komuś, kto ma trochę... trochę nie po kolei, może sprawiać przyjemność coś tak bezbarwnego i tak bez sensu, jak spanie w nieodpowiedniej porze. W końcu, w przyszłym roku, kiedy Sebastian pójdzie do szkoły, będzie można łatwo sprawdzić zdolności umysłowe chłopca.

W szkole Sebastian był jeśli nie wybitnym uczniem, to

przynajmniej chłopcem spełniającym swoje obowiązki. Posłuszny i spokojny, zadowalał wszystkich, ale nie aż do tego stopnia, żeby się wyróżniać. A ponadto czynił to bezosobowo, jakby chodziło mu o to, żeby zostawiono go w spokoju i żeby uniknąć zatargów z kolegami i z gronem nauczycieli. W święta nigdy nie wychodził z przyjaciółmi. Po południu, po lekcjach, kiedy dzieci, zmęczone i zakurzone, zatrzymują się, żeby kupić słodyczy i poswawolić trochę przed rozstaniem, Sebastian szedł prosto do domu, wypijał, herbatę, odrabiał lekcje i, zdobywając w ten sposób prawo do robienia tego, na co ma ochotę, szedł spać, jak ktoś, kto nie ma ani chwili do stracenia. W soboty i w niedziele robił to samo — spał od wschodu do wschodu, z pełną świadomością, że jego sprawowanie i oceny w szkole gwarantują, że Adela nie powie mu nic na ten temat.

Nie bez niepokoju Adela zaglądała czasem do pokoju syna, przyjrzeć mu się, jak śpi. Tam wstrząsał ją dawny lęk — lęk i coś jeszcze poważniejszego, bardziej groźnego:

304

szacunek. Bo dostrzegła w tym śnie coś, co umykało jej zrozumieniu, coś zbyt wielkiego albo zbyt subtelnego, by dawało się schwycić w nieco sztywną i ograniczoną sieć jej wyobraźni. Najbardziej niepokojące było to, że Sebastian zawsze uśmiechał się przez sen. Nie był to normalny, łagodny uśmiech dziecka, które śni o domach, o samochodach i dostatkach i które czuje opiekę pięknej matki i potężnego ojca. Nie. Było to coś odmiennego. Tak, jakby dusza opuszczała jego ciało, by zamieszkać w cudownym świecie, ukrytym pod powiekami. On

zamieszkać w ciemnym świecie, ukrytym pod powiekami. On cały zdawał się skrywać tam, wewnątrz snu, nie pozostawiając na zewnątrz niczego, co mogłoby pocieszyć matkę, która obserwowała go w samotności. Tkwiła w tym jakaś potężna i dzika siła, co sprawiało wrażenie, że sen Sebastiana jest zamkniętą całością, która wystarcza samej sobie i niepotrzebni jej do niczego ani ludzie, ani sprawy tego świata. Jej oczywiście także nie potrzebował, była cieniem, który z łatwością można pominąć. Widząc go śpiącym, Adela przeczuwała niejasno i boleśnie to wszystko, czym ona sama nigdy nie była, czym nigdy nie mogłaby zostać i czego nigdy nie mogłaby zrozumieć. I kiedy Sebastian skończył piętnasty, a później szesnasty rok życia, wyglądało to jakby zostawił daleko, daleko w tyle swoją biedną matkę, jakby zaledwie ją dostrzegął, niczym nieznaczny punkcik na chwilę przedtem, nim roztopi się na końcu drogi.

W tym czasie Adela dobiegała czterdziestki i nie była już w stanie opierać się dalej zalotom Carlosa Zause, który nadskakiwał jej od tyłu przecież lat. Była to ostatnia okazja i jeśli nie chciała wędznąć nadal w zimnym pokoju w pensjonacie pani Mechity, musiała ją wykorzystać. Poszła aa obiad i na spacer ze swoim adoratorem, chodzili razem do kina i na bale i przez pewien czas Adela poczuła się wciągnięta w wir tego nowego życia i nowego entuzjazmu. Po dwóch miesiącach Zause poprosił o jej rękę. Zgodziła się szczęśliwa i od razu zostali kochankami. I podczas gdy syn śnił w sąsiednim pokoju mgliste nieprawdopodobieństwo, sny Adeli wypełniała pieśczoła czarnych wąsów i ciepło męskiego ciała — nie była już sama, nie

była już wyłączona z życia przez tajemniczą obojętność syna. Ale raz osiągnąwszy swój cel, miłość Carlosa Zause zaczęła powoli stygnąć. Coraz mniej mówiło się o małżeństwie. Było wiele

306

łez. Potem, być może z powodu łez, mówiło się coraz mniej o miłości, aż wreszcie nie widywali się prawie wcale. Było oczywiste, że zainteresowania kierownika zwracają się w inną stronę — ku sekretarce działu produkcji, blondynce urzędującej dwa piętra niżej, dosyć młodej, ale zbyt wyzywającej, jak ją poinformowały koleżanki z pracy.

Wiele ją kosztowało pogodzenie się z losem, ale nie można powiedzieć, żeby straciła własną godność. Co gorsza powiedziała już Sebastianowi, że wychodzi za mąż i że będzie miał nowego ojca, i teraz znalazła się w nie lada kłopotcie; jak wytłumaczyć mu, że życie postarało się rozwiązać także i to jej marzenie.

— Nic mi nie powiesz? — spytała Adela, kiedy zorientowała się, że jej zwierzenia nie poruszyły syna. — Przestań się bawić tym dzbankiem, wylejesz oliwę i poplamisz ubranie. Myślisz, że twoje ubrania dostają za darmo? — Wargi jej zadrgały i wycierając nos, dodała:

— Ciebie nic nie obchodzi, co się ze mną dzieje.

— Ależ, mamusiu — rzekł Sebastian — jak możesz tak jnyśleć?

— Nie, nie — mówiła Adela, popłakując. — Nic dla ciebie nie znaczę. Jesteś egoistą. A ja już mam dosyć stale tylko

pracować i wciąż być samotną. Jakże musiałam się postarzyć, jeśli wczoraj przyszło mi zamówić okulary, bo okulista powiedział, że mam słaby wzrok.,.

Mówiąc to, rozplakała się na dobre.

— Mamusiu, nie płacz, proszę... masz, wytrzymaj nos. Co do twojej pracy, to już rozmawialiśmy: w tym roku kończę szkołę i poszukam jakiegoś dobrego zajęcia. Chcę zacząć zarabiać, żeby ci pomóc. Poza tym niedługo skończę siedemnaście lat i chciałbym robić to, na co mam ochotę.

Adela przestała szlochać i patrząc na niego, ochrypla z wściekłości, wykrzyknęła:

— Ależ jedyne, co tobie się podoba, to spać jak jakiś głupek!

Słyszac to, Sebastian przeszył matkę spojrzeniem, a jednak było to tak, jakby jej nie widział. Adeli zatrzymało się serce, ponieważ dostrzegła w tym spojrzeniu odbicie tego wszystkiego, co w życiu syna było dla niej nieuchwytnie i niezrozumiale i na powrót pograżyła się we łzach. Mimo

307

wszystko pośród łkania i lamentów zdobyła się na to, by zapytać go po raz pierwszy — jeśli nie zapytałaby teraz, nie mogłaby już potem zadać tego pytania, a nie czuła się zdolna do dalszego życia w tak jałowej samotności — co oznacza to jego spanie?

— Jak mogę ci to wyjaśnić, skoro sam nie rozumiem — odparł łagodnie, podczas gdy Adela, już spokojniejsza, rzekreciła abażur tak że światło lampy padało na twarz syna

przeznaczenia uważała, że światło kłopoty padło na twarz syna, zostawiając jej własną w półcieniu.

— To jest tak... jakbym się urodził z darem do spania, ile i kiedy tylko zechcę. I może dlatego, że tak łatwo mi to przychodzi, jest to jedyną rzeczą, jaką robię z przyjemnością. Jakby wszystko poza tym było cieniem, pozbawionym wszelkiego znaczenia. A jednak nigdy nie rozumiałem jasno tego, co się ze mną dzieje. Dla mnie całe możliwe szczęście polega na spaniu. Może się to wydawać płytkie i absurdalne, ale do tego się urodziłem i to tylko ma dla mnie znaczenie. Kiedy śpię, czuję się szczęśliwy, i mam wrażenie, że śnię coś prawdziwego i magicznego, z pełnią światła, które wszystko rozjaśni, nie tylko dla mnie, ale i, za moim pośrednictwem, dla całej ludzkości. Kiedy jednak się budzę, czuję jakby jakieś drzwi zamknęły się za snem, odcinając go i nie pozwalając mi spamiętać tego, co zawierał. I te drzwi właśnie przeszkadzają mi sprowadzić do tego życia, do rzeczywistości, w jakiej żyją inni, szczęście śnionego świata. Muszę je otworzyć. I dlatego muszę spać wiele, bardzo wiele, aż zdołam wyważyć te drzwi, aż zdołam zapamiętać szczęście, jakie zawierał mój sen. Może któregoś dnia...

■— Oszalałeś, synu. To mogą osiągnąć tylko umarli.

— Nie, mamusiu. Nie chodzi o śmierć. Umarli nie śnią. Żeby śnić, trzeba być żywym, toteż muszę żyć dalej. Nie poświęciłem dotąd całego życia na spanie, ale chwilami wydaje mi się, że powinienem to zrobić, chociaż nie mam pojęcia, co znajdę za drzwiami. Być może okaże się, że nie żyć jak inni było błędem i'

że może nie warto było sprawdzać, co się ukrywa za drzwiami. Ale to nieważne. Usprawiedliwia mnie to, że idę drogą przeznaczenia, którą uważam za autentyczną i to też nadaje sens mojemu życiu. Kiedy myślę o życiu innych ludzi, żal mi ich, bo brak im tego celu, jaki mną kieruje, bo nie znają tej pasji, jaka mnie ożywia. I jeśli za drzwiami znajduje się właśnie to, co myślę... jeśli

308

jest tam jakieś światło, coś, co pozwoli zrozumieć, a zrozumiawszy wyjaśnić...

W następnym roku Sebastian poszedł na posadę i matka przestała pracować. Adela mocno się postarzała. Zupełnie, jakby patrzenie na Sebastiana zmęczyło ją straszliwie, jakby myślenie o nim wycisnęło z niej soki, wysuszyło ją. Uważała, że los postąpił z nią okrutnie, wymagając wiele, a ofiarowując w zamian bardzo mało. Pocieszała się, grywając w karty z panią Mechitą i rozmawiając od czasu do czasu przez telefon z dawnymi koleżankami z pracy, które opowiadały jej, co się dzieje w biurze. Jej niewielka emerytura, razem z pensją Sebastiana starczyły im na przeżycie. I w dalszym ciągu mieszkali w tych samych pokojach w pensjonacie, z doniczkami paproci, ustawionymi na środku niepokalanych serwet, dzierganych szydełkiem, w pokojach z zapachem starych pluszowych kotar pociętych przez mole.

W biurze Sebastian niewiele rozmawiał z kolegami. Czuł, że zawierać przyjaźnie, nawiązywać kontakty, które nie byłyby tylko czysto formalne, oznaczałoby zdradę wobec własnego

posłannictwa,, wobec snu. Urósł bardzo i był dosyć chudy, zbudowany z substancji jakby woskowej, delikatnej i przezroczystej, różniącej się od ciała. To nadawało mu wygląd tak interesujący,— że dziewczęta z biura, pudrując nosy lub poprawiając wyimaginowane wady w uczesaniu, patrzyły na niego, śmiejąc się i ubolewając, że jest tak młody. Miał oczy niebieskie, bardzo ładne, bardzo osobliwe.

— Oczy świętego — komentowała jedna z dziewcząt.

— Albo artysty — wyrażała sąd druga.

— Nie, oczy wielkiego kochanka — prostowała najbardziej odważna.

Ale kiedy Sebastian odpowiadał na jakieś ich pytanie albo na jakiś żart, jego sposób odpowiedzi był tak spokojnie uprzejmy, tak pogodny i czysty, że czuły się zawiedzione, jak gdyby nie widział w nich nic więcej, jak tylko puste powłoki. Przestały z nim żartować, a Sebastian wziął na siebie rolę jakby aktywnego cienia, wskazując im swoim milczeniem, że należy do innego gatunku, że nie ma czasu ani skłonności do tego rodzaju zabaw.

Kierownik działu, Achilles Marambio, nie więcej niż dziesięć lat starszy od Sebastiana, wziął go pod swoją opie—

309

kę. Ponieważ Marambio mówił wiele i chodziło mu tylko o to, żeby słuchać samego siebie, nie zdawał sobie sprawy, że Sebastian słucha go bez uwagi. Zwykł siadać obok niego, by wygłaszać długie perory:

— Masz przed sobą wspaniałą przyszołość w tej instytucji.

Rengifo, mówię ci to, bo znam się na ludziach i widzę, że jesteś facet zdolny i poważny. Zgadnij, ile maszyn do liczenia przysłali nam ze Stanów, nowoczesne, wspaniałe maszyny. Brakuje im tylko, żeby same mówiły. Nie wiesz? Osiemdziesiąt.

Wyobrażasz sobie, co możemy zrobić z osiem—dziesięcioma maszynami do liczenia? No, to ja ci powiem, że można zrobić prawie wszystko... absolutnie wszystko. I co ty na to?

Achilles Marambio był niski i szczupły, nosił czarne, przystrzyżone wąsiki i okulary w złotej oprawie. Pomimo maskujących, ciemnych ubrań zaczął mu się już uwydatniać niewielki brzuszek, a drugi podbródek zaczynał mu zacierać ostry zarys brody, drżąc jak u dziecka, które ma zamiar się rozplakać, kiedy ktoś nie zastosował się do jego polecenia albo popełnił jakieś zaniedbanie w czystości, czy punktualności.

Pewnego razu, po długim naleganiu ze strony szefa, Sebastian przyjął zaproszenie do niego na kolację. Usiadłszy do stołu, Achilles Marambio rozłożył serwetkę zatykając obydwoma jej końce w kieszonki kamizelki i w oczekiwaniu na kolację zaczął wychwalać Sebastianowi uroki płynące z posiadania własnego domu, własnej żony, własnego radia i własnej pralki. Tymczasem jego żona, nie otwierając ust utrzymywała na nich uśmiech aprobaty, jak ktoś, kto trzyma w dłoniach broń defensywną, bo było oczywiste, że sercem obecna jest nie przy stole, ale w kuchni, błagając niebiosa, żeby nowa kucharka nie przypaliła pieczeni.

· Po długich prolegomenach Achilles chrząknął i rzekł:

Słuchaj, Rengifo, obajchmy teba ponowimyć o jednej

— Słuchaj, Kengio, chciałem z tobą porozmawiać o jejnej sprawie.

— Tak?

— Tak — odparł Marambio i po chwili milczenia ciągnął dalej. — Słuchaj, chodzi o taką rzecz. W biurze wszyscy cię bardzo cenią, bo jesteś pracowity i uprzejmy. Ale wiesz dobrze, że w biurze najważniejsza jest jedność, żebyśmy wszyscy byli jak jedna rodzina. Bez tego praca nie może iść

310

dobrze. Ludzie cię lubią, ale nie będę przed tobą ukrywał, że zaczynają tracić do ciebie sympatię. Jesteś jakiś dziwny... wyniosły. Zapraszają cię na zabawy, na spacer, proponują, żebyś wypił z nimi kieliszek, czy poszedł do kina, a ty ani razu jeszcze nie przyjąłeś zaproszenia. Możesz mi powiedzieć dlaczego?

— Bo ja w ogóle mało wychodzę.

— Ale dlaczego? W twoim wieku powinieneś wychodzić z domu, rozerwać się trochę. Cała twoja przyszłość może zależeć od tak drobnych spraw. Dlaczego wychodzisz tak rzadko?

— Moja matka jest sama. Muszę jej dotrzymywać towarzystwa.

— To nie to jest powodem. Na pewno jeśli by ona zdała sobie sprawę, jakie znaczenie mają dla ciebie kontakty towarzyskie z kolegami z pracy, nie przeszkadzałoby jej zostać samej przez parę wieczorów w miesiącu. Bo nie chodzi o więcej. Mówię ci to jako przyjaciel i jako człowiek doświadczony...

— No tak, ale poza tym jestem bardzo słaby. Lubię dużo spać. Prawdę mówiąc, wolę spać niż iść na spacer...

— Nie powiesz mi chyba, że przesypiasz soboty i niedziele...

— Chociaż wyda ci się to dziwne, ale tak jest. Jestem wielkim śpiochem...

Achilles, na którego twarzy pojawił się nagle wyraz wesołości, chwycił serwetkę, żeby ochronić usta pełne jedzenia. Wykrzyknął:

— Słyszysz, Saro? Słyszysz, co powiada ten głuptas? Najlepszą rozrywką Rengifa jest spanie. Pierwszy raz w życiu słyszę coś takiego. Nie wychodzi z domu, nie lubi strzelić sobie kielicha, nie umawia się z kobietami. To prawie choroba...

— Jasne, że tak — zgodził się Sebastian, wspomagając leciutkim śmieszkiem wybuchy śmiechu swojego szefa.

— Słyszałem o wielu nałogowcach, o erotomanach, o narkomanach, o pijalcach i Bóg wie jeszcze jakich, ale zaręczam ci, że po raz pierwszy słyszę, żeby ktoś miał nałóg spania. Jesteś szalony, chłopie! Jeśli będziesz spał przez cały czas, życie przejdzie obok ciebie, a życie trzeba przeżyć. Bierz przykład ze mnie! —

311

Sebastian poczuł się tak zakłopotany i pełen winy, że nie miał innego wyjścia, jak udzielić choćby nie sprecyzowanego wyjaśnienia:

— Bo mnie się wydaje, że śpiąc odkrywę w tym, co śnię, coś ważnego, coś ważniejszego niż... no... niż samo życie...

— A jeśli będziesz czekał na to całe życie i umrzesz wcześniej? Będzie to znaczyło, że straciłeś życie śpiąc i nie zyskałeś nic w zamian.

— Wydaje mi się, że to, co mogę odnaleźć, jest tak— cudowne, że gotów jestem na ryzyko.

— Ryzyko, że któregoś dnia ockniesz się martwy i że wrzucą cię, ot tak, do śmieci? Ach nie, nie, co to, to nigdy. To szaleństwo. Życie trzeba przeżyć.

Rozmowa zaczęła rwać się. Zęby powiedziec cokolwiek, Achilles zaproponował:

— Mogę się z tobą założyć, że umrzesz i nic nie zobaczysz.

Sebastian odparł, śmiejąc się:

— Dobrze, jeżeli wygram, płacisz za mój pogrzeb. Achilles zgodził się bez wahania.

— A jeżeli ty wygrasz, co chcesz wtedy? — spytał Sebastian.

Achilles klepnął go po plecach i rzekł:

— Jeśli ja wygram, wyślę cię do zbiorowego grobu. Co ty na to?

— Zgoda, niech będzie.

Podali sobie ręce na przypieczętowanie zakładu.

— Ale jak się dowiemy, kto wygrał? — zapytał Achilles z powątpiewaniem.

— Myślę, że wystarczy, żebyś spojrzał mi w twarz, a będziesz wiedział.

— Jesteś wariat...

Roześmiali się obydwoje. A zębiając się ze swoim

rozestrzelał się uduwaj. A zęgnając się ze swoim
podopiecznym, Achilles doradził mu:

— Wydaje mi się, że tobie po prostu brakuje energii, witalności. Dlaczego nie zajmiesz się ćwiczeniami, tak jak ja. Ja kupiłem sobie hantle i sprężyny, a oprócz tego co rano ćwiczę przysiady. Może w ten sposób nabierzesz energii, żeby rozerwać się i spotykać z kobietami...

Było to mniej więcej to samo, co nieśmiało dawała mu do zrozumienia matka, zrozpaczona, że jej syn rezygnuje ze
312

wszystkich rozrywek, nawet z pójścia do kina. Jeśli czasami zdołała go przekonać, żeby ją zabrał, w ciemności sali Sebastian zasypiał natychmiast. Adela postarzała się mocno i z każdym dniem słabły jej coraz bardziej wzrok i słuch. Zupełnie, jakby wszystkie jej siły powoli wygasały, rozplywały się. Tyle wycierpiała! Własne cierpienia były ulubionym tematem jej rozmów z panią Mechitą, której piegowate palce straciły dawną zręczność do szydełkowania, ale która wykazywała w zamian za to rosnącą zachłanność do wysłuchiwania o zmartwieniach innych. Pewnego razu Adela przekazała synowi jako wypowiedź pani Mechity to, co sama myślała:

— Pani Mechitą, która cię bardzo lubi, bo zna cię prawie od dziecka, uważa, że trwonisz życie, że powinieneś jakoś się rozerwać, choćby pojechać na letnisko. Mówi, że trzeba, żebyś koniecznie zaczął coś robić, żebyś przestał spać. To tak, jakby ktoś rzucił na ciebie urok, powiada ona, bo wierzy w takie rzeczy...

Sebastian stracił cierpliwość. Kiedy wykrzyczał się już trochę, zniżył głos i powiedział:

— Najbardziej mnie złości to, że opowiadasz wszystko, jakby ci to rzeczywiście mówiła pani Mechita. Dlaczego nie powiesz szczerze, że to ty tak sądzisz? Nie chcę, żeby się to powtarzało, mamusi. Pracuję chętnie i spełniam mój obowiązek utrzymywania ciebie, bo cię kocham. Ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek, nawet ty, wtrącał się do mojego życia.

Wystarczająco cierpię, że pomimo wszelkich wysiłków nie mogę zapamiętać niczego z owego szczęścia, które, kiedy się budzę, pozostaje ukryte za drzwiami. Czasami myślę, żeby rzucić to wszystko i nawet, gdyby to było konieczne, narazić się na śmierć głodową, żeby zyskać czas na spanie, spanie w nieskończoność, dopóki drzwi się nie otworzą. Boję się, że życie okaże się zbyt krótkie. Jeśli więc nie mam prawa do spania w tych wolnych chwilach, jakie zostają mi po pracy, to nie warto, żebym żył dalej...

— Nie warto żebyś żył, by robić to, co robisz — odparła Adela i wyszła trzaskając drzwiami. Zamknęła się w swoim pokoju, wzdychając głośno tak, żeby syn musiał ją słyszeć.

Sebastian pomyślał sobie, że wyjaśnianie tych spraw matce było daremne. Daremne było wyjaśnianie czegokolwiek komukolwiek. Wszystko to przerastało jego otoczenie,

313

a nawet i jego samego. Wlokąc go ku nieznanemu finałowi, czyniło to z takim impetem, że wyrwało jego korzenie z ziemi, izolowało go, odosabniało. W miarę jak rosła jego udręka,

spowodowana niemożnością zapamiętania szczęścia, wydawało mu się, że cały proces nabiera przyspieszenia. Przedtem, kiedy był jeszcze dzieckiem, spał jak ktoś, kto się bawi, jak ktoś, kto odkrył zabawę nieco tajemniczą, ale ostatecznie przecież zabawę, a zatem rzecz niegroźną. W owym czasie spał, bo mu się to podobało, albo kiedy miał chwilę czasu lub po prostu, kiedy miał na to ochotę. Ale obecnie, gdy wyrównywał swoje rachunki ze społeczeństwem, utrzymując matkę, pracując i, do pewnego stopnia, uczestnicząc w działalności żywych istot, czuł się w pełni uprawniony do spania na serio, z pełną świadomością własnego celu, pociągany przez autentyczną i coraz bardziej rozdzierającą konieczność przekonania się, co zawierają jego sny. To, co przedtem byto rozrywką, stało się teraz racją jego istnienia i poświęcał temu wszystkie wolne godziny, ulegając gwałtownemu pragnieniu snu, jak ktoś, kto naraziłby się na stratę czegoś bardzo istotnego z samego życia, gdyby nie wykorzystał całego, ale to całego swojego czasu. Ale po przebudzeniu drzwi pozostawały niewzruszone, zapieczętowane, zostawiając mu tylko olśnienie, nękający niepokój, pragnienie poznania tego, co wyjaśniłoby wszystko, pozwalając mu tym samym odnaleźć się wśród ludzi.

Od tyłu gorzkich myśli, od rozpamiętywania ciężkiej doli, jaka przypadła jej w udziale i od zastanawiania się nad tym, jak mało zadowolenia dostarcza jej niezrozumiały los syna, Adela słabła i mizerniała, smutna i osamotniona, w swoim pokoju w pensjonacie. Przekonała się ostatecznie, że nic nie znaczy dla Sebastiana – że jest dla niego jeszcze jednym przedmiotem w

Sebastianowi, że jest dla niego jeszcze jednym przedmiotem w królestwie przedmiotów, ledwie zasługującym na nieznaczące uczucie. Zupełnie, jakby nie zwracając na nią uwagi, syn wymazywał ją przez to z życia, pozbawiał ciężaru i kształtu. Adela była nie tylko że ślepa—wa i prawie głucha, ale na domiar cierpiała na bóle w nogach. Kaszłała prawie cały czas. I pewnego pięknego dnia rozkaszała się nadmiernie, a że nie miała siły zawołać o pomoc, umarła, jakby przekonała się ostatecznie o własnym nieistnieniu.

Po powrocie z pogrzebu Sebastian zdjął kapelusz i ręką—
314

wiczki, kładąc je na marmurowym blacie toaletki. Zamknął w swoim pokoju okiennice, poprosił panią Mechitę, żeby mu dwa razy dziennie przysyłała jedzenie i położył się spać z taką zachłannością, jakby śmierć matki rozcięła ostatni węzeł łączący go ze światem. Spał trzy dni i trzy noce — trzy dni okolicznościowego urlopu, jakiego ze współczującym wyrazem twarzy udzielił mu Marambio. Po przebudzeniu stwierdził, że drzwi nadal pozostają zamknięte, a światło ukryte. Ale — i to była cudowna różnica — wiedział teraz z całą pewnością, że któregoś dnia, choćby nie wiadomo jak odległego, będzie w stanie zapamiętać w całości tę część własnego życia, która skrywała się za drzwiami snu. Trzeba było tylko zabrać się za to, nic więcej. Ożywiony tą nową wiarą ubrał się, uczesał i wyszedł z domu do biura, czując się lekki jak nigdy, silny i pewny siebie. Kazał się zameldować kierownikowi, który przyjął go braterskim uściskiem i posadził na najwygodniej szym fotelu w

swoim gabinecie. Sebastian podziękował za papierosa, którym częstował go Achilles i rzekł:

__Przychodzę złożyć wymówienie.

Achilles Marambio jednym susem poderwał się na nogi. Nie rozumiał tej nieoczekiwanej decyzji. Dlaczego? Z jakiej racji? Z czego będzie żył? Czy nie zdaje sobie sprawy, że tu, w tej instytucji, czeka go przyszłość godna pozazdrosczenia? Jak można być tak nierozsądnym? Ale Sebastian trwał silnie przy swoim postanowieniu. Zupełnie jakby nie widział ani nie słyszał Achillesa.

W końcu, wyczerpany mówieniem przez cały czas do siebie, szef spojrział na Sebastiana i obraźliwym tonem zapytał:

— I co myślisz robić? Spać przez cały czas?

— Tak.

— Po co?

Marambio powściągał gniew.

— Nie wiem, muszę to zrobić, muszę dowiedzieć się...

Achilles rozwścieczony poderwał się z krzykiem:

— Nie wyjeżdżaj mi tutaj z tymi swoimi bredniami o wizjach! Jesteś po prostu mięczak, jak wy wszyscy, co się uważacie za duchy wybrane! Kto ci dał prawo do uprzywilejowanego życia? Nie, nie, nie wyjeżdżaj mi tu z żadnymi historyjkami. Tobie chodzi tylko o to, żeby żyć przy—

315

jemnie, nic nie robić, spać i wypoczywać. Żadne tam wizje! Ale ostrzegam cię: umrzesz i nic nie zobaczysz. Dobrze...;’ w porządku, idź sobie. Ach, i chcę cię ostrzec co do jednego,^

żebyś i to sobie zapamiętał: później nie przychodź do mnie' prosić o pomoc. Tutaj kończy się nasza przyjaźń. Ja nie je* > stem przyjacielem zawodowych próżniaków. I jeśli chcesz ; próżnować i żyć wygodnie, musisz ponosić do końca wszy—^ stkie konsekwencje.

Zraniony, ale spoglądając nań pogodnie, Sebastian spytał:
— A zakład?

Achilles zaśmiał się pogardliwie:

— Więc jeszcze teraz masz chęć ciągnąć ten kawał?
Dobrze, niech ten zakład zostanie jedyną więzią między nami. Ale nie masz nawet pojęcia, z jaką chęcią każę cię wrzucić do zbiorowego grobu...

Po wyjściu na ulicę Sebastian odetchnął głęboko, jakby robił to po raz pierwszy. Teraz nareszcie był panem siebie, uwolniony od więzów, które łączyłyby go z kimkolwiek lub z czymkolwiek. Teraz mógł poświęcić całe życie na sen i z każdą przespaną sekundą zbliżać się coraz bardziej do tamtego, być coraz bliższy i bliższy możliwości otwarcia drzwi. Cóż znaczyło, że uważają go za człowieka bezwartościowego? Czymże był on w życiu realnym, jeśli nie biednym urzędniczyzną w przedsiębiorstwie importowym, mieszkającym w pensjonacie, pachnącym pociętym przez mole pluszem. Sen natomiast, chociaż go jeszcze nie zobaczył, ofiarowywał mu broń potężną, wielkie i piękne słowa, wy—mowne—barwy, cały system światłości — rzeczy wspaniałych i nieogarnionych, dzięki którym on, Sebastian Rengifo, miał w jakiś sposób przesunąć granicę ciemności. Tak, teraz był niewien. Temu czemu noświecał nieliczne wolne chwile.

poświęci całe swoje życie. Będzie żył tak, aby móc przeznaczyć na sen możliwie największą ilość czasu, nie pozwalając, by stanęły mu na przeszkodzie obowiązki tak zwanego „realnego życia”. Już nie miał potrzeby przywiązywać wagi do tego, co było tylko cieniem — do jedzenia, dostatku, ubrania, rozrywek, towarzystwa. W ten sposób, żyjąc zawsze w pobliżu drzwi, będzie wciąż w pogotowiu, czekając na chwilę, w której ukaże się światło.

Jedynym sposobem osiągnięcia tego celu było pozbycie
316

się wszystkiego. A że nigdy nie lubił miasta, zwłaszcza kiedy wiosna, jak w owej chwili, zbliżała się niepostrzeżenie, sprzedał meble, zlikwidował całą swoją własność i żegnając się raz na zawsze z panią Mechitą — która, zalewając się łzami, wykrzykiwała: „Jesteś szalony, mój chłopcze, jesteś szalony!” — opuścił miasto drogą prowadzącą na północ.

Pejzaż ogarnął go natychmiast, łagodząc jego czuwanie i użyczając mu klimatu snu. Wierzby kołysały głowami nad brzegami powolnych i ciemnych strumieni, a wiatr, który potrząsał ich smutnymi warkoczami, obdarzał odrębnym językiem każdą roślinę, każdą gałąź, każdy liść. Tam, w dali, błękitne wzgórze świeżych eukaliptusów. Ścieżki w żyznej, brunatnej ziemi, gdzie dzieci bawiły się z chmarą zabiedzonych psów, wiodły go do oberży, która zapachem zapowiadała z daleka swą obecność, lub do uniesionego ramienia dymu, które pozdrowiało go sponad dachu szałas, na wpół ukrytego wśród

drzew. Korą każdego drzewa ukazywała mapę wszystkich epok i wszystkich zjawisk. Pośród tego wszystkiego Sebastian poczuł, że odległość, jaka dzieliła przedtem „rzeczywistość powszednią” od tej drugiej rzeczywistości, tej prawdziwszej, zaczyna się zmniejszać, jakby cały ten bogaty świat zewnętrzny wcielał się w ukrytą rzeczywistość snu.

Sebastian, silny i młody, rad z zaczynającego się lata, wędrował, pracując jakiś czas tutaj, jakiś gdzie indziej, po folwarkach i po polach. W jednym miejscu pomagał przy myciu owiec i pozwolono mu przespać się w sieni, gdzie indziej znów, pracował przy zbiorze słoneczników, a następnie zlecano mu wygrzebywanie kartofli z głębi czarnej ziemi. Później szedł dalej własną drogą, podczas gdy drozdy, jak grad kamieni zagrażały kruchemu błękitowi nieba. Za pieniądze, które zarabiał pracując przez trzy dni, mógł utrzymać się przez tydzień; i cały ten czas przesypiał pod uginającymi się od owoców drzewami brzoskwiń, albo w szczerym polu, albo też w jakiejś stodole. Słońce spaliło mu twarz i ramiona. Łagodne światło omywało mu oczy. Niekiedy, gdy od czasu do czasu wracał do miasta, spotykał Achillesa Marambio, który na widok Sebastiana odwracał wzrok albo przechodził szybko na drugą stronę ulicy, żeby nie musieć z nim rozmawiać, unosząc z daleka przyobleczo

317

ny w rękawiczkę palec, jakby ganiać go lub o czymś przypominając.

Stopniowo zaczęło się dziać z Sebastianem coś dziwnego:

Nie był już w stanie panować nad swoim snem. Już nie mógł „zabierać się” do spania swobodnie i kiedy miał na to ochotę, jak niegdyś, ponieważ sen uniezależnił się od niego i zawładnął jego wolą, rządząc nim despotycznie. Teraz sen napadał go zniemacka, ot tak sobie, gdzieś pośrodku drogi i Sebastian musiał układać się wśród brudnego zielska i spać. Zaniepokojony czuł, że sen występuje już z brzegów, zatapiając całe jego życie. Zасыпiał w jakimkolwiek miejscu, w dzień czy w nocy, o chłodzie czy pod promieniami słońca, podczas deszczu czy w godzinach pracy, a po przebudzeniu wzrastała tylko jego rozpacz po umykającym wspomnieniu. Ale podczas gdy spał coraz więcej i więcej, gdy coraz bardziej dręczyła go świadomość, że jest wyłączony z własnego szczęścia, tym większą odczuwał wiarę, że za którymś razem ujrzy drzwi gościnnie otwarte na oścież. Kiedy się budził, czuł, że był cudownie blisko. Ale nie pamiętał nic więcej.

Pewnego dnia wręczono mu kosę, obiecując, że jeśli skosi całą trawę z pastwiska, a następnie zgromadzi ją w szopie ■otrzyma niezłą sumę. Te pieniądze — pomyślał Sebastian — powinny starczyć na spanie przez cały miesiąc, bez troski o cokolwiek, a to, co mogło mu się wydarzyć przez cały miesiąc snu, było nie do przewidzenia. Pólnagi, z kosą na ramieniu, przemierzał pastwisko od krańca do krańca. Korony figowców rozplywały się i szemrały na świeżym wietrze, a w gęstym, błękitnym cieniu wypoczywały na mchu dwie białe kaczki, niczym świeżo wyprane koszule, beztrosko strącone przez wiatr. Sebastian słuchał wrzasku ptactwa i spoglądał na ocieżałe

chmury, przepływające nad palcami topól.. Rzekł do siebie: „Muszę się spieszyć. Muszę szybko skosić i zebrać trawę, bo w nocy będzie burza...” —

Pracował całe popołudnie. Chmury, coraz bardziej gęste, płynęły coraz niżej. Sebastian skosił trawę z impetem człowieka, który walczy o własne ocalenie podczas burzy na morzu roślinności. Kiedy miał już skoszoną całą trawę, poczuł się wyczerpany. Spojrzał w niebo. Zaczynał padać deszcz. W jednej chwili sen owładnął nim całkowicie. Zasnął na skoszonej trawie, a deszcz padał na niego i na siano, którego już nic nie mogło ocalić. Kiedy się obudził, gospoda —

318

rze, wściekli, że dopuścił do zniszczenia siana, odmówili mu zapłaty. Sebastian oszedł maszerując przez wiele dni, bo z folwarku na folwark biegła wieść, że nie można na niego liczyć.

Trudno mu było teraz zdobyć pracę. Gdziekolwiek powierzano mu jakąś robotę, choćby była najłżejsza, działo się to samo: zasypiał, nie mogąc się opanować. Zostawiano go przy pilnowaniu pieczeni i mięso się przypalało, proszono, żeby zajął się dzieckiem, a ono wypadło z kołyski; wysyłano go z wozem pełnym słomy i na początku jazdy dźgał woły, kierując nimi z wysoka, ale szybko zapadał w sen i wóz zbaczał z drogi. Piętno ludzi przegranych odcisnęło się na jego chodzie, w jego głosie i łachmanach, stanowiących ubranie.

— Zaczynam się starzeć... — rozmyślał.

Łatwo byłoby pozwolić sobie na śmierć, rzucić się pod ciężarówkę na drodze albo skoczyć z mostu. Ale Sebastian nie

ciężarówkę na drodze albo skoczyć z mostu. Ale Sebastian nie chciał tego robić, bo tylko żyjąc, mógł nadal śnić. Czuł się bliski mety, ale bardzo zmęczony. Najgorsze, że aby żyć, trzeba było pracować, a nikt nie chciał dać mu pracy. Ludzie unikali go, jakby się go obawiali albo jakby przynosił nieszczęście.

Zrozpaczony, udał się pewnego dnia do szpitala psychiatrycznego, prosić, żeby go nauczyli panować nad snem. Przyjęło go dwóch młodych lekarzy, poważnych i sympatycznych. Wysłuchali cierpliwie historii Sebastiana.

— Tak — rzekł jeden z nich — ale to nie jest choroba.

— Tutaj nie możemy pana przyjąć — dorzucił drugi z pewnym żalem.

— Ale boję się, że umrę, panie doktorze — prosił Sebastian.

— A jeśli pan śpi przez cały dzień, czy to nie to samo, co śmierć?

— Nie, nie, brakuje mi tak niewiele, panie doktorze. Drzwi się już wkrótce otworzą.

— Drzwi? Jakie drzwi?

Lekarze zorientowali się, że Sebastian należy do osób niezrównoważonych, nie na tyle jednak, żeby się kwalifikował do intensywnego leczenia. Istnieje zbyt wielu ludzi naprawdę chorych i trzeba zachować siły dla nich. Jednakże dostrzegli u Sebastiana pewną bezbronność — nie wiedział, dokąd się udać i tak bardzo lękał się umrzeć, nim nie otwo—

rzą się owe tajemnicze drzwi. Wzruszeni lekarze pozwolili mu spędzić kilka dni w szpitalu. Ale kiedy pewnego wieczoru, gdy razem odbywali obchód, podeszli do łóżka Sebastiana, na widok jego uśmiechu, owej błogości, jaka rozjaśniała mu twarz, doszli do wniosku, że jest niemożliwością trzymać nadal w szpitalu kogoś, kto śpi tak spokojnie. Wypisali go następnego ranka.

Sebastian zdawał sobie sprawę, że koniec jest bliski. Nie miał żadnej pracy i włóczył się, żebrząc, po ulicach i po drogach, od domu do domu, od farmy do farmy. Nie obchodziło go nic z tego, co się działo dookoła, jak gdyby nic, co się mogło wydarzyć, nie miało znaczenia. Żył w świecie mrocznym, zaludnionym cieniami, echami, oczekiwaniem. Zapisał brodę i długie włosy. Owładnęła nim słabość. Wędrował drogami, torami kolejowymi, ulicami i alejami miasta, a kiedy dosięgał go sen, kładł się spać w jakimkolwiek miejscu. Pewnego razu jakiś koń zbliżył się obwąchać mu twarz, biorąc go za martwego. Ludzie stronili od niego, jakby był czarownikiem, zbrojeńcem albo wariatem. Ale on w dalszym ciągu spał pełen nadziei, bo kiedy drzwi zostaną otwarte, wszyscy ci, którzy teraz od niego uciekają, będą musieli go uznać.

Czasem wędrował do miasta, ponieważ tam łatwiej było zdobyć pożywienie. Na targu mógł ukraść chleb albo kawałek smażonej ryby. Ale zwykle rozpoznawano go i raz jakaś kobieta, przytłoczona ciężarem dźwiganych tobołów, zagroziła mu drogę, krzycząc:

— Nie wstyd ci, śpiochu leniwy? Zamiast zabrać się do

pracy, żebrzesz i kradniesz. Jesteś hańbą ludzkości. Powinni wyrzucić cię z miasta albo zamknąć do więzienia. Jeszcze nie jesteś taki stary, żeby nie móc pracować. .

Ale nie mógł pracować. Sen natychmiast brał nad nim górę, jak gdyby oburzony, że Sebastian robi cokolwiek, co usuwa go spod jego władzy. Pewnego razu przyłapano go na kradzieży i zaprowadzono do więzienia. Wypuścili go szybko, ale został już napiętnowany jako przestępca i nawet ci, co przedtem uśmiechali się z pewną życzliwością nad jego grzeszkiem włóczęgostwa, przechodzili teraz na jego widok na drugą stronę ulicy.

Nadeszła zima, jeszcze jedna zima, a wraz z nią pewnośc Sebastiana, że wkrótce umrze. Już nie miał sił. Ale wyda—

320

wało mu się, że jeśli zdoła przeżyć jeszcze kilka tygodni, jeśli będzie miał co jeść i gdzie się schronić, będzie mógł spać, będzie mógł wreszcie zapamiętać, zrozumieć, przekazać. Umrzeć znaczyłoby ponieść klęskę. Ale głęboka nadzieja Sebastiana, była tą jedyną rzeczą, która go nie opuszczała. Był to koniec. Ale może także i zwycięstwo.

Było bardzo zimno. O świcie, pod czarnymi, sztywnymi drzewami parku, Sebastian znajdował padłe z mrozu ptaki. Próbował przywrócić je do życia, chuchając w ich szare piórka, te jednak, stwardniałe od szronu, nie poruszały się nawet. W mieście mieszkał pod mostem i, otaczając się zapchlonymi psami, żeby go grzały, okrywając się starymi gazetami, żeby nie nrzenikał on wiatr mógł spać wiele prawie przez cały czas

Wiedział, że już już, a zapamięta wszystko, że już już, a otworzą się drzwi. Była to kwestia utrzymania się przez kilka jeszcze dni przy życiu, znalezienia odrobiny chleba, nieznacznej choćby ochrony przed mrozem i szronem. Było to trudne. Czasami przyklepał nos do wystawy sklepu mięsnego i wpatrywał się w gorącą czerwień wypatroszonych zwierząt, zwisających z haków, a kiedy ktoś wychodząc otwierał drzwi, gęsty zapach krwi uspokajał nieco jego głód i uczucie zimna. Nagle, pewnego dnia, wpadł na pomysł. Pójdzie do Achillesa Marambio, który mieszka blisko. Może tamten wrzuci się na widok jego nędzy. Może, zapominając, co powiedział przed laty, przed wielu, wielu laty, da mu jeść i przechowa go przez kilka dni — choć ostatnimi razami, kiedy mijali się na ulicy, Marambio nie rozpoznawał Sebastiana. Może...

Sebastian zrobił sobie czapkę z gazet, żeby ochronić głowę i ruszył powoli w zimne popołudnie przez ulice i cienie domów, drzew i zgaszonych latarni, spoglądając od czasu do czasu w ołowiane, przecięte drutami niebo, aż dotarł do domu Marambio. Chmury ponad dachami tamowały prawie całą czerwień zachodu. Zapadała noc. Zbierało się na śnieg. Sebastian zadzwonił do drzwi Achillesa Marambio. Otworzyła mu służąca, ubrana na czarno, w fartuszkę z białego muszliny.

— Czy zastałem Achillesa Marambio? — spytał Sebastian.

— Don Achillesa? — służąca podkreśliła to don. —

821

Je teraz kolację. Proszę pójść do kuchennego wejścia, z

drugiej ulicy. Te drzwi są dla gości. Kogo mam zameldować?

Wymawiając swoje nazwisko, Sebastian Rengifo, czuł, jakby otwierał drzwiczki klatki, pozwalając mu uciec, niczym ptakowi, na zawsze. Zaczekał przy drzwiach kuchennych, w zaułku, w którym lkał uwięziony wiatr. Sebastian naciągnął głębiej na głowę swoją trójkątną czapkę z gazet i zawiązał lepiej stare szmaty, okrywające mu stopy. Bez twarzy już, bez imienia, usiadł na progu i czekał.

Drzwi otworzyły się wreszcie. Zjawił się Achilles Marambio, dość pogrubiały z latami, z szeroką, białą serwetką, zawiązaną pod obwisłym podbródkiem.

— Chcieliście ze mną mówić? — spytał.

— Tak... Nie pamięta mnie pan?

Marambio wytarł końcem serwetki opar, który po wyjściu na mroź zaćmił mu okulary. Za jego plecami, w części mieszkania, dającej się dostrzec przez drzwi, kilka osób śmiało się przy nakrytym stole.

— Nie pamiętam. Pospieszcie się i mówcie, czego chcecie, bo jest zimno i można się nabawić grypy.

Łza zamarzała na rzęsach Sebastiana.

— Jeśli nie powiecie zaraz, o co wam chodzi, pójdę sobie — zagroził Marambio.

— Nie zna mnie pan? — wymamrotał Sebastian.

— Nie, człowieku, nie znam was. Chcecie, żebym znał wszystkich włóczęgów z miasta? A prócz tego z tym zarostem i brudem...

— Przyszedłem prosić, żeby mi pan dał co jeść i

przenocował przez kilka dni. Niedługo umrę, a nie mogę tego zrobić, zanim nie otworzą się drzwi... proszę pana...

Cień przypomnienia osnuł twarz Achillesa.

— Zanim co? Jakie drzwi?

— ...drzwi i będę mógł wtedy zobaczyć...

— Nie, nie, nie. Proszę się stąd wynosić. Jeszcze pan nie umiera. Nie jest pan aż tak stary, żeby nie znaleźć pracy. Pan sam chciał być tym, czym pan jest... Proszę iść. Dobranoc. Nie chcę mieć z panem nic wspólnego.

I zamknął drzwi.

Sebastian skulił się, jak mógł najwygodniej i zasnął na progu.
322.

W nocy otworło się niebo i gwiazdy ledwie mrugając, spoglądały z nieba przeraźliwie czarnego i głębokiego, z którego spadł ciężki szron. A następnego ranka, w niedzielę, niebo zaświtało czyściutkie, błękitne, kruche i cienkie, niczym olbrzymi latawiec. Słońce nie ogrzewało ulic, ale jego jasne światło ukazywało wszystkie kąty i kontury.

Don Achilles Marambio, jego żona i dwie córeczki, sze—
ście— i siedmioletnia, udali się rano do kościoła. Z całym
namaszczeniem uczestniczyli w mszy świętej i wracali powoli
nasłonecznionymi alejkami, pozdrawiając znajomych,
zatrzymując się od czasu do czasu, żeby potupać w ziemię i
klaskaniem w dłonie rozgrzać skostniałe palce. Idące kilka
kroków z przodu, Maria Patricia i Maria Isabel, prawie
jednakowego wzrostu. w czankach z białego futra i w mufkach z

tej samej skóry, pozwalały dumnie, żeby przechodnie podziwiali poprawność ich postawy i wykwent ich stroju.

Kiedy weszli w zaułek, prowadzący do kuchennych drzwi domu, pióropusze pary, które dotąd spokojnie unosiły się z ust całej czwórki rodziny Marambio, urwały się nagle. Achilles i jego żona zatrzymali się. Dziewczynki z piskiem poszukały schronienia u boku rodziców. Bo tam, na progu domu, leżał kształt ludzki, zarośnięty i brudny, okryty mokrymi gazetami. Zbliżyli się ostrożnie. Marambio poruszył leżącego nogą.

— Nie żyje — mruknął.

Kobieta przykucnęła, żeby ściągnąć czapkę, która zakrywała mu twarz. Marambio wykrzyknął:

— Nie bądź idiotką! Zostaw go! Dlaczego chcesz zobaczyć jego twarz?

Ale żona już to zrobiła i oblicze umarłego, pod zarostem i brudem, ukazało się przemienione wyrazem takiej rozkoszy, takiej radości i zachwytu, że Maria Patricia, zbliżając się doń bez obawy, zawołała:

— Spójrz tatusiu, jaki piękny. Wydaje się, jakby zobaczył...

— Cicho bądź, nie gadaj głupstw — krzyknął Marambio wściekły.

— Wydaje się, jakby oglądał...!

Zanim Maria Isabel zdążyła powiedzieć, co się wydaje, że umarły oglądał, Marambio schwycił gwałtownie obydwie córki i wepchnął je do domu. Posłuchały bez grymasów

I płaczow, jakie zwykłe urządziły, kiedy ojciec im czego zabraniał; trzymały się za ręce rozmawiając o tym, jacy piękni są umarli i obiecując sobie już nigdy więcej nie słuchać dorosłych, którzy tak się ich boją. Marambio zadzwonił na policję, by zawiadomić, że jakiś włóczęga leży martwy na progu jego drzwi kuchennych. A ponieważ don Achilles był człowiekiem szanowanym i z dużym poczuciem obywatelskim, zarządził, aby — jako że trup został znaleziony u progu jego domu — nie wrzucano go do zbiorowego grobu. On sam pokryje koszty pogrzebu — nie pierwszej, rzecz jasna, klasy, to byłoby rzeczą absurdalną, ale porządnego pogrzebu trzeciej klasy, co dla bezimiennego włóczęgi jest koniec końców luksusem, jakiego nie mógł się spodziewać.

Przełożył Jerzy Kuhn

Posłowie

Fantastyka jest pojęciem tak obszernym, że zredukowana do samej tylko prozy obejmie więcej niż połowę powstałych na całym globie opowiadań, nowel i powieści. Mieści się w niej, tak szeroko pojętej, zarówno sięgający początków wszystkich kultur świat mitów, legend i baśni, świat bajki, alegorii i powiastki filozoficznej, spokrewniony z nimi świat utopii — ten rodzaj fantastyki dydaktycznej, potępiającej istniejące lub proponującej nowe łądy społeczne i moralne, który w naszej kulturze ciągnie się od Platona, poprzez Tomasza Moore’a, Campa—nellę, Swifta, Cirana de Bergerac i Woltera aż po dwudziestowieczne wizje Huxleya, Orwella i Gwatemalczyka Arevalo Martineza. Zaliczamy do niej również horrory, których

naczelną zasadą konstrukcyjną jest wtargnięcie niesamowitości w świat codzienny, będące — jak powiada Roger Caillois — „późnym odkryciem literatury uczonej”. Należy wymienić wreszcie powieści i opowiadania absurdu, a także tak popularną dzisiaj na obydwu półkulach *science fiction*.

Za fantastyczne uznajemy utwory prezentujące zjawiska, które w sposób oczywisty przeczą prawom fizycznym znanego nam z doświadczenia i nabytej wiedzy świata (widmo zamordowanej siostry, które zajmuje w dylizansie miejsce mordercy, skazując tę ostatnią na samotną śmierć na pustkowiu; płaszczyzny ścian i podłogi, które redukują się nagle do wąskiego przylegającego do windy parapetu; człowiek, który w snach tworzy innego człowieka, sam okazując się w końcu sennym tworem kogoś trzeciego; podróż poprzez podobne do siebie, identyczne niemal światy, zbieżne w czasie, lecz oddalone w przestrzeni). Włączymy tu historie, przeciwko którym nie buntuje się nasza wiedza o prawach fizyki, ale z którymi kłóć się logika i celowość urządzeń cywilizacji (opowiadanie *Zwrotnicy*), a także te, które w znanym nam świecie mogłyby się

21 — W zaczarowanym zwierciadle

325

zdarzyć (dziewczyna zakochana w balkonie; lustro, w którym pobudzona wyrzutami sumienia fantazja każe widzieć mordercom oblicze ich ofiary), ale które odbieramy jednak jako niesamowite, niepokojące, obce codziennej rzeczywistości. I dobrze się też stało, że autor niniejszego wyboru potraktował

pojęcie fantastyki tak szeroko (źle, że z uwagi na utrudniony dostęp do wielu źródeł umknęło mu szereg pozycji ciekawych, godnych zaprezentowania), przez co antologia staje się barwniejsza, tematycznie bogatsza, możliwie szeroko prezentując dorobek — La—tynoamerykanów w dziedzinie nierealistycznej prozy.

Rozkwit fantastyki w prozie latynoamerykańskiej przypada na piąte i szóste dziesięciolecie naszego stulecia, aczkolwiek wątek fantastyczny pojawia się i przewija przez tę literaturę od samych jej początków.

Już < *v relacjach pierwszych odkrywców Ameryki i konkwistadorów element fantastyczny współlistnieje z drobiazgowym realizmem opisu. Nowy kontynent, ze swą oszałamiającą barwą i bogactwem form przyrodą, ze swymi ludnymi miastami, których bogactwo zapładniało wyobraźnię ubogich hidalgów, zamieszkały przez ludy o różnym stopniu rozwoju i odmiennych od istniejących w Starym Świecie obyczajach, oferował wykar—mionym na romansach rycerskich przybyszom z Europy możliwość zetknięcia się z cudownością. („Czymże jest historia całej Ameryki, jeśli nie kroniką rzeczywistości cudownej?” — zapyta w czterysta lat później Alejo Carpentier *). Fray Gaspar de Garvajal (1504—1584), towarzysz wyprawy Orellany w dorzecze Amazonki, której wody uchodzą do Atlantyku „poprzez paszcze smoka”, daje się poznać w swoich zapiskach — *Relación del nuevo descubrimiento del famoso Rio Grandę de. Las Amazo—nas* — jako dociekliwy obserwator i sumienny sprawozdawca

— jako dociekliwy obsekwator i sumienny sprawozdawca, mimo to nie może się ustrzec od włączenia do swej opowieści szeregu fantazji, nad którymi góruje mit o plemieniu Amazonek — kobiet wojowniczek, władających „bogatą ziemią i państwem Amazonii”. Również w sprawozdaniach innych kronikarzy pojawiają się niesamowite stwory, smoki, giganci, ludzie bez głowy z oczami na piersiach, złote miasta i źródła wiecznej

* Przedmowa do *Królestwa z tego świata*, Warszawa 1968. Przekład Kaliny Wojciechowskiej.

326

L

młodości — cały arsenał fantastycznych atrybutów, zaczerpniętych z romansów i mitów Europy.

Przez trzy stulecia epoki kolonialnej nie było w literaturze iberoamerykańskiej miejsca dla prozy fabularnej. W „portu—galskojęzycznej” Brazylii funkcję wyrażania wątków epickich wzięła na siebie poezja *. W koloniach hiszpańskich, począwszy od 1531 roku, dekrety Ich Wysokości Monarchów Katolickich zabraniały publikacji i rozpowszechniania „historii zmyślonych”, z obawy by Indianie, którzy potrafią czytać, nie porzucili dla nich „ksiąg zdrowej i dobrej doktryny i nie nauczyli się z nich złych obyczajów i nałogów”. Jednakże już pierwsze nieśmiałe próby prozatorskie z początku XIX stulecia przynoszą obok twórczości realistycznej, imitującej hiszpańską *novela picaresca*, utwory ze świata fantazji. Takim jest na przykład niewielkie dziełko Meksykanina Josego Mariana Acosta Enrigureza *Sueno de sueños* (1801), którego bohater toczy

wielotematyczne dysputy z nieżyjącymi klasykami hiszpańskiej literatury: Cervan—tesem, Quevedem, Torresem Villarroel.

Jeśli nie brać pod uwagę pojedynczych przypadków, jak *Periquillo Sarniento* (1816) Josego Joaquina Fernandez de Li—zardi, powieść i nowela pojawiają się w Ameryce Łacińskiej wraz z romantyzmem w połowie XIX stulecia. I choć romantyzm latynoamerykański preferował prozę realistyczną (historyczną, sentymentalną, bądź demaskującą — jak *Amalia* Josego Marmola — oblicze tyranii), nie brak wśród dzieł owego okresu utworów reprezentujących nurt fantastyczny. Do najnowocześniejszych publikacji w tym czasie należą poszczególne opowiadania {*La alcoba de una excéntrica; Coincidencia; Quien eseucha, su mai oye*) Argentynki Juany Marnieli Gorriti (1819— 1892), włączone w 1865 r. do tomu *Sueños y realidades*. Ponadto należałoby tu wymienić Alvarisa de Acevedo z Brazylii (zbiór opowiadań *Noite na taverna*, 1855), a także autorów pojedynczych opowiadań fantastycznych: Argentyńczyka Carlosa Oli—wierę (*El hombre de la levita gris*), poetę i eseistę meksykańskiego Justo Sierre (1848—1912) jako autora noweli *Sirena*, Kubankę Gertrudis Gómez de Avellaneda (1814—1873): *La velada del helecho o el donativo del diablo*, Wenezuelczyka Eduarda Blanco (1838—1912).

· Odstępstwem od tej reguły jest bodajże tylko jedno dzieło — proza historyczna Nuna Marquesa Pereiry *CompSndio Narratlvdo do Peregrino da America* (1728), uznane za pierwszą powieść brazylijską.

Podobnie jak w Europie, na kontynencie amerykańskim romantyzm zwrócił uwagę pisarzy na twórczość ludową, na legendy, bajki i opowieści, w których pierwiastek fantastyczny odgrywa niepoślednią rolę. Mrożące krew opowiadanie o biesach i wilkołakach, a także popularne we wszystkich krajach chrześcijańskich opowieści o ziemskich wędrownkach Chrystusa i świętego Piotra, o biedaku, który oszukał diabła, stały się osnową licznych utworów literackich. Pierwsze, jak się zdaje, tego typu opowiadania pojawiają się w Brazylii — Bernardo Silva Guirha — raes: *Lendas e romances* (1871), Franklin Tavor: *Lendas e tradições populares do Norte*. W kilka dziesięcioleci później podejmą ten temat pisarze reprezentujący inne kierunki literackie. Kolumbijski kostumbrysta, Tomás Carrasquilla (1858—1940), pisze szereg nowel tego typu, z których wyróżnia się oryginalnością *En la diestra de Dios Padre* (1897) — opowieść o wieśniaku, który ograł w karty Lucyfera, wygrywając od niego sporą ilość potępionych dusz i stwarzając tym samym zawiły problem teologiczno—prawny dla administracji niebiańskiej. W 1907 roku poeta, prozaik i historyk literatury, Ricardo Rojas (1882—1957), publikuje w Paryżu legendy argentyńskiej północy — *El país de la selva (paisajes, tipos, tradiciones y leyendas del Norte Argentino)*. Niektórzy autorzy włączają autonomiczne partie ludowej fantastyki do swych realistycznych powieści. W *Don Segundo Sombra* (1926) Ricardo Güiraldesa, pozycji klasycznej argentyńskiej prozy, spotykamy się z przykładem takiego właśnie

prozy, spotykamy się z przykładem takiego właśnie wykorzystania dwóch opowiadań — o kowalu, który oszukał Lucyfera, i drugiego, związanego bardziej z lokalnymi opowiadaniem, o wieśniaku, co zabił — za pomocą wyjawionych mu czarów — pół diabła i pół człowieka, uwalniając dziesiątki uwieczonych przez tegoż młodych kobiet.

Wraz z modernizmem — skoro jesteśmy już przy tym temacie — pojawia się zainteresowanie legendami indiańskimi, szczególnie żywe w dziedziczącej kulturę Majów Ameryce Środkowej, zainteresowanie, którego twórczym uwieńczeniem staje się w latach trzydziestych naszego stulecia proza gwatemalskiego laureata Nagrody Nobla — Miguela Angela Asturiasa.

I wreszcie, mówiąc o folklorze, wymieńmy jeszcze jeden gatunek z nim związany: bajkę o zwierzętach. Luis Andres Zufiiga (1878—1964) z Hondurasu będzie tu przykładem daleko posuniętej stylizacji, bliższej powiastkom oświecenia niż mądrości ludowej (tom opowiadań: *Fdbulas*, 1917).

Stanowisko prze—

328

ciwne reprezentuje Antonio Arraiz (1903—1962), który poprzez magiczny świat swojego zbioru bajek *Tio Tigre y Tio Conejo* (1940) oddaje ducha ludu wenezuelskiego.

W czasach najnowszych bajka o zwierzętach oddala się od prostoty ludowej przypowieści, staje się bardziej intelektualna i zmierza — nazwiska Augusta Monterroso i Juana Josego Arreoli niech będą tu przykładem — w stronę filozofii, satyry społecznej

lub poetyckiej metatary.

W latach siedemdziesiątych na obu przeciwległych krańcach Ameryki ukazują się dwie powieści, które — choć pisane przez romantyków i powstałe w pełni romantyzmu — wyróżniają się na tle ówczesnej produkcji literackiej powściągliwością narracji i duchem encyklopedycznym, sięgając do wzorów francuskiego oświecenia. Pierwsza z nich to *Peregrinación de Luz Dla o Viaje de la Verdad en el Mundo Nuevo* (1871) Argentyn — czyka Juana Bautisty Alberdiego, a druga — *A vista de pajaró* (1879) Gwatemalczyka Francisca Lainfiesty. Obie te powieści zapoczątkowują w Ameryce Łacińskiej nurt utopii i uchroni, który raz po raz będzie dawał o sobie znać poszczególnymi publikacjami w różnych krajach. W 1936 r. Kostarykanin Max Jimenez przedstawi karykaturę społeczeństwa pod postacią pcheł w powieści *El domador de pulgas*. Gwatemalczyk Rafael Arevalo Martinez podejmie temat utopii w stylu Swifta w *El Mundo de maharachias* (1938) i *Viaje a Ipanda* (1939), powieściach, których radykalizm społeczny, zbyt jaskrawo wyłaniający się spod kamuflażu utopijnej kultury ludzi z ogonami — bocznej gałęzi z drzewa ewolucji — omal nie wzbudził zainteresowania osobą pisarza ze strony dyktatury, co w owych czasach (rządy Jorge Ubico — gwatemalskiego „fihrera”) nie oznaczało niczego dobrego. Na szczęście przedmowa do *Viaje a Ipanda* napisana przez Federica Hernandez de Leon, „oficjalnego” literata przy „dworze” gwatemalskiego tyrana, uchroniła obydwie książki przed konkwestą, a ich autora przed prześladowaniami. Jako współczesnego przedstawiciela gatunku

zainicjowanego przez Alberdiego i Lainfiestę wymienimy tu Cle — mente Guida, autora powieści *El pdjaro del dulce encanto* (1974), w której świat baśni, legend indiańskich i obraz fikcyjnego kraju Viejolandii zostały wykorzystane do satyrycznego przedstawienia stosunków politycznych i społecznych współczesnej Nikaragui.

Okolo roku 1880, kiedy to w literaturze Iberoameryki współ

—
329

istnieją aż cztery prądy — romantyzm, naturalizm, realizm i modernizm, rozprzestrzenia się na całym kontynencie wpływ Edgara Allana Poe, splatając się w twórczości wielu pisarzy z oddziaływaniem innego twórcy prozy niesamowitej: E. T. A. Hoffmanna. Autorem, który w zręczny sposób połączył obydwie źródła inspiracji z wkładem własnej fantazji, był Ar— gentyńczyk Eduardo Holmberg (1852—1937). Mało szczegółowe encyklopedie wymieniając to nazwisko kojarzą je wyłącznie z naukami przyrodniczymi; był bowiem Holmberg wziętym naukowcem, autorem cenionych prac o florze i faunie Argentyny. Do literatury wszakże, której uprawianie traktował jako rozrywkę, odpoczynek od pracy naukowej, wniósł również wkład niemały. Uprawiał różne gatunki literackie. Równie chętnie tworzył obszerne nowele z gatunku *science fiction*: *Dos partidos en lucha* (1875), *El maravilloso viaje de Nic—Nac* (1875), *EJ tipo mds original* (1878), *Filigranas de cera* (1884), jak opowieści „Niesamowite”: *La pipa de Hoffmann* (1876). *El medalion* (1889). czy długie opowiadania, w których

wątek kryminalny łączył się z elementem nadprzyrodzonym: *La casa endiablada* (1896), *Nelly* (1896). Wniósł poważny wkład do rozwoju argentyńskiej fantastyki, będąc do lat dwudziestych naszego stulecia najpoważniejszym jej reprezentantem.

Holmberg i jego rodak Carlos Monsalve, chętnie sięgający po inspirację do twórczości Poe'go, reprezentowali tradycję romantyczną, lecz wpływy północnoamerykańskiego klasyka fantastyki i horroru szerzyły się również wśród przedstawicieli innych kierunków.

Poe'go i Hoffmanna uznali za swoich modernisci tym chętniej, że u obydwu występują wątki okultystyczne — magnetyzm, mesmeryzm, metempsychoza — a czołowi przedstawiciele modernizmu byli zapalonymi teozofami, entuzjastami się pismami Heleny Bławatskiej i studiowali hinduską teologię. Meksykanie: Amado Nervo i Juan Jose Tablada, Nikaraguańczyk Rubén Darío, Argentyńczycy: Manuel Ugarte i Leopoldo Lugones spotykali się w Paryżu w 1910 roku na seansach spirytystycznych, kibicowali wirującym stolikom i seansom hipnotyzerów, wymieniali formuły magiczne. Największym sceptykiem z całej piątki był Lugones. Fantastykę uznał za fantastykę i wcielił ją do literatury. Pierwsze utwory fantastyczne zaczął publikować w czasopiśmie w 1890 roku. Wydał trzy zbiory opowiadań, w których dominują elementy magii, temat metempsy—

chozy, wątki orientального mistycyzmu lub pseudonaukowe fantastyki: *Los fueros ocultos* (1906), *Cuentos* (1916) i

ianizaje: *Las juerzas extranas* (1906), *Cuentos* (1916) i *Cuentos fatales* (1924). Natomiast Nervo wygłaszał odczyty na temat wielości zamieszkanego świata, entuzjastycznie się jednocześnie odkrywając naukowymi i technicznymi swoimi epoki. Napisał kilka nowel o tematyce fantastycznej, z których godnymi uwagi są: *El donador de almas* (1899) i powstała między 1916 a 1918 rokiem *El diablo desinteresado*. Zwłaszcza ta druga na tle zmanierowanego języka modernistycznej prozy zwraca uwagę prostotą narracji, ironią i dystansem autora do opowiadanej historii, a także dwuznacznością fabuły, którą można odczytać zarówno w fantastycznej, jak i w realistycznej konwencji.

Najpoważniej przejął się teoriami okultystycznymi Ruben Dario, co w widoczny sposób zaszkodziło większości jego fantastycznych opowiadań, traktowanych przez autora jako forma reklamowania „wiedzy tajemnej”. Trzeba też dodać, że poeta ten, choć nazwisko jego bywa utożsamiane z modernizmem, nie okazał się modernistą par excellence w prozie. Szereg opowiadań autora *Prosas profanas* zdradza wpływy szkoły naturalistów. Jego opowiadania nierealistyczne natomiast, o ile nie traktują o zjawach zza świata i wędrówce dusz, stanowią ilustrację typowych dla modernistów zainteresowań greckim antykiem, życiem paryskiej bohemy i baśniowymi krainami Wschodu. Opowiadanie *Gluchy satyr*, zawarte w niniejszym wyborze, jest tej prozy typowym przykładem.

Z innych modernistów uprawiających prozę fantastyczną wy

—mienimy tu: Argentyńczyka Atilia Chiapori (1880—1947), wspomnianego wcześniej Arevala Martineza (1884—1975) jako autora opowiadań absurdu antycypujących prozę Kafki i teatr Eugène’a Ionesco, Froylana Turcios (1875—1943) z Hondurasu, którego powieści — *Annabel Lee* (1906) i *El vampiro* (1910) — legitymują się wpływem Edgara Allana Poe. Jako reprezentanta Brazylii przypomnijmy osobę Maria de Amrade (1893—1945) i jego powieść *Macuinaima* przesyconą elementami zaczerpniętej z folkloru baśniowości.

Inny model z twórczości Poego — makabreskę — przejął mistrz nowela iberoamerykańskiej, Urugwajczyk Horacio Quiroga (1878—1937). W pierwszym okresie twórczości związany z modernizmem, miał także udział w rozwoju innych nurtów literackich, wiążąc ostatecznie swoje nazwisko z początkami „kreolizmu” — kierunku, który biorąc za punkt wyjścia odręb—

331

ność geograficzną, społeczną i kulturową krajów Iberoameryki od reszty świata, podkreślając klimat lokalny, „amerykańskość” tła i bohaterów, po stworzeniu szeregu dzieł artystycznie udanych przekształcił się rychło w ciasny regionalizm, zawężający się coraz bardziej w pogoni za charakterami i scenami „typowymi” do folklorystyki.

Poemu zawdzięczał Quiroga wiele, przede wszystkim pod względem warsztatowym. Dzielił też z autorem *Złotego żuka* fascynację śmiercią i upodobanie do zaskakujących i przerażających nieraz rozwiązań. Stworzył wiele opowiadań typu horror, od historia opartych na prawdopodobieństwie do

czystej fantazji, osiągając pełne mistrzostwo zarówno w jednych, jak i w drugich. Wybitny znawca przedmiotu i popularyzator literatury iberoamerykańskiej we Francji, Roger Caillois, w eseju *Od baśni do science fiction* wymienia opowiadanie Quirogi *Almohadon de plumas* jako klasyczny przykład horroru opartego na pseudofantastyce zoologicznej, przyznając mu „dla niezrównanej wartości narracji, przerażającego zakończenia i łagodnej mądrości puenty” * rangę najwybitniejszego dzieła w tym gatunku.

Parapsychologia i makabreska stanowiły również teren zainteresowań Peruwiańczyka Clemente Palmy (1872—1946), który pisał w dobie panującego w swoim kraju realizmu opowiadania fantastyczne i horrory oparte często na demonologii i doktrynach ezoterycznych — *Cuentos malevolos* (1904), *Historietas malignas* (1925) — bądź też na pseudonaukowych spekulacjach, jak w 1934 r. powieść *XYZ*, która opowiada o wyświetlaniu filmów na ekranie z protoplazmy i stwarzaniu tą drogą sobowtórów aktorek z Hollywood.

Wpływy Poego trwają do lat mniej więcej trzydziestych (choć na dobrą sprawę nie wygasły całkiem i dziś — weźmy np. niektóre opowiadania Borgesa), kiedy to na literaturę Ameryki Łacińskiej zaczynają oddziaływać przemiany dokonane na gruncie prozy europejskiej. Toczące się wówczas spory między zwolennikami literatury społecznie zaangażowanej a rzecznikami odnowy formalnej, których najgłośniejszym przykładem są argentyńskie polemiki grup Boedo i Florida, zapoczątkowały proces przeobrażeń latynoamerykańskiej prozy, zmierzających

PROCES PRZEODRZAŻENIA KULTURY W KRYZYSIE KRAJOWEJ PROZY, ZMIENIAJĄCYCH

* Roger Caillois, *Odpowiedzialność i styl*, Warszawa 1967. Przekład Jerzego Lisowskiego.

332

w stronę kulturowego uniwersalizmu. W połowie lat dwudziestych pojawia się na kontynencie amerykańskim szereg nowych nazwisk twórców oryginalnych, którzy decydują się zerwać z fotograficznym odtwarzaniem zewnętrznej rzeczywistości, z lupą naturalisty, z folkloryzmem, z prymitywizmem psychologicznym postaci i sztafpą „literatury protestu” na rzecz prozy bardziej kreacyjnej, w której rzeczywistość wykracza często poza ramy codziennego doświadczenia, zacierając granice dzielące ją od świata snu i urojeń.

W Argentynie twarzą: subtelny humorysta, Macedonio Fernandez (1874—1952), ze swoją nasyconą metafizyką prozą fantastyczną i Santiago Dabove (1889—1953), który entuzjazm dla twórczości Poego połączył z umiłowanie Franza Kafki, pisarz niezwykle oryginalny, „odkryty” późno przez spółkę Borges—Bioy Casares, za życia bowiem nie wydał ani jednej książki, publikując swoje opowiadania w rozlicznych czasopiśmiech*; w Urugwaju — Felisberto Hernandez (1902—1963) poszukujący elementów fantastyki, poezji i tajemnicy w życiu człowieka. W Kolumbii uprawia samotnie prozę fantastyczną Jose Felix Fuenmayor (ur. 1895), uznany później za swego mistrza przez grupę Barranquilla (Alvaro Cepeda Samudió, German Vargas, Alfonso Fuenmayor, Gabriel Garcia

Marquez). Dopiero w końcu lat trzydziestych dołączą do niego inni pisarze — M. F. Sli—ger z powieścią o podróżach międzyplanetarnych *Viojes inter—planetarios que tendrn lugar en el ano 2009* (1936), Gregorio Sanchez Gómez (1895—1942) — autor fantasmagorycznej powieści *Vida de un muerto* (1936), Rafael Jaramillo Arango (ur. 1896). W Ekwadorze Pablo Palacio (1903—1948), zanim pogrąży się w mrokach obłądu, opublikuje — obok sentymentalnej prozy *Debora* — tom opowiadań *Un hombre muerto o puntapiés* (1927) i powieść *Vida del ahorcado* (1932), przedstawiające rzeczywistość zdeformowaną, absurdalną, przesyconą atmosferą koszmaru.

W Chile pisarze związani w pierwszych latach swej twórczości z naturalizmem zwracają się w stronę wyimaginowanych i tajemniczych światów. Augusto D'Halmar (prywatnie A. Geo—mine Thomson), wyznawca filozofii Lwa Tołstoja, autor powieści *Juana Lucero* (1902), pisanej według recept Emila Zoli, po

* Dopiero w osiem lat po śmierci autora zebrane w tomie *La muerte y su traje*.

333

powrocie z Kalkuty, gdzie pełnił funkcję konsula, dokonuje zwrotu w kierunku orientalnego mistycyzmu: *Nirvana* (1913), *La sombra del hombre en el espejo* (1924). Pedro Prado (1886—1951), również wyznawca Tołstoja, publikuje w 1914 r. egzotyczną prozę o królowej wyspy na Pacyfiku — *Rapa Nui*, a w sześć lat później symboliczną opowieść o chłopcu,

któremu wyrosły skrzydła — *Alsino*. Inklinacje w kierunku fantastyki zdradzają też Victoriano Lilio (1899—1959) i Jenaro Prieto (1889—1946), który w 1926 r. publikuje *Un muerto de mai cri—terio* — o sędzi ferującym wyroki w zaświatach, a w 1928 r. powieść *El sodo* — o człowieku, który zmaterializował się poprzez swoje istnienie w świadomości ludzkiej. Warto zauważyć, że wielu pisarzy chilijskich z tego pokolenia uprawia równie chętnie powieść i opowiadanie realistyczne, jak i czystą fantastykę. Na przykład znany w Polsce Manuel Rojas obok *Syna złodzieja* i innych utworów realistycznych wydał szereg opowiadań « duchach. Niektóre z nich weszły do wyboru opowiadań Rojasa, który ukazał się przed kilku laty w serii prozy iberoamerykańskiej.

Wspomniane wyżej spory o oblicze literatury latynoamerykańskiej, toczone w latach dwudziestych, przynoszą utwierdzenie pozycji prozy fantastycznej w czwartej dekadzie stulecia. Głównym jej ośrodkiem jest wówczas — i pozostaje do dziś — Argentyna. W 1935 r. kapłan nowej literatury, Jorge Luis Borges, publikując tom szkiców i opowiadań *Historia uniwersa* *de la infamia* proponuje, jeszcze nieco nieśmiało, nowy model literatury — jako filozoficznej zabawy, gry sensów i znaczeń, w której świat jawi się jako twór mniej lub bardziej absurdalny lub oglądany oczyma solipsysty. Jest to literatura trudna■, antyrealistyczna, intelektualna, której prawa logiki są silniejsze od praw natury i potocznych wyobrażeń, wymagająca umysłowego wysiłku ze strony czytelnika, proponująca mu rozwiązywanie wraz z narratorem intelektualnej szarady. Autor

rozwiązany wanie wraz z narratorem intelektualnej szarady. Z kolei *Fikcji* powtórzy swoją propozycję bardziej zdecydowanie sześć lat później — *Ogród o rozwidlających się Ścieżkach*. Rok wcześniej (1940) wyda do spółki z Bioy Casaresem antologię literatury fantastycznej, jako akt nobilitacji tego gatunku.

Model proponowany przez Borgesa znajdzie zastosowanie najpierw w Argentynie, by w następnych dekadach rozprzestrzenić się po całym kontynencie, gdzie w sposób zróżnicowany podejmą go pisarze reprezentujący różne pokolenia i

334

peramenty — Arreola, Menen Desleal czy odrębny na pozór Monterroso. Zanim to wszakże nastąpi, w Argentynie będzie kontynuował nurt fantastyki pseudonaukowej syn pruskich emigrantów z Poznania, samouk wychowany w twardej szkole życia — Roberto Arlt (1900—1942), autor, którego wyjątkowy talent i bogata wyobraźnia sprawiły, że mimo nie najlepszego stylu i upodobania do komiksowej intrygi zajął poczesne miejsce wśród prozaików swojego kraju, będąc wszelako w swym gatunku ostatnim Mohikaninem. Twórczość jego rówieśników odznacza się precyzją językową, dbałością o formę i logikę konstrukcyjną utworu, i ta właśnie twórczość — według modelu Borgesa — w okresie, kiedy Arlt pisał swoje fantasmagoryczne powieści — dochodzi do głosu. W latach trzydziestych zaczyna publikować swoje szarady fantastyczno—kryminalne Adolfo Bioy Casares, bliski przyjaciel i współpracownik autora *Fikcji*; tworzą Silvina Ocampo i Enrique Anderson Imbert.

Następne dziesięciolecie przynosi publikacje Silviny Bullrich, Juana Carlosa Ghiano, Any Gandara i Manuela Peyrou — autora kryminalnych zagadek, nie stroniącego wszakże od twórczości strictly fantastycznej. Lata pięćdziesiąte wreszcie — opowiadania Mureny, Margarity Bunge i Julio Coftazara, który — choć należy do wcześniejszego pokolenia — dopiero w tym okresie zdobywa pisarski pas i ostrogi.

Wspólną cechą wszystkich tych powieści i opowiadań jest — poza wymienionymi już właściwościami formalnymi — ich programowy intelektualizm, filozoficzny podtekst lub przesłanki moralne jako obowiązujący składnik receptury każdego z utworów.

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych powieść i nowela pozostałych krajów Latynoameryki zaczynają przemawiać również nowym językiem. Pisarze, obojętne jakiej hołdujący konwencji — realiści czy twórcy fantastyki — poszukują nowych rozwiązań formalnych korzystając z rezultatów wszystkich niemal eksperymentów, jakich dokonano w laboratoriach literatury w ciągu ostatniego półwiecza, zdążając do wyrażenia, za pomocą tych zapożyczonych i dostosowanych do potrzeb własnego warsztatu nowych technik, złożonej rzeczywistości swojego kontynentu.

W Brazylii dochodzi wówczas do głosu „pokolenie 45”, które w przeciwieństwie do poprzednich, przedstawiających życie ha—cjend i wsi interioru, skupia swoje zainteresowania na miesz—

kańcach ośrodków wielkomijskich, oscylując między rzeczywistością i fantastyką w obrazie przedstawionego świata. W Urugwaju pokolenie pisarzy urodzonych w latach dwudziestych, zajmujących się krytyką społeczną, preferuje realizm, choć, jak to widać na przykładzie opowiadań Benedettiego i Gutierrezza, nie stroni od nierealistycznych przedstawień. Dwie autorki co najmniej — Maria Ines Silva Vila i Clotilde Luisi — piszą wyłącznie prozę fantastyczną. W Chile „pokolenie 50”, którego najbardziej znanym reprezentantem jest Donoso, chętnie przedstawia rzeczywistość groteskową, zdeformowaną, zacierając granicę między snem a jawą, realnym i nierealnym.

Trudno doszukać się nurtu fantastycznego w literaturze Peru, Boliwii i Ekwadoru ostatniego trzydziestolecia. Dominuje tam realizm, formułujący oskarżenia społecznego status quo. Nieliczne wyjątki, jak opowiadania fantastyczne Boliwijczyka Fernanda Diez de Medina (1908), nie grzeszą oryginalnością. W Meksyku natomiast, kiedy po drugiej wojnie światowej wyczerpie się już entuzjazm dla powielania dziejów rewolucji, pisarze rozpoczynają poszukiwania nowych tematów. W 1949 r. ukazuje się tam książka Juana Josego Arreoli *Varia invención* — zbiór opowiadań łączących lirykę, groteskę i absurd w widzeniu świata z filozoficznym paradoksem i satyrą obyczajową — która wywrze później znaczny wpływ na pisarzy następnych pokoleń. Absurd i fantastyka stanowią również domenę zainteresowań młodszego o dziesięć lat Carlosa Valdesa. W twórczości rówieśnika Valdesa. Carlosa Fuentesa. wzmieńmy

nowelę *Aura* jako wyjątkowy u tego pisarza przypadek zboczenia ze ścieżki realizmu. Z młodszych zaś pisarzy odnotujmy nazwiska Salvado—ra Elizondo i Josego Emilia Pacheco, w którego opowiadaniach fantastycznych problem czasu staje się naczelnym zagadnieniem. Gwatemalczyk Monterroso, Salwadorczycy: Salarrue (1899—1975), Jose Jorge Lainez (1913—1962), Jose Maria Mendez (1916), Alvaro Menen Desleal, Waldo Chavez Velazco (1932), Bicardo Lindo (1947), Panamczycy: Rcgelio Sinan, Ramón Jurado (1922), Enriague Jaramillo Levi (1944) oraz Alfredo Cardona Peña z Kostaryki, Orlando Enriaguez (1923) z Hondurasu, Manuel del Cabral z Dominikany, Virligio Piñera (1912), Oscar Hurtado, Humberto Rodriguez Tomeu (1919), Rogelio Llopis (1928) i Cesar López z Kuby reprezentują współczesną fantastykę Ameryki Środkowej i Antyli, która waha się od naukowych bądź pseudonaukowych fantazji i horroru w stylu Poego (Salarrue, Cardona

336

Peña, Enriaguez), humorystycznych opowiadań o duchach (Hurtado) poprzez opowiadania absurdu i groteskowej deformacji rzeczywistości (Piñera, Rodriguez Tomeu), do spokrewnionego z Borgesowskim modelem filozoficznej prozy.

Na zakończenie tego przeglądu pozostaje do omówienia jedno jeszcze zjawisko, które celowo zostawiliśmy tu na uboczu, jako że ze względu na związane z nim nieporozumienia wymaga osobnego potraktowania: „realizm magiczny”.

Tamże tam. Istotną rolę w historii literatury hiszpańskiej

Termin ten, który pojawił się w eseistyce hispanojęzycznej przed dwudziestu mniej więcej laty, służył początkowo określeniu pewnych zjawisk charakterystycznych dla latynoamerykańskiej prozy, potem jednakże zatracił swe pierwotne znaczenie, urastając do rangi słowa—zaklęcia, słowa mówiącego wszystko, czyli nic.

Gwoli wyjaśnienia trzeba tu najpierw powiedzieć, że „realizm magiczny” nie jest pojęciem zrodzonym na kontynencie amerykańskim. Włoski powieściopisarz Massimo Bontempelli (1878—1960) posługuje się nim już wcześniej na określenie pewnego etapu własnej twórczości. Jeszcze wcześniej wszakże, bo w latach dwudziestych, jako „magischer Realismus” określano malarstwo niemieckich postekspresjonistów. Później termin ten pozostawał na usługach krytyki sztuki służąc wyodrębnieniu takich zjawisk, jak metafizyczny surrealizm Giorgia de Chirico czy twórczość pewnych malarzy z USA, np. George’a Tpokera — *Subway, Government Bureau* — wyrażających w realistycznym, geometrycznym stylu absurd i frustrację współczesnego świata. Do krytyki literackiej trafił dopiero z początkiem lat pięćdziesiątych, robiąc w krótkim czasie zawrotną karierę.

Charakteryzując ten kierunek na gruncie literatury, krytycy zwykli pisać o amalgamacie realizmu i fantazji, o całkowitym odrzuceniu sentymentalizmu, dominującego dotąd w latynoamerykańskiej prozie, oraz o niezwyklej precyzji w konstrukcji utworów. Pisarze spod znaku „realizmu magicznego” — stwierdza się zgodnie — są ekspertami od struktury dzieła

literackiego. Mimo niewątpliwego baroku niektórych utworów, nie ma w nich ani jednego zbędnego słowa czy przecinka.

W rzeczywistości magicznej czas ulega zawieszeniu, pogwałcone są wszelkie prawa przestrzeni, a fakty zadziwiające i fantastyczne, występując obok — czy też raczej wewnątrz — zdarzeń codziennych, opisanych z drobiazgowym realizmem, nadają tej prozie charakter symboliczny.

337

Wszystkie te określenia — z wyjątkiem mówiącego o baroku — pasują doskonale do modelu prozy zaproponowanego przez Borgesa i przyjętego przez jego rówieśników i kontynuatorów w Argentynie. Większość też latynoskich krytyków przyjmuje rok publikacji *Historia universal de la infamia* za datę narodzin kierunku.

Równocześnie, ponieważ zebrane tu cechy wyróżniające dają się z równym powodzeniem dopasować do takich zjawisk, jak twórczość Asturiasa, Garcii Maręeza, Carpentiera i są też do nich stosowane, jedno i to samo pojęcie służy za znak rozpoznawczy dla twórczości pisarzy biegunowo różnych, jak Borges i Garcia Maręez (asceza i wybujały barokowy temperament narracji), a przy dalszym jego rozszerzaniu rozplywa się zupełnie*. Toteż słusznym wydaje się wydzielenie (jeśli nie całkowite odseparowanie) drugiego nurtu „realizmu magicznego”, bardziej zresztą predestynowanego do przyjęcia tej nazwy, bo nawiązującego do tradycji kultur, w których rzeczywistość istotnie jawi się jako magiczna.

Nurt ten, bardziej socjologiczny i poetycki niż filozoficzny,

reprezentuje literatury krajów o dużym procencie ludności indiańskiej i murzyńskiej. Juan Rulfo z Meksyku, Miguel Angel Asturias z Gwatemali, Alejo Carpentier z Kuby i Gabriel Garcia Marquez z Kolumbii są głównymi przedstawicielami tej gałęzi. W ich utworach również nierealne splata się z realnym, a mitologia, poetyckie elementy wierzeń indiańskich tworzą świat, w którym, jak w świecie Borgesa, rozpadają się prawa czasu i przestrzeni. Ale podczas gdy powieści i opowiadania Ar—gentyńczyków orientują się w stronę kulturowego uniwersalizmu, utwory reprezentantów tej drugiej gałęzi starają się zapuścić korzenie w głębę tradycji. Rzeczywistość Ameryki Indiańskiej, rzeczywistość Ameryki Murzyńskiej zaludnione są legendami, fantastycznymi stworami, zjawami z królestwa snu. Wszystkie te postacie ze świata legend: *cegua* — bogini kukurydzy, która nocami poszukuje kochanków, zamieniając ich następnie w idiotów, *cadejo* — olbrzymi pies z zaświatów, *carreta nahuatl* — niesamowity pojazd wiozący nieboszczyków, klekocących kośćmi w nocnej ciszy środkowoamerykańskich osiedli, są

* Przykładem może być np. szkic hiszpańskiego eseisty, Miguela Ibañeza Langlois, *La crisis del personaje en la literatura contemporánea* — „Atlantida”, Madrid 1969 — gdzie autor w ramach „magicznego realizmu” połączył ze sobą twórczość Mauriaca i Carpentiera, Hemin—gwaya i Andricia, Juana Rulfo i Antoine’a de Saint—Exupery.

w powszechnej świadomości ludów hiszpańskich iowie realne, jak smoki strzegące skarbów, koboldy, giganci i czarnoksiężnicy w świadomości średniowiecznego Europejczyka, czytelnika romansów rycerskich. W tym też sensie powrót do źródeł, o którym mówią niektórzy przedstawiciele tego kierunku, jest powrotem podwójnym. Sięgając do dziedzictwa kulturowego pierwotnych mieszkańców ziem Ameryki, proza ta nawiązuje zarazem do tradycji hiszpańskiej, do realizmu magicznego rycerskiego romansu. Koło się zamyka, łącząc obydwie tradycje, a wraz z nim nasz krótki i powierzchowny przegląd latynoamerykańskiej fantastyki. Resztę niech dopowiedzą opowiadania zawarte

w tym zbiorze.

Jerzy Kuhn

Noty o autorach

Juan Jose Arreola — MEKSYK. Ur. w 1918 r. w Ciudad Guzman (stan Jalisco). Mistrz krótkiej formy — opowiadań, prozy poetyckiej, filozoficznych przypowieści i impresji. Jego twórczość wywarła znaczny wpływ na młodsze pokolenie pisarzy meksykańskich. Pisarz o bogatej wyobraźni, obdarzony poczuciem Mimiru. Uprawiał satyrę obyczajową, swój właściwy styl odnalazł w prozie na wpół fantastycznej, w której rzeczywistość splata się z absurdem, a logiczne konstrukcje prowadzą do irracjonalnych, zaskakujących rozwiązań. Zbiory opowiadań: *Varia invención* (1949), *Confabulario* (1955), *Bestiario* (1959), *Confabulario total* (1962). Powieść *Uroczystość* (*La feria*, 1963). Farsa teatralna *La hora de*

todos (1954).

Tytuły oryginałów: *De balistica* (O balistyce), z tomu: *Confabulario*, © Joaquín Mortiz, Mexico 1972 i *El guardagujas* (Zwrotniczy), tamże.

Mario Benedetti — URUGWAJ. Ur. w 1920 r. w Paso de los Toros, należy do pokolenia pisarzy debiutujących w końcu lat czterdziestych, które wywarło zdecydowany wpływ na całokształt współczesnej literatury urugwajskiej. Od 1973 r. na wygnaniu w Buenos Aires. Pisarz niezwykle płodny (wydał 37 książek), uprawia wszystkie prawie gatunki literackie — powieść, nowelę, dramat, poezję, esej, reportaż — jego mistrzostwo jednak ujawnia się przede wszystkim w krótkiej formie, w opowiadaniach pisanych ze świetną znajomością psychologii, nierzadko zaskakujących czytelnika nieoczekiwaną pointą. W Polsce znany z powieści *Dziękuję za ogień* (*Gracias por el fuego*, 1965). Inne ważniejsze publikacje: *La tregua* (1960) — powieść; *Ida y vuelta* (1958) — dramat; *Cuentos completos* (1970) — opowiadania; *Contra los puentes levadizos* (1966), *Inventario 70* — poezje; *Literatura uruguaya siglo XX* (1963), *Cuaderno cubano* (1969 — esej).

Tytuł oryginału: *Miss Amnesia*, w czasopiśmie: „La Prensa”, Managua, Noviembre 1974.

Adolfo Bioy Casares — ARGENTYNA. Ur. w 1914 r., czołowy przedstawiciel iberoamerykańskiej literatury fantastycznej, także krytyk i eseista. Bliski przyjaciel i współpracownik Borgesa, wydał razem z autorem *Fikcji* 9

tomów opowiadań, apokryficznych esejów i antologii, z których najbardziej znane to: *Seis probletnas para don Isidro Parodi* (1941) i *Crónicas de Bustos Domecq* (1967). Wspólnie z żoną, Silvaną Ocampo, napisał parodię powieści kryminalnej *Los que aman, odian* (1946).

Jako autor samodzielny debiutował w latach trzydziestych publikując kilka zbiorów opowiadań i powieści, z zainteresowaniem przyjętych przez krytykę i czytelników: *Diecisiete dispa—ros contra lo porvenir* (1933), *Caos* (1934), *La nueva tormenta o la vida multiple de Juan Ruteno* (1935) i in. Sławę przyniosła mu powieść *Wynalazek Morela* (*La invención de Morel*, 1940). Poczynając od tej daty każda nowa publikacja utwierdza jego rangę najwybitniejszego twórcy argentyńskiej *science fiction*.

Inne publikacje: *Plan ucieczki* (*Plan de evasión*, 1945) — powieść; *Trama celeste* (1948) — opowiadania; *El sueño de los heroes* (1950) — powieść; *Historia prodigiosa* (1956), *El lado de la sombra* — opowiadania; *El gran Serafin* — opowiadania; *Diario de la guerra del cerdo* (1969), *Dormir al soi* — powieści; *Historias de amor* (1972) — opowiadania. Obszerny zbiór opowiadań fantastycznych A. B. Casaresa — *Historias fantdsticas* — opublikowało w 1971 r. argentyńskie wydawnictwo Emece.

Tytuły oryginałów: *La trama celeste* (*Klucz do tajemnicy jest w niebie*), z tomu: *Historias fantdsticas*. © Emece Editores S.A., Buenos Aires 1972 i *La pasajera de primera classe* (*Pasażerka pierwszej klasy*) także

(i wiersze na prozie), wiersze.

Jorge Luis Borges — ARGENTYNA. Ur. w 1899 r. w Buenos Aires, jedna z najwybitniejszych postaci w literaturze i życiu umysłowym Ameryki Łacińskiej, promotor argentyńskiej awangardy lat dwudziestych (grupa Florida, czasopisma „Proa”, „Prismas”, „Martin Fierro”), inicjator odnowy formalnej literatury latynoamerykańskiej poprzez sięgnięcie do doświadczeń warsztatowych awangardy europejskiej, współpracownik czaso

340

22 — w zaczarowanym zwierciadle

341

pism literackich krajowych i zagranicznych, profesor uniwersytetu w Buenos Aires, wykładowca na uniwersytetach Teksasu (1961—62) i Harvarda (1967—68), dyrektor Biblioteki Narodowej, członek Argentyńskiej Akademii Literatury. Autor poezji, esejów, krótkich opowiadań i nowel, tłumaczonych na wiele języków. Laureat licznych nagród literackich (m. in. Państwowej Nagrody Literackiej — 1957 i Międzynarodowej Nagrody Wydawców — 1961). Proza, tak fabularna, jak i eseistyczna — głęboko intelektualna, odznaczająca się mistrzostwem formalnym, precyzją językową i szerokim wachlarzem tematów. Publikacje: *Fervor de Buenos Aires* (1923), *Luna de enfrente* (1925), *Cuader—no San Martin* (1929), *Poemas* (1943) — poezja; *Historia univer—sal de la infamia* (1935), *EJ jardin de los senderos que se bifur—can* (1941), *Fikcje (Ficciones, 1944)*, *Alej (El Aleph, 1949)*, *La*

muerte y la brujula (1951), *Raport Brodiego* (*El informe de Bro—die*, 1970), *El congreso* (1971) — opowiadania; *Inquisiciones* (1925), *El tamano de mi esperanza* (1926), *El idioma de los argen—tinos* (1828), *Evaristo Carriego* (1930), *Discusión* (1932), *Las Ke—ningar* (1933), *Historia de la eternidad* (1936), *Nueva refutación del tiempo* (1947), *Aspectos de la literatura gauchesca* (1950), *Antiguas literaturas germdnicas* (1951), *Otras inquisiciones* (1352), *Manual de zoologia fantdstica* (1957) — *Elogio de la sombra* (1969) — eseje; *Twórca* (*El hacedor*, 1960), *Antologia osobista* (*Antologia personal*, 1961), *Nueva antologia personal* (1968) — tomiki heteromorficzne. *Obras completas* (dzieła zebrane) publikowane sukcesywnie od r. 1953 przez wydawnictwo Losada. Ponadto szereg publikacji (eseje, antologie, opowiadania) do spółki z Adolfem Bioy Casaresem, Pedrem Henriąquezem Urefia, Silvina Bullrich, Margaritą Guerrero, Marią Esther Vazquez i in.

Tytuł oryginału: *Las ruinas circulares*, przedruk: *Ficcje*, Warszawa 1972, z tomu: *Ficciones*. © Emece Editores S. A. Buenos Aires 1972.

Honorio Bustos Domecq — ARGENTYNA. Pseudonim spółki autorskiej J. L. Borges & A. Bioy Casares. *Seis problemas para don Isidro Parodi* (1941), *Crónicas de Bustos Domecq* (1987).

Tytuły oryginałów: *Una tarde con Ramón Bonavena*, z tomu: *Crónicas de Bustos Domecq*. © Editorial Losada, S.A. Buenos Aires 1967, i *Lo que falta no dana* (*To, czego nie ma*,

nie przynosi szkody), tamże.

342

Manuel del Cabral — DOMINIKANA. Ur. w 1907 r., jeden z najważniejszych poetów nawiązujący w swojej twórczości do folkloru murzyńskiego, dał się też poznać jako twórca prozy fantastycznej. Laureat nagrody Fundación Argentina de Poesía (1970). Główne dzieła: *Trópico negro* (1942), *Compadre Mon* (1943), *Chinchina busca el tiempo* (1945), *Antología Tierra* (1949), *Los huespedes secretos* (1951), *30 pardbolas* (1956), *Antología clave* (1957), *Pedrada planetaria* (1958), *Los antitiempo* (1987) — poezje i proza poetycka; *El presidente negro*, *El escupido* (1970) — powieści.

Tytuł oryginału: *Galo*, z tomu: *Hispanoamérica en cincuenta cuentos y autor es contemporáneos*. Ediciones Latinprens, Buenos Aires, 1973.

Alfredo Cardona Pena — KOSTARYKA. Ur. w 1917 r. w San Jose, od 1938 r. przebywa stale w Meksyku. Dziennikarz, profesor literatury, współpracownik licznych wydawnictw i czasopism. Laureat wielu nagród krajowych i międzynarodowych. Ma ogromny dorobek, przede wszystkim w dziedzinie poezji, ale też jako autor esejów, sztuk teatralnych i opowiadań. Uchodzi za jednego z inicjatorów *science fiction* w Ameryce Środkowej. Ważniejsze publikacje: *El mundo que tu eres* (1944), *Valle de México* (1949), *Poemas numerales* (1950), *Primer paso—raiso* (1955), *Oración futura* (1959). *Poema a la juventud* (1960). *Poema del retorno*

(1962), *Confin de llamas* (1969), *Asamblea planetaria* (1972) — poezja: *La mdscara que hablaba* (1944), *El secreto de la reina Amaranta* (1946), *La muerte cae en un raso* (1962), *Cuentos de magia, de misteria y de horror* (1966), *La ranita* (1969), *Fdbula contada* (1972) — opowiadania.

Tytuły oryginałów: *En la luna habttada del espejo* (*W zaczarowanym zwierciadle*) z tomu: *Fabula contada*. Editorial Universitaria Centroamericana. San José, Costa Rica 1972 i *El anillo de oricalco* (*Pierścień z orykalkiem*), tamże.

Raul Carrillo Meza — GWATEMALA. Ur. w 1925 r., pisarz i reżyser teatralny, dyrektor Campafia Nacional de Teatro. Laureat Premio Centroamericano de Novela „Alejandro Mo—nestef” (1989) za powieść polityczną *Lo que no tiene nombre*. Wydał też trzy tomy opowiadań: *Cuentos* (1957), *Cuentos de hombres* (1958) i *El vuelo de Jacinta* (1962).

Tytuł oryginału: *Yo soy mi padre*, z czasopisma „Comunidad” nr 26, Agosto 1970. „„

343

Gabriel Casaccia — PARAGWAJ. Ur. w 1907 r. Przebywa na emigracji w Argentynie. Najwybitniejszy obok A. Roa Ba—stosa pisarz paragwajski. Laureat argentyńskich nagród literackich: *Kraft* (1952) i *Primera Piana* (1956). Powieści i opowiadania: *Mario Pereda* (1940), *EJ pozo* (1947), *La babosa* (1952), *La llaga* (1964), *Los exiliados* (1967).

Tytuł oryginału: *El ansia secreta*, z tomu: *El cuento actual latinoamericano*. Ediciones de Andres, Mexico 1972

latinoamericano. Ediciones de Andrea, Mexico 1975.

Lisandro Chavez Alfaro — NIKARAGUA. Ur. w 1929 r. w Bluefields, od dłuższego czasu mieszka w Meksyku, trudniąc się dziennikarstwem. Opublikował: *Hay una selva en mi voz* (1945), *Arquitectura inutil* (1954) — poezje; *Los monos de San Telmo* (1963) — opowiadania, I nagroda w konkursie Casa de las Americas (Kuba), i powieści: *Trdgame tierra* (1969) — nagroda wydawnictwa Seix Barral z Barcelony, *Balsa de ser—pientes* (1973).

Tytuł oryginału: *Esbozo de Jeronimo quemndnose*, z czasopisma „El pez y la Serpiente” nr 12, invierno 1972.

Sócrates Cobas — KUBA. Ur. w 1930 r. w Santiago de Cuba. Studiował architekturę na uniwersytecie w Hawanie. Mieszkał w Meksyku i Europie. Prozaik i poeta.

Tytuł oryginału: *La hada*, z tomu: *Nuevos cuentistas cuba—nos*. Casa de las Americas, La Habana 1961.

Ruben Dario — NIKARAGUA. Własc. nazw. Felix Ruben Garcia Sarmiento. Ur. w 1867 r. w miasteczku Metapa (obecnie — Ciudad Dario), zm. 1916. Czołowy przedstawiciel modernizmu, pierwszy wielki poeta, jakiego Ameryka Łacińska dała światu. Jako dyplomata, jako korespondent aKgentyńskiego dziennika „La Nación”, jako zwykły globtrotter wreszcie zwiedził całą prawie Amerykę, podróżował do Europy, z upodobaniem przesiadywał w Paryżu. Przyjaźnił się z najwybitniejszymi twórcami hiszpańskiej strefy językowej. Wiersze pisywał od dziecka. W 1888 r. był już autorem kilku tomików poetyckich; ostatni z nich — *Azul* — stanowi początek

eksperymentów, które przyniosły R. Dario rangę wielkiego renowatora poezji języka hiszpańskiego. Pełnię dojrzałości formalnej osiągnął w *Prosas profanas* (1896). Była to poezja typowo eskapi—styczna. Jej główne tło stanowiły grecki ant> i francuski

344

XVIII wiek. W dalszej twórczości Dario zwraca się bardziej ku sprawom kontynentu amerykańskiego. Poezja: *Cantos de vida y esperanza* (1905), *Canto errante* (1907), *Poema del otono y otros poemas* (1910), *Canto a la Argentina y otros poemas* (1914). Eseje: *Los raros* (1896), *Peregrinaciones* (1901), *La cara—vana pasa* (1902), *Tierras solares* (1904). Opowiadania (za życia poety rozproszone po czasopismach): *Cuentos completos* (1950). Tytuł oryginału: *El satiro sordo*, z tomu: *Antologia poetica de Ruben Dario*. Imprenta Nacional de Cuba, Biblioteca del pueblo, Habana 1972.

José Donoso — CHILE. Najwybitniejszy z prozaików swojego kraju, jeden z reprezentantów „boomu”, laureat wielu nagród literackich, autor powieści i opowiadań tłumaczonych na szereg języków. Ur. w 1925 r, w Santiago de Chile. Po ukończeniu szkoły średniej pracował jako owczarz na południu kraju. Studiował anglistykę w Chile i w Stanach Zjednoczonych. Writer in Residence przy Ohio State University. Wykładowca na uniwersytetach w Santiago i w Nowym Jorku. Korespondent czasopisma „Ercilla” w Europie. Przebywa na stałe w Hiszpanii. Opowiadania: *Verdneo* (1955), *Dos cuentos* (1957), *El Charleston* (1960), *Los mejores cuentos* (1966). Powieści:

Coro—nación (1957), *El lugar sin límites* (1966), *Este domingo* (1966), *Plugawy ptak nocy* (*El obsceno pdjato de la noche*, 1970). Esej: *Moja osobista historia boomu* (*Historia personal del boom*, 1972).

Tytuł oryginału: *La puerta cerrada*, z tomu: *Quince relatos de la America Latina*. Casa de las Americas, La Habana 1970.

Salvador Elizondo — MEKSYK. Ur. w 1932 r. w mieście Meksyku, studiował w Kanadzie i Europie. Poeta, prozaik, eseista, autor krótkich sztuk teatralnych, tłumacz poetów angielskich. Wybitny pisarz średniego pokolenia, autor utworów artystycznie ambitnych i trudnych, entuzjastycznie ocenianych przez krytykę rodzimą i zagraniczną, tłumaczonych na szereg języków. Laureat nagrody im. Villaurrutii. Poezja: *Poemas* (1960). Eseje: *Luchino Visconti* (1963). Powieści: *Farabeuf* (*Farabeuf o la crónica de un instante*, 1965), *Hipogeo secreto* (1968). Opowiadania: *Narda o el verano* (1966), *El retrato de Zoe y otras mentiras* (1969), *El grafógrafo* (1972). Inne: *Autobiografia* (1936), *Antologia personal* (*Antologia osobista*, 1974).

345

Tytuł oryginału: *Los indios verde*, z tomu: *El grafógrafo*, © Editorial Joaquín Mortiz S. A., Mexico 1972.

Gabriel Garcia Marquez — KOLUMBIA. Ur. w 1928 r. w Ara—cataca, w 1940 r. przeniósł się do Bogoty. Pracował w Paryżu i Rzymie jako korespondent bogotańskiego dziennika „El Espectador”. Mieszkał jakiś czas w Meksyku, następnie w

LA—początku. Wmieszkał jakiś czas w Meksyku, następnie w Hiszpanii. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli „boomu”, twórca spod znaku realizmu magicznego, należy do najpopularniejszych w Polsce pisarzy latynoamerykańskich. Opowiadania i nowele: *La hojarasca* (1955), *Nie ma kto pisać do pułkownika* (*El coro—nel no tiene quien le eseriba*, 1961), *W tym mieście nie ma złodziei* (*Los iunerales de Mama Grande*, 1962), *Isabel viendo llover era Macondo* (1968), *Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry i jej niegodziwej babki* (*La increíble y triste historia de la candida Erendira y de su abuela desalmada*, 1972), *Ojos de°perro azul* (1974). Powieści: *Zła godzina* (*La mala hora*, 1961), *Sto lat samotności* (*Cieñ años de soledad*, 1967), *El otoño del patriarca*, (1974). Reportaż: *Relato de un naufrago*, (1956).

Tytuły oryginałów: *Un señor muy viejo con unas alas enormes* (*Bardzo stary pan z ogromnymi skrzydłami*), z tomu: *La increíble y triste historia de la candida Erendira y de su abuela desalmada*. Editorial Sudamericana, Buenos Aires 1972 i *Et utlimo viaje del buque fantasma* (*Ostatnia podróż statku wid' ma*), także.

Clemente Guido — NIKARAGUA. Ur. w 1980 r. w Managui. Chirurg z zawodu, studiował w Nikaragui i Salwadorze, odbywał praktykę lekarską w Brazylii. Debiutował w 1963 r. jako autor prozy dokumentalnej *Noches de torturas*, autentycznej relacji z przebiegu śledztwa i tortur, jakim był poddany jako więzień polityczny. Dwa lata później opublikował

tom nowel Prosa *rojá*, a w latach następnych dalsze zbiory opowiadań. Prawdziwy sukces przyniosła mu powieść satyryczna *El pdjaro del dulce encanto* (1974), której pierwsze wydanie zostało wyczerpane w ciągu kilku dni.

Tytuł oryginału: *Torbellino*, w czasopiśmie „La Prensa”, Octubre 1972.

Carlos Maria Gutierrez — URUGWAJ. Ur. w 1928 r., dziennikarz, poeta, autor opowiadań i reportaży, współpracownik

znanego montevideańskiego tygodnika „La Marcha” oraz kubańskiego wydawnictwa Casa de las Americas.

Tytuł oryginału: *El ascensor*, w czasopiśmie „Casa de las Americas”, nr 61, lipiec—sierpień 1970.

Felisberto Hernandez — URUGWAJ. (1902—1963). Należy już dziś do klasyków. Pianista, zarabiał na życie najpierw jako akompaniator w okresie kina niemego, później — dając koncerty w klubach i salach teatralnych Urugwaju i Argentyny. Pisał niewiele, powoli, przerabiając wielokrotnie swoje nowele i opowiadania. Uważa się go za jednego z ojców współczesnej prozy latynoamerykańskiej, która porzuciła więź z kości słoniowej modernizmu, ale także i pustą retorykę „powieści protestu”, koncentrując się na poszukiwaniach elementów fantastyki, poezji, tajemnicy w życiu człowieka. Do najbardziej znanych zbiorów opowiadań Hernandeza należą: *Nadie encendia las Idmparas* (1947) i wydanie pośmiertne *Las Hortensias* (1966). Z innych publikacji, które nie przekraczały nieraz objętości cienkiego zeszyciku, wymieńmy: *Libro sin*

tapas (1929), *La cara de Ana* (1930), *El caballo perdido* (1943) i *Tierras de memoria* — napisane w 1944 r., ale wydane dopiero pośmiertnie w 1965 r.

Tytuł oryginału: *EJ balcón*, z tomu: *Cuentos*. Casa de las Americas, La Habana 1968.

Oscar Hurtado — KUBA. Ur. się w 1919 r. na przedmieściach Hawany. Syn rybaka, pomagał ojcu w pracy, kształcąc się jednocześnie. Skończył studia dziennikarskie. Pisze opowiadania, wiersze, eseje i szkice krytyczne z dziedziny sztuki. Wydał wielki poemat *La Ceiba*, w którym interpretuje życie swojego kraju.

Tytuł oryginału: *Carta de un juez*, w tomie: *Nuevos cuentistas cubanos*. Casa de las Americas, La Habana 1961.

Joao Simões Lopes Neto — BRAZYLIA. Ur. 1865 w Połtas (Xstan Rio Grandę de Soi), zm. 1916. Najlepszy z pisarzy — regionalistów, „ojciec” literatury gauczowskiej w swoim kraju. Publikacje: *Cancioneiro gaúcho* (1910) — zbiór poezji ludowej, wyszukanej przez autora w zapiskach folklorystycznych; *Contos gauchescos* (1912) i *Lendas do Soi* (1913) — opowiadania. Wydana pośmiertnie (1952) *Casos do Romualda*, opowieść o przygodach brazylijskiego Miinchhausena — Romualda, ujawnia no—

346

347

we cechy w twórczości tego pisarza — kapitalny zmysł humoru i baśniową fantazję.

Tytuł oryginału: *A M'hoitad* z tomu: *Lendas do Soi*. Aoir

Rio de Janeiro 1960.

Cesar López — KUBA. Ur. w 1933 r. w Santiago de Cuba. Studiował medycynę w Hawanie, Madrycie i Salamance. Zwiedził wiele krajów Ameryki i Europy, przez pewien czas był konsulem swojego kraju w Szkocji. Skończył medycynę, lecz porzucił ją dla literatury. Jest jednym z najlepszych poetów swojego pokolenia. Wydał kilka tomików wierszy i opowiadań. Mieszka w Hawanie. Wykłada literaturę.

Tytuł oryginału: *En la carcel*, z tomu: *Nuevos cuentistas cubanos*. Casa de las Americas, La Habana 1961.

René Marqués — PUERTO RICO, Ur. w 1919 r., najwybitniejszy „—, z prozaików portorykańskich, pisarz zaangażowany w sprawę niepodległości swojego kraju, powraca do niej w kolejnych utworach. Wykłada na uniwersytecie w San Juan, prowadzi seminaria na temat powieści i teatru.

Opublikował dwa tomy opowiadań: *Otro dla nuestro* (1955), *En una ciudad lla—mada San Juan* oraz powieść *La vispera del hombre* (1959). Jest też autorem szeregu wysoko cenionych sztuk teatralnych — *La carreta*, *Los soles truncos*, *La muerte no entrard en palacio*, *Un niño azul para esa sombra*, *La casa sin reloj*, *Mariana y el alba* — z których większość została zebrana we wspólnym tomie *Teatro* (1959).

Tytuł oryginału: *Ese mosaico fresco sobre aquel mosaico antiguo*, w czasopiśmie „Sin Nombre”, Enero—Martó 1972, San Juan.

«

Alvaro Menen Desleal — SALWADOR. Najczęściej, obok Augusta Monterroso i Asturiasa, tłumaczony na języki obce autor środkowoamerykański. Poeta, dramaturg, eseista, przede wszystkim jednak autor nowel i krótkich opowiadań, zaskakujących bogactwem wyobraźni, pomysłowością i humorem, których najlepszą wizytówką jest kalambur, jakim podpisuje swoje utwory: Menen Desleal, czyli Menen Nielojalny (właściwy zapis nazwiska pisarza: Menendez Leal). Laureat wielu nagród literackich, krajowych i zagranicznych. Ur. w 1931 r. w Santa Ana. Studiował prawo i Akademię Wojskową, nie zdradza jed—

nak sympatii do wojskowych rządzących w krajach Ameryki Łacińskiej. Przebywał długi czas na emigracji we Francji i RFN. Zbiory opowiadań: *La Uave y otros euentos* (1960), *Cuentos breves y maravillosos* (1963), *Una cuerda de nylon y oto y otros cuentos maravillosos* (1969), *Revolución en el pais que edificó un castillo de hadas y otros cuentos maravillosos* (1971), *Hacer el amor en el refugio atómico* (1972).

Tytuł oryginału: *Aquiles y la tortuga*, z tomu: *Et cuento actual latinoamericano*. Ediciones de Andrea, Mexico 1973.

Manuel Mujica Lainez — ARGENTYNA. Ur. w 1910 r. w Buenos Aires, szkołę średnią skończył we Francji. Wcześniej dał się poznać jako eseista, kierujący swoje zainteresowania ku literaturze, przede wszystkim narodowej: *Glosas castellanas* (1936), *Don Galdz en Buenos Aires* (1938), *Miguel Cane padre* (1942), *Vida de Aniceto el Galio* (1943), *Vida de*

Anastasio el Pollo (1947). W 1949 r. debiutował jako autor opowiadań *Aquí vivieron*. Następny zbiór — *Misteriosa Buenos Aires* (1950) — nosił jeszcze, podobnie jak i pierwszy, ślady prozy dokumentalnej. Pełnię dojrzałości artystycznej osiągnął w powieściach — *Los idolos* (1953), *La casa* (1954), *Los viajeros* (1955), *Invitados en el Paraíso* (1957) — w których na sposób proustowski kreśli impresjonistyczną, nostalgiczną wizję świata wyższych sfer towarzyskich Argentyny. Dalsze powieści i zbiory opowiadań: *Bo—marzo* (1962), *El unicornio* (1965), *Crónicas reales* (1967), *De mi—lagros y de malancolias*.

Tytuł oryginału: *La galera*, z tomu: *Cuentos fantásticos argentinos*. © Emece Editores, Buenos Aires 1963.

Hector A. Murena — ARGENTYNA (właśc. Hector Alberto Alvarez). Ur. w 1923 r. w Buenos Aires, powieściopisarz, eseista, poeta i dramaturg. Laureat wielu nagród literackich, autor kilkunastu książek tłumaczonych na francuski, angielski, niemiecki i włoski, stały współpracownik szeregu ważnych czasopism amerykańskich i europejskich. Przez 4 lata był elewem w szkole wojskowej, studiował teologię, zajmował się naukami ezoterycznymi, był dyrektorem w wydawnictwie Sur. Pisarz o nieprzeciętnej indywidualności, oryginalności i niezależności sądów — zawdzięczał swą pozycję przywódcy generacji „los pa—trícides” („ojcobójcy”), która doszła do głosu w latach pięćdziesiątych, dokonując przewartościowań w hierarchicznej struk—

turze literatury narodowej. Najważniejsza jak dotąd twórczość eseistyczna Mureny zebrana jest w toniach: *El pecado original de America* (1954), *Homo atomicus* (1961) i *El nombre secreto*. W sferze fabularnej jest kontynuatorem pesymistycznej tradycji Eduardo Mallei. Bystry obserwator, znakomicie potrafi przekazać wszystkie odcienie rzeczywistości, ale jest to rzeczywistość doprowadzona do absurdu, groteskowa. Niejako intuicyjnie odkrywa absurdalność codziennych spraw i rytuałów. Operuje językiem z wyczuciem i precyzją. Ważniejsze utwory fabularne: *El centro del infierno* (1956) — opowiadania; *La fatalidad de los cuerpos* (1955), *Las leyes de la noche* (1958), *Los herederos de la promesa* (1965), *Epitafio* (1969), *Polispuer—cón* (1970), *Caina muerta* (1971) — powieści; *El juez* (1953) — dramat.

Tytuł oryginału: *El coronel de caballeria*, z tomu: *Cuentos fantásticos argentinos*. © Emecé Editores, Buenos Aires 1963.

A

Damaso Murua — MEKSYK. Ur. w 1933 r. w Sinaloa. Wykładowca w wyższej szkole ekonomicznej. Autor licznych opowiadań, w których odzwierciedla życie rodzinnego miasta i prowincji: *El mineral de los cauques* (1966), *Doce relatos Esquina—penses* (1969), *La Ronda* (1969), *El Giiilo* *Mentiras* (1971).

Tytuł oryginału: *Morgan*, w czasopiśmie „Comunidad” nr 40, grudzień 1972.

Utalentowany poeta, dał się też poznać jako jeden z odnowicieli języka w prozie. Autor powieści „otwartej” *Moririds lejos* (1968) i tomu doskonałych opowiadań fantastycznych *El principio del placer* (1972).

Tytuł oryginału: *Parque de diversiones*, z tomu: *El viento distante*, © Biblioteca Era, Mexico 1969.

Nelida Piñon — BRAZYLIA. Ur. w 1938 r. w Rio de Janeiro. Ukończyła studia dziennikarskie. Wykłada na wydziale literatury Uniwersytetu Federalnego w Rio. Należy do grupy pisarzy zmierzających do odnowy formalnej brazylijskiej prozy. Powieści: *Guia—Mapa de Gabriel Arcanjo* (1961), *Madeira Feita Cruz* (1963), *Fundador* (1969). Opowiadania: *Tempo das frutas* (1966).

Tytuł oryginału: *Salo de armas*, z tomu: *Sala de armas*. Jose Olimpio, Rio de Janeiro 1973.

350

Sergio Pitol — MEKSYKA. Ur. w 1933 r., znany i ceniony pisarz, zasłużony również dla kultury polskiej jako tłumacz Andrzejewskiego, K. Brandysa, Gombrowicza, autor (i tłumacz) *Antologii współczesnych opowiadań polskich* (od Leśmiana do pisarzy debiutujących w okresie powojennym) i szeregu esejów o literaturze polskiej. Dwukrotnie przebywał w Polsce — najpierw jako stypendysta Ministerstwa Kultury, później jako attache kulturalny ambasady meksykańskiej — i realia naszego kraju występują w wielu jego opowiadaniach. Publikacje: *Tiempo cercado* (1959), *Każdy ze swoim piekłem (Infierno*

de todos, 1965), *Los climas* (1966), *No hay tal lugar* (1967), *Del encuentro nupcial* (1970), *Przedślubne spotkania* (wybór z 3 ostatnich tomów) — opowiadania. *Dźwięk fletu* (*El tañido de una flauta*, 1973) — powieść, nagroda Premio Nacional de Mexico.

Tytuł oryginału: *Semejante a los dioses*, z tomu: *Del encuentro nupcial*. © Tusquets Editor, Barcelona 1970.

Ricardo Rey Beckford — ARGENTYNA. Pisarz średniego pokolenia. Był redaktorem naczelnym czasopisma „El buho”. Autor tomu opowiadań *El placido aspecto del mar*.

Tytuł oryginału: *El enigma de Samos*, z tomu: *El informante, cuentos*. © Editorial Losada S. A., Buenos Aires 1971.

Murilo Rubiao — BRAZYLIA. Ur. w 1916 r., przedstawiciel „pokolenia 45”, które zmanifestowało swą obecność w literaturze wspólnym wystąpieniem w *Antologia de Contos de Escri—tores Novos do Brasil* (1949), reprezentuje nurt subiektywny w prozie, która oscyluje między rzeczywistością i fantastyką. Tom opowiadań *O Ex—Mdgico* (1947).

Tytuł oryginału: *O convidado*, z tomu: *O convidado*. Quiron, Sao Paulo 1974.

Rogelio Sinan — PANAMA (właśc. Bernardo Dominguez Alba). Ur. w 1904 r. Studiował w Chile i we Włoszech. Był konsulem Panamy w Kalkucie. Założyciel Związku Pisarzy Panamskich. Profesor uniwersytetu panamskiego. Uznany przez krytykę międzynarodową za jednego z najwybitniejszych

nowelistów Ameryki Łacińskiej. W pisarstwie swojego kraju reprezentuje zerwanie z tradycjonalizmem, przeszczeplając na grunt literatury panamskiej doświadczenia europejskiej awangardy. Opublikował: Ondo (1929), *Incendio* (1944), *Semana Santa en*

351

la niebla (1949), *Saloma sin salomar* (1969) — poezje; *Plenilunio* (1949) — powieść; *A la orilla de estatuas maduras* (1946), *Dos aventuras en el Lejano Oriente* (1947), *La boina roja y cinco cuentos* (1954), *Los pdjaros del sueño* (1957), *Cuentos de Rogelio Sinan* (1972) — opowiadania; *La Cucarachita Mandinga* (1937), *Chiquilinga* (1961) — teatr dla dzieci.

Tytuł oryginału: *Todo un conflicto de sangre*, z tomu: *Cuentos de Rogelio Sinan*. © Editorial Universitaria Centroame—ricana (EDUCA), San Jose, Costa Rica 1971.

Miguel Angel de la Torre — KUBA (1884—1930). Urodzony w Cienfuegos (prowincja Las Villas). Od wczesnej mlodości zajmował się działalnością publicystyczną. W 1930 r. popelnil w Hawanie samobójstwo. Jego twórczość literacka odzwierciedla upodobania do „cygańskiego” życia, temperament żywiołowy, łatwo poddający się depresjom. Wydał powieść o silnych akcentach autobiograficznych: *La gloria de la familia*, oraz liczne opowiadania rozsiane w czasopismach kubańskich.

Tytuł oryginału: *Antecesor*.

Javier Villafane — ARGENTYNA. Ur. w 1910 r., znany w Ameryce Południowej jako balkerz, przewedrował — ze swoim

Antylech i Oceanowej jako karkas, przewędrowa— ze swoim teatrykiem kukielkowym wzdłuż i wszerz cały kontynent. Pisze wiersze i opowiadania: *Coplas, poemas y canciones* — nagroda Premio Municipal de Buenos Aires 1938, *El gallo pinto* (1944), *Libro de cuentos y leyendas* (1946), *De puerta en puerta* (1956), *Historia de pdjaros* (1957), *La maleta* (1957).

Tytuł oryginału: *El perro de ceniza*, z tomu: *Veinte cuentos de Buenos Aires*. Compania General Fabril, Editora, Buenos Aires 1963.

Spis treści

- A. Bioy[^] Casares: KLUCZ DO TAJEMNICY JEST W NIEBIE (przel. J. Kiihn)..... 5
- M. Rubiao: ZAPROSZONY (przel. J. Z. Klave) . . 36
- F. Hernandez: BALKON (przel. J. Kiihn) 45 M.
- Benedetti: MISS AMNEZJA (przel. J. Kiihn) . . 60
- D. Murua: MORGAN (przel. J. Kiihn).....65
- H. A. Murena: PUŁKOWNIK KAWALERII (przel. R. Kalicki).....71
- M. A. de la Torre: POPRZEDNIK (przel. A. Sobol—
—Jurczykowski)..... 80
- A. Cardona Peña: PIERŚCIEN Z ORYKALKIEM (przel. J. Kiihn).....33
- R. Carrillo Meza: JESTEM SWYM WŁASNYM OJCEM (przel. J. Kiihn)..... 94
- J. E. Pacheco: OGRÓD ZOOLOGICZNY (przel. A. Sobol—Jurczykowski).....101

- M. del Cabral: GAL (*przel. J. Kiihn*).....104
- L. Chavez Alfaro: SZKIC O PALĄCYM SIĘ
HIERONIMIE (*przel. J. Kiihn*).....108
- H. Bustos Domeca: POPOŁUDNIE Z RAMONEM
BONAVENĄ (*przel. A. Sobol—Jurczykowski*) . . . 111
- H. Bustos Domeca: TO, CZEGO NIE MA, NIE PRZYNOŚI
SZKODY (*przel. A. Sobol—Jurczykowski*) . . 117
- G. Garda Marañez: BARDZO STARY PAN
Z OGROMNYMI SKRZYDŁAMI (*przel. R. Kalicki*) 121
- J. L. Borges: KOLISTE RUINY (*przel. A. Sobol—
Jurczykowski*)128
- R. Marañez: TEN ŚWIEŻY FRESK NA TAMTYM
STARYM FRESKU (*przel. J. Kiihn*).....134
- A. Bioy Casares: PASAŻERKA PIERWSZEJ KLASY
(*przel. A. Sobol—Jurczykowski*).....147
- 353
- G. Casaccia: DZIWNY NIEPOKÓJ (*przel. A. Sobol—
—Jurczykowski*)..... 150
- R. Sinan: KONFLIKT KRWI (*przel. J. Kiihn*) . . 159
- R. Rey Beckford: ZAGADKA WYSPY SAMOS (*przel.
A. Sobol—Jurczykowski*)..... 184
- J. J. Arreola: O BALISTYCE (*przel. A. Sobol—
Jurczykowski*) 191
- A. Menen Desleal: ACHILLES I ŻÓŁW (*przel.
J. Kiihn*)..... 200
- S. Pitol: PODOBNY BOGOM (*przel. A. Sobol—
Jurczykowski*) 205

J. J. Arreola: ZWROTNICZY (przel. A. Sobol— <i>Jurczykowski</i>)	213
C. López: W WIEZIENIU (przel J. Kühn) ...	220
C. Guido:, ZAMĘT (przel. J. Ktihn).....	227
G. Garda Marquez: OSTATNIA PODRÓŻ STATKU WIDMA (przel. R. Kalicki).....	233
O. Hurtado: LIST SEDZIEGO (przel. J. Kühn) . .	238
J. S. Lopes Neto: BŁĘDNY OGNIK (przel. J. Z. Klave)	249
S. Elizondo: ZIELENI INDIANIE (przel. A. Soból— — <i>Jurczykowski</i>).....	254
R. Darło: GŁUCHY SATYR (przel. A. Sobol— <i>Jurczykowski</i>)	256
S. Cobas: CZARODZIEJKA (przel. A. Sobol— <i>Jurczykowski</i>)	262
A. Cardona Peña: W ZACZAROWANYM ZWIERCIADLE {przel J. Kühn).....	267
M. Mujica Lainez: DYLIŻANS (przel. R. Kalicki) . .	271
J. Vfflafane: POPIELATY PIES (przel. R. Kalicki)	276
C. M. Gutierrez: WINDA (przel J. Kühn) . . , .	281
N. Pinon: SALA RYCERSKA (przel. J. Z. Klave)	291
J. Donoso: ZAMKNIĘTE DRZWI (przel. J. Kühn)	301
Posłowie (J. Ktihn).....	325
Noty o autorach (J. Kühn).....	340